



Sharon Owens



***Dyskoteka
przy Magnoliowej***

1.

GWIAZDOR

Johnny Hogan był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o ciemnych oczach i gęstych czarnych włosach. Obdarzony przez naturę sporą dozą wdzięku, miał ponadto seksowny dołek w podbródku, niezły głos i doskonale tańczył. Kiedy puszczał oko, dziewczęta zapomniały o narzeczonych. Wszystkie mieszkanki Belfastu uwielbiały Johnny'ego, ale żadnej nie udało się go zwabić do ołtarza. Jedyna kobieta, jaką w życiu kochał, opuściła go i wyszła za innego mężczyznę. Johnny nigdy się nie pozbierał po tym wstrząsie.

Urodził się w 1939 roku w niewielkiej kochającej się rodzinie wyznającej konserwatywne wartości. Jego rodzice byli bardzo lubiani, toteż przyjście Johnny'ego na świat świętowano w sąsiedztwie przez kilka dni. Rzesze kobiet dziergały dla niego ubranka. (Od początku miał szczęście do płci przeciwnej.) Maleńki przystojniak skupiał uwagę wszystkich, pozwalając na chwilę zapomnieć o tym, że wybuchła wojna.

Tymczasem ludzie zaciemniali okna i masowo wykupywali papierosy, konserwy i czekoladę. Dziadek Johnny'ego, James Hogan, od dawna śledził w radio wzrost znaczenia narodowych socjalistów w Niemczech. Świadom, że musi zadbać o bezpieczeństwo rodziny, zawczasu wysłał do Londynu list z zapytaniem o instrukcje na wypadek wojny. W dniu, w którym otrzymał odpowiedź, przyszedł prosto do domu syna, wytyczył linie na trawniku w ogródku i zaczął kopać schron przeciwlotniczy. Przez dwa tygodnie harował jak muł wożąc ziemię na taczkach, zbijając deski i arkusze blachy. Nikt nie poszedł jego śladem. Hitler nigdy w życiu nie dotrzedo Belfastu, mawiali starsi mężczyźni dyskutując w pubach. Młodzi zgłaszali się do komisji poborowych i z wypiekami na twarzach roztrząsali niesłychane możliwości floty wojennej. Myśli kobiet wszakże zaprzętało bez reszty urocze niemowlę z ulicy Magnoliowej. Gratulowały matce, że zdążyła urodzić, zanim mąż został powołany do wojska — i wszystkie bezwstydnie rozpuszczały Johnny'ego, który mimo to pozostał miłym dzieckiem. Leżał w swojej ciężkiej drewnianej kołysce, którą zrobił dla niego dziadek, i uśmiechał się do świata, a wszyscy odpowiadali mu uśmiechem.

Ale los wyznaczył Hoganom miejsce wśród niezliczonych ofiar tej wojny. Johnny miał niespełna rok, kiedy niespodziewany nalot obrócił ulicę Magnoliową w nicość. Jego rodzice zostali znalezieni obok siebie pod gruzami. Matka trzymała w ręku fajansowy imbryk, ojciec miał na sobie sztywny, nowiutki mundur. Oboje nie żyli. Ale dziecko w masywnej kołysce oca-

łało — pisali o tym nawet w londyńskich gazetach. Było jedyną osobą w tej dzielnicy, która przeżyła bombardowanie.

Wkrótce gazety zajęły się czym innym, a mieszkańcy Belfastu nadal mozolnie wiązali koniec z końcem przez całą smutną, ubogą dekadę, Johnny Hogan pozostał dla nich jednak symbolem nadziei. Z ulicy Magnoliowej uprzątnięto gruzy domów, opuszczone ogrody zarosły zielskiem. Johnny zamieszkał przy Eglantine Avenue u dziadków ze strony ojca, Eileen i Jamesa, którzy go wychowali. Wyrósł z niego pogodny, zrównoważony chłopiec; Nie pamiętał rodziców i nie tęsknił za nimi, ale czasem, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, czuł dziwną pustkę w sercu. Dziadkowie zdawali sobie z tego sprawę, okazywali mu więc mnóstwo miłości i cierpliwości. Oboje byli ledwie po czterdziestce, nie można więc rzec, że wychowywali go starzy ludzie. Nie wywierali na niego zbyt dużych nacisków, pozwalali zapraszać kolegów na podwieczorek, biegać po schodach i hałasować ile dusza zapragnie. Kupili mu rower i nigdy nie skąpili na lody. Od czasu do czasu składał im wizytę miejscowy dziennikarz, pytając, jak się miewa cudem ocalone dziecko. Johnny w głębi serca był niezmiernie dumny ze swojej sławy i skrzętnie zbierał wycinki prasowe, które wklejał do albumu.

Kiedy boom kinowy lat pięćdziesiątych przeschepił do Irlandii amerykańską kulturę, Johnny stał się jej bałwochwalczym wyznawcą. Spragniona przygody chłopięca dusza na kolanach czciła rewolwerowców z cygarami w zębach, dzikich długowłosych Indian, którzy pokonem kładli wrogów, strzelając w galopie z grzbietów dzikich mustangów, a także zimnych jak lód detektywów w dwurzędowych garniturach, trzymających omdlałe piękności w silnych ramionach. Znana z porannych seansów Ameryka znaczyła dla Johnny'ego tyle co: „wolność”. Jego babka prezentowała mniej romantyczny pogląd.

— Ziemia obiecana, też coś! — prychała. — Na każdego bogacza przypada tam stu nieboraków, którzy w życiu nie mieli całego dolara. Moi wujkowie tyrali przez czterdzieści lat na kolei i obaj umarli bez grosza w jakiejś norze w Chicago.

Ale Johnny jej nie wierzył. Jak to możliwe, by po czterdziestu latach pracy umrzeć w nędzy? Pewnie przepili wszystkie swoje zarobki lub przegrali je w karty. Oczywiście wiedział, że nie wypada mówić źle o zmarłych. Zwłaszcza przy Eileen, która wielką wagę przykładła do dobrych manier.

— Pomyśl o Florydzie — przekonywał ją. — Cudowny krajobraz: plaże, drzewa, słońce i morskie fale. Piękne wille w stylu art déco.

— Jakie znowu deko? Johnny, nie dziwacz. Woda to woda, a piasek to piasek, niezależnie od tego, gdzie się znajdują. Kiedy byłeś mały, często jeździliśmy na plażę do Newcastle.

— I chodziliśmy po niej w grubych płaszczach.

— Nie zawsze.

— Oj, babciu. Przeważnie.

— Powinieneś się cieszyć, że masz ciepły płaszcz.

— Cieszę się, babciu. A przede wszystkim cieszę się, że mam ciebie. — Przytulił się do niej z uśmiechem.

Johnny był pierwszym mężczyzną w Belfaście, który zaczął nosić niebieskie zamszaki, i przez długie lata pysznił się tym przy każdej okazji. W innym miejscu i czasie zostałby aktorem albo piosenkarzem jak Elvis Presley. Miał w sobie pewną szczególną charyzmę, aurę gwiazdorstwa, która kazała ludziom oglądać się za nim na ulicy i zastanawiać się, czy przypadkiem nie jest to ktoś sławny. Przepowiadano, że daleko zajdzie. Cudem ocalony chłopiec z ulicy Magnoliowej nie mógł przecież utonąć w zapomnieniu, jak tylu innych przed nim.

Czternastoletni Johnny był stałym bywalcem sobotnich seansów w kinie przy Ormeau Road. Personel kina mówił o nim: „nasz mały gwiazdor”. Przewisko się przyjęło i Johnny ponosił je w dorosłe życie dzięki swym wielkim ambicjom i ekstrawagancji w ubiorze. Zaczesał kruczoczarne włosy do góry nad czołem, nosił wąskie spodnie i długie marynarki także wtedy, gdy już wyszły z mody. Ściągał powszechną uwagę krążąc po mokrych ulicach miasta błękitnym lincolnem continental.

Zdopingowany swym statusem miejscowej znakomitości, Johnny postanowił znaleźć sobie odpowiednie miejsce w życiu. Wiedział, że powinno być eksponowane, ale jakie — długo nie potrafił określić. Próbował różnych prac. Był akwizytorem, urzędnikiem, barmanem. Do rozpaczki doprowadzała go myśl, że marnuje się w zatęchłych sklepikach i biurach, a nie mógł przecież harować na budowie jak zwykły robotnik. Kariera wojskowa też doń nie przemawiała; musiałby wówczas ostrzyć swoje słynne włosy. James zaproponował mu pracę w swoim sklepie żelaznym, ale Johnny chciał być niezależny. Marzył o czymś barwnym, przesyconym choć iskrą hollywoodzkiego blasku.

Mając lat dwadzieścia trzy, Johnny się zakochał. Pewnego słonecznego dnia w 1962 roku, stojąc na światłach przy Royal Avenue, zobaczył piękną dziewczynę o platynowych włosach i szkarłatnych ustach. Wychylił się z samochodu i spytał ją o imię i numer telefonu. Nabażrała je na starym bilecie. Światło znów zmieniło się na czerwone, uwięzieni za Johnnym kie-

rowcy klęli na czym świat stoi, ryczał chór klaksonów, ale Marion Evans była tego warta. Zadzwoił do niej nazajutrz. Umówili się na randkę, potem kolejną, potem jeszcze jedną i jeszcze... Najczęściej chodzili do kina Odeon, gdzie w zaciszu tylnego rzędu krzesel rozkwitała ich szalona miłość. Marion miała osiłą talię i kształtny biust. Z czasem pozwoliła Johnny'emu na to, na co nigdy nie pozwalała innym chłopcom, nawet Eddy'emu Greenwoodowi, z którym się spotykała, nim poznała Johnny'ego. Trochę się wstydziła, była jednak pewna, że Johnny zamierza poprosić ją o rękę, tylko zbiera się na odwagę. Ostatecznie był już pełnoletni. I wciąż napomykał o swoich wielkich planach.

Pięć lat później Johnny był dumnym właścicielem dość prymitywnej tancbudy przy ulicy Magnoliowej — a Marion wciąż była panną.

Dyskoteka okazała się jedyną inwestycją Johnny'ego, która przyniosła zysk. Swego czasu próbował importować kalifornijskie marynaty i sosy do sałatek, lecz mieszkańcy Belfastu woleli jeść sałatę z solą i śmietaną, toteż całe przedsięwzięcie spaliło na panewce. Później otworzył kręgielnię w centrum miasta, lecz gromadzili się w niej kryminaliści i rada miasta przy pierwszej sposobności zamknęła lokal.

Johnny rozważał emigrację do USA, gdzie mógłby żyć wśród jemu podobnych nowoczesnych ludzi. Babka Eileen była temu przeciwna. Ameryka kojarzyła jej się wyłącznie ze zblakłym czarno-białym zdjęciem dwóch mężczyzn stojących z łopatami na ramionach obok wielkiej sterty stalowych wiązarów — zaginionych wujów, którzy nigdy nie wrócili z Ziemi Obiecanej. Johnny mógłby jej godzinami opowiadać o innych, którzy przemierzyli ocean z jedną zmianą odzieży i głową pełną marzeń i dorobili się milionów na niciach, sznyclach wołowych czy chromowanych samochodach. Ale babcia i tak nie chciała go słuchać.

Eileen była niziutką kobietą o drobnych, płaskich jak szpatułki dłoniach. Kochała go nad życie i rozpuściła jak dziadowski bicz, za co Johnny był jej niewysłowienie wdzięczny. Dzieliła z nim marzenia i rozczarowania, gdy kolejne przedsięwzięcie robiło klapę. Patrząc, jak wnuk snuje się po przestronnych pokojach willi przy

Eglantine Avenue, martwiła się, że w końcu wyjedzie z Irlandii. Johnny sam nie zdawał sobie sprawy, że jest dużą rybą w małym stawie. Rzucony do Nowego Jorku czy innego wielkiego miasta byłby zagubiony i bezradny, Eileen dobrze o tym wiedziała. Długo rozmyślała, jak zatrzymać wnuka w domu. W końcu wpadła na pomysł. Przy ulicy Magnoliowej był duży niezabudowany plac, leżący odłogiem od czasów wojny. Właśnie wystawiono go na sprzedaż. Eileen spędziła kilka bezsennych nocy myśląc o tym kawałku ziemi. To tam zginął w czasie

wojny jej syn i wiele innych osób. W końcu zdecydowała, że kupią parcelę i postawią na niej bar z salą taneczną. Jako swoisty pomnik rodziców Johnny'ego — młodych ludzi, którzy tak bardzo się kochali. Johnny zapalił się do jej pomysłu.

Wynajęli architekta i ostrzegli go, by nie szalał. Żadnych zbędnych ozdóbek, wyściełanych aksamitem łoża, plafonów i żyrandoli. Lokal ma być maksymalnie pojemny i tani. Architekt pokiwał głową. Zdawał sobie sprawę, jak przyszłe pokolenia osądzą ten nowy, czysto funkcjonalny styl dominujący w latach sześćdziesiątych, ale i on miał rodzinę do wyżywienia. Dogadali warunki i wziął się do roboty.

Budynek, choć niepozorny, miał być duży, zdolny pomieścić pięćset osób. Johnny, nie mając nic innego do roboty, zajął się organizacją budowy. Liczył się z każdym groszem, świadom, że ma w ręku wszystkie oszczędności babci Eileen. Zapewnił ją, że będzie nimi gospodarował rozsądnie, i oboje modlili się, aby dożyła chwili, gdy zobaczą zyski. (Johnny nie miał takich skrupułów, gdy chodziło o obcych, ale babcię naprawdę szczerze kochał.)

Przekupił tych członków rady miejskiej, którzy nadmiernie przejmowali się hałasem i zakłócaniem porządku. Sumiennie załatwił pozwolenie na budowę. Najął robotników w zadmionym pubie przy Fountain Street i zatrudnił surowego nadzorcę. W dniu, w którym skończono kopanie fundamentów, Johnny stanął na środku błotnistej placu i oblał szampanem swoje najlepsze zamszowe buty. (Oczywiście to był wypadek; zamierzał uderzyć butelką o betoniarkę, ale padał deszcz i wysliznęła mu się z ręk. Na szczęście widzieli to tylko dziadkowie, robotnicy i jeden bejszpański pies.)

Proste mury z szarych pustaków szybko pięły się w górę. W bocznych ścianach pozostawiono tylko małe, oszczędne okienka, lecz front miała zdobić wielka witryna, w której Johnny zamierzał każdej zimy stawiać wielką choinkę, dekorując lokal równocześnie wewnątrz i na zewnątrz (co oszczędzało kosztów), a także wieszać reklamowe afisze. (Rada miasta wydała właśnie wojnę rozlepianym „na dziko” plakatami.) Johnny Hogan nie wyleciał sroce spod ogona, jak lubił mawiać każdemu, kto chciał słuchać.

Dach był z blachy falistej w trzech różnych odcieniach żółci. (Johnny podejrzewał, że pochodzi ona z tajnej doświadczalnej bazy wojskowej w Arizonie, ale nie udało mu się stwierdzić tego na pewno.) Bar, ciągnący się przez całą długość sali, wykonany został z płyt wiórowych i nakryty niebieskim blatem z PCW. Większość krzeseł i stolików, nabytych za pośrednictwem domu aukcyjnego we wschodniej dzielnicy miasta, pochodziła z budynków zniszczonych przez pożar lub zalanie. Johnny kupił partię luster po cenie fabrycznej (szkło miało drobne

skazy) i sam wieszał je na ścianach, bo po odprawieniu robotników budowlanych pieniądze się skończyły. Na urządzenie baru, szkło i lampy wziął kredyt. W barze zatrudnił przyjaciół rodziny. Ukończone wnętrze straszło ubóstwem niczym pusty magazyn, ale kiedy światła przygasały i rozbrzmiewała muzyka, przeistaczało się w magiczny pałac romantycznych uniesień.

James bardzo się niepokoił. Dał Johnny'emu za darmo sporo materiałów ze swojego sklepu i osobiście pomagał układać podłogi, ale dręczyły go złe przeczucia. Martwił się zorganizowaną przestępczością, zamieszkami ulicznymi i nadmiernym spożyciem alkoholu, a także tym, że wnukowi ten biznes uderzy do głowy. Ale Johnny i Eileen byli szczęśliwi, a James bardzo ich kochał, więc milczał. Głośno stwierdził tylko, że woskowany parkiet prezentuje się świetnie.

Zimą 1967 roku dyskoteka otwarła podwoje. Wrażenie było oszalamiające: potężna choinka w holu skrzyła się tysiącem kolorowych światełek, a wirujące po suficie głównej sali niebieskie i zielone „zajaczki” zmieniły wnętrze w podwodny raj. Kilka gazowych grzejników działało już od rana, żeby wygnać chłód z nie używanych pomieszczeń. Zapach schnącego gipsu prawie się ulotnił. Personel ubrany był w czerwone koszule, aksamitne muszki i czarne spodnie z czerwonymi lampasami. Zatrudniony przez Johnny'ego dyskdzokej, niejaki Toni, który właśnie powrócił do Belfastu po udanym dwuletnim kontrakcie w ośrodku wczasowym Butlin na północy Anglii, pysznił się umiejętnością bycia za pan brat z młodzieżą (James podejrzewał, że właśnie dzięki niej facet zakończył karierę w Butlin); miał ponadto własne płyty, kolumny i mikser oraz światła dyskotekowe, co przesądzało sprawę. (James mamrotał pod nosem o braku zaufania do ludzi, którzy przekręcają własne imiona, ale wiedział, że został pokonany.) Podczas uroczystego otwarcia lokalu Johnny wygłosił krótką mowę, a babcia Eileen w karnawałowej koronie przecięła wstęgę. Goście dopisali. Miejscowa prasa stawiała się na miejscu, czego efektem były wielkie nagłówki: „CUDEM OCALONY CHŁOPIEC OTWIERA SALĘ TANECZNA NA RUINACH!” Johnny obwieścił urzeczonym tłumom, że zwisająca na łańcuchu z sufitu lustrzana kula jest największa w Europie — co było wierutnym kłamstwem.

Po tym *exposé* rwącej się do tańca publiki nie sposób już było powstrzymać. Runęła naprzód, zasypując pieniędzmi kasę i dosłownie walcząc o najlepsze stoliki. Didżej Toni postawił na głośniku szklanekę z fluoryzująco błękitnym koktajlem i wytrząsnął kilka płyt z papierowych koszulek. Muzyka wybuchła mocnym uderzeniem. Didżej powitał „wszystkie śliczne damy i przystojnych dżentelmenów w ekskluzywnej dyskotece Hogana”, a kilkoro zawodowych tancerzy, których Johnny wynajął na ten wieczór, wbiegło na parkiet. Interes w barze kręcił się nad

podziw. Nikt nie zauważył, że wódka nie jest najlepszej marki (w istocie była niemarkowa, ale tania). Eileen uparła się, żeby barmani wrzucali lód do szklanek srebrnymi szczypczykami, nie palcami. Widząc taką dbałość, klienci czuli, że dyskoteka Hogana jest naprawdę lokalem wyższej kategorii. Bramkarzy uprzedzono, że nie wolno im podrywać klientek; w wypadku przekroczenia tego zakazu groziło im natychmiastowe zwolnienie z pracy. Drewniana podłoga dzielnie zniosła nacisk kilkuset par butów, które po niej dreptały, sunęły i skakały, co dało Jamesowi dużą satysfakcję. Miał rację obstając przy zakupie porządnego drewna na parkiet. Gdy nastąpiła północ, a zabawa toczyła się bez żadnych problemów, Johnny ujrzał, że dziadek się uśmiecha. Wszyscy byli szczęśliwi. Johnny pojął, że nareszcie znalazł swoje miejsce.

2.

JOHNNY BOHATEREM

Kilka tygodni po uroczystym otwarciu dyskoteki spełniły się ponure przepowiednie Jamesa. W lokalu zjawili się panowie, którzy zażądali haraczu. Posterunkowy uprzedzał Johnny'ego, że coś takiego może się wydarzyć.

— Proszę zachować spokój i natychmiast zawiadomić policję — radził. — Najważniejszy jest rysopis; na jego podstawie przyskrzynimy ich bez problemu. Znamy to towarzystwo.

Johnny nie czuł więc strachu, kiedy wyglądając z niedostępnego dla gości biura zobaczył obcych snujących się po holu. Był jednak wściekły. W jego nowym lokalu jeszcze farba nie wyschła, a już zbierały się sępy. No cóż, nie miał zamiaru dać się im rozszarpać. O, nie! Skrzyżował ramiona na piersi i czekał. Bandytów było dwóch; najwyraźniej tak jak on rozmilowanych w amerykańskim kinie, sądząc po cygarach zwisających z kącików ust. Jeden miał oblicze chytrego lisa, drugi, większy, wyglądał na kretyna. Przekroczyli gruby niebieski sznur, lekceważąc tabliczkę: „Wejście tylko dla personelu” i ruszyli cicho po wysłanych chodnikiem schodach. Dopadłszy Johnny'ego i Eileen w kantorku, zażądali comiesięcznej doli za „ochronę”. Na ulicach po zmroku nie jest zbyt bezpiecznie, dowodził chytry. Nigdy nie wiadomo, kto czai się za rogiem. Johnny nie pytał, czy ci dwaj są wolnymi strzelcami czy wysłannikami jakiejś większej organizacji, bo i tak nie zamierzał im dać ani grosza. Nikt nie będzie straszył Johnny'ego Hogana w jego własnej dzielnicy, ani denerwował jego starej babki!

Towarzyszący chytremu troglodyta ścisnął i rozwierał pięści, jakby tylko czekał na okazję, by zdefasonować Johnny'emu buźkę. Johnny próbował go speszyć wyzywającą miną, ale

kamienne spojrzenie prześladowcy ani drgnęło. Jego szef cichym, miękkim głosem wyłożył warunki: jeśli nie dostaną forsy w każdą pierwszą sobotę miesiąca, będą kłopoty.

Johnny zgodził się, nie chcąc narażać Eileen. Potrzebny mu był zresztą czas do namysłu. Nie chciał pozostawiać sprawy w rękach policji. Miał zamiar rozwiązać ją samodzielnie. Obejrzał dostatecznie dużo filmów, by wiedzieć, że wszyscy gangsterzy są chciwi i głupi i przy pewnej dozie wyobraźni można ich wywieść w pole. Żerują na ludziach słabych i bojaźliwych; jeśli stawi się im czoło, tracą rezon. Johnny nadał im w duchu pseudonimy: Lis i Goryl. (Tak na jego miejscu zrobiłby James Cagney.)

James Hogan natomiast będąc na jego miejscu niezwłocznie powiadomiłby policję i wywiózł rodzinę w bezpieczne miejsce do czasu, gdy problem rozwiążą odpowiednie władze. James jednak nie wiedział o tym incydencie. Johnny nakłonił Eileen, by zachowała rzecz w tajemnicy i przez kilka tygodni omijała dyskotekę. Sam się wszystkim zajmie. Nie ma się czego bać. Przemierzał lokal wielkimi krokami paląc jednego papierosa po drugim i nie dostrzegając, że jego dziewczyna, Marion, z dnia na dzień jest coraz bledsza. Cztery dni później miał już plan.

Musi rozdzielić napastników i zaatakować w chwili, gdy nie będą się tego spodziewać. Małego liska rozłoży dwoma ciosami, a potem weźmie się za goryla. Da im wycisk w stylu hollywoodzkim i nauczy respektu przed Johnnym Hoganem. Znikną z powrotem w rynsztoku, z którego wyszli. „Gwiazdor” Hogan nikomu nie zamierzał oddawać swoich ciężko zarobionych pieniędzy.

W sobotę wieczorem o umówionej godzinie bandyci dyskretnie wspięli się na piętro i zapukali do biura. Johnny pewnym głosem zawołał, by weszli. Uczynili to czujnie, spięci, wietrząc zasadzkę, nigdzie jednak nie było widać zielonych mundurów ulsterskiej policji. Johnny, rozparty za biurkiem, palił papierosa. Miał na sobie najlepszy dwurzędowy garnitur i roztaczał woń drogiej wody kolońskiej.

— Śmiało, chłopcy, rozgośćcie się — powitał ich z lekkim nowojorskim akcentem.

— Jest pan gotów przejść do interesów? — spytał Lis.

— A może trzeba lekkiej perswazji? — wtrącił skwapliwie Goryl. — Jeśli nie żal ci urody, chłopcze... — W jego głosie brzmiała wyraźna groźba.

— Jestem gotów — odparł Johnny. — Załatwmy to szybko, nim ktoś wejdzie.

— Mądra decyzja. Poproszę o pieniążki. My też mamy mało czasu.

— Są tam, w szafie — Johnny wskazał szafę papierosem. — Zaraz je wyjmę. — Wstał powoli, nie spuszczać oka z napastników.

— Nie tak szybko, Hogan — warknął Lis. — Nie chcemy tu żadnych figli. Sami weźmiemy forszę.

Jego asystent podszedł do szafy i pociągnął za gałkę. Drzwi nie drgnęły.

— Zamknięta!

— Klucz jest w zamku, matole — rzekł Johnny. — Trzeba go przekręcić.

— Nie nazywaj mnie matolem! — Goryl poczerwieniał na twarzy.

— Przestań głądzić i pospiesz się! — wybuchnął Lis.

Obserwując, jak Goryl przekręca klucz w zamku, Johnny przeczesał włosy nonszalanckim gestem, który nie wiedzieć czemu spłoszył Lisa. (Ten potrafił wyczuć kłopoty na milę.)

— Czekaj — rzekł do kolegi. — Daj mi spluwę.

Johnny zamarł. Tego się nie spodziewał. Jakoś nie wpadło mu do głowy, że mogą przyjść uzbrojeni. W szafie nie było pieniędzy, trzymał w niej żarówki, popielniczki i serwetki. Goryl ślamazarnie wygrzebał z kieszeni broń i uniósł ją jakby w zwolnionym tempie. Zabarwione nikotyną palce Lisa rozwarły się na powitanie. Johnny wstrzymał oddech, kalkulując w myśli, czy zdąży w ciągu sekundy dopaść drzwi, żeby zamknąć ich w pomieszczeniu i wezwać gliny. Kiedy spał się do skoku, nagle ktoś zapukał i weszła Marion niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami. Goryl szybko schował pistolet do kieszeni.

— Wybacz, Johnny, nie wiedziałam, że masz towarzystwo. — Marion postawiła tacę na biurku. — Muszę z tobą porozmawiać. — Zakaszlała lekko, odganiając dłonią gęsty dym z cygara.

— Na litość boską, Hogan, co z ciebie za szef, że pozwalasz babom włązić, nim je poproszą! — zdenerwował się Lis.

— Zdawało mi się, że masz dzisiaj wolne, kotku? — rzekł Johnny, starając się, by wypadło to naturalnie.

— Dziewczyna z baru jest chora — burknęła Marion. — A ja i tak nie mam nic lepszego do roboty.

— Nie przyszliśmy tu gadać o grafiku dyżurów! — Lis wściekł się nie na żarty. — Siadaj, lala, i milcz, to nic ci się nie stanie. A ty pospiesz się wreszcie z tą forszą, mule! — wrzasnął na kompana. — Nie chcę być zmuszony do użycia broni!

Potem wszystko stało się jednocześnie.

Marion nagle uświadomiła sobie, że jest świadkiem napadu. Wykrzywione twarze bandytów rozplynęły jej się przed oczyma. Przez cały dzień walczyła z zawrotami głowy; teraz wreszcie zemdląła i upadła ciężko na podłogę, uderzając czołem o drewniane krzesło. Johnny rzucił się jej na pomoc, zbijając z nóg Goryla, który właśnie się obracał, by zobaczyć, co się dzieje. Olbrzym zwałił się na ziemię; dał się słyszeć syk przyduszonego do twarzy cygara.

— Pięknie — wycedził Lis. — Nic sobie nie złamałeś?

— Zamknij się. Ten palant mnie przewrócił, miota się jak oszalały. — Mięśniak namacał w kieszeni pistolet i ułożył palec na spuście. — Mówiłeś, że nie będzie kłopotów!

— Boże, daj mi cierpliwość! Ty kretynie! Nie potrafiłbyś zabrać dziecku cukierka! Wyjmij wreszcie tę forsę, bo się naprawdę wkurzę!

Goryl zerwał się ze złością, pośliznął na zwiniętym chodniku i nagle usłyszał głośny trzask. Przez chwilę milczał, tylko oczy rozszerzyły mu się od szoku. Dopiero gdy zrozumiał, że przestrzelił sobie stopę, wydał ryk, i to taki, że wszyscy podskoczyli.

— Aaaaa! Jezu! Słodki Jezu, dlaczego nic mi się nie udaje? — skowyczał, wijąc się z bólu po podłodze.

Hałas ocucił Marion, którą Johnny trzymał w ramionach. Ostrożnie pomógł jej wstać. Zasłoniła brzuch obronnym gestem, którego Johnny nie zauważył.

— Pozwólcie mi wezwać karetkę — rzekł spokojnie. — Ta pani źle się czuje, jest w szoku. Twojego kumpla też trzeba odtransportować do szpitala. Daj mi tę spluwę, stary, zanim zrobisz sobie jeszcze większą krzywdę.

Ruszył w stronę rannego, żeby zabrać mu pistolet. To samo zrobił Lis. Lis był szybszy.

— Uważaj, Marion! — krzyknął Johnny, ale było już za późno. Bandzior złapał pistolet i przyskoczył do Marion, łapiąc ją w żelazny uścisk:

— Pospiesz się, zanim zrobię coś, czego obaj będziemy żałować — warknął.

— Dobrze. Dobrze. Zaraz dostaniesz pieniądze. — Johnny otworzył szufladę biurka. — Nie ma tu pełnej kwoty, ale to wszystko, co w tej chwili mam. Spłukałem się na urządzenie lokalu.

Chciwe oczka bandyty rozjarzyły się zielonym płomieniem, gdy zobaczył gruby plik wymiętych banknotów. Zapomniał o pustej szafie i swym rannym kompanie. Trzymając jedną ręką Marion i pistolet, drugą wyciągnął po pieniądze. Gdy już, już sięgał okupu, dziewczyna się wyrwała i pobiegła do drzwi. Typowa kobieta! Nigdy nie robią tego, co się im każe! W pierwszej chwili miał ochotę ją zastrzelić, ale była ładniutka i zrobiło mu się żal. Przekładając pisto-

let z powrotem do lewej dłoni za późno uświadomił sobie, że palec prawej już zaciska się na spuście. Huk wystrzału po raz drugi rozdarł powietrze. Przez ułamek sekundy Eugene Lolly (znany w pewnych kręgach pod przezwiskiem Landryna, przez Johnny'ego Hogana zaś ochrzczony mianem Lisa) miał ochotę się roześmiać. Ten napad, który jeszcze przed kilkoma tygodniami wydawał się aż nazbyt łatwy, okazał się największym fiaskiem w jego krótkiej, acz barwnej karierze. Dopiero potem przeszył go ból. Zrozumiał, że nim jeszcze świt rozjaśni niebo nad Cave Hill, on, Lolly, znajdzie się z powrotem za kratkami. Pistolet wypadł mu ze sztywnych palców i potoczył się pod biurko dokładnie w tej samej chwili, w której drzwi otwały się na oścież i Marion wybiegła na korytarz. Lis osunął się na podłogę i legł drżący obok swego kompana. Zamknął oczy.

Johnny szybko podniósł broń i obrócił się do drzwi.

W progu tłoczyły się dziesiątki gości przywabionych pierwszym wystrzałem. Wspinali się na palce, chcąc na własne oczy zobaczyć dwóch rannych bandytów oraz przystojnego Gwiazdora Hogana, stojącego w posągowej pozie obok lichego biurka, z jednym okiem przymkniętym, by uniknąć smużki dymu z papierosa, którego wciąż miał w ustach. Johnny uniósł pistolet wysoko ponad głowę na znak, że już po kłopotach.

— Wezwijcie gliny — rzekł. — Powiedzcie, że mam tu dla nich gwiazdkowy prezent, a nawet dwa. Spluwa jest zabezpieczona. Dość już strzelaniny jak na jeden wieczór.

Przez następne pięć minut w budynku panowało istne pandemonium. Kobiety krzyczały, mężczyźni demonstrowali, jak obezwładniliby każdego bandytę nelsonem. Potem stopniowo zapanował względny spokój. Johnny zostawił trzech bramkarzy na warcie przy rannych przestępcach, włożył broń do sejfu i powiedział Toniemu, żeby zwijał imprezę, co tenże uczynił, grając na zakończenie stosowny do okoliczności „Jailhouse Rock” Elvisa Presleya. A potem Johnny wziął Marion na ręce i zniósł ją po schodach; tłum zaś wiwatował, klaskał i rozstępował się przed nimi tworząc szpaler.

Policjanci dziwnym trafem uwierzyli w wersję wydarzeń przedstawioną przez Johnny'ego, a mianowicie, że był to po prostu ciąg pechowych wypadków, w którym on miał niezwykłe szczęście. Byli rzecz jasna oburzeni, iż Johnny postanowił sam rozprawić się z rabusiami. Powtarzali bez przerwy, że mogło dojść do ofiar wśród osób postronnych. Działania Johnny'ego były krańcowo nierozważne. Tym razem jednak mieli zamiar przytknąć na to oko ze względu na opinię publiczną. Prasa przedstawi gangsterów jako nieudacznym głupków; dobrze to wpłynie na morale społeczeństwa.

Poza nimi nikt nie wierzył Johnny'emu, kiedy mówił, że nie zrobił nic nadzwyczajnego. Bohater, a do tego skromny — idealna kombinacja u mężczyzny. W ciągu paru dni plotka obiegła miasto, wzbogacana wciąż nowymi szczegółami. Gwiazdor Hogan stawiał czoło dwóm najgroźniejszym przestępcom w mieście i postrzelił obu z ich własnej broni, ratując swą dziewczynę przed niechybną śmiercią. Obezwładnił bandytów i odebrał im spluwy nie wypuściwszy nawet papierosa z ust. Jego imieniem został nazwany koktajl, a opowieść o tym, jak dziecięciami będąc ocalał z nalotu, znów ożyła we wspomnieniach i na łamach prasy.

Lisa i Goryla przewieziono do szpitala Royal Victoria, gdzie byli trzymani pod strażą. Nie czekając, aż zagoją się ich rany, prokuratura postawiła im zarzut napadu z bronią w ręku. Nikt nie współczuł im w cierpieniu — ani policjanci, którzy bali się nasilenia przestępczości, ani oburzone kręgi przedsiębiorców. Przy okazji ujawniono ich nazwiska — Lolly i Tate.

Pani Virginia Lolly była tak wdzięczna Johnny'emu za czasowe uwolnienie jej od kłopotliwego męża, że dwa dni później przyszła do dyskoteki odziana niemal wyłącznie w futro i gotowa oddać mu się choćby zaraz. Wyjawiała, że ma na brzuchu wytatuowanego smoka, który ożywa, kiedy pani Virginia wykonuje taniec brzucha. Johnny delikatnie odrzucił ofertę prywatnego pokazu.

— Nie zamierzałem zranić pani męża — rzekł ze skruchą. — Nic do niego nie mam. Ale sytuacja dojrzała do momentu, w którym stało się jasne: albo on, albo ja.

— Ach, co za dżentelmen! — zachwyciła się Virginia. — Oddałeś mi ogromną przysługę, złotko, strzelając do mojego starego. Większą, niż przypuszczasz. Sama już dawno miałam ochotę go zastrzelić. Dzięki tobie jestem wolna. Masz moją dozgonną wdzięczność!

Historię napadu na dyskotekę przez kilka miesięcy wałkowały wszystkie media. Dziennikarze odkryli, że Timothy Tate był starym kawalerem i mieszkał z matką w zrujnowanej kamienicy w najgorszej dzielnicy miasta, ujawniono również, że od siedmiu lat nie miał kobiety. Jego dawna dziewczyna wystąpiła z ofertą sprzedaży swoich wspomnień. W przetargu wzięły udział redakcje kilku miejscowych gazet. Niestety, gdy licytacja dobiegła prawie tysiąca funtów, okazało się, że dziewczyna ma do powiedzenia niewiele poza tym, że Timothy Tate był niezbyt utalentowanym kochankiem. Kiedy byli razem w łóżku, wołał oglądać telewizję i jeść cytrynowe pralinki. Na domiar złego nigdy jej nie częstował. Trudno się dziwić, że Eugene „Landryna” Lolly i Timothy Tate zasłynęli jako Cukierkowy Gang.

W nocnych programach telewizyjnych rozważano związek skłonności przestępczych z zaburzeniami wydolności płciowej. Widzowie, zwłaszcza przedstawiciele klasy średniej o

bardziej prawicowych poglądach, z entuzjazmem przyklasnęli tej teorii. (Dawało im to satysfakcję; stanowiło namiastkę odwetu na łajdakach plądrujących ich śliczne domy.) A zatem motywem łamania prawa może być niezdolność do zdobycia lub zaspokojenia kobiety? Lub — co gorsza — odraza do kobiet w ogóle? (Mówiono, że to tylko kwestia czasu, nim wróci do mody wiktoriański zwyczaj mierzenia kryminalistom obwodu czaszki lub sprawdzania, czy nie mają zbyt blisko osadzonych oczu.) Timothy zyskał złą sławę w środowisku przestępczym. Swoimi żalnymi cukierkami, nieumiejętnością posługiwania się bronią i brakiem powodzenia u pań ośmieszył ich wszystkich. Co za upokorzenie!

Sam Timothy również palił się ze wstydu, gdy jego życie prywatne było szargane w gazetach. Zdruzgotany, raz na zawsze wyrzekł się przestępstwa i ślubował poświęcić resztę swoich dni dobrym uczynom. Miejscowy pastor odwiedził go w celi i modlili się razem. Potem Timothy oznajmił, że zdecydował się na pełną współpracę. Jego zeznania zajęły sto trzydzieści siedem stron. Podpisał je i poprosił, by dostarczono mu do celi pudełko mlecznych czekoladek. W ten sposób chciał uczcić wyzwolenie się z okowów grzechu. Poczęstował nawet strażników w areszcie na dowód swej gruntownej wewnętrznej przemiany.

W sąsiedniej celi Eugene Lolly twardo trzymał język za zębami. Odsiedzi swoje, myślał, a potem będzie wolny. Wszystko, co posiadał, zapisane było na żonę. Gliny nie tkną jego forsy.

Obu mężczyzn skazano i zaczęli odsiadkę. (Timothy dostał znacznie krótszy wyrok za pomoc okazaną policji.) James Hogan jak zwykle krakał, że na tym się nie skończy, i przypuszczalnie miał rację. Namawiał Johnny'ego, żeby zamknął lokal. Przebaczył co prawda Eileen, że zataiła przed nim pierwsze najście gangsterów, ale zabronił jej pracować w dyskotecie.

Johnny wszakże był przekonany, że nie ruszy go teraz żaden bandzior w Belfaście. Legendarna odwaga cudem ocalonego chłopca z ulicy Magnoliowej zapewniała mu nietykalność. Eileen z kolei uwielbiała siedzieć w okienku przy wejściu, witać gości i kasować pieniądze. Twierdziła, że to ją odmładza. Oboje więc stanęli Jamesowi okoniem. Dyskoteka działała dalej — i kwitła. Liczne artykuły związane z napadem zapewniły jej reklamę na długie lata. Tańcząc w roju niebiesko-zielonych świateł ludzie mieli uczucie, że biorą udział w emocjonującej przygodzie. Johnny zaczął nosić śnieżnobiałe marynarki, żeby nikt mu nie zarzucił, iż chowa się w cieniu.

Minęły dwa tygodnie, nim Marion otrząsnęła się z szoku. Kiedy wreszcie zjawiała się w dyskotecie, przyszła tylko po to, by powiedzieć Johnny'emu, że nie będzie już jego dziewczyną.

Aby zaś złagodzić obojgu ból rozstania, zrezygnowała również z pracy w barze. Teraz już wie, powiedziała, że firma zawsze będzie zajmować pierwsze miejsce w sercu Johnny'ego, a ona nie ma zamiaru czuć się gorsza niż wielki brzydki hangar pełen okopconych mebli. Oddała mu srebrną bransoletkę, którą podarował jej na trzeciej randce, i cmoknęła go lekko w policzek. Johnny był zbyt osłupiały, by cokolwiek powiedzieć, włożył więc bransoletkę do kieszeni i patrzył bez słowa, jak Marion odchodzi. Przez kilka chwil w holu panowała głucha cisza, jeśli nie liczyć stukotu obcasów Marion. Potem rozległ się cichy szept zamykających się za nią ciężkich drzwi i Johnny został sam.

Poszedł do dziadka i poprosił go o radę. James wyraził opinię, że Johnny powinien odwiedzić Marion w domu i tam, z dala od dyskoteki, poprosić ją o rękę. A jeśli będzie trzeba — przyrzec, że znajdzie sobie inną, bezpieczniejszą pracę.

— Tylko zrób to jak należy, Johnny. Jeszcze nie jest za późno. Marion chce w ten sposób zwrócić twoją uwagę. Wciąż cię kocha, tego możesz być pewny. Kup u Stone'a wielki pierścionek z brylantem, niech ci go zapakują do ładnego pudełka, ubierz się porządnie i buchnij przed nią na kolana. Kiedy będziesz się oświadczał, zachowaj powagę, żeby wiedziała, że mówisz szczerze. I obiecaj, że zrobisz wszystko, czego zechce.

— Ale ona chce, żebym zrezygnował z dyskoteki.

— Nawet to, Johnny. Nawet jeśli będziesz musiał sprzedać firmę. Ostatecznie firma to tylko sposób zarabiania pieniędzy, a miłość dobrej kobiety znaczy o wiele więcej. Dla mnie świat bez Eileen nie byłby nic wart.

Ale Johnny był zbyt dumny, by pójść za radą dziadka. Czekał więc beczynn timer. Marion za nim zatęskni, myślał sobie, i wróci, kiedy minie jej lęk przed bandytami. Gdyby tego wieczora nie wpadła im w łapy, do zerwania w ogóle by nie doszło. Uważałyby go za bohatera, jak wszyscy. Histeryzuje, bo Lolly wystraszył ją śmiertelnie, machając jej pistoletem koło nosa. Gwiazdor Hogan miałby zrezygnować ze swej wyśniewionej dyskoteki? Nigdy! Ani dla kobiety, ani dla niczego innego. Było to jedyne prawdziwe osiągnięcie w całym jego życiu. Nie. Nie będzie nawet do niej dzwonił. Niech Marion się pomartwi przez parę dni, a wkrótce zobaczy ją znów za barem. I znów będzie z nią tańczył w świetle reflektorów.

Gra na przeczekanie doskwierała mu bardziej, niż przypuszczał. Dziadek co dzień pytał, czy już kupił pierścionek. Może trzeba mu pożyczyć parę funtów? Eileen oznajmiła, że już czas, by wnuk się ustatkował, ona zaś z radością skorzysta z okazji, by kupić sobie nowy

wytworny kapelusz i zabawić się na weselu. Johnny cierpiał, ale nie chciał tego okazywać. Po-
Postanowił być twardy. Wrażliwość nie pasowała do jego nowej sylwetki superbohatera.

Pewnego dnia ujrzał Marion przechodzącą obok dyskoteki. Wybiegł za nią na ulicę. Zdawało mu się, że w jej oczach płonie dawna miłość. I wtedy usłyszał, że Marion wychodzi za
mąż za swojego dawnego chłopaka, Eddy'ego. Ustalili już nawet datę ślubu.

Pod Johnnym ugięły się kolana. Sam nie wiedział, jak zdołał złożyć jej życzenia,
uścisnąć rękę, a potem chwiejnym krokiem dotrzeć do swego baru na podwójną whisky.

Eddy Greenwood! Tępy, wiecznie rozczochrany kołek w tweedowych marynarkach i
zmiętych beżowych spodniach! Nie potrafił nawet porządnie tańczyć; suwał tylko nogami w
miejscu, jakby miał podeszwy z ołowiu. To, że Marion go wybrała, mogąc mieć Johnny'ego,
stanowiło dla Gwiazdora najwyższe upokorzenie. Niemożliwe przecież, żeby go kochała.
Powtarzała Johnny'emu milion razy, że jest jedynym mężczyzną, który każe jej sercu trzepotać
z podniecenia, a ciału płonąć ogniem. To wszystko było nie do pojęcia.

Eddy tymczasem nie posiadał się ze szczęścia. Odzyskał swoją miłość, odbił ją słynnemu
Johnny'emu Gwiazdorowi — nareszcie! Lata czekania — długie samotne lata, które Eddy
poświęcił na rozbudowę piekarni — w końcu się opłaciły. Kiedy mijały kolejne wiosny i wciąż
nie było słyhać o ślubie tych dwojga, Eddy odważył się mieć nadzieję, że pewnego dnia
Marion znudzi się swoim przystojniakiem. Czuł, że Johnny Hogan nigdy się jej nie oświadczy.
Nie był typem człowieka, który pragnie stałych więzów. W tym właśnie Eddy upatrywał swojej
szansy. Kiedy więc nadarzyła się okazja, dołożył wszelkich starań i przekonał Marion, żeby za
niego wyszła. Okoliczności nie były idealne. Przeciwnie, dalekie od ideału. Ale Marion była
teraz z nim i tylko to się liczyło. Ślub odbył się w wielkim pośpiechu. Johnny'ego i jego
dziadków nie zaproszono. Tak było lepiej dla wszystkich.

Oczywiście nie wypadało, żeby żona szanowanego biznesmena lała piwo w barze, toteż
Marion zdecydowała się zmienić zawód. Eddy pomógł jej otworzyć własną firmę, mały butik z
sukniami ślubnymi, położony o kilka przecznic od dyskoteki. Nazwała go „Wygodnie i
romantycznie”. Siedem miesięcy później urodziła syna. Marion i Eddy tłumaczyli, że dziecko
przyszło na świat wcześniej, bo było duże. W tę wersję uwierzyli wszyscy oprócz Jamesa, który
był mądrym człowiekiem i z dala potrafił wyczuć naciąganą bajeczkę.

Zazdrość zżerająca Johnny'ego Gwiazdora nasiliła się jeszcze bardziej, gdy Marion
została matką. Jak mogła tak go zdradzić! Kiedy byli razem, panicznie bała się ciąży, a teraz
paradowała z wózkiem niczym postać z reklamy odżywek dla dzieci. Epoka Marilyn Monroe

minęła; teraz przypominała bardziej Doris Day w pastelowych kolorach i prostych sweterkach, którymi okrywała swoje seksowne białe bluzki. Do tego wyglądała na bardzo szczęśliwą.

Johnny dniami i nocami przeklinał siebie za to, że nie oświadczył się wcześniej. Marion, niby taka niezależna i wyemancypowana, rzuciła się na pierwszą okazję, by móc się pochwalić obrączką na palcu i śpiącym niemowlęciem w przeładowanym ozdóbkami wózku. Typowa kobieta! Pomimo to jego uczucie nie chciało zgasnąć. Zapytał Jamesa, czy powinien ją namówić na wspólną ucieczkę. Dziecko mogliby wziąć ze sobą. Ale dziadek oświadczył mu surowo, że mógł poprosić Marion o rękę dawno temu. Teraz jest już za późno. Marion ma szansę na wspólne szczęście z Eddym i nie wolno jej tego odbierać. To rozsądna kobieta, rzekł James. Dokonała wyboru i Johnny musi się po prostu z tym pogodzić. Po raz pierwszy w życiu Johnny usłuchał dziadka.

Umawiał się później z wieloma kobietami, ale istniała dla niego tylko Marion. Nie potrafił uwierzyć, że wypuścił ją z rąk. Myśli o niej nawiedzały go w każdym śnie; nawet licząc pieniądze w biurze marzył, że Marion wchodzi z herbatą i siada mu na kolanach dopraszając się całusa. Najbardziej jednak brakowało mu tych chwil, gdy obejmował ją ramieniem i tańczyli rock and rolla w świetle niebieskich i zielonych reflektorów. Miał wówczas uczucie, że jest w siódmym niebie.

Teraz czuł się tak, jakby został uwięziony w równoległym wszechświecie. Gdyby tylko zdołał znaleźć drogę powrotną, wszystko wróciłoby na właściwe miejsce i znów byłoby tak jak dawniej. Wciąż zerkał na drzwi lokalu, pewien, że za chwilę wejdzie Marion i powie mu: „cześć!” Ale czekał na próżno. Później usłyszał, że kupili z Eddym duży dom przy Derryvolgie Avenue. Był w nim marmurowy kominek, trzy łazienki i wielka oranżeria, w której urządzili huczną parapetówę.

Dyskoteka utraciła dla Johnny'ego nieco ze swego blasku, a wszystkie zadurzone w nim kobiety boleśnie przypominały mu o tej jednej, którą stracił. Z przyzwyczajenia regulował rachunki i zawierał kontrakty na występy rozmaitych artystów. Przez dwadzieścia lat rutyna utrzymywała go w formie. Wprowadził pewne ulepszenie, odgradzając niewielką przestrzeń w końcu sali, w której urządził kafejkę serwującą frytki i hot dogi. Organizował także wieczory tematyczne — przeważnie poświęcone muzyce lat pięćdziesiątych, której był pasjonatem. Co roku w okresie Bożego Narodzenia urządził bal kostiumowy. W wieczór sylwestrowy szkocki dudziarz grał hejnał o północy, a kelnerki roznosiły bakaliowe babeczki i whisky.

Czasem trudno mu było uwierzyć, że jest już rok 1987. Gdzie podziały się wszystkie poprzednie? Dobiegał pięćdziesiątki. Czy był już stary? Czy wszyscy starzejący się mężczyźni narzekają: „Jak ten czas leci...”?

Był świadkiem panowania i zmiernych wielu mód. Najgorsze jego zdaniem były lata siedemdziesiąte. Nie cierpiał widoku długowłosych mężczyzn w spodniach dzwonach. Wyglądali tak niechlujnie. Osiemdziesiąte nie były złe: dziewczęta nosiły plastikowe korale, spódniczki z falbankami i białe buty, a mężczyźni zapinane na suwak sportowe koszule i kolorowe obuwie o spiczastych nosach. W pewien miły sposób przypominało mu to koniec lat pięćdziesiątych. Ale etykieta na parkiecie uległa gruntownej przemianie. Dziewczęta nie czekały już, aż ktoś je poprosi. Tańczyły same. Ustawiały się w krąg wokół leżącej na podłodze sterty torebek i kołysały bez wdzięku, zaśmiewając się do łez. Poza tym piły piwo. I same płaciły za siebie w barze. A jak chłopcy reagowali na te zmiany? W ogóle nie reagowali! Tworzyli własne grupy na parkiecie i też bawili się sami. Gdy przypadkiem wpadli na ładną dziewczynę, nawiązywali kontakt wzrokowy i kończyli taniec już razem. Flirtu nie traktowano tak poważnie jak dawniej. Chłopcom oszczędzony został dotkliwy rytuał proszenia do tańca, który dla pokolenia Johnny'ego był chlebem powszednim: delikwent przemierzał całą szerokość sali pod ostrzałem spojrzeń wszystkich swoich kolegów i z duszą na ramieniu prosił dziewczynę o taniec. Jeśli odmówiła, biedak był zhańbiony do końca życia.

Dziś, kiedy z głośników płynął „pościelowy” utwór, parkiet pustoszał. Dziewczęta szły do bistra na kawę lub frytki albo do toalety poprawić makijaż, a chłopcy jak jeden mąż pędzili do baru i wykazywali wielkie zainteresowanie listą drinków wywieszoną nad kasą. I chociaż didżej Toni dwoił się i troił, usiłując wykrzesać z publiki ciut romantyzmu, wyglądało na to, że taniec w parach wyszedł z mody. Johnny napomknął o tym kiedyś dziadkowi.

James stwierdził, że Johnny jest zanadto zapatrzonej w przeszłość i ma problemy z akceptacją terażniejszości. Skoro wszyscy świetnie się bawią przy muzyce takich grup jak Duran Duran, to w czym problem? Dyskoteka nadal świetnie zarabia. Czy nie tego chciał Johnny? Ale Johnny niczego nie był już pewien.

Jeśli w mieście pojawiał się czasem ktoś znany, starał się go ściągnąć do dyskoteki — ot, żeby pomachał do tłumu i rozdał parę gadżetów. Rozumiał, że wielu ludziom wystarcza do szczęścia talerz frytek, kolorowy koktajl i koszulka wręczona przez gwiazdę muzyki pop. Chcą się po prostu zabawić i chociaż na chwilę zapomnieć o swoich troskach. W pewnym sensie dyskoteka spełniała ważną rolę społeczną. Dlaczego więc wątpliwości Johnny'ego wciąż rosły?

Każdego lata ściany budynku pokrywała świeża warstwa farby; zainstalowano przyzwolone oświetlenie nad wejściem i ładny szyld. W dyskoteci Hogana nie straszyły stare plakaty ani sprośne graffiti na murach. Mimo że lokal wciśnięty był pomiędzy dymiącą fabrykę a rząd sklepów z używaną odzieżą, które znacznie obniżały klasę ulicy, Johnny bardzo dbał o jego schludny wygląd. Sam też trzymał się w formie za pomocą licznych butelek farby do włosów oraz pięknych szytych na miarę garniturów. Umysł wciąż miał bystry jak za młodu. Potrafił w ciągu paru sekund ocenić długość kolejki pod drzwiami, przeliczyć ją na sprzedaż alkoholu w ciągu nocy, odjąć od tego płace i inne koszty i skalkulować zysk netto.

Eileen skończyła osiemdziesiąt cztery lata, ale wciąż była zdolna przenosić góry. James często przywoził ją do dyskoteki i choć nie siedziała już w kasie, to obserwowała z biura przez okienko ów ekscytujący moment, kiedy otwierano drzwi i tłum chętnych wlewał się do holu. Potem szli z Jamesem na kolację do bistra. James sprzedał sklep i przeszedł na emeryturę. W wolnym czasie pisał jakąś tajemniczą książkę, którą trzymał w zamkniętej na klucz szufladzie.

Dyskoteka nadała sens minionym dwudziestu latom życia Johnny'ego. To tu poznał wszystkie swoje dziewczyny i mniej licznych, za to wiernych przyjaciół. Wystąpił nawet w telewizji; jego dyskoteka, która pomagała ludziom zachować pogodę ducha w okresach nasilenia Konfliktu, stała się bohaterką filmu dokumentalnego. Nosił on tytuł „Taniec w mroku”. Tak, to była wielka przygoda. Ale teraz Johnny miał inne marzenie.

Chciał sprzedać lokal i przenieść się do USA. Jego dawne amerykańskie tęsknoty powróciły z wielką siłą. W ciągu ostatnich lat uskładał sporo pieniędzy — dość, by rozpocząć nowe życie gdzie indziej. Marzył o małym białym domku otoczonym zielonym płotem, z werandą pełną czerwonych kwiatów i chińskich dzwonków śpiewających w ciepłym lekkim wietrze. Chciał odwiedzić grób Elvisa w Graceland, przelecieć śmigłowcem nad Wielkim Kanionem, przepuścić trochę forsy w kasynie w Las Vegas. Otworzy mały irlandzki bar, nic wielkiego, ot, żeby mieć zajęcie. Cichy lokalik z paroma stolikami i neonem nad wejściem.

Kochał swoją dyskotekę całym sercem, ale był już zmęczony tak dużym przedsięwzięciem. Nużyło go wymyślanie wciąż nowych atrakcji, zwłaszcza ostatnio, kiedy w mieście jak grzyby po deszczu otwierały się różne lokale rozrywkowe. Kina panoramiczne, plac dla wrotkarzy, egzotyczne restauracje, puby wszelkiej maści. Nawet kręgielnia, pięćdziesiąt lat po tym, jak moda na kręgle wybuchła w Ameryce.

Młodzi ludzie szukali coraz to innych wrażeń. Dawniej moda taneczna trwała całą dekadę. Jive w latach pięćdziesiątych, beatlemania w sześćdziesiątych, disco w

siedemdziesiątych. Lata osiemdziesiąte były inne. Wtedy wszystko zaczęło stawać na głowie. Zbyt wiele działo się w przemyśle muzycznym. Pojawiły się nowe style: new romance, new wave, post punk, gothic rock, stadium rock, love ballads, electro-pop, ska, skiffle i tym podobne. Młodzież co pół roku chciała czegoś nowego i bojkotowała inne gusta muzyczne. Johnny musiał bez przerwy zmieniać wystrój sali i repertuar. W ciągu ostatniego miesiąca dwukrotnie ktoś potłukł wszystkie lustra w męskiej toalecie. Trudno było znaleźć dobrych, lojalnych pracowników. Nie, stwierdził w duchu, on jest na to za stary. Czas wyjść z gry, póki jeszcze jest na topie. Utrzymał się przez tyle lat w tej trudnej branży; może się wycofać z honorem. Zorganizuje pożegnalny bal nad bale, a potem skłoni się w blasku chwały i zniknie. Rozrywka w dzisiejszych czasach to pole do popisu dla młodych. Ktoś energiczny, otrząskany w nowych prądach, z głową pełną pomysłów — taki ktoś powinien przejąć od niego pałeczkę.

James na pewno pochwali tę decyzję. Wszyscy w sąsiedztwie będą mu się kłaniać i życzyć wszystkiego najlepszego. Johnny martwił się tylko, jak zakomunikuje swą decyzję babci Eileen. Wkrótce będzie musiał jej powiedzieć, że upojne noce w dyskotecce przy ulicy Magnoliowej dobiegają końca.

3.

SIOSTRY

— Jestem przekonana, że Irlandczycy w głębi duszy są wciąż poganami — wrzasnęła Shirley, przekrzykując szum suszarki do włosów. — A w każdym razie na pewno dotyczy to mężczyzn w tym mieście.

— Nie siadaj na łóżku — warknęła ostrzegawczo Kate.

Wyłączyła swoją markową suszarkę i podejrzliwie przyjrzała się kreacji, w którą odziana była jej siostra: spłowiałej różowo-pomarańczowej garsonce kupionej bez wątplenia w sklepie ze starzyzną. Do tego — o zgrozo! — długi po pas naszyjnik z czerwonych szklanych kwiatków. Nawet ślepa emerytka nie wyszłaby tak po pietruszkę. Biedna Shirley, jej obsesja na punkcie Morrissey'a osiągnęła stadium krytyczne. Dziewczyna ma już dziewiętnaście lat, powinna wykazywać trochę więcej gustu.

— Odwal się, to wszystko jest chemicznie czyszczone — odparła Shirley — i znacznie lepszej jakości niż twoje modne szmaty z wyprzedaży!

Shirley Winters wyciągnęła się na należącym do siostry eleganckim łóżku z kutym żelaznym wezglowiem, dźwigającym potężną kolekcję torebek.

— Na miłość boską, nie kładź mi tych brudów na poduszce! — wykrzyknęła Kate. Shirley czule przytuliła do policzka swoją staroświecką jedwabną torebkę, wywołując grymas obrzydzenia na twarzy siostry. Roześmiała się głośno. I tak ona była górą. Kate nie może jej dziś zbytnio dokuczać, bo pójdzie sama na dyskotekę, a to wstyd.

Pomalowany na śnieżną biel pokój Kate był galanteryjnym skarbcem. Znajdowało się tu tyle wzorzystych apaszek, kolorowych pasków i butów na szpilkach, że przypominał raczej dobrze zaopatrzony butik. Całości dopełniał nieduży szklany żyrandol ze zwisającymi łezkami.

— Co za dziwaczka — westchnęła Kate. Awersja Shirley do nowych ubrań była dla niej zupełnie niezrozumiała.

— A ty nie? Kupujesz nową torebkę z każdym nowym facetem. Powiedz, że to nie jest dziwactwo — odparowała Shirley, zniżając głos. (Nigdy nie mogły być pewne, czy matka nie słucha zza ściany.)

— No cóż, może jestem sentymentalna.

— Jesteś płytką socjopatką — oświadczyła Shirley. — W razie gdybyś nie знаła tego słowa, już tłumaczę: oznacza to, że nie szanujesz uczuć innych ludzi.

— Wciąż szukam idealnego zestawu faceta z torebką — odparła beznamiętnie Kate, zerkając w lustro na toaletce i nakładając na powieki niebieski cień. Nie miała skłonności do obwiniania się, co zważywszy na historię jej związków uczuciowych stanowiło bardzo pomyślną okoliczność. Kiedyś zerwała z szarmanckim urzędnikiem bankowym z Derry tylko dlatego, że popełnił niewybaczalną gafę: miał brązowe sznurówki w czarnych butach.

Shirley policzyła torebki. Było ich czterdzieści trzy — z aksamitu, dżinsu, zamszu, skóry i wszelkich innych dostępnych tworzyw. Niektóre naprawdę śliczne, obszywane paciorkami lub frędzlami. Inne nowoczesne, proste i eleganckie. Shirley znów zaczęła się zastanawiać, czy jej starsza siostra nie cierpi przypadkiem na manię zakupów. W końcu żadna kobieta o zdrowych zmysłach nie potrzebuje aż tylu torebek (ani tylu facetów). Shirley miała tylko jedną torebkę, autentyczny wiktoriański model ze srebrną rączką. Nigdy nie spuszczała jej z oka; był to najcenniejszy z jej skarbów, kupiony okazji w miejscowym sklepie z używaną odzieżą. Kate była przekonana, że w torebce roi się od śmiertelnych bakterii; nawet matka nie pozwalała jej wносить do kuchni w obawie, że skazi produkty spożywcze.

Kate szcztokowała swoje ciemne długie włosy.

— Kevin McGovern chciał się ze mną umówić — oznajmiła. — Był w brudnym kombi-
nezonie, wystaw sobie!

— Kate, on jest mechanikiem. Trudno, żeby naprawiał samochody we fraku.

— Spotkaliśmy się przed kioskiem z gazetami na rogu. Zapytałam, gdzie chce mnie
zaprosić. Do warsztatu, obejrzeć kolekcję starych felg? Obróciliśmy to w żart, ale naprawdę
uważam to za bezczelność.

Ale Shirley jej nie słuchała.

— Prawdziwymi poganami — podjęła przerwany wątek — w tym sensie, że
chrześcijaństwo nigdy nie zdołało nas głębiej zmienić. Pojawiło się na tej wyspie jako przej-
ściowa moda. Nasi mężczyźni ponad wszystko kochają porządną zadymę. Wrzaski, mordobicie
i ogólną demolkę. Nagą, chemicznie czystą wściekłość. To bardzo prymitywne, nie sądzisz?

— W ogóle nie zwracam sobie głowy tymi idiotycznymi zamieszkami. A ty myślisz za
dużo i na tym polega twój problem. Skąd ci to wszystko nagle przyszło do głowy?

— Mówili w dzienniku. Podpalono sklep z dywanami, wiesz który.

— O nie! Te prześliczne dywany! A skoro już o tym mowa, wlażałaś w butach na mój
biały dywan! — Kate pogroziła siostrze palcem. — Jeśli masz na nich jakiś smar, będzie do
wyrzucenia. A ty zapłacisz za nowy.

Shirley westchnęła. Często zastanawiała się, jak Kate zdołała dożyć prawie trzydziestki,
nie skalawszy się ani jedną głębszą myślą. Albo jak mogła równocześnie cierpieć na fobię na
punkcie bakterii i obsesję na punkcie seksu.

— Wiesz co? Mogłabyś zrobić doktorat z niedostrzegania istoty rzeczy — sarknęła, ale
zdjęła buty i ujęła je za obcasy.

— To wszystko jest nieważne. Słyszałaś, co mówiłam o Kevinie McGovernie?

— Owszem.

— Wyobrażasz mnie sobie jako żonę mechanika?

— Czemu nie? Wasze imiona ładnie się ze sobą komponują. „Kevin i Kate McGovern,
Naprawa Samochodów”. Brzmi rzetelnie i solidnie. O ile się orientuję, Kevin sam prowadzi
warsztat od czasu, kiedy jego ojciec się wycofał?

— Och, Shirley, jak zwykle bujasz w obłokach. Pewnie wyjdiesz za jakiegoś głupka
tylko dlatego, że wasze imiona będą się zaczynać tą samą literą.

— Właśnie przyszło mi na myśl, że Kevin jest człowiekiem twórczym. Wciąż wymyśla
jakieś usprawnienia w samochodach. Ostatnim razem mówił tacie, że pracuje nad urządzeniem

antywłamaniowym. Kiedyś będzie bogaty. Myślę, że powinnaś dać mu szansę, Kate. Po zdjęciu kombinezonu przypuszczalnie da się doszorować do czysta.

— Wątpię. Zresztą wymień mi nazwisko jednego bogatego wynalazcy. I podaj mi lakier do włosów, dobrze?

— Ten?

— Nie.

— Ten?

— Nie! Czy ty o niczym nie masz pojęcia? Supermocny, w metalicznej różowej puszcze, stoi z tyłu. Ten z fioletowym łebkiem. Zawsze go używam, kiedy idę na dyskotekę. Tylko on wytrzymuje upał, jaki panuje w sali.

Shirley podała jej pojemnik i odsunęła się na bezpieczną odległość, gdy obłok lakieru otoczył starszą siostrę. Odgoniła machnięciem ręki perfumowany opar. Obie wstrzymały na chwilę oddech, nim lepka mgiełka nie opadła na dywan.

— Czy to nie dziwne, Shirley? Zapach tego lakieru zawsze przywodzi mi na myśl dyskotekę.

— Podobnie jak rozpadające się krzesła i kiepska muzyka.

— Bardziej niż muzyka interesuje mnie wybór męskich ciał dostępnych w tym przybytku. W domu słuchaj sobie, czego chcesz. Jak nazywa się to twoje ostatnie odkrycie?

— This Mortai Coil.

— Że jak? — Kate odniosła przelotne wrażenie, że mowa o ryzykownym środku antykoncepcyjnym.

— This Mortai Coil. I tak by ci się nie spodobali. To jak? Biedny Kevin nie ma u ciebie szans?

— Przyszły wynalazca blokady antywłamaniowej?

— Historia jest pełna bogatych wynalazców, Kate. Tyle tylko, że nikt nigdy nie pamięta ich nazwisk. Ciekawa jestem, ile zarobił gość, który wymyślił tę puszkę na aerozol.

Shirley podeszła do okna, rozsunęła białe muślinowe firanki i spojrzała na niebo. Miało piękny kolor: zdecydowany odcień granatu, miękki jak aksamit i nakrapiany twardą bielą odległych gwiazd. Księżyc zdawał się pulsować widmową poświatą.

— Dziś jest pełnia. To na pewno dobry znak. Bezchmurne niebo pełne gwiazd. Wymarzona noc, aby dwoje ludzi się w sobie zakochało.

— Czy to ma coś wspólnego z twoją pogańską teorią? Gdzie ja położyłam tę kopertówkę w cekinowe róże?

(Kate kupiła ją po dwutygodniowym romansie z zawodowym ogrodnikiem, który pisał dla niej wiersze miłosne na liściach kasztanowca.)

— Leży na łóżku pod tamtą drugą, dżinsową.

— Racja.

— Moim zdaniem Celtowie wpadli w pułapkę. Zostali uwięzieni na tej maleńkiej wyspie mierzącej raptem trzysta mil wzdłuż, a wszerz jeszcze mniej. Wokół zimne wzburzone morza, nad głowami ciężkie szare chmury nabrzmiałe deszczem...

— Zrób sobie makijaż, na miłość boską! Spóźnimy się. — Nawet będąc w najlepszym nastroju Kate nie miała cierpliwości wysłuchiwać wariackich teorii Shirley, a już z pewnością nie w tak romantycznie zapowiadający się wieczór.

Shirley podniosła się, stanęła za siostrą i ponad jej ramieniem zerknęła w lustro. Po namyśle zwędziła trochę żelu do włosów Kate, którym przyglądała sobie wystrzępioną grzywkę.

— Widzisz, ci ludzie żyli na łasce żywiołów — podjęła. — W ścisłym związku z przyrodą. Wszystko zależało od pogody.

Za mokro: gniją plony. Za zimno: słabsze osobniki zaczynają chorować. Za ciepło: pienia się szkodniki. W tamtych czasach nie było pestycydów.

— Shirley! Może byś tak przestała pleść i ubrała się do wyjścia? Za dwadzieścia minut będzie taksówka.

— Czy potrafisz sobie wyobrazić ten stres, Kate? Pomyśl! Jeśli nie jadasz w miarę regularnie i od czasu do czasu nie płodzisz dzieci, całemu twojemu plemieniu grozi wyginięcie. Raz i na zawsze. Ciekawe, czy właśnie nie dlatego tu, na Północy, zachowaliśmy plemienny sposób myślenia. Może to pozostałość archaicznego mechanizmu przetrwania? Ten wrodzony, pierwotny strach przed unicestwieniem? — Zwisająca z przegubu Shirley wytarta torebka zakołysała się na łańcuszku i wyrznęła Kate prosto w oko.

— Na miłość boską, prosiłam, żebyś trzymała tę bombę biologiczną z dala ode mnie!

— Przepraszam. — Shirley dołożyła starań, żeby włożyć nieco żalu w to słowo.

— Naprawdę chcesz wyjść w tych łachmanach? — jęknęła Kate. — Zrobisz ze mnie pośmiewisko!

— Mam jeszcze kapelusz do kompletu — zaśmiała się Shirley.

— Nie, błagam, powiedz, że żartujesz. Z tyłu zwisa ci odpruty obrąbek spódnicy. Ludzie pomyślą, że jesteś nędzarką. Proszę cię, Shirley!

— Po pierwsze, trzeba ci wiedzieć, że ta sukienka to prawdziwy antyk z lat dwudziestych. Wygląda staro, bo jest stara. Po drugie, rzeczywiście nie mam ani grosza. Całą pensję oddałam mamie na nową kuchenkę.

— Bardzo to miłe z twojej strony, mała, ale musisz czasem pomyśleć o sobie. Wyglądając tak jak w tej chwili, nikogo nie poderwiesz. Powinnaś sobie sprawić seksowną skórzaną kieckę. Z wielkim dekoltem. W dekolt trochę brokatu. Popatrz na mnie, czy Samantha Fox jest lepsza? Chłopcom gały wyleżą z orbit.

— Już ja tam wolę, żeby nic im znikąd nie wylaziło. Nie powinnaś ich prowokować, Kate. W najlepszych warunkach ledwie nad sobą panują. Obcisła kiecka z wielkim dekoltem może zedrzeć z nich resztki cywilizacji.

— Chcę tylko powiedzieć, moja droga, że w tych łałach wiele nie zwojujesz. Takie wielkie guziki są ohydne. A kiedy pomyślę, że tę bluzkę mogli zdjąć z trupa jakiejś starej ciotki... Faj!

— Nie chcę jakiegokolwiek mężczyzny — powiedziała miękko Shirley — tylko jednego. Konkretnie Declana Greenwooda. — Pomyślała o jego głęboko osadzonych ciemnych oczach, o krótko przyciętych jasnych włosach, i zapragnęła się do niego przytulić tak mocno, że odczuła niemal fizyczny ból. — I to właśnie usiłuję ci powiedzieć. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Widzę to w gwiazdach.

— Przeznaczenie, sratatata. Po prostu czujesz do niego miętę. Nie mieszaj do tego niebios. Musisz zwrócić jego uwagę. Mężczyźni są wzrokowcami, to powszechnie znany fakt. Pokaż mu chociaż kawałek ramienia, skoro jesteś taka wstydliva. Mam ładny gorsecik, który mogłabym ci pożyczyć.

— Nie, Kate. To mistyczny rytuał, który działa od zarania wieków. Kiedy dwoje ludzi pasuje do siebie, kiedy oddziaływania są właściwe, wtedy matka Natura to czuje i pomaga im się spotkać. Jest coś w naturze, co dobiera ludzi w pary na podstawie uzupełniających się cech, które pomogą im przetrwać w chaosie świata. Taką mam teorię.

— Jesteś stuknięta. A Bonnie i Clyde? W dniu, w którym się spotkali, matka Natura wzięła urlop?

— Nie mówiłam, że system jest bezbłędny.

— A ja ci mówię, że małżeństwo opiera się na pociągu fizycznym. Mężczyźni szukają kobiet, które są tak samo atrakcyjne jak oni w skali od 1 do 10. Piękni ludzie pobierają się ze sobą, a brzydzy ze sobą. Dowiedziono to naukowo. W końcu ci brzydzy mają tak brzydkie dzieci, że już nikt nie chce z nimi iść do łóżka, i w ten sposób brzydkie geny wymierają. Czytałam o tym w jednym magazynie. Rozumiesz? Życie to jeden wielki konkurs piękności i nie ma nic wspólnego z pogańskim przeznaczeniem.

— Och, proszę cię, Kate, nie gadaj bzdur. To, co mówisz, jest obrazą dla ludzkiej inteligencji. Chcesz powiedzieć, że Natura zwraca uwagę na długie rzęsy i kształt kości policzkowych?

— Oczywiście! Tak czy owak mam plan.

— Jaki znów plan?

— Zasięgnęłam pewnych informacji, żeby ci pomóc. Jak się okazuje, Kevin zna Declana. Spytałam, go, gdzie nasz chłoptaş spędza wolny czas. Uwaga! Jeśli Declan naprawdę ci się podoba, powinnaś w sobotę po południu wypindrzyć się nieco i udać do sklepu z płytami Quigleya.

— Często tam bywa?

— Najwyraźniej. A zatem do dzieła! Przestań patrzeć w gwiazdy, a zacznij działać. Kup sobie koszulkę z jakimś zespołem, który Declan lubi. Kevin mówi, że w tej chwili słucha Yazoo albo jakiejś muzyki elektronicznej. No wiesz, pokaż mu, że nadajesz na tych samych falach. Spojrzyj mu w oczy i uśmiechnij się. Nie wiesz, na czym polega flirt?

— Kate...

— I przy okazji zrób coś z włosami. Na przykład wycieniuj je albo co. Fryzura na topielicę przestała być modna pięć lat temu. I kup sobie coś nowego do ubrania. W tej kiecce wyglądasz jak zdziwaczała starucha. Ona miała być w tym kolorze czy po prostu aż tak spłowiała? Poza tym jest na ciebie o wiele za duża. Masz, załóż ten pasek, zakryjesz nim brak guzika.

— Nie, siostrzyczko. Lubię luźne ubiory. A plastik nie pasuje do prawdziwego jedwabiu. Podobno jesteś znawczynią mody?

— Ręce opadają! Dobrze, że znamy bramkarzy, bo mogliby nas w ogóle nie wpuścić. Z tygodnia na tydzień coraz bardziej się zapuszczasz.

— Teraz to już w ogóle nie chce mi się iść. Zepsułaś mi nastrój. — Shirley lubiła widzieć w sobie kobietę tajemniczą, artystyczną duszę o błyskotliwych lewicowych poglądach, ale ta wizja była dość krucha i nie wytrzymała zbyt długo miazdzącej krytyki.

— Pójdiesz, i to bez gadania. Nie mam zamiaru iść tam sama. Aż tak zdesperowana jeszcze nie jestem. A dziś świetnie wyglądam. I w końcu zatańczę z Alexem „Obeliskiem” Stone'em. — Kate wstała i wsunęła stopy w srebrne sandały na przezroczystych obcasach.

— Obelisk? Raczej słup, bo tak go nazywają. Jedyne, do czego się nadaje, to stanie w holu dyskoteki.

— I o to właśnie chodzi. Wiadomo, gdzie go znaleźć; nie tak jak niektórych. Na razie tylko rozmawialiśmy, ale...

— On rozmawia ze wszystkimi dziewczynami. Ma to w zakresie obowiązków służbowych.

— Pragnę go i będę go mieć.

— O Boże, znów to samo. Czy tobie nigdy się to nie znudzi? Poza tym on nie może z tobą tańczyć. Bramkarzom nie wolno się bawić na dyżurze.

— Wolno, jeśli Johnny Hogan nie widzi. Tak, dziś jest ta noc. Czuję to.

— I co? Sama poprosisz go do tańca?

— Nie bądź głupia, Shirley. To on mnie poprosi.

— Nie rozumiem. Może powiesz to jeszcze raz, jaśniej.

— Opowiedziałam Alexowi pewną historyjkę o dziewczynie, którą ostatnio podrywał, wiesz, tej pyskatej z kiosku, Louise Lowry.

— Co mu powiedziałaś? — Shirley westchnęła.

Ambitne intrygi Kate zwykle kończyły się łzami.

— Nic takiego. Że ma szklane oko. — Kate z uznaniem przyjrzała się swoim zgrabnym nogom. — Te przezroczyste obcasy są kapitalne.

— Kate, jak mogłaś! Nie mówiąc już o tym, że to głupie. Jaki procent ludzi ma szklane oczy? Louise się dowie i obdrze cię ze skóry.

— A kto jej powie?

— Ta dziewczyna ma łapy jak dwie cegły. Nie zauważyłaś? Nawet najtwardsi złodzieje omijają jej kiosk szerokim łukiem. Zrobi z ciebie naleśnik.

— Nie dowie się. Alex nie będzie już z nią gadał. Będzie jej unikał jak zarazy. Kiedy powiedziałam mu o szklanym oku, omal nie wymiotował.

— Naprawdę? Taki z niego mięczak? — Shirley skrzywiła się z niesmakiem.

— Alex jest estetą. Esteta to nie to samo co mięczak — oznajmiła stanowczo Kate.

Shirley pokręciła głową. Tym razem Kate posunęła się znacznie dalej niż zwykle. Na przykład wtedy, kiedy chciała zostać stewardesą. Na podaniu wpisała fałszywy wzrost, a potem usiłowała przekonać komisję, że to taśma miernicza kłamie. Jak gdyby mogła komukolwiek wmówić, że nie ma prawie stu dziewięćdziesięciu centymetrów na bosaka. Kiedy zaś poproszono ją, żeby wyszła, nazwała inne dziewczyny stadem wniebowziętych gęsi. (Kate i Shirley były najwyższymi dziewczynami w Belfaście, co nie przeszkadzało Kate nosić butów na wysokim obcasie. Chłopcy czasem pytali, czy ma dość tlenu tam, w górze, albo czy nazajutrz będzie padać.)

— Wiesz, jakoś ci nie wierzę — powiedziała Shirley. — Wcale ci tak bardzo na nim nie zależy. Chcesz go zdobyć tylko dlatego, że Louise się w nim kocha.

— Nieprawda. Alex mi się podoba. Po pierwsze, jest wyższy ode mnie.

— Też mi powód! A zresztą dziwi mnie, że ktoś taki jest w twoim typie. Zwykły wykidajło. Zawsze myślałam, że chcesz mieć bogatego męża.

— Chcę — przyznała Kate. — Lecz Alex naprawdę mi się podoba. Zresztą bramkarzem jest tymczasowo. Powiem ci coś, tylko zachowaj to w tajemnicy. On ma dostać w spadku po swoim sędziwym stryjku sieć sklepów jubilerskich. Na razie nikt o tym nie wie.

— Chyba na głowę upadłaś.

— Jego kumpel, Jim Cygan, zdradził mi to w sekrecie, ale zastrzegł, że jeśli puszcę parę, wszystkiego się wyprze. Tak więc sama widzisz: muszę zdobyć Alexa zanim jego wujek kopnie w kalendarz, inaczej pomyśli, że zależy mi tylko na jego pieniądzach.

— A tak nie jest?

— Oczywiście, że nie. Doprawdy nie zauważyłaś, jak on jest zbudowany?

— Jak dia mnie za dużo w nim sterydów. Wolę mężczyzn z lekką niedowagą i nadmiarem inteligencji, nie odwrotnie.

— Ma piękne włosy, to musisz przyznać. Naturalny blond, gęste i sztywne.

— Cały jest sztywny.

— Szkoda z tobą gadać. Może byś tak przestała mnie zagadywać i zaczęła się malować?

— Kate podniosła głos. — Specjalnie usiłujesz wyprowadzić mnie z równowagi!

Shirley wyjęła z torebki kredkę i nakreśliła dwie grube linie na delikatnej skórze pod oczami. Kate potrząsnęła głową. Twarz Shirley nie znała podkładu, różu ani pudru. I co gorsza,

świetnie się bez tego obywała. Obie miały mlecznobiałą cerę. Wszyscy mieszkańcy Belfastu są bladzi; słońce świeci nad tym miastem przeciętnie pięć dni w roku.

— Na pewno będziecie bardzo szczęśliwi — powiedziała Shirley, rozcierając kreski palcem wskazującym. Błękit jej oczu stał się intensywniejszy w tej oprawie. Uśmiechnęła się do siostry. — Wiele udanych małżeństw zbudowano na znacznie węższej podstawie niż ładna fryzura. Tylko że ja bym nie wierzyła w ani jedno słowo Jima. Na pewno Alex namówił go na rozprowadzanie takich rzeczy. Dla śmiechu.

— Nie, to prawda. Jego stryj nosi to samo nazwisko, więc Alex nie będzie nawet musiał zmieniać szyldów. A ja nie mam zamiaru czekać, aż połączą nas księżyc i gwiazdy. — Kate oprószyła dekolt kolejną warstwą brokatu. Choć był środek czerwca, jej biały lśniący biust przypominał solidną bryłę lodu. Dla dobra siostry Shirley miała nadzieję, że Alex lubi lody.

Przed domem rozległ się klakson.

— Taksówka! Szybko, jesteś gotowa?

— Tak. Jeszcze tylko usta. — Shirley wygrzebała z torebki srebrną szminkę i szybko pokryła wargi zmysłową barwą. Zobaczyła w lustrze usta Joan Crawford planującej zabicie niewiernego kochanka w melodramacie z lat czterdziestych. — Jak myślisz, czy Declan będzie? Zauważy mnie w tej szmince? Fajny kolor, nie? Nazywa się „Tragiczna królowa”.

— W tym tragicznym wdianku dostrzegłby cię nawet z samolotu. Dobra. Uśmiech na twarz i jedziemy na podbój parkietu.

— Alex poważnie uwierzył w te brednie o szklanym oku?

— Tak. Zwłaszcza kiedy się dowiedział, że często wypada. Raz, tak mu powiedziałam, przeleżało dwa dni w słoju z miętówkami, zanim Louise je znalazła.

— Ty czarownico! Skoro Alex jest aż tak głupi, może wyświadczyłaś Louise przysługę?
— Obie wybuchnęły śmiechem. — Masz naprawdę bujną wyobraźnię, Kate.

— Przyjmij, dziecię, radę od starszej siostry: jak już kłamiesz, to z rozmachem. Płotkę trzeba ubarwić. Jest wtedy o wiele bardziej wiarygodna niż suchy fakt.

— Dzięki, Kate. Zapamiętam to. Na pewno kiedyś mi się przyda. — Shirley przycisnęła chusteczkę higieniczną do swych szkarłatnych warg i obejrzała się w lustrze. Bardzo dobrze wygląda ta spinka do włosów, pomyślała, oryginalna sztuczna biżuteria z lat pięćdziesiątych i brakuje tylko dwóch brylancików. — Jaką ocenę dałabyś mi za atrakcyjność w skali od jednego do dziesięciu?

— Pięć. Sześć. Nie, pięć. Pozostaje ci żywić nadzieję, że Declan jest fetyszystą i podniecają go stare lachy.

Klakson rozległ się ponownie. Kate złapała cekinową torebkę, portfel, perfumy, szminkę, chusteczki i płaszcz. Shirley westchnęła, zgasiła światło i już na korytarzu wsunęła buty.

Siostry zbiegły po schodach, krzyknęły: „Dobranoc!” rodzicom oglądającym w telewizji wieczorne wiadomości, a chwilę później już były na ulicy obok czekającej taksówki z podświetlaną tabliczką na dachu.

— Do dyskoteki Hogana — powiedziała Kate królewskim tonem, sadowiąc się z godnością na tylnym siedzeniu. Shirley podpatrzyła w lusterku łakome spojrzenie, jakie kierowca utkwił w lśniącym biuście Kate. Z trudem oderwawszy wzrok, zjechał z krawężnika i włączył się do ruchu.

Na aksamitnym niebie jaśniał księżyc w pełni, nachylony nad światem niczym twarz bogini. Shirley pomyślała błagalnie: „Proszę, zaczaruj dziś dla mnie Declana Greenwooda. Przyciągnij go do mnie twoją niebiańską mocą...”.

Jakby czytając jej w myślach, Kate wręczyła jej pięciofuntowy banknot, mówiąc:

— Jeśli wyjdę z Alexem, będziesz musiała sama wrócić do domu. Tu masz na taksówkę. Tylko tego nie przepij.

— To niedaleko. — Shirley włożyła pieniądze do torebki. — Można iść piechotą.

— Chyba żartujesz! Chodzenie na dyskotekę to dziadostwo. A powrotny spacer w nocy to zwyczajne proszenie się o kłopoty.

— Naprawdę nie wiem, co ty widzisz w tym Aleksie.

— I nie waż się zamykać drzwi na łańcuch. Wiem, że ostatnim razem zrobiłaś to specjalnie. Mama i tato przez miesiąc nie mogli mi darować, że wyrwałam ich z łóżka o czwartej nad ranem. Myśleli, że ktoś podłożył bombę i ewakuują ulicę.

— No cóż... On był żonaty.

— I co z tego? Jego głupia żona o niczym nie wiedziała. Nie mogliśmy się powstrzymać.

— Więc dlaczego to trwało tak krótko?

— Kto wie? Tak czy owak nie zasługiwał na mnie. A kiedy powiedziałam mu to prosto w oczy, był tak wstrząśnięty, że na kolanach wrócił do żony.

— No myślę! Co za łajdak!

— Jesteś taką małą, niewinną owieczką. Wiele jeszcze musisz się nauczyć o tym złym świecie. — Kate uśmiechnęła się z politowaniem w lodowatoniebieskich oczach i łagodnie po-

klepała siostrę po dłoni. — Aha, pamiętaj, nie tańcz jak zepsuty wiatrak, bo znów zrobisz z siebie widowisko. Trzymaj ręce przy sobie.

— Tańczę jak Morrissey. Wyrażam siebie. Mękę bycia młodym i bezbronnym w odartym z miłości świecie. *Et caetera.*

— Nie zalewaj. Tańczysz, jakby cię pchły oblażyły.

— Ach, więc jesteś także znawczynią tańca? Oraz wszelkich innych rzeczy razem wziętych? Wiesz, czasem doprowadzasz mnie do szału!

— Nie zamykaj drzwi na łańcuch, bo tym razem cię zabiję. I nie zgub tego piąta.

Cała Kate. Pragmatyzm ponad wszystko.

4.

TANCBUDA

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku przed betonowym budynkiem dyskoteki. Siostry wygramoliły się z samochodu i Kate, jako zawiadująca kasą, zapłaciła kierowcy. Shirley w tym czasie owijała wokół przegubu czerwone szklane korale w gorzko-słodkim oczekiwaniu nadchodzącego wieczoru. Czy będzie tam Declan Greenwood? Czy spojrzą sobie w oczy w romantycznym zaciszu baru z hot dogami, w tej samej chwili sięgając po ketchup (podawany wciąż w tych samych osławionych plastikowych pojemniczkach w kształcie pomidorów)? A może rzuci się jej na pomoc, gdy na parkingu wybuchnie awantura? (Czasami w kolejce do taksówki działały się gorszące sceny.) Albo poda jej chusteczkę, kiedy jakiś małopod chluśnie jej na plecy piwem ot tak, dla zabawy. (Przeciętny Ulsterczyk prędzej dałby się ukrzyżować, niż okazał komuś serce.) Westchnęła cicho.

Declan rzadko zaszczycał dyskotekę Hogana swoją obecnością, ubierał się bowiem niemal wyłącznie w mundury z demobilu, co bardzo nie podobało się ochronie. Zważywszy zapalną sytuację w regionie, uznawano to za ryzykowną prowokację. Należy przyznać, że płaszcz, spodnie i ciężkie sznurowane buty, które nosił Declan, służyły aliantom w II wojnie światowej i nie miały nic wspólnego ze współczesną armią brytyjską. Pomimo to bramkarze Hogana, zmuszeni co dzień stąpać po cienkiej linii, z góry wykluczali wszelkie militarne i sportowe rekwizyty, zwłaszcza szaliki Celtic i Rangersów, i w ogóle wszystko co mogło sprawić, że ktoś poczuje się urażony. W 1979 roku jakiś idiota przyszedł w koszulce z napisem

upamiętniającym wizytę Jana Pawła II w Dublinie i trzy osoby znalazły się w szpitalu. Po tym incydencie Johnny Hogan uczulił pracowników na kwestię ubioru i odtąd zapanował twardy reżim. Nie znaczy to jednak, że bramkarze mieli coś przeciwko bójkom. Umieli pracować pięściami i nic nie cieszyło ich bardziej niż wolnoamerykanka w pogodną sobotnią letnią noc. Ale Johnny nie życzył sobie awantur w lokalu, a to on był przecież szefem.

Kate i Shirley widziały go teraz w holu; gawędził z grupką ładnych dziewcząt stojących w kolejce do kasy. Opowiadał im jakąś historię, ilustrując ją szerokimi gestami ręki, w której trzymał papierosa. Słuchaczki były wniebowzięte. Shirley też uważała, że Johnny Hogan jest bardzo przystojny jak na swój wiek. Miał w twarzy coś, co upodobało go do Declana. A może po prostu była wrażliwa na ten typ urody — ciemne oczy i wysokie kości policzkowe.

Kate pociągnęła siostrę do toalety, żeby sprawdzić makijaż i obciągnąć czarną skórzaną sukienkę, wygładzając zmarszczki powstałe podczas jazdy taksówką. Shirley jeszcze raz przyglądała dłońmi swą krótką fryzurkę. Włosy przylgnęły jej do twarzy jak mokra tkanina. Obie dygotały w lodowatym pomieszczeniu. Arktyczna atmosfera toalet będzie stanowić zaletę później, kiedy tańczące tłumy podniosą temperaturę w sali powyżej trzydziestu stopni.

— Widziałaś, jak Gwiazdor uwodzi te głupie gęsi? — prychnęła ironicznie Kate nakładając na rzęsy kolejną porcję niebieskiego tuszu. — Mógłby być ich ojcem.

— Dobra, dobra. Tobie się też podoba.

— Wcale nie. Kiedy ty wreszcie zmadrzejesz!

Prawdę mówiąc, Hogan faktycznie się jej podobał, ale kiedy raz poprosiła go do wolnego tańca, odmówił. (Johnny wołał blondynki.)

— Co im opowiada? Za trafną odpowiedź nie przewiduje się nagród. — Shirley podskoczyła, żeby usiąść na ladzie z lustrami.

— Że tylko on przeżył nalot na ulicy Magnoliowej?

— Bingo! A pytanie dodatkowe brzmi...

— Dlaczego się nie ożenił? — Kate wygrzebała z torebki róż.

— Co za marnotrawstwo dobrych genów!

— To prawda. Jesteś wreszcie gotowa? Jeśli nałożysz jeszcze jedną warstwę tapety, będzie ci potrzebne rusztowanie wokół twarzy.

— Jestem gotowa. — Kate zapięła torebkę i nabrała głęboko powietrza w płuca. — Mężczyźni Belfastu, nadchodzę!

— Czyż to biedne miasto nie dość już wycierpiało?

— Będziesz ty cicho! Zresztą moim celem strategicznym jest Alex. Chodźmy.

Wyszły z powrotem do holu, gdzie muzyka owinęła je jak miękki szal. Rytm perkusji przypominał bijące serce dyskoteki. Dziewczęta ruszyły po niebieskim dywanie do sali tanecznej. Ludzie wchodzili grupkami po kilka osób. Parę dziewczyn już tańczyło na skraju parkietu. Kate rozejrzała się za Johnnym Hoganem, ale zniknął.

— Mam nadzieję, że uda się nam zdobyć dobre miejsca. Już robi się tłok — zauważyła Shirley.

— No. Johnny'ego nigdzie nie widać. Skoczę zamienić parę słów z Alexem.

— Ale nie znikaj za wcześnie, dobrze? Kiedyś wyszłaś z facetem po siedmiu minutach...

— No co ty! Mówiłam ci, że moim dzisiejszym celem jest Alex, a on nigdzie się nie ruszy przed końcem zabawy.

— Kate okręciła się na pięcie i ruszyła przodem, a Shirley za nią.

W wychodzącym nad salę taneczną okienku zajaśniała biała marynarka Johnny'ego. Zadbany mężczyzna w średnim wieku, uprzejmy pan domu jakby żywcem wyjęty z książki dla dzieci. Nawet z tej odległości łatwo było go poznać, loczek nad czołem w stylu lat pięćdziesiątych zdawał się zaprzeczać upływowi czasu.

Obok stali jego dziadkowie, którzy wpadli do dyskoteki na mały dżin z tonikiem.

— Trzy miesiące? Johnny, to nie urlop, tylko dezercja! — Eileen miała już osiemdziesiąt cztery lata, ale umysł wciąż ostry jak skalpel. — Nikt nie robi sobie trzymiesięcznych wakacji!

— Babciu, mówiłem ci, że na razie tylko rozważam taką możliwość. Chciałbym mieć trochę czasu dla siebie. A poza tym zawsze marzyłem o zwiedzeniu Ameryki.

— Ameryka, też mi raj! Moi wujkowie pracowali tam przy kolei przez czterdzieści lat i obaj zmarli w nędzy w jakiejś noclegowni w Chicago!

— Znam tę historię, babciu. Opowiadałaś mi ją milion razy.

— Po co te nerwy — wtrącił cicho James. — Nie zacierzwiaj się, Eileen. Johnny chce trochę odpocząć, co w tym złego?

— Właśnie. Od dwudziestu lat nie miałem porządnego urlopu! Ale Eileen musiała mieć ostatnie słowo:

— Chcesz zamknąć interes, tak? I próbujesz mnie do tego delikatnie przygotować?

Boże, nic się przed nią nie ukryje, pomyślał Johnny. Za dobrze mnie zna.

— Nic podobnego — odparł szybko. Atmosfera pozostała jednak napięta.

— Pamiętasz, jak skończyli kopać fundamenty? — wtrącił James, próbując zażegnać bliższą scysję. — Nie trafiłeś w betoniarkę i oblałeś sobie szampanem najlepsze buty!

— Tak, pamiętam. — Johnny spojrział na sufit, wspominając tamte pierwsze lata. Podniecenie, huczne otwarcie, a potem napad, przez który stracił Marion. Czy gdyby nie tamten incydent, ożeniłby się z nią i stracił status najatrakcyjniejszego kawalera w Belfaście? Wciąż nie mógł się zdecydować, czy tamten fatalny wieczór był dla niego początkiem czy też końcem.

Stali we trójkę, patrząc na roztańczony tłumek piętro niżej.

— Powinieneś czasem zorganizować coś dla starszych. — James starał się odwrócić rozmowę od planowanej podróży do Ameryki. — Takich jak my. W tym mieście nie ma żadnych atrakcji dla seniorów. Może na przykład wieczór z tangiem lub walcem?

— James, gdybyś ty o tym decydował, codziennie byłoby tu pełno emerytów, a bar serwowałaby wyłącznie herbatkę i dietetyczne kanapki! — zaśmiała się Eileen.

— Na tym też można zarobić.

— Ale nie tyle, co na drinkach, dziadku — zauważył Johnny.

— Mimo wszystko. Takie wieczory miałyby ogromne powodzenie. I sprawiały znacznie mniej kłopotów.

Słuchali przez chwilę, jak tłusty, zadyszany didżej odczytuje dedykacje.

— I mógłbyś wreszcie skrócić męki tego tam — dodał James, który nigdy nie polubił Toniego. Wszyscy znów się roześmiali, ale niewymuszony nastrój bezpowrotnie pierzchnął.

— Mówcie, co chcecie — odezwała się nagle Eileen — a ja i tak twierdzę, że nasz lokal to najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek przytrafiła się temu miastu.

Johnny wiedział, że babka stara się go zniechęcić do sprzedaży. Uśmiechnął się. Eileen potrafiła być nieziemsko uparta, kiedy jej na czymś zależało. On też. Dyskoteka to przedsiębiorstwo rozrywkowe. A sensem rozrywki nie jest mówienie prawdy, lecz poprawianie ludziom samopoczucia. Odsunięcie choć na chwilę smętnej prozy życia, zastąpienie jej odrobiną blichtru i poczuciem wspólnoty. Gwiazdor był mistrzem w komplementowaniu kobiet i żartowaniu z mężczyzn. Umiał sprawić, że każdy przez te kilka godzin czuł się interesujący i wyjątkowy. Ludzie jakby rośli, kiedy się im kłaniał. Traktował to jako swoje powołanie.

— Pójdziemy już — odezwał się James, przerywając jego rozmyślania.

— Tak. Dobranoc, kochanie — powiedziała Eileen. — I uważaj na siebie, kiedy będziesz zamykał.

— Odprowadzę was do drzwi — rzekł Johnny. — Jak ci idzie książka, dziadku?

— Ach, taka tam pisanina — roześmiał się James, gdy schodzili po schodach. — Dzięki niej mam zajęcie na długie wieczory.

W rzeczywistości otrzymał już poważną ofertę od londyńskiego wydawcy. Obiecano mu huczną kampanię reklamową, ale James nie był pewien, czy chce być sławny, nawet u schyłku życia. Sława — każda sława — kosztuje. Czyż jego wnuk nie był tego żywym dowodem? Powinien spytać, czy mógłby wydać książkę pod pseudonimem, a do promocji wynająć jakiegoś aktora. Trzymał list wydawcy w zamkniętej na klucz szufladzie. Nie powiedział o nim nikomu, nawet Eileen. Wszyscy myśleli, że pisze książkę o tramwajach. Jakże się mylili!

Johnny pocałował Eileen w policzek i odprowadził dziadków do samochodu. Kątem oka zauważył, że do budynku wchodzi Declan Greenwood w długim do ziemi płaszczu ozdobionym wzdłuż boku czymś, co wyglądało jak dziury po kulach. Każdy inny młodzieniec w takim stroju zostałby natychmiast wyproszony, ale dla syna Marion Johnny robił wyjątek. Wymownie kiwnął głową w stronę szatni. Declan z szerokim uśmiechem stanął przed nim na baczność i zrzucił skandaliczny przydzwiek ze szczupłych ramion. Hogan zawsze wpuszczał tego młodego głupka do swej ukochanej dyskoteki, bo jego matka miała twarz Marilyn Monroe i durzył się w niej od dwudziestu pięciu lat.

Smarkacz nigdy nie znajdzie sobie dziewczyny, jeśli będzie się tak ubierał! — pomyślał ze smutkiem, strzepnął pyłek z białej marynarki i przejrzał się w jednym z licznych zdobiących hol luster.

5.

WYGODNIE I ROMANTYCZNIE

Był słoneczny lipcowy poniedziałkowy ranek. Marion z uśmiechem wygladzała fałdy nowej sukni na wystawie. Była niewiarygodnie droga; znacznie droższa niż inne w ofercie butiku, ale kiedy dostawca pokazał jej ten model, Marion po prostu nie mogła się oprzeć. Staroświecka suknia z wysokim kołnierzem, wąskimi rękawami, wciętą talią i bufiastą spódnicą — wszystko z białego aksamitu. Rąbek zdobiły tysiące perełek i nawet podszewka gorsetu miała haft w drobne kwiatuszki. Suknia była arcydziełem sama w sobie, toteż Marion wystawiła ją bez połączanego krzesła i wazonu świeżych kwiatów, które zwykle zdobiły witrynę. Wyniosła krzesło do przymierzalni, a kwiaty postawiła na ladzie. Potem wyszła na

ulicę, żeby obejrzeć ekspozycję z zewnątrz. Piękna, ale przydałoby się coś do wypełnienia tego pustego kąta. Coś... hmm... podniosłego. Świece! W czasie przerwy na lunch kupi ciężki kuty świecznik i kilka grubych białych świec. Stworzą z suknią harmonijną, bardzo elegancką kompozycję w tym dyskretnym stylu, który Marion starała się promować.

Pora była wrócić do normalnej pracy; tej, która dawała chleb. Tanie sukienki dla ciężarnych nastolatek i proste suknie dla kobiet po czterdziestce, próbujących jeszcze raz ułożyć sobie życie. Marion miała nadzieję, że kreacja z wystawy nie będzie długo czekać. Pewnego dnia w drzwiach butiku stanie piękna dziewczyna i okaże się, że suknia jest wprost stworzona dla niej.

Pedantycznie odkurzyła biały dywan, wypolerowała wielkie staroświeckie lustra w stylowych ramach i odprasowała świeżo zakupione modele, wypychając im rękawy bibułką. Miała dziś dwie umówione przymiarki, przyniosła więc z magazynu kilka par białych satynowych pantofelków i ustawiła je w przymierzalni. Nie wiedzieć czemu przyszłe panny młode zawsze przychodziły w czarnych glanach. Potem sprawdziła, czy ma zapas chusteczek higienicznych w obitych adamaszkiem pudełkach. Większość dziewczyn płakała ze szczęścia, kiedy po tygodniach lub nawet miesiącach poszukiwań znajdowały wreszcie tę jedyną, wymarzoną suknię. Marion czasem zastanawiała się, czy równie wiele troski wkładały w wybór narzeczonego.

Przypomniała sobie własny ślub w styczniu 1968 roku. Eddy czekał niecierpliwie w przedsionku kościoła, z czerwoną różyczką wpiętą w klapę nowego garnituru, przerażony, że nagle pojawi się Gwiazdor Hogan i porwie mu narzeczoną sprzed nosa. Przez całą ceremonię nie spuszczał z niej oczu, w których malowała się najczystsza miłość. Gdy nareszcie ksiądz ogłosił ich mężem i żoną, Marion doznała wręcz fizycznej ulgi. Stresujące uzależnienie od Johnny'ego Hogana dobiegło końca; czuła się tak, jakby zdjęto jej z barków ciężkie brzemię. Tylko raz w czasie miodowego miesiąca pozwoliła sobie przywołać wspomnienie rośłego mężczyzny w białej marynarce. Mężczyzny, którego kochała tak rozpaczliwie, że gotowa była poświęcić dla niego wszystko. Prawdziwego ojca Declana. Pięć lat czekała, że się jej oświadczy. Kiedy lekarz potwierdził ciążę, a Marion z dnia na dzień czuła się coraz gorzej, Johnny wciąż nic nie widział. Gdyby ją kochał, spostrzegłby, że coś z nią jest nie tak. Eddy zauważył to od razu, gdy tamtego dnia spotkał ją na ulicy. Zawyrokował, że powinna coś zjeść, i postawił jej obiad w herbaciarni Pod Morwami. Tam Marion rozplakała się nad kurczakiem z frytkami i opowiedziała mu wszystko.

— Ja cię kocham, Marion — rzekł na to. — Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochać. Wyjdź za mnie, a przyrzekam, że nigdy nie będziesz tego żałować.

— Bardzo chciałabym zostać twoją żoną, Eddy — odpowiedziała natychmiast ze łzami w oczach.

Gdy dziecko przyszło na świat, Eddy był dla niego najczulszym ojcem. Wtedy właśnie Marion pokochała go od nowa — bo kochał Declana tak samo jak własne córki, które urodziły się później: Emily, Eve i Eloise. Na szczęście Declan odziedziczył po Marion jasne włosy, jego podobieństwo do Hogana nie zwracało więc uwagi. Dziewczęta miały takie same ciemne kędzierzawe włosy i jasnozielone oczy jak Eddy, i taki sam łagodny charakter. Razem stanowili modelowy wzorzec szczęśliwej rodziny.

Zerknęła w lustro, żeby sprawdzić makijaż. Wkrótce wpadnie Eddy, żeby zjeść z nią lunch. Był to jeden z tysiąca drobiazgów, dzięki którym sprawiał, że Marion czuła się doceniana. Ledwie pomyślała o mężu, już ujrzała go za szybą; machał do niej z uśmiechem. W jednej ręce trzymał wielki bukiet białych tulipanów, w drugiej zgrabnie obwiązane sznurkiem pudełko pasztecików. Poszła otworzyć mu drzwi.

— Witaj, kochanie, co słyhać? — rzekł całując ją lekko.

— Wszystko w porządku. Jakie śliczne kwiaty!

— Zaslugujesz na wszystkie kwiaty świata. Marzę o herbacie. Co za dzień! Nie wiedziałem dosłownie, gdzie ręce włożyć! Zabrakło nam eklerków i rożków z kremem, a potem zupa wylała się na pszenny chleb.

— To do ciebie niepodobne, Eddy!

— Mamy nową dziewczynę, dopiero się uczy — zaśmiał się Eddy. — Na szczęście szkody nie były wielkie.

— Declan się nie spóźnił?

— Nie, przyszedł punktualnie i przez cały ranek stał za ladą.

— To dobrze. Nie chcę, żeby lenił się w wakacje, choć istotnie powinien wypocząć po egzaminach.

— Marion, nie martw się o niego. Chłopak da sobie radę.

— Mówił mi, że studia idą mu coraz ciężiej. Zastanawia się, czy ich nie rzucić i nie spróbować sił w rodzinnej firmie.

— Jeśli tego zechce, chyba mu nie zabronimy?

— Wykluczone. Declan ma zostać lekarzem.

— Marion, medycyna to ciężki kawałek chleba. Czy naprawdę byłaby to taka tragedia, gdyby pracował ze mną? Mógłby przejąć restaurację i prowadzić ją samodzielnie.

— Posłuchaj, Eddy. Wszyscy studenci medycyny załamują się od czasu do czasu. Jego opiekun zapewnił mnie, że Declan ma zadatki na dobrego lekarza. Inaczej nie wywierałabym na niego presji.

— Aha. W czym więc problem?

— Sam wiesz, w czym. Boję się, że się wdał w...

— Ojca?

— Przepraszam. — Marion objęła męża w pasie, ucałowała w policzek i wtuliła twarz w miękki tweed jego marynarki. — Wciąż się o niego martwię. Wolałabym, żeby był twoim synem.

— On jest moim synem, skarbie. Zawsze nim był.

— Kocham cię, Eddy. Tak bardzo cię kocham.

— Wiem, najdroższa. Ja też cię bardzo kocham. — Nie żałujesz, żeśmy się pobrali?

— Oczywiście, że nie! Bez ciebie nie było dla mnie życia.

— Mimo że złamałam ci serce rzucając cię dla Johnny'ego?

— Pst, maleńka. To już minęło. Najważniejsze, że wróciłaś.

— Ale mieliśmy taki cichy, skromny ślub...

— To ty chciałaś mieć taki. Gdyby to ode mnie zależało, wyprawilibym największe wesele w całym kraju!

— Wiem. Wiem. Po prostu wtedy nie mogłam się na to zdobyć. Tak mi przykro, Eddy.

— Przypomniała sobie prosty chanelowski kostiumik, w którym brała ślub, i poczuła, że zawiodła męża.

— Marion, proszę cię! To nie ma żadnego znaczenia. Od tamtego czasu przeżyliśmy razem dwadzieścia cudownych lat. Co cię tak nagle naszło? Widziałaś się z Hoganem?

— Nie. Nie, naprawdę. Po prostu martwię się o Declana. Nie może sobie znaleźć miejsca.

— Wszyscy chłopcy w jego wieku są tacy. To wpływ hormonów.

— Chciałabym, żeby trochę się ustatkował. Wciąż wydzwanają do niego jakieś dziewczyny. Wolałabym, żeby chodził z jedną.

— A, w tym rzecz? Boisz się, że będzie pozeraczem serc?

— Możliwe. Jest stanowczo zbyt przystojny. Nawet w tych okropnych łańkach, które nosi.

— Dajże spokój. — Eddy roześmiał się. — Wyrośnie z tego tym prędzej, im mniej uwagi będziemy na to zwracać. Młodzi ludzie robią mnóstwo rzeczy na pokaz. Nastaw czajnik. Umieram z pragnienia. Wszystko będzie dobrze.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

Marion ucałowała go czule i już z lżejszym sercem poszła nastawić czajnik.

6.

ŚLÓJ Z MIĘTÓWKAMI

Tuż obok butiku Marion Greenwood znajdował się malutki sklepik z gazetami, załadowany ponadto pudełkami słodczy, plastikowymi pistoletami na wodę, koralikowymi portmonetkami i skakankami w oślepiających kolorach. Stojak na gazety i drugi na czipsy skutecznie zasłaniały wnętrze przed dziennym światłem. W kącie mruczała niewielka chłodziarka z mlekiem, masłem i jogurtami

W cichym wnętrzu siedziały dwie młode kobiety pogrążone w rozmowie. Jedna była postawną blondynką opiętą w garsonkę rozmiaru XXL, druga — drobny, piegowaty rudzielec — miała na sobie mocno wystrzępiony džins i zielone skórzane sandały.

— Nie, no... czegoś takiego jeszcze nie słyszałam. — W głosie blondynki zabrzmiało coś w rodzaju lęku.

— Mówię ci świętą kanoniczną prawdę! Powiedziała mu, że twoje lewe oko przez dwa dni leżało w słoju z miętówkami. Dlatego się z tobą nie umówił. Podobno nie znosi kalek. — Ruda zadumała się nad wystawą słodczy w szklanej gablocie. — Ty, weź, uwolnij stamtąd dwie żelkowe żaby. Nie, nie te małe. Te większe, posypane cukrem.

— Ale to nie ma żadnego sensu. Moje własne oko wpada do cukierków, a ja nic o tym nie wiem? — Louise miała kłopoty z przyswojeniem zasłyszanej rewelacji.

— No właśnie — potwierdziła Mary ze znużeniem. — Daj te żaby.

— Jakim cudem mogłabym tego nie zauważyć? — Louise machinalnie wyjęła zza szkła dwie żaby, jedną żółtą, a drugą czerwoną.

— Nie wiem. Może szklanego oka się nie czuje? — Mary zaczęła oblizywać z cukru czerwoną żabę.

— Ale widzi się drugim, nie? Bez cudów, nie można ot, tak sobie zgubić oka. I Alex uwierzył w taką bujdelę? Chyba jest kompletnie pozbawiony mózgu.

— Na ten temat trudno mi się wypowiadać. Jeśli nawet jest, jak mówisz, nie wyróżnia się tępotą. Powtarzam ci tylko to, co usłyszałam.

— Od kogo? Żądam nazwisk. — Louise wzięła następną żabę i podniosła ją do światła. — Zielone są bardziej przezroczyste.

— Powiedział mi ten drugi bramkarz, Jim, nie wiem, jak ma na nazwisko. Niejaki Cygan. Zapytałam go wprost. Dlaczego, mówię, Alex nie umówi się z moją przyjaciółką Louise? Przecież wie, że jej się podoba.

— No pięknie! Pomyśli, że się na niego napaliłam! — Louise odgryzła żabie głowę i ciężko opadła na odrapany stołek stojący za kontuarem. Mary rozejrzała się, czy nikogo nie ma w pobliżu, i przysiadła na ladzie.

— Co szkodzi zapytać? Ostatecznie paradujesz przed nim w tę i z powrotem za każdą bytnością u Hogana. Nikt tak często nie chodzi do toalety, choćby nawet miał zapalenie pęcherza. Na pewno już wie, że ci się podoba, tylko po prostu jest nieśmiały.

— Też coś! Jest trochę za duży, żeby być nieśmiały.

— Nieśmiałość dotyka ludzi w każdym wieku. I każdej wagi. Zresztą mniejsza z tym. Jim powiedział, że Alex zauważył twoje marsze i miał zamiar zaprosić cię na randkę, ale Kate Winters puściła tę plotkę, że masz sztuczne oko...

— Podła świnią!!!

— ...i wtedy zrezygnował. Powiedział, że nie chce umawiać się z dziewczyną, która gubi wokół swoje organy.

— Przecież ja ją zabiję! Co za psychopatka; trzeba być naprawdę podłą zdzirą, żeby rozpowiadać takie ohydne kłamstwa! Biedny Alex, musiał być wstrząśnięty!

— Chcesz jej to puścić płazem? Bo ja na twoim miejscu dałabym jej solidnie w dziób. Albo rozbębniła, że Kate ma zaawansowaną osteoporozę i nie może się ciupciać.

— Nie wiem, Mary. Poczekam, muszę to przemyśleć. Masz wolny weekend? Będę potrzebować więcej informacji. Chcę wiedzieć, czy on się nią interesuje na poważnie, zanim zrobię jakieś głupstwo. Może Alex domyślił się, że to wszystko kłamstwa, i jednak się z nią nie

umówi. Nie chcę stracić twarzy. — Louise zadumała się głęboko, wygrzebując galaretkę z zębów za pomocą plastikowej łyżeczki do jogurtu.

— Boże uchowaj — przytaknęła Mary.

— To jak, masz czas?

— Pewnie, że tak. Nie planowałam nic szczególnego. Mogę jeszcze tę cukrową mysz?

— Żeby tylko szef nie zobaczył, że rozdaję kramik. Uważaj, bo lada moment wróci. Mogłabyś raz zaszaleć i dla odmiany kupić paczkę galaretek. Albo chociaż mieszankę za dziesięć pensów.

— No dobrze już, dobrze. To znaczy, że w sobotę idziemy na dyskotekę?

— Tak jest. Zrobimy się na gwiazdy i pójdziemy na przekór wszystkiemu. Nie będziemy się nawet odzywać do Alexa. Mężczyźni nie lubią się czuć osaczeni.

— Zwłaszcza przez kobiety o szklanych oczach.

— To nie jest śmieszne, Mary. Ubiorę się tak, że je mu oczy wyjdą z orbit! Coś z klasą, nie jakaś tam małomiasteczkowa elegancja. A rano pójde do fryzjera. Podaj mi jakiś żurnal, zobaczymy co jest *trendy*.

— W zeszłą sobotę Kate Winters miała prawie cały biust na wierzchu. To też wiem od Jima. Jak dynie w magazynie, tak się wyraził. Posypane brokatem. A wypacykowana, że rany! Szkoda, że nas tam nie było.

(Na nieszczęście ograniczone fundusze przyjaciółek nie zawsze pozwalały im na spędzenie sobotniego wieczoru w dyskotece.)

— Żałosne! — prychnęła Louise. — Każdy wie, że mężczyźni wolą naturalną urodę — dodała z naciskiem.

— A Shirley podobno wyglądała jak ostatnia łachmaniara. Miała na sobie jakąś szmatę z odprutym obrąbkiem i oczy zrobione na czarno jak u pandy. Niby że artystycznie.

— Raczej pretensjonalnie. Ona jest zarozumiała. Obie są.

— Kate owszem. Ta kocha tylko siebie. Shirley jest w porządku. Zupełnie inna, trochę stuknięta, ale nieszkodliwa.

— Mniejsza z tym. Zarwały kogoś?

— Nie. Jim mówi, że wyszły same.

— Aha! Zatem rozpatrzmy dowody, droga koleżanko. Dziwaczne ciuchy i nadmiar tuszu oznaczają artystkę. Faceci się takich boją. Idźmy dalej: gołe posypane brokatem cycki

oznaczają seks. I co? Też pudło. Za dużo seksu również działa odstrasżająco. Racja? Potrzebu-
Potrzebujemy czegoś pośrodku. Atrakcyjna, ale przystępna!

Dziewczęta siedziały przez chwilę w milczeniu, ssąc malinowe landrynki. Przejrzały jeden z magazynów mody. Jak na złość wszędzie dekolty aż po pępek i blond pasemka. Louise sięgnęła za siebie po rodzyunki w czekoladzie i spojrzenie jej padło na słój miętówek stojący na najwyższej półce. Staromodne cukierki. Kupowali je tylko emeryci. Słój, pełen mętnych zielonych gałek, zdawał się z niej naigrawać.

— Mary?

— Co?

— Pożyczysz mi na sobotę twoją białą bluzkę, tę wiążaną? I te wielkie zielone plastikowe kolczyki?

— Jasne, Louise. Dla ciebie wszystko.

7.

TYLKO ZAKOCHANA

Shirley usiłowała się wycofać ze sklepu, ale na przeszkodzie stał jej łokieć Kate, którego nie byłby w stanie ruszyć nawet rozpędzony pociąg. Doszło do drobnej szamotaniny, siostry przepychały się w drzwiach, jedna próbując wejść, a druga — wyjść.

— Żadnych bójek, moje panie! Swoje problemy załatwiajcie na zewnątrz! — Sprzedawca nie życzył sobie rękoczynów w pobliżu kartonowych sylwetek grupy Wham!

— Ona nie ma problemów, jest tylko zakochana — oznajmiła długowłosa, wpychając swoją zarumienioną towarzyszkę pomiędzy regały.

Declan Greenwood przyglądał się dwóm wysokim dziewczynom, które sprzeczały się cicho za stojakiem z singlami. Jedna z nich od razu zwracała uwagę — srebrny cień do powiek, błękitna skórzana kurtka, obcisłe džinsy i błękitne, bardzo wysokie szpilki. Druga ubrana była oryginalnie, miała na sobie czarną sukienkę w duże białe grochy i spłowiałą džinsową kurtkę, do której klapy przypięta była wielka jedwabna róża. Miała krótko przycięte i ulizane włosy, a niebieskie oczy grubo podkreślone czarną kredką. Dostrzegł jednak podobieństwo i domyślił się, że to siostry. Odwrócił się z powrotem do wystawy longplayów.

Bóg dał mu doskonały słuch, którego nie zdołały stępić nawet lata słuchania muzyki na pełny regulator. Słyszał namiętne szepty z drugiej strony regału.

— No idź. Zagadnij go. Co masz do stracenia?

— Zgłupiałaś? Nie ma mowy!!!

— Jesteś beznadziejna. Spróbuj wykrzesać z siebie choć trochę odwagi!

— I kto to mówi? Ciekawe, dlaczego ty nie poprosiłaś Alexa o spotkanie, zamiast opowiadać mu kłamstwa o konkurencji?

— To się nazywa propaganda. Ucz się taktyki, dziecię. Należy osłabić przeciwnika, nim wytoczy się działa.

— Chyba cię całkiem pogięło. Nie do wiary: ty chcesz mnie uczyć postępowania z mężczyznami!

— Jesteśmy na miejscu. Idź i walcz.

— Nie. Nie byłam w stanie go zaczepić po sześciu wódkach i tym bardziej nie zrobię tego trzeźwa i w biały dzień.

— No to ja z nim porozmawiam. Czego się nie robi dla rodzonej siostry...

— Nawet nie próbuj!

— Owszem. Nie martw się, będę mówić o tobie tylko dobre rzeczy.

— Ani mi się waż!

— Skąd u licha wytrzasnęłaś ten pierścionek, ze śmietnika? Wygląda na plastikowy.

— Kate!

— Puść mnie. Złamiesz mi rękę.

— I co mu chcesz powiedzieć? „Moja młodsza siostra chce zostać pańską żoną; co prawda jest uboga, ale ma trzydzieści dwa własne zęby. Dorzuć pan dwie kozy i możemy ustalić datę ślubu”?

— Na pewno mu nie powiem, że jesteś smarkatą poganką, która gada do księżycy. Potrzyмай zakupy, idę.

— Jeśli zbliżysz się do niego choćby na pięć metrów, przysięgam, że spalę wszystkie twoje torebki. Mówię serio!

— Chcesz do końca życia być starą panną?

— Nie bądź śmieszna. Jasne, że nie.

— Zatem musisz go zdobyć. Idź i zaproś go na drinka jak normalna dorosła kobieta. Nie mam czasu na ten cyrk.

— Proszę cię, Kate. Ty nie rozumiesz. To dla mnie bardzo ważne. Wolę w ogóle z nim nie rozmawiać, niż narazić się na to, żeby dał mi kosza. Przynajmniej dopóki nie znam odpowiedzi, mogę marzyć.

— A więc definitywnie nie chcesz iść?

— Definitywnie nie. Odmowa mnie zabije. Nawet grzeczna odmowa. Jeśli teraz wystawisz mnie na strzał, nigdy, przenigdy nie pójdę z tobą do Hogana. Ani nigdzie. Mówię poważnie. Proszę, puść mnie, Kate.

— No dobra. To chodź, mam jeszcze milion rzeczy do kupienia.

Dziewczęta wyszły ze sklepu. Declan rozejrzał się wokoło, ciekaw, kto z klientów był przedmiotem tej namiętnej dyskusji. Wspominały o dyskotecie Hogana. Będzie musiał się tam kiedyś wybrać. Może się spotkają. Historia zapowiadała się intrygująco, a ta młodsza w dzinsowej kurtce była całkiem ładna. Może, jeśli obiektu jej westchnień nie będzie, Declanowi uda się zamienić z nią parę słów.

8.

WOJNA NA BIUSTY

W sobotę wieczorem Mary i Louise były pierwsze w kolejce do dyskoteki. Przytknęły nosy do szyby ściskając w garści pieniądze niczym marynarze na przepustce. Czyściutki hol był dyskretnie oświetlony stojącymi na stolikach lampkami. Alex i Jim, zwróceni szerokimi plecami do oczekującej publiki, pospiesznie dopalali papierosy przed rozpoczęciem pracy. Kiedy ktoś z personelu wychodził do holu, przez uchylone drzwi głównej sali kusząco błyskały dyskotekowe światła. W powietrzu iskrzyło oczekiwanie. Był ciepły wieczór w połowie lipca, już paliły się latarnie na ulicach. Mary nie robiła sobie wiele nadziei, że tego wieczoru spotka księcia z bajki. Miały inne zadanie: zwrócić uwagę Alexa na Louise, rozpocząć z nim „spontaniczną” rozmowę i nareszcie załatwić jej wymarzoną randkę. Trzeba było starannie wybrać właściwy moment, kiedy Gwiazdor Hogan zamknie się w swoim biurze. Ponadto musiały mieć oko na siostry Winters i jakoś trzymać je z dala od bramkarzy, dopóki wszystko nie zostanie dopięte na ostatni guzik. Ilekroć Mary przypominała sobie słój z miętówkami, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Pierwszą rundę wygrała Kate, ale Louise nie została jeszcze

pokonana. Skądinąd próba nadziania Alexa na haczyk i pohołowania go ku przeznaczeniu obiecywała mnóstwo świetnej zabawy.

Louise była wściekła, że Alex nie pozdrowił jej przez szybę, kiedy czekała niecierpliwie na chodniku. Musiał ją zauważyć; dzięki drogiemu lakierowi jej fryzura dwukrotnie zwiększyła objętość.

Miała na sobie trzy naszyjniki i cztery odcienie cienia do powiek. Bardzo nieładnie z jego strony, że ją tak ignorował.

Dręczyła ją historia o szklanym oku i konsekwencje, jakie ta bzdurna plotka mogła mieć dla jej sercowych ambicji. Louise powiedziała sobie, że Alex Stone jest jej bratnią duszą i prawdziwą miłością, i miała zamiar go odbić brokatowopierśnej Kate Winters — za wszelką cenę. Była gotowa na daleko idące ofiary, byle osiągnąć cel.

— Ten drań nawet na mnie nie spojrział — mruknęła, kiedy Alex szepnął coś Jimowi do ucha i obaj zaczęli się śmiać do rozpuku, ocierając załzawione oczy. — Ciekawa jestem, co ich tak śmieszy?

Mary nieznacznie uściśnęła ramię przyjaciółki, żeby dodać jej otuchy. Wszystko to było bardzo ekscytujące. Co prawda Obelisk prezentował się nieźle, ale Mary nie określiłaby go słowem „seksowny”. Przeciwnie, robił na niej wrażenie ciut zniewieściałego. Może to przez sposób, w jaki trzymał papierosa powyżej barku, stanowczo zbyt zalotnie jak na kulturystę.

Chwilę później Johnny Hogan zszedł z piętra, by otworzyć drzwi, bramkarze pospieszyli na swe miejsca pod ścianą, a dziewczęta nareszcie znalazły się w środku. Zapłaciły za bilety i tak pospiesznie, jak tylko pozwalało im poczucie godności, weszły zająć sobie dobre miejsca. Z głośników płynęła piosenka „Too Shy” Kajagoogoo. Louise pomyślała o swym nieśmiałym wybranku i poczuła wzruszenie.

Cygan pomachał im, kiedy szły do upatrzonego stolika w niszy przy parkiecie. Stojący na dywanowej wykładzinie, otoczony kilkoma wysokimi sztucznymi palmami dawał zaciszne poczucie odosobnienia, a równocześnie stanowił doskonały punkt obserwacyjny. W sali było dość chłodno i Louise wzdrygnęła się z wdziękiem, zdejmując żakiet. Jej obfity biust zakołysał się lekko w pożyczonej od Mary seksownej bluzce. Kręciła się dość długo, zanim wreszcie usiadła, zależało jej bowiem, by Alex ją zauważył. Kilkakrotnie odrzuciła zamasyście na plecy świeżo wystylizowane włosy. Wirujące światła muskały jej opaloną skórę, białą bluzkę i platynowe pasemka.

Alex uśmiechnął się z daleka. Najwyraźniej spodobało mu się to, co zobaczył.

— Idę do baru — oznajmiła Mary. — Dwa duże piwa, nie?

— O nie! — zaprotestowała Louise. — Ja pójdę do baru, i to po białe wino. Dziś robimy za damy. Wydałam fortunę na fryzjera i nie będę psuć efektu żłopiać piwsko. Nie masz nic a nic wyczucia stylu?

— Pij co chcesz, ale dla mnie weź piwo. Nie lubię wina. Chce mi się po nim rzygać.

— Cicho! Alex nie może cię zobaczyć z nosem w kuflu. Jeszcze pomyśli, że zadaję się z mętami. Patrzy?

— Zaraz sprawdzę.

— Ostrożnie! Żeby cię nie przyłapał na zerkaniu.

— Nie patrzy. — Mary oparła łokieć na stoliku i zerknęła spoza rozchylnych palców.
— Nie patrzy... Nie patrzy... Teraz patrzy.

— To idę. — Louise wzięła torebkę i z gracją ruszyła w stronę baru. Mary śledziła pilnie, dokąd biegnie wzrok Alexa. Louise na pewno zechce wiedzieć, czy jej spacer został zauważony. Na szczęście został.

W chwili gdy Louise wróciła z drinkami, przyjaciółki spostrzegły Kate i Shirley Winters wchodzące do holu. Louise wstrzymała oddech, ale siostry nie miały szans porozmawiać z Alexem, bo tuż za nimi wtargnęła duża grupa, która dosłownie wmiotła je do sali. Widoczna po przeciwnej stronie parkietu ciemnowłosa Kate o bladej cerze, w krótkiej czarnej sukience, stanowiła niemal dokładny negatyw Louise. Brokat, o którym meldowała Mary, został hojnie użyty. Tysiące srebrnych i błękitnych iskierek tańczyło po kształtnym biuście starszej siostry Winters. Louise musiała przyznać, że efekt był dość pociągający. Nabrała powietrza w płuca, aż ujrzała własny opalony dekolt w odległości dwóch cali od podbródka. Pierwsze trzy guziki białej bluzki były rozpięte. Rozpięła czwarty. Bitwa na biusty została rozpoczęta.

Alex szturchnął Jima w bok i obaj równocześnie mrugnęli do Kate. Pomachała im ręką, znacząco wskazując jedno oko. Louise omal nie udusiła się ze złości.

— Nie trzymaj mnie za rękę, kiedy stracę cierpliwość! — warknęła przez zaciśnięte zęby. — Powyrywam tej zdzirze nogi z tyłka!

— Spokojnie, Lou. Ta fryzura kosztowała cię tygodniową pensję. Trzymaj fason. Powtarzam: trzymaj fason.

Miejsca przy stolikach już się zapełniały. Didżej zmienił płytę, z głośników dobiegł jego chrapliwy szepot:

— Kawał baby z tej Alison Moyet, ale głos... panie i panowie, anielski! Specjalnie dla państwa grupa Yazoo i „Only You”!

Kate spostrzegła Louise i Mary siedzące przy parkiecie i pociągnęła Shirley w przeciwną stronę. Twarz Kate była nieprzenikniona, ale cała postawa miała w sobie coś wyzywającego. Shirley wyglądała na zaaferowaną, wywijiała małą torebką na łańcuszku i mocno zagryzała dolną wargę.

Siostry Winters kilkakrotnie obeszły salę taneczną, wymieniając pozdrowienia ze znajomymi, nim wreszcie znalazły wolny stolik z tyłu obok bistra. Nie było to idealne miejsce, zważywszy silny zapach smażonych hamburgerów, ale miały do wyboru albo to, albo spędzić cały wieczór na stojąco. Usiadły więc z silnym postanowieniem, że będą się dobrze bawić. Kate miała świadomość, że wygląda świetnie, i była gotowa rzucić wyzwanie wszystkim rywalkom. Najpierw jednak musiała wlać w siebie nieco środka na odwagę. Pociągnęła lekko już znudzoną siostrę do baru. Shirley miała na sobie spłowiałą żółtą sukienkę i takąż opaskę na głowie, do tego zaś czarną aksamitną obrózkę, trzy długie sznury czarnych koralii i po kilka żółtych bransoletek na każdej ręce. Całość kupiła pod wpływem impulsu w nowym sklepie z używaną odzieżą, ale właśnie zaczęła dochodzić do wniosku, że żółty to jednak nie jej kolor. Utwierdziła się w tym, gdy zobaczyła, jak Louise i Mary umierają ze śmiechu w drugim końcu sali.

— Boże, Shirley wygląda jak gigantyczna osa! — stwierdziła Louise z nietajoną satysfakcją. — Skąd ona wytrzasnęła te szmaty? Bo że nie kupiła ich u Dorothy Perkins, to pewne.

Mary ze współczuciem przyjrzała się Shirley, która stojąc przy barze apatycznie grzebała w malutkiej torebce. Dla niej to wszystko na pewno nie jest śmieszne. A jeśli, uchowaj Boże, Kate i Louise rzucają się dziś na siebie z pazurami... Mary poczuła ukłucie niepokoju. Obsesja Louise na punkcie Alexa nagle objawiła jej się w innym świetle. Może powinna trochę schłodzić jej emocje i tym samym zakończyć jej waśń z Kate Winters? Postanowiła poruszyć delikatny temat spadku. Wśród bywalców dyskoteki krążyła plotka, że Alex ma odziedziczyć majątek.

— Louise, czy ty jesteś pewna, że Alex ma bogatego wujka? Na oko nie śmierdzi groszem. A jeśli rzeczywiście ma otrzymać spadek, dlaczego podpira ścianę u Hogana, zamiast przyuczać się w branży jubilerskiej?

— Dlatego że... Nie wiem dlaczego. Czy to ważne?

— Chyba tak. Bo mnie się wydaje, że on wszystko zmyślił. Nie ciekawi cię to ani trochę? Ile Alex ma lat? Trzydzieści albo coś koło tego. Dlaczego jeszcze się nie ożenił, skoro ni by jest taką dobrą partią?

— I o to właśnie chodzi, Mary, jesteś genialna! On się kryje ze swoim bogactwem, dopóki nie znajdzie odpowiedniej kobiety. Nie chce zostać zdeptany przez zgraję chciwych karierowiczek, takich jak Kate Winters. Zastanawiałam się, dlaczego tak nagle zainteresowała się Alexem. Teraz wiem. Widocznie do niej też musiały dotrzeć te plotki. Popilnuj mi drinka.

— Dokąd idziesz?

— Zamówić piosenkę z dedykacją dla Kate Kłamczuchy Winters. — Louise wstała z miejsca i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę konsoli didżeja.

— Lou, nie rób tego!

Ale Louise była już w połowie sali.

Dwadzieścia minut później didżej Toni obwieścił, że następny utwór popularnej grupy The Smiths dedykowany jest Kate Winters, która jest tu dziś ze swoją siostrą Shirley.

— Z uściskami od twojej najlepszej przyjaciółki! Ten kontrowersyjny utwór nie należy do mego kanonu na koniec wieku, ale najważniejsze, że Kate za nim przepada. Gdyby wszyscy mieli jednakowe gusty, byłoby nudno! — paplał Toni. — Pluralizm górą!

Dla Kate Winters „Bigmouth Strikes Again” czyli w wolnym przekładzie Wielka Morda znów pluje!

Płaczliwe tony wypełniły salę. Kate otworzyła usta, a Shirley zgięła się wpół ze śmiechu, zadowolona, że stoi daleko od niej w zatłoczonym barze. Alex Stone i jego kumpel Cygan też zwijali się z uciechy obok drzwi do holu. Ich rzenie niemal zagłuszało muzykę. Kate próbowała się uśmiechnąć, jak gdyby ją również ubawił ten dowcip, ale uśmiech zastygł jej na wargach nie docierając do oczu. Niemożliwe: on się z niej śmieje? Zwykły wykidajło ma czelność drwić z pięknej kobiety? Ni stąd, ni zowąd doznała przykrego uczucia, że ześlizguje się po bardzo długiej zjeżdżalni. Żołądek ścisnął jej się gwałtownie, zadrżała z zimna. Jeszcze bardziej zaniepokoił ją gwałtowny przypływ tęsknoty za Shirley. Zwykle traktowała ją jak coś w rodzaju osobistej sekretarki, teraz jednak gotowa była tulić siostrę do serca razem z jej zapchlona torebką. Równie niezbędna była w tej sytuacji podwójna wódka na uspokojenie nerwów. Ale w barze był tłum, a Shirley nie miała zwyczaju wpychać się bez kolejki.

Parkiet opustoszał, melodia okazała się za trudna dla większości tancerzy. Jakiś chory psychicznie chłopak zaczął udawać wokalistę grupy, Morrissey'a. Rozpiął koszulę na białej,

bezwłosej piersi, zebrał tłuste włosy w czub i wymachując jedną nogą w powietrzu, drygał jak zepsuty fajerwerk. Wykrzykiwał przy tym słowa piosenki na cały głos. Ubawieni widzowie nagrodzili go gromkimi oklaskami, ktoś nawet rzucił z galeryjki sztuczny kwiat. Wariat opadł na kolana, podniósł kwiat zębami i tańczył dalej na klęczkach, a na zakończenie padł plackiem i dojechał na plecach do skraju parkietu odpychając się piętami, dzięki czemu wszyscy mogli zobaczyć, że ma dziury w podeszwach. Ludzie pokładali się ze śmiechu.

— Kate i Shirley, zapraszamy was na parkiet! „Bigmouth Strikes Again”, ulubiony utwór Kate Winters! Tańczcie, nim dobiegnie końca! — wabił didżej Toni.

Louise i Mary przybiły piątkę i wzniosły toast białym winem.

Kate nie mogła uwierzyć, że jedna piosenka może trwać tak długo. Czuła się tak, jakby upokarzano ją od wielu godzin. Jej dusza łkała, ale uśmiech trwał na twarzy jak przymurowany. Dwie kelnerki pozbierały wariata z podłogi i odholowały go do bistra na frytki. Oklaski w końcu ucichły. Kate z przerażeniem zauważyła, że jej zlodowaciałe ręce zaczęły drżeć. Splotła je ciasno, całą siłą woli wzywając Shirley do powrotu.

Shirley, ukryta w zatłoczonym barze, ocierała łzy z oczu. Od lat się tak nie uśmieła. Widząc, że barman się jej przygląda, pospiesznie kupiła drinki i wróciła do stolika czując spóźnione wyrzuty sumienia, że zostawiła siostrę samą. Didżej zdjął płytę i nastawił kolejną.

— Pozdrowienia dla nieśmiałej Kate, a my tymczasem posłuchajmy kolejnego przeboju wszystkich dyskotek świata. „Oh L'Amour”, gra dla państwa grupa Dollar. Powiadam wam, nie wyrzuciłbym ich wokalistki z łóżka! Panie i panowie, zapraszam!

W ciągu paru sekund parkiet zapełnił się ponownie.

— Nie spieszyło ci się! — warknęła Kate chwytając szklanę. — Gdzie byłaś, kiedy potrzebowałam pomocy? Boże, co za koszmar, ja chyba śnię!

— Kazałaś mi nie wracać bez wódki.

— To było, zanim zostałam publicznie okryta hańbą. Doprawdy nie masz własnego rozumu?

— Ostrzegałam, że to się źle skończy. Zauważ, mnie też się oberwało.

— Twoje miejsce było przy mnie!

— Mówiłam ci, że Louise się dowie. Powinnaś dziękować Bogu, że w ramach premii nie wybiła ci zębów. Igrasz z ogniem, Kate. Zaczepiając kogokolwiek w tym mieście, człowiek musi być przygotowany na wszystko.

— Och, zamknij się lepiej! Zostaniemy jeszcze pół godziny, żeby zachować pozory, a potem wracamy do domu. Mam tego dość.

— Nie widzę przeszkód. Declana i tak nie ma.

— Nawet gdyby był, nie zostanę tu! Źle się czuję!

— Przecież to ty ciągniesz mnie tu w każdą sobotę. Nagle przestało ci się podobać? Mnie jest wszystko jedno, ale ty mogłabyś się na coś zdecydować, jak babcię kocham!

Shirley opadła na krzesło jak worek kartofli. W kamiennym milczeniu dopiły drinki. Kate, z trudem powstrzymując się od wybuchnięcia płaczem, rozmyślała, gdzie u licha podziąła się jej pewność siebie. Może te dreszcze to oznaka śmiertelnej choroby? Rano musi się zarejestrować u lekarza. Oczywiście jeśli dożyje rana. Pierś rozsadzało jej nieludzkie napięcie. Kurczowo uchwyciła się stolika, walcząc z zawrotem głowy. Muzyka była dziś stanowczo za głośna. Czy ten didżej chce, żeby wszyscy ogłuchli? Louise i Mary tańczyły zaśmiewając się do rozpuku. Kate patrzyła na nie z rosnącym przerażeniem. Jezus, Maria, zastanawiała się gorączkowo, czy to możliwe, żeby głupia piosenka Smithsów aż tak wytrąciła ją z równowagi? Zerknęła na Shirley szukając u niej wsparcia, ale Shirley rozglądała się po galeryjce za Declanem. Biedna Shirley! Declan Greenwood studiował medycynę i mieszkał w dużym domu po przeciwnej stronie Lisburn Road. Ocieniona starymi drzewami dzielnica pełna była mercedesów, a jej mieszkańcy zatrudniali ogrodników i sprzątaczkę. Declan grał w innej lidze, był poza zasięgiem i na tym można by zamknąć temat. W nagłym przypiływie współczucia Kate pogłaskała siostrę po ramieniu. Szeroka żółta przepaska na kruczoczarnych włosach nadawała Shirley nieco anemiczny wygląd, ale Kate nie miała serca, by jej to powiedzieć.

Louise szalała na parkiecie; pozwoliła sobie nawet na kilka piruetów i hołubców, ściągając powszechną uwagę. Przerażona Mary skłonna była się założyć o całą butelkę najlepszego olejku z paczuli, że to wszystko skończy się nieszczęściem. Mina Kate nie wróżyła nic dobrego. Ale Louise była wniebowzięta. Siadając, wymierzyła przyjaciółce taką sójkę, że Mary upuściła kieliszek z winem.

— Druga runda dla nas! — W oczach Louise palił się triumfalny ogień. — Zawsze czułam, że ten świr Morrissey w końcu się na coś przyda!

MARZENIA NIC NIE KOSZTUJĄ

Shirley śniła na jawie. Jej piękna baśń została w ciągu ostatnich miesięcy dopracowana w najdrobniejszych szczegółach. Mogła zacząć ją odtwarzać w głowie niczym film w dowolnej chwili, ilekroć się nudziła (czyli prawie zawsze, jeśli miałyby być szczerą).

Spotykają się w dyskotecie, najchętniej w ciemnym, spokojnym zakątku, z dala od koszmarnych sztucznych drzewek i automatu z papierosami. Declan jest sam, bez kumpli, może zmierza do baru? Shirley wchodzi z Kate do budynku. Ma lśniąco, nieskazitelnie przystryżone włosy, proste, lecz profesjonalnie podrasowane żelem. Jest odprężona i pewna siebie, owiana mgiełką eleganckiej tajemniczości. Kate zostaje z tyłu, niesie płaszcze do szatni, żeby po drodze porozmawiać z Alexem.

Declan zatrzymuje się pół kroku przed nią, uśmiecha nieśmiało, szczęśliwy, że nareszcie się spotkali. Podziwia jej strój, piękny brokatowy złocisto-czerwony żakiet i kutą bransoletę w stylu art nouveau zdobną postaciami wróżek. I kilka srebrnych pierścionków z półszlachetnymi kamieniami. Kosmyk włosów opada Shirley na oczy, on wyciąga rękę i delikatnie go odsuwa. A potem uśmiecha się szerzej, bo wielka przepaść między nimi nagle znika. Shirley mówi lekko, od niechcienia: „Cześć!”, a on instynktownie wie, że się jej spodobał. I nie martwi go, że jest biedna. Docenia jej urodę. Czuje się zaszczycony, że piękna Shirley Winters zechciała zwrócić na niego uwagę. Pragnie jej tak mocno, że przymyka oczy z nadludzkiego wysiłku, by nie rzucić się na nią i nie zdrzeć żakietu z jej gładkich białych ramion, niczym wampir z horroru biorący w posiadanie powolną mu dziewczinę.

Ona też tego pragnie, ale Declan jest przecież dżentelmenem. Napawają się cudownym oczekiwaniem na spełnienie, bo potem nie będzie już odwrotu. Zostaną związani ze sobą na całe życie. Dawni bogowie tego dopilnują. Na razie więc misterium zalotów rozpocznie się w sposób uświęcony tradycją: pójdą tańczyć.

Przez głowę Shirley przemknęła wiązanka melodii, romantyczny koncert życzeń. Po chwili zastanowienia wybrała grupę Japan. Nic nie mogło się równać ich gorzko-słodkiej nostalgii. Declan ujmuje jej rękę i prowadzi ją na parkiet z gracją zawodowego tancerza. Toną w swych ramionach i rozpoczynają razem spalający namiętnością taniec. Nawet przemądrzała Kate osłupieje z podziwu!

Kołyszą się przepięknie, bez słowa, w czubkach palców buzuje elektryczne napięcie, oczy utrzymują nieprzerwany kontakt. Krążą po parkiecie, Declan jedną dłonią przytrzymuje ją w talii; drugą od czasu do czasu muska jej twarz. Shirley porusza się z wdziękiem i tym razem nie papie jak narwana fantastka (by po chwili całkiem stracić rezon). Kate bije im brawo. Wychodzą z sali, biorą płaszcze i idą przez miasto trzymając się za ręce. Na ulicach nie ma nikogo, pijaków, chuliganów, bezdomnych, włóczęgów, manifestantów, durniów ani żadnych innych nieudaczników. Chodniki są czyste, nie skalane torebkami po czipsach i niedopałkami papierosów, hasłami na murach i głodnymi psami. Zamiatacze ulic wysprzątały je gruntownie wiedząc, że Shirley i Declan będą tędy przechodzić. Całe miasto stara się im nieba przychylić. No co? Ostatecznie to przecież fantazja.

Dokąd idą? Głupio się całować na ulicy, pod presją tłoczących się wokół murów. Nie może go zaprowadzić do swej malutkiej sypialni z wąskim łóżkiem zaścielonym brzydką patchworkową kołdrą i kulawym stolikiem pełnym tandetnej biżuterii i satynowych róż piętrzących się w wyszczerbionej porcelanowej sosjerce. I z różową tapetą w kwiatki upstrzoną plakatami gwiazd muzyki pop, z której Shirley dawno już wyrosła. Atmosfera byłaby za ciężka, zbyt intymna. A do tego apodyktyczna matka i nerwowy tato, kiczowate święte obrazki na ścianach i wytarty chodnik w korytarzu na górze...

Do niego? Też nie. Wciąż będzie się bała, że jego rodzice wejdą do pokoju. Zamożni ludzie ją onieśmielali. Mogli zniemacka zacząć mówić o golfie, zamorskich podróżach albo grze na giełdzie. Shirley nie miała pojęcia o operacjach finansowych, a gdyby podano jej herbatę w kosztownej filiżance, na pewno by ją stłukła i okryła się hańbą.

Mogliby pójść do najwytworniejszego apartamentu w najlepszym hotelu w mieście. Zarezerwowany wcześniej, czekałby na nich pełen świeżych kwiatów, z parującą egzotyczną kawą na stoliku. Nie. Zbyt snobistycznie i bezosobowo. To może zwykły hotelik przesycony przyjazną, rodzinną atmosferą? Lepiej, ale to wciąż nie to.

Ogród! Piękny ogród okolony wysokim żywopłotem, pełen rododendronów w rozkwicie. Shirley kochała rododendrony. Silny aromat i sama wielkość kwiatów robiły nierealne, baśniowe wrażenie.

Będzie padać. Shirley uwielbiała deszcz. W czasie deszczu ludzie chowali się w domach i miała całe ulice dla siebie. Smarkacze nie natrzęsali się z jej ślicznej teatralnej biżuterii, zajęci ochronieniem od zamknięcia sterczących z ust papierosów. W deszczowe dni mogła być po prostu sobą.

Tak. Deszcz zaskakuje ich w ogrodzie pełnym wielkich purpurowych rododendronów. Gwałtowna ulewa, taka jak w hollywoodzkich filmach. Nie mają parasola. Mokra twarz Declana jest jeszcze bardziej sexy, wygląda tak męsko, tak... dziko. Strużki wody spływają mu pod rozpiętą przy szyi koszulę i Shirley żałuje, że nie może śledzić ich dalszego biegu. Trzymając się za ręce, ze śmiechem pędzą przez trawnik do wyciętej w żywopłocie niszy. W tym zakątku ogrodu jest ciemno i cicho. (Może jakiś posąg, by wzmocnić efekt dramatyczny?)

Declan tuli ją do siebie i lekko całuje. Najpierw patrzą na siebie, a potem, zaczynając sobie ufać, zamykają oczy i poddają się hipnotycznemu rytmowi rozchylających się i zwierających warg. Declan rozpina jej płaszcz, wsuwa podeń zziębnięte ręce. Ogrzewa jej twarz swoim ciepłym oddechem. Powoli, bardzo powoli jego dłonie przesuwają się na jej biodra i spoczywają tam przez chwilę, nim podejmą pieścizotliwie wędrówkę do góry. Shirley muska lekko jego jasne włosy, a może nawet też opiera dłonie na tych wąskich biodrach, które tak sprężysto poruszają się w ciemnoszarych bojówkach. W takiej chwili przydałby się daleki odgłos grzmotu.

Są sami. Są młodzi. Są zakochani. Tak bardzo zakochani, że wojny na całym świecie nagle ustają w dowód czci dla ich miłości. Declan odnajduje zamek błyskawiczny jej czarnego swetra, całuje ją jeszcze raz i... i...

Nie była całkiem pewna, jaki będzie dalszy ciąg, ale zwykle na tym etapie omdlewała już z pożądania, zbyt wyczerpana, by się nad tym zastanawiać. Czy będą się całować i rozmawiać bez końca? Jedyne, wymarzone Declan Greenwood i ona, Shirley Winters, we własnej osobie? Prawdziwa, realna, romantyczna para, wbrew wszelkim przeciwnościom. Czy to się kiedyś ziści? A jeśli się ziści, czy Shirley przypadkiem nie umrze z wrażenia?

Kiedyś spytała Kate o radę, co robić, jeśli znajdzie się w jednoznacznie erotycznej sytuacji. Kate nie paliła się zbyt do przytaczania przykładów z własnego doświadczenia; powiedziała tylko, że jeżeli oboje zainteresowani są wobec siebie czuli i uważni, aspekt fizyczny rozwija się w sposób naturalny. Nie ma co się tym martwić. Owszem, różnego rodzaju broszury są przydatne w kwestiach techniki i zapobiegania ciąży, ale niewiele się w nich mówi o pociągu fizycznym i prawdziwej miłości. W tych sprawach nie ma wiarygodnych instrukcji. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy związek nie rokuje na przyszłość i trzeba się uwolnić od partnera. Zwykle jak na złość łązi wtedy za tobą z kwiatami i czekoladkami i prześladowuje gradem rozpaczliwych telefonów. Dlatego właśnie Kate podobał się Alex: nie dawał się uwieść

tak łatwo jak inni. Rozmawiał ze wszystkimi, kokietował rzesze dziewczyn, ale większość wolnego czasu spędzał ćwicząc z Jimem na siłowni w Northside.

Shirley miała własną teorię tłumaczącą, dlaczego Kate unika stałych związków: po prostu było jej wygodnie w białym pałacu panińskiej sypialni. Zapracowana matka podtykała jej pod nos gorące obiady i uprasowane ciuszki. Trudno było sobie wyobrazić Kate prowadzącą własny dom.

A ona? Jej też było znacznie łatwiej tylko marzyć o Declanie — znacznie bezpieczniej, niż wyjść w prawdziwy świat narażając się na odrzucenie, upokorzenie i fiasko.

Palce Declana zaciskają się na uszku zamka i ciągną. Shirley wciąga powietrze, wstrzymuje oddech i wtedy...

Pip! Pip! Pip!

Po chwili budzik cichnie. Ósma. Koniec snów. Shirley siedzi spłoszona we własnym łóżku.

— Chodź, córuś! — woła z dołu mama. — Zjesz grzanekę z bekonem przed pójściem do pracy? Nie ma ciepłej wody, wszystką zużyła Kate. Skaranie boskie z tą dziewczyną!

10.

DRODZY ZASIŁKOŻERCY

Kate i Shirley biegły przez Royal Avenue do biura, w którym obie pracowały. Był sierpień i awaria jednej ciężarówki zakorkowała ruch w całej południowej części miasta.

— Niech szlag trafi komunikację miejską! — warczała Kate. — Znów się spóźnimy!

— To nie ich wina — sapała Shirley, usiłując nadażyć za siostrą. — Co cię znów ugryzło?

— Co? Czwarta sobota z rzędu i nie zamieniłam nawet słowa z Alexem. Za każdym razem, kiedy myślę, że Gwiazdor nareszcie zamknął się w swoim biurze, ten ni stąd, ni zowąd pojawia się w holu. Jak mam się zbliżyć do Alexa, kiedy Hogan skrada się po całej budzie niczym tygrys na łowach?

— Spójrz na to z drugiej strony: Louise też nie miała okazji się do niego dorwać.

— Nawet mi o niej nie mów! Zrobiła ze mnie pośmiewisko! Wielka Morda, psiakrew, wszyscy tarzali się z uciechy! I ten wariat kicający po parkiecie! Myślałam, że zapadnę się pod ziemię!

— Och, że trochę się pośmiali...

— Nie śmiali się z ciebie! To było potworne. Zresztą ty w tym czasie ukrywałaś się w barze! Gdy ja omal nie umarłam ze wstydu!

— No cóż, jeśli boisz się sparzyć, nie grzeb w piecu, jak mawiają. Mówiłam ci, że Louise się dowie.

— Ale kto jej doniósł?

— Założę się, że Jim. On lubi wsadzać kij w mrowisko.

— Ciekawe, po co?

— Nie wiem. Pewnie się nudzi, stojąc przy drzwiach przez całą noc, i rozpuszcza plotki dla rozrywki.

— No nie! Patrz, Siekiera już wchodzi! Zawsze najpierw idzie do stołu z pocztą. Prędko, Shirley! Łap drugą windę!

Popędziły do stołu, na którym sortowano pocztę, ściągając w biegu kurtki, które ukryły w szafce z naczyniami. Reszta urzędniczek kończyła właśnie pałaszować poranne drożdżówki, zapijane wodnistą kawą z pracowniczej kantyny.

— Siekiera nadciąga! — ostrzegła je Kate. — Prędko! Dawać worek, zobaczymy, ile próśb o wsparcie przysłali nam dzisiaj nasi drodzy zasiłkożercy, oby dobry Pan Bóg załatał im buty!

— Kate Winters! — zagrzmiała kierowniczką, wchodząc do pokoju. — W tym urzędzie nie używa się takiego słownictwa. Chyba chciałaś powiedzieć: „Otwórzmy dzisiejszą pocztę od szanownych petentów”?

— Tak, panno Bingham.

— Mam nadzieję, że wykrzeseś z siebie nieco więcej szacunku dla tych, którym powiodło się w życiu gorzej od nas. Jeśli nie podoba ci się ta praca, wiesz, jak temu zaradzić. Jestem pewna, że ktoś z naszych drogich zasiłkożerców byłby nią zachwycony.

— Tak, panno Bingham.

— Znakomicie. Wobec tego pospiesz się z tymi listami.

Kate bez dalszej zwłoki rozwiązała wór z pocztą i wysypała jego zawartość na stół. Kobiety w milczeniu przysuwały do siebie chwiejne stosy kopert, otwierały je kolejno,

przebiegały oczyma tekst i sortowały według nazwiska nadawcy. Panna Bingham zgromiła jeszcze Kate potępiającym spojrzeniem, po czym przeszła do wydziału weryfikacji świadczeń, by się dowiedzieć, czy weekendowe operacje wywiadowcze przyniosły jakieś interesujące wyniki.

Nieco później Shirley otworzyła dość niechlujny list podpisany przez Alexa Stone'a. Odłożyła go na bok i kiedy skończyły, przeczytała treść:

Szanowny Panie,

Oburza mnie posądzenie, że chciałem oszukać wydział pomocy społecznej. Osoba, która na mnie doniosła (nie podał Pan nazwiska), to prawdopodobnie moja była dziewczyna, która chce się na mnie zemścić za to, że z nią zerwałem. Nachodzi mnie i prześladowuje od wielu tygodni, więc myślę, że to pewnie ona. Wie Pan, jakie są kobiety. Wydaje im się, że mają człowieka na własność. Nie pracuję w ochronie dyskoteki Hogana ani nigdzie indziej. Bywam tam często, ale to dlatego, że jestem bardzo towarzyskim człowiekiem.

Z poważaniem Alex Stone.

Shirley wsadziła list do kieszeni i w porze lunchu, kiedy obie zeszły do kantyny, pokazała go Kate. Kate rozdziobywała widelcem hojną porcję dorsza z frytkami i zdawała się nie doceniać wagi tej informacji.

— Nie jesz? — spytała Shirley, wskazując rybę.

— Wyglądał apetycznie — odparła z roztargnieniem Kate — ale jakoś odechciało mi się jeść.

— No to słuchaj. Chodzi mi o ten list. Zdajesz sobie sprawę, w jakim świetle stawia twojego Alexa?

— Że co? Że jakaś zazdrosna cizia doniosła na niego? Czy naprawdę musisz się zapinać po samą szyję, Shirley? Robi mi się duszno, kiedy na ciebie patrzę.

— To męski szowinista! „Wie pan, jakie są kobiety...”.

— I co z tego? Nie każda kobieta to ideał, spójrz na Louise Lowry, tę wstrętną toksyczną kluchę!

— Znów umyka ci sedno sprawy.

— Nic mi nie umyka. Pół Belfastu pracuje na czarno i wszyscy o tym wiedzą. Ponoć płacooszczędna polityka miała ożywić to rozdarłe konfliktami gospodarcze pustkowia. Jak, na

Boga, Alex ma wyżyć z pensji ochroniarza? My obie mieszkamy z rodzicami, prawda? Jakoś nie stać nas na to, by wynająć własne lokum.

— Nie chodzi mi tylko o to, że jest nieuczciwy.

— Nie? — Kate odłożyła nóż i widelec. Czowała mdłości i dziwną drżączkę.

— Oczywiście, że nie tylko o to. Belfast jest małym miastem. Złapią go.

— Znalazła się druga Maggie Thatcher! Od kiedy to jesteś cholerną toryską? Sama spróbuj wyżyć za te nędzne grosze, które Alex zarabia u Hogana. Łatwo się mówi tym ministerialnym snobom, mają wille i miliony w banku. Nie wiedzą, jak to jest być głodnym!

— Wcale nie o to chodzi, Kate. Gdyby uczciwie przedstawił swoją sytuację, dostałby zasiłek wyrównawczy. Na litość boską, wiesz przecież, że nie jestem żadną toryską. Wszyscy nasi znajomi z trudem wiążą koniec z końcem. Nie znam nikogo, komu dobrze się powodzi. Alex może stanąć przed sądem za oszustwo. Zaostrzyli sankcje. Nie czytałaś ostatniego okólnika?

— Do kogo jest zaadresowany ten list? Myślisz, że Weryfikacja już wszczęła postępowanie?

— Na pewno. — Shirley złożyła list. — Trzeba im to przekazać

— Dawaj, ty mała zdrajczynie swojej klasy — warknęła Kate, wrywając jej list z ręki i chowając go do kieszeni. — Później wyrzucę go do kosza. Naprawdę nie mają nic lepszego do roboty? Prześladowują biednego Alexa za parę nędznych funtów!

— Nie możesz go wyrzucić, jest wpisany do dziennika — zauważyła Shirley. — A przede wszystkim, idiotko, to jest odpowiedź na wcześniejsze pismo, które wysłali do niego z Weryfikacji. Nawet jeśli nie dostaną odpowiedzi, i tak nie zamkną sprawy.

— Och, na litość boską! No dobrze. Dzięki, że mi o tym powiedziałaś, Shirley. Byłaś mi niezmiernie pomocna.

— Co masz zamiar zrobić?

— Ostrzegę Alexa, że mają go na oku i mogą kogoś wysłać do Hogana, żeby sprawdzić, czy tam pracuje. To będzie fantastyczna okazja, żeby się z nim zbliżyć.

— Jeśli ktoś się dowie, będziesz miała kłopoty. Możesz stracić pracę.

— Shirley, ten biedak tylko stara się przeżyć do czasu, aż dostanie spadek. To jest tak zwana proza życia, wiesz? Nie wszyscy potrafią żyć marzeniami i tandetną starzyzną jak ty.

— No cóż, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Ale skoro już uparłeś się do tego mieszać, to przynajmniej przekaż mu wiadomość przez kogoś, żeby nie widziano, jak rozmawiasz z Alexem.

— Przesadzasz. Nikt się nie dowie. Ten cholerny urząd jest pełen żywych trupów. Zostało jeszcze trochę herbaty? Ssie mnie w żołądku.

Shirley z rezygnacją pokręciła głową i podała siostrze dzbanek.

11.

KATE OSIĄGA CEL

Mina Louise Lowry warta była uwiecznienia. Mary nie potrafiła jej pocieszyć, choć z uporem godnym lepszej sprawy powtarzała, że tak jest lepiej. Oto Alex Stone obejmował w pasie Kate Winters i gadali ze sobą jak nakręceni. Nie przestali nawet wtedy, kiedy w holu pojawił się Johnny Hogan. (Gwiazdor był ostatnio jakby zamyślony i nie trzymał personelu tak krótko jak dawniej.) Louise i Mary nie mogły wiedzieć, że Kate zagrała swoją atutową kartą i Alex właśnie wyrażał jej wdzięczność.

— Jesteś wyjątkową dziewczyną, Kate. To bardzo przyzwoicie z twojej strony, że mi powiedziałaś, co knują ci faszyści z zasiłków, nie obraż się, że tak mówię. No, po prostu równa z ciebie babka.

— Jestem przeciwna traktowaniu w ten sposób wyzyskiwanej siły roboczej. Nie mogłam stać z boku z założonymi rękami.

— Świetna z ciebie dziewczyna. Wiesz, chwilowo jestem w dołku... to przejściowa sprawa. Już niedługo wyjdę na prostą.

— O tak, wiem. Ja też nie zamierzam do końca życia tyrać w pomocy społecznej. Nie jest to praca, o jakiej marzyłam. Mam już po dziurki w nosie biura i tych wszystkich biurw.

— Tak, mała. Oboje jesteśmy stworzeni do wyższych rzeczy. Jak mogę ci podziękować? Może dałabyś się zaprosić na kolację? Na przykład w przyszłą sobotę?

Nareszcie, pomyślała Kate. Nareszcie.

— Bardzo chętnie — powiedziała. — Nie będziesz w pracy?

— Nie. Wezmę tu parę tygodni wolnego. Jest inne miejsce, gdzie będę mógł zarobić trochę grosza, dopóki szpiedzy z socjała się nie odczepią. Dasz mi swój numer telefonu?

— Jasne. To jesteśmy umówieni? Nie zapomnisz?

— Na pewno nie zapomnę. — Alex zapisał numer na przedramieniu. — A teraz znikaj, skarbie, bo Johnny urwie mi łeb. — Klepnął ją w pupę.

Kate znalazła siostrę w bistrze, gdzie Shirley bez przekonania siorbała wrzącą, lecz lurowatą kawę. Strzepnęła okruszki z winylowej tapicerki krzesła i ostrożnie umieściła na nim opięte skórzaną minispódniczką pośladki. Musiała uważać, jak siada. Tak krótkie spódnice potrafiły złośliwie podjechać aż do pasa.

— Mów — odezwała się Shirley. — Nie pomijaj żadnych drastycznych szczegółów. Umówiłaś się wreszcie? A co ważniejsze, pamiętałaś, żeby najpierw się zaszczepić, nim nawiążesz bliskie osobiste stosunki z tym zwierzęciem?

— Odczep się, dobrze? — Kate była co prawda w znacznie lepszym nastroju niż zwykle, nie oznaczało to jednak jeszcze pogody ducha. Niepokojące symptomy mogły wrócić w każdej chwili, a wtedy naprawdę będzie musiała iść do lekarza. Kate panicznie się bała, że lekarz zdiagnozuje u niej obłąd.

— Znasz jakiegoś dobrego weterynarza? — zaśmiała się Shirley. — Tak na wszelki wypadek.

— Och, zamknij się, powiedziałam. Dałam mu numer telefonu.

— Okej. To twoje życie. Nie powiem już ani słowa.

— I dobrze. Louise tak się na nas gapiła, że omal nie fiknęła kozła. Całkiem ją zamurowało. Och, jakże słodki jest smak zwycięstwa! Jakże słodko, słodko, słodko jest zarwać chłopa!

— Na ten temat trudno mi się wypowiadać.

— Powiem ci coś, co od razu cię ożywi. Declan Greenwood jest tutaj.

— Kate! Żartujesz? Gdzie?!

— W głównym barze. Wszedł z kumplem, kiedy rozmawiałam z Alexem. Patrzył na mnie tak, jakby mnie poznawał. Pewnie przyuważył nas w sklepie z płytami. Zostaw te pomyje, strzel sobie podwójną wódkę i idź go uwieść.

— O Boże. Muszę sprawdzić, czy makijaż mi się nie rozmazał. Zaczekaj tutaj.

— Stój! Teraz nigdzie nie odchodź. Jakiś desperado zmierza w naszym kierunku. A niechże mnie, to Kevin McGovern!

— Faktycznie... Trudno go poznać bez kombinezonu.

Kevin niezgrabnie podszedł do stolika i spytał, czy może postawić im po drinku. Na jego widok obie siostry zaniemówiły. Najwyraźniej przeszedł gruntowną przemianę. Kraciaste koszule i szarobure spodnie rury odeszły do lamusa. Miał na sobie luźny różowy garnitur z rękawami podwiniętymi do łokci, do tego jaskrawoniebieską koszulę bez krawata i białe zapinane na rzepy buty z długimi noskami. Stroju dopełniała — nie do wiary! — niebieska jedwabna chusteczka zwisająca z kieszonki marynarki oraz fryzura à la Simon Le Bon z jasnymi pasemkami i strzępiastą grzywką. Co się stało z jego ciemnymi gładko ulizanymi włosami?

— O Boże — wyszeptała w końcu Kate. — To naprawdę ty?

— We własnej osobie — odparł z dumą. — Co sądzisz o moim nowym image'u?

— Niewiarygodny.

— Dzięki — rzekł Kevin, bardzo z siebie zadowolony. — Napijcie się czegoś?

— E... e... kawy? Może jeszcze kawy? — zająknęła się Shirley, mocno oszołomiona wyglądem Kevina. Przebił wszystkich, nawet ją, choć miała na sobie zabytkową wyszywaną cekinami małą czarną, do tego czerwone getry i czarne sznurowane zamszowe buty za kostkę. I cztery bransoletki, które sama zrobiła z modeliny zdobionej sztucznymi kamieniami.

— Poprosimy o wódkę. Bez lodu. I jedną colę na spółkę. — Kate uśmiechnęła się promiennie do Kevina i wbiła Shirley sójkę w bok. — My tymczasem znajdziemy stolik blisko parkietu.

— Świetnie — odparł Kevin. — Zaraz wracam.

Zaaferowany pospieszył do baru. To doprawdy przełom w jego stosunkach ze śliczną Kate, wart straszliwej nawały drwin, którymi obsypali go bracia na widok nowej fryzury. Przyjaźnili się już dwa lata, lecz jak dotąd bez efektów, postanowił więc nieco zintensyfikować bodźce. Zapytał o radę zrobionego na bóstwo sprzedawcę w modnym londyńskim sklepie. Ten sprzedał mu różowy garnitur i powiedział, co ma zrobić z włosami. Dziewczyny uwielbiają pozerów, tak się dokładnie wyraził.

Czekając, aż barman ustawi drinki na tacy, Kevin ściągnął na czoło kosmyk usztywnionych żelem włosów. Zauważył, że na dziewczyny to działa. Nazywano to stylem na „ślicznego chłopca”. No cóż, jeśli ma mu to pomóc, będzie tak śliczny, jak tylko zdoła.

Tymczasem Kate i Shirley rozsiadły się przy nowym stoliku w sali tanecznej. Kate miała nadzieję, że Alex ich zauważy i będzie zazdrosny. Oczywiście nie aż tak zazdrosny, by od razu przybiec i dać Kevinowi w mordę. Ufała również, że Kevin poradzi sobie w bójce. Skoro

całymi dniami pracuje fizycznie w tym swoim warsztacie, powinien być chyba silniejszy, niż wygląda.

— Jak zwykle spadłaś na cztery łapy, szczęściaro! — westchnęła Shirley. — Chłopak patrzy w ciebie jak w obraz, chociaż nie zadałaś sobie nawet trudu, żeby być grzeczna. Jak ty to robisz, Kate?

— Jestem piękna.

— I skromna.

— Nie, piękna. Mężczyźni to bardzo prymitywne stworzenia, mówiłam ci już o tym.

— Chyba nie chcesz go wykorzystać do zwrócenia na siebie uwagi Alexa? Co, Kate?

— Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. — Trzeba oddać Kate sprawiedliwość, że mówiąc te słowa, zarumieniła się lekko.

— Wraca. Bądź dla niego miła, bardzo cię proszę. To dobry chłopak — szepnęła Shirley, nim Kevin usiadł przy stoliku i postawił przed nimi drinki. Zafundował każdej oddzielną colę, a wódki podwójne. Zmusił nawet barmana, żeby nalał je do ładnych kieliszków i przybrał plasterkami cytryny.

Kevin z uśmiechem podniósł do ust lodowate piwo. Siostry odpowiedziały mu uśmiechem. Było doprawdy bardzo miło. I pomyśleć, że chłopcy w barze orzekli, iż każda kobieta wolałaby umrzeć, niż pokazać się z gościem w różowym ubraniu. Chcieli się zakładać o duże pieniądze. A oto siedział przy stoliku w towarzystwie dwóch bardzo atrakcyjnych dziewczyn. Rezultat przerósł oczekiwania. Ci piosenkarze z telewizji jednak wiedzą, co robią. Biedny Kevin nie miał oczywiście pojęcia, że Kate dopiero co umówiła się z Alexem. (Co prawda Alex jeszcze nie skonkretyzował, ale też i nie zdążył odwołać randki.) Shirley rzuciła okiem w przeciwny koniec sali. Alex i Jim wyciągali szyje ze swego stanowiska pod ścianą, zaciekawieni nowym konkurentem. Odniosła wrażenie, iż przez twarz Alexa przemknął cień niepokoju.

Kate natomiast była zaniepokojona nie na żarty. Zdawała sobie sprawę, że jeśli Kevin choćby otrze się o kogoś na parkiecie, Alex natychmiast wyrzuci go za drzwi pod zarzutem wszczynania bójek. Bramkarze u Hogana mieli prawie absolutną władzę. Postanowiła nie wychodzić z nim na parkiet, nie ma sensu niepotrzebnie wkurzać Alexa. Zamiast tego chętnie pogawędzi z tym nowym, odmienionym Kevinem, starając się, by wyglądało to na zwykłą koleżeńską rozmowę.

— Powiedz mi, Kevinie, czy też jesteś poganinem? Uważasz, że wszyscy podlegamy władzy księżycy? — Zaczynała jej się kręcić w głowie. Pewnie z nerwów, że Louise Lowry znów zadedykuje jej jakąś piosenkę.

— Nie rozumiem. — Kevin nachylił się nad stołem, częściowo, żeby lepiej słyszeć, a częściowo po to, by z bliska obejrzeć monumentalny biust Kate. Trudno mu się było skupić w obecności tak nieskalanego piękna. Różowym mankietem otarł perlący się na czole pot.

— Nie zwracaj uwagi na moją siostrę — wtrąciła Shirley. — Chyba odrobinę za dużo wypila.

— Nie rób ze mnie alkoholiczki, mała. Cóż to jest pięć czy sześć drinków?

— Wyglądasz nieziemsko, Kate. Masz takie piękne włosy. Takie lśniące... — Kevin był na fali i nie chciał pozwolić, by siostrzana sprzeczką weszła mu w paradę.

— Byłam niedawno u fryzjera.

— Cudownie!

— O, dzięki! Ty też nieźle dziś wyglądasz. Podoba mi się twój garnitur.

— Naprawdę? — Kevin był uszczęśliwiony. — Kupiłem go w Londynie.

— Poważnie? Ot, tak? Co tam robiłeś?

— Zawiozłem mamę do prywatnej kliniki. Robiła sobie żyłaki.

— Jakież to miłe. W Londynie mają dobrych lekarzy. Jak ci idzie interes?

— Świetnie. Jestem zawalony robotą. Mógłbym nawet przyjąć pomocnika albo i dwóch. Do tej pory nie zwracałem sobie tym głowy. Łatwiej zrobić coś samemu, niż nauczyć kogoś, jak ma to zrobić.

— Doskonale rozumiem, co masz na myśli — zachichotała Kate.

Shirley wzniosła oczy ku niebu.

— A ty gdzie teraz pracujesz, Kate? Nadal w służbie publicznej?

— Tak. Chcieli mnie ściągnąć do Hollywood, ale powiedziałam: nie, moim powołaniem jest pomoc bezrobotnym. Mam prawdziwy talent do wypełniania formularzy, przekazywania pism i odbierania telefonów.

— To odwrotnie niż ja. Mam zdolności manualne, ale nie znoszę papierkowej roboty. Stworzylibyśmy razem świetny zespół. — Kevin rozpromienił się od ucha do ucha, piastując w myśli tę przepiękną wizję.

Kate zerknęła ukradkiem na Alexa. Stał z rękami ciasno splecionymi na piersi — znak, że jest w złym humorze.

— Zatańczysz, Kate? — Kevin wstał i podał jej ramię gestem, jakiego nie powstydziliby się na balu u królowej.

— Och, nie, jaka szkoda! Stłukłam sobie kolano o szafkę z aktami w pracy.

— To rzeczywiście szkoda. Bardzo ci współczuję. — Kevin usiadł z powrotem i zaczął miać błękitną jedwabną chusteczkę w żyłastych palcach.

— Shirley z tobą zatańczy. Prawda, Shirley?

Shirley zakrztusiła się drinkiem i gwałtownie potrząsnęła głową. Nigdy nie tańczyła, dopóki nie była dobrze wstawiona. Zanim odważy się na drobną rundkę po parkiecie, miną co najmniej dwie godziny. Ale Kate kopnęła ją w nogę pod stolikiem, nieznacznie wskazując głową obserwujących ich bramkarzy.

— Idźcie, idźcie. Ja popilnuję drinków.

Kevin wstał ponownie, nie pozostawiając jej wyboru. Ruszyła za nim w takt kończącej się właśnie piosenki, modląc się w duchu, żeby didżej Toni znalazł coś przyzwoitego w swojej eklektycznej kolekcji. Minęła dobra chwila, nim rozpoznała następny utwór: „The Land of Make Believe” w wykonaniu Buck's Fizz.

Didżej ściszył nieco muzykę i oznajmił:

— Czyż to nie piękne? Wiecie, że Buck's Fizz to nazwa drinka? Szampan z sokiem pomarańczowym, jeśli się nie mylę. Minęło sześć lat, odkąd ten utwór zawojował listy przebojów. Sześć lat! Ależ ten czas leci! — po czym podkręcił muzykę tak, że wszelkie rozmowy stały się niemożliwe.

Tancerze z mniejszym lub większym wdziękiem kręcili się po parkiecie. Kevin wypatrzył nieźle ubranego chłopaka, który zamiast krawata miał pod szyją dużą broszę. Powinien też sobie taką kupić. No, może nie tak wielką, bez przesady. Kevin zazwyczaj ubierał się fatalnie i miał tego pełną świadomość, ale dziś dołożył wszelkich starań, żeby ładnie wyglądać i jeszcze ładniej pachnieć. (Zużył pół butelki wody po goleniu.)

Shirley właśnie sama to odkryła. W oparze woni unoszącej się z twarzy i szyi Kevina trudno jej było oddychać. Trochę mu współczuła. Najwyraźniej zapatrzył się na wideoklipy Duran Duran — do złudzenia przypominał członków grupy, przynajmniej z tyłu. Musiało mu strasznie zależeć na Kate, skoro zadał sobie aż tyle trudu. Uśmiechnęła się na znak, że docenia jego towarzystwo.

Kate dopiła swoją wódkę, a potem wódkę Shirley. Przesłodzona, sentymentalna piosenka zaczęła ją wzruszać. Poczowała tęsknotę — do kogo? Do czego? Nie umiała powiedzieć. Z

przerażeniem uświadomiła sobie, że zaczyna tracić pewność siebie. Chyba udzielił jej się fatal-fatalny nawyk Shirley: za dużo myśli. Co w ogóle robi w tym betonowym bunkrze? Czy kocha Alexa na tyle, żeby go pocałować? Żeby za niego wyjść? Czy w ogóle chce wyjść za kogośkolwiek? Może powinna dać szansę Kevinowi; jest miły, co do tego Shirley miała rację. Zwykle tak krańcowo pewna siebie Kate potrzebowała rady i podpory; to było całkiem nowe doświadczenie.

Coś dziwnego działo się z jej dłońmi. Czyżby znów zaczynały drżeć? Nie, tylko nie to! I z oczami — czy to łza? Lustro, musi przejrzeć się w lustrze. Sięgnęła po torebkę, wstała zbyt gwałtownie, alkohol zakręcił jej w głowie. Z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć, ruszyła do toalety. W wyziębionym przeciągami pomieszczeniu poczuła się nieco lepiej. Weszła do kabiny i zaraz opanowało ją dziwne uczucie, jakby nie stała w ciasnej klitce, lecz unosiła się nad nią. Opuściła klapę sedesu i usiadła. Ręce trzęsły jej się tak, że nie była w stanie urwać kawałka papieru toaletowego, żeby otrzeć twarz. Jezu!

W tejże chwili drzwi otwarły się gwałtownie i do środka wpadły z impetem Louise i Mary. Kate wstrzymała oddech, przysłuchując się rozmowie prowadzonej nad umywalkami:

— To nie potrwa długo, Louise. Wspomnisz moje słowa.

— Może potrwać. Ta wiedźma jest zdolna do wszystkiego. Alex będzie jak wosk w jej rękach.

— E tam. Prędko się znudzi. A zresztą skąd wiesz, że się z nią umówił? Rozmawiali tylko chwilę.

— Bo widziałam jej minę. Będzie się tym pysznić przez pięćdziesiąt lat. Nie pozostaje mi nic innego, jak wyemigrować.

— Och, na litość boską, nie przesadzaj! Powiem ci coś z dobrego serca: ten facet to wielki, nudny kawał mięsa. Co gorsza, nie zdaje sobie sprawy z własnej siły i kiedyś niechcący udusi cię w łóżku. Opuść go Kate Winters, dobrze ci radzę. Że też ze wszystkich znanych mi osób właśnie ty mogłaś do tego stopnia zgłupieć!

— Mary!

— Nie zbliżyłabym się do tego osła nawet za całą biżuterię świata. Chyba ci odbiło, że myślisz o nim poważnie. Przecież on jest głupi jak but!

— Naprawdę tak uważasz czy starasz się mnie pocieszyć?

— Naprawdę tak uważam.

Zapadła cisza. Louise ważyła w myśli słowa Mary. Może istotnie powinna poczekać, aż Alex odziedziczy te miliony. Niekoniecznie musi z nim głodować.

— Chyba masz rację — oświadczyła z przekonaniem. — Chodź. Noc jest jeszcze młoda. Zobaczymy, czy dziś objawił się ktoś interesujący.

— Mądra dziewczyna. Ale najpierw pójdziemy do baru na kielbasę. Nie zdążyłam zjeść obiadu.

— Dobra. Wyżerka podniesie nam morale.

— I ostrzegam cię: nie waż się robić maślanych oczu do Alexa. Jeśli dojdzie do bójki między tobą i Kate, nie licz na moje wsparcie.

— Nie, dam sobie spokój. Kate może go zatrzymać. Ciekawe, czy Alex weźmie hantle w podróż poślubną?

— O, na pewno! A kiedy wypełni obowiązek małżeński, stanie w kącie i będzie tam stał przez resztę nocy z założonymi rękami.

— Cha, cha, cha! Czekaj, zdejmę stanik, bo niedługo przerznie mnie na pół.

— Wsadź go do torebki i chodź. Słyszę z baru zew gigantycznej kielbasy, która wprawi mój żołądek w orgazmiczną rozkosz.

— Jesteś dziką kobietą, Mary. Podoba mi się twój styl.

Echo ich chichotu ześliznęło się po wykafelkowanych ścianach. Kate została sama w zamkniętej kabinie z uczuciem, że wylosowała pusty los na loterii. Wygrała wojnę na biusty — i co z tego? Czowała się jak w pułapce. A jeśli Shirley przejrzała Alexa? Jeśli rzeczywiście był podłym kłamcą i wcale nie miał bogatego stryja? Czy powinna natychmiast odwołać randkę, czy poczekać, aż zadzwoni? I dlaczego żart o podróży poślubnej tak bardzo ją dotknął? Przecież wcale nie chce za niego wychodzić! Nie chce? A może jednak chce? Nagle — jakby nie dość jeszcze cierpiała — poczuła, że jakiś ptaszek trzepocze skrzydłami tuż pod jej sercem. Wpadła w panikę i zaczęła oddychać zbyt szybko. Może powinna wrócić, poprosić Kevina, żeby wyprowadził ją na powietrze? I pottrzymał za rękę, to by jej pomogło. Tylko że Kevin odczyta to jako zaproszenie.

O Boże. Doprawdy, że też musiał przyczepić się do nich właśnie dziś, w tym idiotycznym różowym ubranku! Mówił miłe, nieszkodliwe bzdury, które nie wiedzieć czemu strasznie ją irytowały. Wódka przyprawiła ją o koszmarne mdłości; zobaczyła w lustrze białą jak kreda twarz widma. Pozostało tylko jedno: ucieczka. Musi stąd uciec!

Potyając się, dotarła do automatu w holu i zadzwoniła po taksówkę. Mieli akurat jedną na parkingu pod dyskoteką, dyspozytor zarezerwował ją dla Kate. Podziękowała i drżącą ręką odwiesiła słuchawkę na widełki. Wzięła głęboki oddech. Za kilka minut będzie w domu. Tam poczuje się lepiej.

Tymczasem Shirley i Kevin świetnie się bawili. Kevin okazał się całkiem przyzwoitym tancerzem, a Shirley rozluźniła się na tyle, że taniec zaczął jej sprawiać przyjemność. Było ciemnowo, więc nikt na nich nie patrzył, a zresztą większą uwagę z nich dwojga i tak przyciągał Kevin. Mało kto mógł bezkarnie włożyć różowy garnitur. Alex Stone i Jim Cygan odbyli na ten temat gorącą dyskusję. Jim przypuszczał, że Kevin jest mistrzem karate, zdolnym unieszkodliwić przeciwnika jednym błyskawicznym ciosem w krtani. Alex był zdania, że to po prostu dureń, gotów zaryzykować życie, żeby zrobić wrażenie na dziewczynach. Bo chyba zdawał sobie sprawę, iż w drodze powrotnej zostanie skopany przez normalnych facetów w dżinsach i skórzanych kurtkach? (Alex w każdym razie miał taką nadzieję.)

Kevin i Shirley odgrywali natchnioną pantomimę przy dźwiękach „Bedsitter” Soft Cell. Ramiona wyrzucane na zewnątrz i w górę. Taniec wzniesionych dłoni. Shirley zapomniała o Declame Greenwoodzie, toteż nie spostrzegła, że stoi przy parkiecie i z zainteresowaniem przygląda się dziewczynie obdarzonej równie jak on muzykalną duszą. Nawet Kevin zapomniał, że tańczy tylko z siostrą ukochanej kobiety. Tańczące po ścianach kolorowe błyski i pospiesznie wypity alkohol przeniosły ich w krainę czarów.

Melodia przycichła i bez przestanku przeszła w „Say Hello Wave Goodbye”. Tańczyli dalej.

— Soft Cell jest nie do pobicia! — zauważył rozmarzonym głosem didżej. — Nie stawiałbym na Marca Almonda w zapasach, ale chłopak potrafi śpiewać. Niechże mu się szczęści. Powiadam: żyj i pozwól żyć innym. Czadu, chłopcy!

Kate pozwoliła swemu różowemu zalotnikowi i dziwacznie odzianej siostrze wykonać wielki finał w świetle reflektorów, po czym przepchnęła się przez tłum tancerzy kołyszący się zgodnie na parkiecie niczym ławica ryb. Powiedziała „dobranoc” bardzo rozczarowanemu Kevinowi, złapała Shirley za łokieć i wyciągnęła ją wprost na ulicę. Po upale panującym w sali wiatr wydawał się lodowaty. Shirley zaszczękała zębami.

— Co ty wyprawiasz, Kate? Przyszliśmy ledwie godzinę temu!

— Muszę pomyśleć. O, jest taksówka. Wsiadaj, prędko!

— A... ale tam jest Declan!

— I co? Miałaś w związku z tym zamiar coś przedsięwziąć?

— Nie.

— No właśnie. Poza tym podle się czuję — powiedziała Kate i zaczęła płakać. Opadła bezwładnie na oparcie siedzenia, jej obsypanymi brokatem ramionami targnął gwałtowny spazm. Była rozstrojona i pijana, i nie czuła się już piękna. Louise Lowry wyśmiewa się z jej nowego faceta. A Kevin McGovern jest taki miły, i co z tego, skoro Kate nic do niego nie czuje? Podoba jej się Alex, potężnie umięśniony Alex, na którego czeka sieć sklepów jubilerskich. To wszystko nie ma sensu. Czy aby nie wpada w obłąd? W końcu jej rodzice też są nienormalni; pewnie odziedziczyła po nich oba zestawy wadliwych genów, które tylko czekały, aż stuknie jej trzydziestka, żeby się ujawnić. Zamkną ją w zakładzie, gdzie stanie się przedmiotem badań. Całe miasto będzie o niej mówić jako o legendarnej wariatce z torebkami. Lęk oblał Kate jak kubeł zimnej wody, jeżąc jej włosy na głowie. Kurczowo uczepiła się klamki i poddała kolejnemu atakowi płaczu. Łzy płynęły jej po twarzy, spłukując kunsztowny makijaż.

— Och, Shirley, Shirley, tak się boję — chlipnęła i wsadziła całą pięść do ust, żeby nie wyrwać się z czymś jeszcze gorszym, co świadczyłoby, że zwariowała.

Shirley była przerażona. Doprawdy wszystkiego by się prędzej spodziewała niż tego, że Kate nagle przestanie się wymądrzać. Shirley rzadko się z nią zgadzała, ale ten przejaw słabości zaniepokoił ją i zbił z tropu o wiele bardziej niż zwykła niewzruszona arogancja siostry. Pewnie za dużo wypiła i ma zwiidy. Musi wytrzeźwieć, wtedy wróci do równowagi. Shirley przytuliła siostrę, podała taksówkarzowi adres i poprosiła go, żeby się pospieszył.

— Nie martw się, kochanie — powiedziała łagodnie. — Zaraz będziemy w domku, napijesz się gorącego mleczka i hyc do łóżka. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

Dla Kate, która z wielkim entuzjazmem odgrywała rolę starszej siostry, serdeczność i opiekuńczość Shirley przepełniły czarę. Rozszlochała się głośno i płakała, dopóki nie zabrakło jej sił. Shirley dała jej chusteczkę, modląc się w duchu, żeby czym prędzej dojechały do domu.

Taksówkarz — ten sam, który wioził je do Hogana — zastanawiał się, czy może włączyć się do rozmowy. Rzucić jakąś żartobliwą uwagę, która poprawi pasażerkom humor, zmniejszy napięcie. Wiedział, co dolega tej, która płacze, widywał takie objawy setki razy. Za dużo alkoholu i uczucie do niewłaściwego faceta. Doszedł jednak do wniosku, że nie będzie ryzykował. Dziewczyna była zanadto rozstrojona, a ta druga za bardzo się o nią martwiła, żeby

zwracać na niego uwagę. Postanowił nic nie mówić i mocniej nacisnął gaz. Nareszcie taksówka zatrzymała się przed domem państwa Winters. Shirley zapłaciła i weszły do środka objęte ramionami.

12.

POWRÓT LANDRYNY

Eugene Lolly był w rozpacz. Ostatnia odsiadka — za napad rabunkowy z pobiciem hinduskiego sklepikarza rakieta tenisową — drogo go kosztowała. Ile wyroków miał już na koncie? Stracił rachubę. Jazda po pijanemu, spowodowanie wypadku, prowadzenie nieubezpieczonego samochodu, nielegalna taksówka, uchylanie się od podatków, oszustwo, napad rabunkowy, włamanie, paserstwo, nie mówiąc już o nielegalnym posiadaniu broni w 1967 roku, co zawsze zwiększało wyrok. Bóg świadkiem, że spłacił swój dług wobec społeczeństwa. W dyskotecie Hogana stracił dwa palce u ręki, a zyskał dziewięcioletni urlop na koszt Jej Królewskiej Mości. Teraz siedział w małym przytulnym barze przy ulicy Klonowej i rozmyślał o czasach Cukierkowego Gangu. Jakże odległy wydawał mu się dzisiaj głos sędziego!

Landryna czuł wtedy, że nieprędko wyjdzie z mamra. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet sprzątaczkę cichutko ścierającą kurz z ławek w korytarzach sądu. Jego żona, Virginia, włożyła rękawiczki jeszcze przed ogłoszeniem wyroku. Posłał jej z ławy oskarżonych swój wypróbowany uwodzicielski uśmiech, jakby chciał zapytać: „Czy będziesz czekała na swojego więziennego ptaszka?” Ale Virginia nie odpowiedziała mu uśmiechem. Układała już w myśli plany obejmujące sporą ilość białej emulsyjnej farby, świeże kwiaty i tabliczkę: „Nieruchomość na sprzedaż”.

Landryna stracił prawo jazdy i taksówkę, stracił broń, oszczędności i resztkę przyjaciół. Zanim zdążył na dobre zadomowić się w celi, jego żona sprzedała dom przy Ormeau Road i wyjechała z całą forszą za granicę. W ciągu sześciu tygodni od rozprawy ślad po niej zaginął. Dwa lata później dotarła do niego wieść, że mieszka w Hiszpanii i świetnie sobie radzi. Chciał jechać tam po uwolnieniu i zażądać zwrotu pieniędzy, ule prawdę mówiąc miała prawo sprzedać dom — akt własności był na jej nazwisko. Specjalnie tak zrobił, żeby fiskusowi trudniej było się do niego dostać. Skąd miał wiedzieć, że niewierna sprzeda wszystko i nie da

mu nawet złamanego grosza? Podobno kupiła małą knajpkę nad morzem i prowadziła ją przy pomocy dwóch swoich braci, którzy pełnili funkcje barmanów i wykidajłów. Opaleni na brąz, podobno już nawet płynnie mówili po hiszpańsku i żyli szczęśliwi jak wieprzki w kałuży. Eugene tak się wściekł, że przez kilka miesięcy cierpiał na bezsenność. Bez pistoletu nie mógł żądać od nich pieniędzy. Rośli bracia Virginii zabiliby go samym śmiechem. Bez pieniędzy nie mógł kupić broni. Ponadto bez broni nie liczył się dla byłych wspólników i nie miał co myśleć o nowym skoku. Analizował ten problem w kółko, wciąż od nowa, aż w końcu omal nie pochorował się ze zmartwienia. Co jednak miał zrobić? Nie było dla niego ofert poza pracą sprzątacza w miejscowej fabryce — a i tak mógłby uważać się za szczęściarza, gdyby ją dostał. W targanym zamieszkami kraju podupadała gospodarka i wielu lepszych od niego ludzi musiało się zadowolić myciem podłóg. Tylko droga przestępstwa była przed nim otwarta. Włamania, kradzieże narzędzi i kijów golfowych z przydomowych komórek. Od czasu do czasu zwędził coś w sklepie. Coraz drobniejsze, coraz bardziej żalodne przestępstwa i darmowa zupa dla bezdomnych, kiedy sytuacja stawała się rozpaczliwa. Ręka wciąż go pobolewała, przypominając, jakim okazał się nieudacznikiem.

Mieszkał teraz w schronisku. Czynyś był tam tak niski, że Eugene traktował to jako obrazę. Stanie w kolejce na poczcie po odbiór zasiłku przyprawiało go o nerwową wysypkę. To było gorsze niż pobyt w więzieniu, gdzie przynajmniej można było czerpać pewną dumę ze swej kary. Tam twardzi mężczyźni żyli w trudnych warunkach, konferowali z adwokatami, brali udział w rozprawach i programach resocjalizacyjnych. Istniały zasady, ustalony plan dnia, człowiek miał co robić i z kim pogadać. Tymczasem życie na zasiłku to dno, istne dno. Całymi dniami nie miał nic do roboty, nie miał nawet nadziei, że to kiedyś się zmieni. (W więzieniu mógł przynajmniej czekać na koniec kary.) Strażnicy byli uprzejmi, posiłki też nie takie złe. Dawali na przykład świetne parówki, palce lizać.

Teraz nie był już bohaterem gazet, a bezimienną twarzą w tłumie. Urzędniczka na poczcie stemplowała przekaz i wsuwała pieniądze pod szklaną przegródkę nawet na niego nie patrząc. Najwyraźniej widok ludzi, którzy sami nie potrafią o siebie zadbać, nie jest przyjemny. Eugene Lolly stał się nieważny, i to bolało go bardziej niż wszystko inne.

Schronisko mieściło się tuż obok sześciopasmowej autostrady, po której przez okrągłą dobę przewalał się hałaśliwy sznur samochodów. Wysokie ciężarówki odcinały dopływ światła i w takich warunkach zwykle czytanie gazet stawało się udręką. Nikt z dawnych kumpli nie wzięłyby dziś Landryny na skok ani nawet nie chciałyby z nim gadać. Pech bywa zaraźliwy, a

pech Cukierkowego Gangu stał się wręcz przysłowiowy. Czasem, gdy dręczyła go wyjątkowa chandra, Lolly myślał o tym, żeby zacząć żyć zgodnie z prawem, ale w jego pojęciu było to kompletne dno. Od 1967 roku nic mu się tak naprawdę nie udało. Ilekroć pomyślał o tamtej strasznej nocy w dyskotecie, świerzbiała go okaleczona ręka. Kompletna porażka; nagły trzask pistoletu i on sam leżący w kałuży krwi na podłodze. Nikt nie powiedział mu dobrego słowa, choć widzieli, że cierpi. Policjanci się z niego śmiali. Radzili, żeby zażądał odszkodowania od gościa, który mu sprzedał broń.

Teraz także w ręce pulsował dokuczliwy ból. Pewnie wstyd szukał fizycznego ujścia. Zaiste umysł ludzki to dziwny mechanizm. Eugene westchnął i machinalnie roztarł dłoń, a potem zamówił kolejne piwo i kanapkę z wołowiną. Zerknął znów w gazetę. Nic ciekawego. Chyba przejdzie się spacerkiem do bukmachera albo na frytki. Kiedy jednak odwrócił stronę, serce mu zamarło.

Zobaczył wielkie zdjęcie Gwiazdora Hogana w białej marynarce. Zaraz, zaraz, Gwiazdor wybiera się na emeryturę mając zaledwie czterdzieści osiem lat? Eugene schylił się i dokładnie przeczytał artykuł. Pisano w nim, że słynny Johnny Hogan sprzedaje swój lokal i wyjeżdża do Ameryki. Miał zamiar spędzić tam resztę życia prowadząc mały pub i kolekcjonując zabytkowe samochody. Tekst zamykała lista imprez kończących działalność dyskoteki, w tym przegląd pięciu dekad muzyki pop, nazwany egzotycznie „Disco-Extravaganza”. No, no... Eugene Lolly zamyślił się głęboko.

Rozmyślał o Timothy Tate, o samym Johnnym Hoganie i jego babuni, Eileen, a przede wszystkim o tancbudzie przy ulicy Magnoliowej. Uśmiechnął się. Oto trzy miesiące po wyjściu z pudła zaświtała mu szansa na powrót do branży. Tej nocy długo leżał na wznak w swym wąskim łóżku, obserwując cienie mknących autostradą ciężarówek, przesuwane się po nagich ścianach. Musi jeszcze wyrównać rachunki z Timothy za to, że wsypał go glinom w sześćdziesiątym siódmym. Johnny Hogan też był mu coś winien. Zbudował swoją reputację i karierę na klęsce Cukierkowego Gangu. Zamknięty w więzieniu Eugene stracił krociowy haracz, który mógł być w tym czasie zgromadzić. Ucieczka żony i utrata domu do dziś stały mu kością w gardle. Weźmie za to wszystko odwet na Johnnym Hoganie, a Tate'a zmusi, żeby mu pomógł. Nareszcie zapewni sobie wygodną starość, a może nawet przygrucha jakąś miłą osobkę w miejsce pani Lolly. Nieduże małomówne dziewczę, które nie będzie zadawać zbyt wielu pytań. Chociaż z drugiej strony... szkoda fatygi. Wiadomo przecież, że żadnej nie można ufać.

Timothy'ego nietrudno było znaleźć. Miał pracę. Stałą pracę i służbowy pokój na zapleczu siłowni przy autostradzie M2, której był dozorcą i gospodarzem. Należał do miejscowej parafii i od lat nie opuścił ani jednego nabożeństwa. Trzymał się z dala od dawnych kumpli i dawnych nawyków. Prawdziwie zresocjalizowana postać. Policja na pewno spuściła go już z oka. Eugene postanowił złożyć mu wizytę.

Timothy mył właśnie podłogę, kiedy nagle w drzwiach sali zobaczył Eugene'a. Prędko spuścił wzrok i skupił się na mopie, pewien, że wyobraźnia płata mu figle. To, że facet jest niski i wygląda groźnie, nie znaczy, że jest Landryną. Facet okazał się jednak Landryną we własnej osobie i kiedy Timothy odwrócił się ponownie, wciąż stał w drzwiach. Potem wszedł i przysiadł na brzegu ringu.

— Kopę lat — powiedział.

— Jak leci, Eugene? — Timothy postanowił trzymać fason.

— Bywało lepiej. — Eugene najwyraźniej miał taki sam zamiar.

— Znów byłeś w pudle?

— Dość długo. Właśnie wyszedłem.

— To dobra nowina. Masz na oku jakąś pracę?

— Niby legalną?

— Ano.

— Mam szorować podłogi jak ty? To nie w moim stylu, Tim.

— Uczciwa praca sama w sobie jest nagrodą.

— Człowieku! Co oni z tobą zrobili?

— Jestem wreszcie szczęśliwy, Eugene. W nocy śpię spokojnie. Mam dach nad głową, rower i mnóstwo przyjaciół. Nie jest mi źle.

— Rzeczywiście, urocze. Zaraz się rozczulę.

— Nie wiem, po co tu dziś przyszedłeś, ale jeśli coś planujesz, na mnie nie licz.

— Owszem, rzeczywiście mam plan. A ty grasz w nim niebagatelną rolę.

— Nie. Nie doniosę na ciebie, ale nie wezmę w tym udziału.

— Mam u ciebie dług, Tim.

— Przyjaźniliśmy się, ale to było dawno. Bardzo dawno.

— Dostałem przez ciebie dodatkowe trzy lata, bo wypaplałeś im o innych robotach, o których nie mieli pojęcia. Podałeś im mnie na tacy.

— Chciałeś zastrzelić Hogana. Czegoś takiego nie mogłem poprzeć.

- Nie zrobiłbym mu krzywdy. To był tylko taki środek nacisku.
- Widziałem twoją twarz. Strzeliłbyś. I wsadziliby nas za morderstwo.
- Nigdy nie nadawałeś się na gangstera.
- Wiem. Chcesz pieniędzy? Ja nie mam.
- Jasne, że chcę pieniędzy. Ale znacznie większych niż pensja sprzątacza.
- Chyba nie masz zamiaru obrabować siłowni?
- A warto?
- Nie. Zalegają z rachunkami. — Wkrótce w sali miało się odbyć kilka zyskownych imprez, ale Timothy przezornie o tym nie wspomniał. — Co planujesz?
- Upuścić trochę forsy Hoganowi.
- Te mu Hoganowi? Z dyskoteki?
- Owszem.
- Mało ci tamtego razu? Wynieśli nas na noszach! Staliśmy się pośmiewiskiem. Wciąż się z nas śmieją, Eugene. Cukierkowy Gang...
- Czas, żeby przestali się śmiać — rzekł cicho Lolly.
- Skąd wiesz, czy on w ogóle ma forszę?
- Żartujesz? Przez tyle lat musiał zgromadzić miliony! Leniowi już nie chce się pracować, a ma dopiero czterdzieści osiem lat.
- Ech, Eugene, że też ci się nie znudziło. Pobyt w więzieniu niczego cię nie nauczył?
- Owszem, jednego: koniec z drobnicą. Straciłem wszystko, co miałem na tym świecie. Wszystko, na co tak ciężko pracowałem.
- Nie obraż się, chłopie, ale trudno powiedzieć, żebyś uczciwie na coś zapracował. Zacznij nowe życie. Nigdy nie jest za późno, żeby zwrócić się do światła. Bóg czeka na ciebie.
- Tylko mi nie wciskaj tego nabożnego kitu, dobra? Owszem, właśnie zaczynam nowe życie. Z fortuną, jaką wyduszę z tego dupka w idiotycznej białej marynarce. Zamierzam na stałe wyprowadzić się z Belfastu.
- A dokąd?
- Tego nie musisz wiedzieć. Gdzieś, gdzie jest ciepło. Żebym nie potrzebował płaszcza.
- No cóż, ja nie wezmę w tym udziału. Przykro mi.
- Potrzebne mi wsparcie i alibi.

— Nie mogę ci pomóc. Z tą nogą nie potrafię nawet szybko biegać. — Timothy wsadził mopa do wiadra i w zadumie okręcił go w gorącej wodzie. Zapach środka dezynfekcyjnego uderzył w nozdrza Lolly'ego, przypominając mu więzienie. Skrzywił się.

— Jesteś mi coś winny — powtórzył. — Jeden, ostatni skok. Przez pamięć dawnych czasów.

Timothy nie odpowiedział ani „tak”, ani „nie”. Zaczeka i zobaczy, co z tego wyniknie. Może plan umrze śmiercią naturalną. Lolly nie miał broni, to było oczywiste, choć zawsze mógł zastosować stary blef z kieszenią wypchniętą palcami. Kilka razy w przeszłości robili ten numer. Potem ich ofiary zmadrzały i przestały się na to nabierać.

— Będę w kontakcie — powiedział Eugene. — Odezwę się za kilka tygodni. Zarobisz parę funciaków. Będiesz mógł je zainwestować w tę norę, jeśli zechcesz. — Wyszedł tym samym powolnym, miękkim krokiem, jakim wszedł.

Timothy wrócił do mycia podłogi. Zostawiając lśniące półkoliste ślady na wytartym linoleum, modlił się po cichu. Pastor poradził mu, żeby tak czynił, kiedy będzie miał jakieś zmartwienie.

13.

RANDKA Z PRZEZNACZENIEM

Kate zadawała sobie pytanie, po co w ogóle idzie na randkę z Alexem. Pociąg fizyczny, spalający ją od miesiący, wyparował bez śladu. Nie mogła tego zrozumieć. Najpierw jej pewność siebie ulotniła się po angielsku, a teraz libido także spakowało walizki, zostawiając ją na lodzie. Jak Shirley wierzyła swoim gwiazdom, że poprowadzą ją przez życie, tak Kate zawsze uważała, że rozwiązaniem dla niej będzie odpowiedni mężczyzna. Kiedy jednak Alex nareszcie zadzwonił i ustalili termin spotkania, okazało się, że jest jej to całkowicie obojętne. Była u lekarza, porobiła badania, z których wynikało, że nic jej nie dolega. Morfologia krwi, hormony tarczycy i cukier w normie. Doradzono jej urlop, pożywniejszą dietę i więcej snu.

Alex miał ją dziś zabrać na kolację. Będzie musiała delikatnie dać mu do zrozumienia, że zachowała się głupio i w gruncie rzeczy nie jest nim zainteresowana. Co dziewczyny zwykle mawiają do facetów, którzy przestali im się podobać? Że chcą się poświęcić karierze zawodowej i nie mają czasu na życie osobiste? Nie, to go raczej nie przekona. Przekładanie

papierków w bezrobotniaku to żadna kariera, bardziej szkoła przetrwania. Że cierpi na obsesyjny lęk przed stałym związkiem? Bez sensu. Zechce wykorzystać pierwszą randkę do maksimum. Że cierpi na rzadką i bardzo zaraźliwą chorobę? Wykluczone. Nie chciała spowodować zamieszek, a gdyby tego rodzaju plotka rozniosła się po mieście, wybuchłaby panika.

— Shirley! — zawołała, widząc za drzwiami siostrę w ażurowych getrach, długiej do kostek spódnicy i purpurowym moherowym swetrze. — Błagam, zrób coś dla mnie. Kiedy przyjdzie Alex, powiedz mu, że mam migrenę i leżę w łóżku.

— Moje ty biedactwo! Mam cię umówić na jakiś inny termin?

— Nie boli mnie głowa, idiotko! Po prostu zmieniłam zdanie na jego temat.

— Czas najwyższy. Czemu nie powiesz mu tego wprost? Tak byłoby najuczciwiej.

— Dobry Boże, jak mogłam być taka głupia? Wszystko wyglądało zachęcająco, dopóki był przykuty do ściany w dyskotecie i w każdej chwili mogłam od niego uciec. Lecz Alex na wolności to za dużo jak na moje nerwy.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Ton był nieco fałszywy, bo bateria się wyczerpywała.

— O wilku mowa — skrzywiła się Kate. — Co do sekundy, podła świnia! Dlaczego oni zawsze są tacy punktualni, kiedy się ich nie chce widzieć?

Siostry spojrzały na siebie. Kate przyłożyła drżącą rękę do gardła.

— Idź — radziła Shirley — potem go delikatnie splawisz. Rozmawiaj o ogólnikach i utrzymuj koleżeńską atmosferę.

— Chyba będę musiała. A jeśli się napali?

— Dasz sobie radę. Ostatecznie to pierwsza randka. Chyba się nie spodziewa, że dostanie coś więcej poza buziakiem na dobranoc.

Kate spłoniła się na wspomnienie innych pierwszych randek. Raz nawet nie spytała chłopaka o imię.

— Po co ja się tak martwię? To do mnie niepodobne. Zawsze dotąd panowałam nad sytuacją. Może ja się starzeję? Tracę wycucie?

— Mówiłam ci, że on się dla ciebie nie nadaje, ale nie chciałaś słuchać.

No nie, ta smarkula za dużo sobie pozwala! Złość wzięła w Kate górę nad niepokojem.

— Nie wymądrzaj się, dobrze? Co ty wiesz o mężczyznach? Bez obaw, poradzę sobie. Przepuść mnie. A tak przy okazji, te łachy powinny nosić ostrzeżenie ministra zdrowia.

— To radź sobie sama! — warknęła Shirley i zniknęła w swoim minipokoiku, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Te bajeczne getry i sweter były najmodniejszymi i pierwszymi od lat nowymi rzeczami, jakie sobie kupiła. Doprawdy niektórych ludzi nie sposób zadowolić. Shirley doszła do wniosku, że Kate po prostu zazdrości jej ciuchów. Położyła się na łóżku zastanawiając się, czy poczytać książkę, posłuchać muzyki czy pomarzyć o Declanie. W końcu postanowiła zrobić wszystkie te trzy rzeczy na raz. Niech kochana siostrzyczka sama się upora ze swym skomplikowanym życiem uczuciowym.

Kate z ciężkim sercem zeszła otworzyć drzwi. Alex pomachał do niej z zewnątrz, zaglądając przez pseudowitraż. Rozzłościło ją to jeszcze bardziej; trąciło wścibstwem. Poza tym wyglądał koszmarnie, jakby miał czternaścioro oczu. Zaraz wpakował się do przedpokoju, zmuszając ją, żeby postąpiła dwa kroki w tył. Zamierzała od razu odwołać randkę, lecz Alex już kroczył do saloniku.

— Może powinienem przywitać się z twoimi rodzicami, zanim wyjdziemy?

— Nie, nie. Oglądają telewizję. Wymkniemy się po cichu.

Za późno. Już był w środku, ścisnął dłoń jej ojcu i mówił matce, że wygląda „dosłownie jak nastolatka”. Jego szerokie bary wypełniły całą przestrzeń w małym pokoju.

— Ależ macie państwo fantastyczny kominek! — rzekł, zacierając ręce nad ogniem. — Dosłownie luksus i wersal! Alex Stone, do usług! — Zachowywał się jak aktorzyzna w małomiasteczkowym przedstawieniu trzeciorzędnej trupy.

Pan i pani Winters, wtuleni w miękką sofę, uśmiechnęli się do niego serdecznie.

— Może napije się pan herbaty, panie Stone? — spytała matka.

— A już myślałem, że mi pani nie zaproponuje! — ryknął entuzjastycznie Alex. — Jestem wyschnięty dosłownie jak Sahara!

Pani Winters przesunęła się na brzeg sofy i usiłowała dźwignąć się z poduszek, co nie było łatwe, gdy przytłaczała ją wielka bryła nachylonego nad nią kulturysty. Kate zsiniała ze złości. Doprawdy zachowywał się tak, jak gdyby byli co najmniej zaręczeni. Na pierwszej randce! Co za tupet!

— Nie ma czasu na herbatę — wtrąciła, mimo woli podejmując grę w tej domowej tragikomedii. — Idziemy do restauracji. No, chodźże już, mule! — Włożyła płaszcz, ten skromny, zapinany aż po szyję, i ze stojaka przy drzwiach wybrała długi parasol dla ewentualnej samoobrony. Postanowiła, że równie dobrze może złamać Alexowi serce nad

kurczakiem w sosie winnym. — No, zbieraj się! — powtórzyła. — Jestem taka głodna, że mogłabym zjeść konia z kopytami!

Celowo nie zachowywała się jak dama. Postanowiła dołożyć wszelkich starań, by ten wieczór okazał się kompletnym fiaskiem.

Poszli pieszo. Alex wyjaśnił, że znów zepsuł mu się samochód. To przesądza sprawę, pomyślała melancholijnie Kate. Pewnie w ogóle nie ma samochodu. Kevin McGovern zawsze ma sprawny wóz. Jest mechanikiem z własną firmą. Myśl o Kevinie jadącym ulicą świetnie utrzymanym autem poprawiła jej nastrój. Widząc jej uśmiech, Alex też się ucieszył i droga minęła im bez zgrzytów. Wybór Alexa padł na hinduską knajpkę, co zdaniem Kate było przejawem egoizmu. Powinien był najpierw spytać, nim zamówił stolik. Nie wszyscy lubią ostro przyprawione potrawy (i wzorzyste tapety). Francuska albo włoska tawerna ze świecami na stolikach byłaby znacznie bardziej romantyczna.

Restauracja ziała pustką. Prawdę mówiąc, było jeszcze bardzo wcześnie. Alex zamówił dla siebie najpikantniejsze curry, mnóstwo przystawek, dwie szklanki mleka i dwa piwa. Dopiero potem zapytał Kate, co zje.

— Bierz, co chcesz — oznajmił — pod warunkiem że suma nie przekroczy piąta. Cha, cha, cha, cha, żartowałem!

Kate uśmiechnęła się z przymusem. Zamówiła wódkę, colę i łagodną potrawkę z kurczaka z gotowanym ryżem. Po zastanowieniu zmieniła ryż na zasmażany. I frytki. Do diabła, pomyślała, przynajmniej się najem. Dopóki będę miała usta pełne frytek, nie będę musiała z nim rozmawiać. Podły sknera!

Spodziewała się, że kiedy podadzą im jedzenie, zapadnie krępująca cisza. Lecz Alex opowiedział jej długą i zagmatwaną historię o turnieju kulturystycznym, w którym brał udział i którego nie wygrał tylko dlatego, że jury było przekupione. Miało to coś wspólnego z kampanią marketingową firmy Larne i darmową roczną dostawą witamin. Kate zasłoniła usta chlebem, niezdolna dłużej tłumić ziewnięcia. W tejże chwili Alex sięgnął widelcem na jej talerz i porwał z niego siedem ślicznie przysmażonych frytek, które zostawiła sobie na deser. Z zemsty przywołała kelnera i zamówiła następną wódkę. Podwójną.

Jeśli Alex w ogóle zapraszał ją do rozmowy, to tylko zadając pytania o jej pracę. Na przykład, czy dostają premię za pozbawienie kogoś zasiłku? (Nie.) Czy zdarzyło się, że ktoś z urzędników został pobity przez petenta? (Nie.) Roześmiał się głośno, kiedy mu opowiedziała, jak pewien dżentelmen w stanie klinicznej depresji (i odurzenia alkoholowego) przyszedł się

zarejestrować uzbrojony w zabytkowy miecz. Alex chciał wiedzieć, czy go aresztowano. Nie, odpowiedziała Kate, został tylko upomniany; może miał znajomych na posterunku. Po tym wypadku jednak wąską ladę zastąpiono blatem prawie dwumetrowej szerokości, żeby zapewnić urzędnikom ochronę. A przynajmniej pewne szanse.

— Ha! Cykory! — ryknął Alex i wypił duszkiem pół litra mleka, po czym beknął jej prosto w twarz.

W końcu poszli do kasy, gdzie podano im rachunek na talerzyku z miętówkami. Alex zerknął z nadzieją na swą towarzyszkę, ale Kate trzymała ręce w kieszeniach udając, że tego nie zauważyła. Wieczór jeszcze właściwie się nie zaczął. Powinna była podziękować i rozstać się z nim po przyjacielsku. Nie była to przecież oficjalna randka, a obiad (no bo przecież nie kolacja, nie o tej godzinie!) w podzięce za ostrzeżenie o grożących mu kłopotach. Shirley byłaby z niej dumna, gdyby tak właśnie postąpiła.

Zrobiła jednak coś, czego miała się wstydzić po wieczne czasy: poszła z Alexem do jego nędznej nory. Na drinka. I — bądźmy szczerzy — powęszyć. Jeśli istniało coś, co zajmowało Kate bardziej niż torebki, było to zwiedzanie cudzych mieszkań. Poza tym ta eskapada miała być sprawdzianem: chciała się przekonać, czy *tête-à-tête* z mężczyzną nie wywoła u niej znów tej koszmarnej drżączki. Lepiej było eksperymentować z kimś, na kim już jej nie zależało. Mocno ściskając parasolkę wspięła się odważnie po skrzypiących schodach zdewastowanej kamienicy przy Cromwell Road.

Zwiedzanie nie trwało długo. Sypialnia w najwyższym stopniu rozczarowująca: smętny barłóg, podparty w jednym rogu cegłą, na nim wyszarzała kołdra. (Kate zrobiło się żal biednych zasiłkożerców. Życie w takich warunkach to nie piknik.) Wrażenie ciasnoty potęgował rozstawiony na każdym kawałku wolnego miejsca sprzęt treningowy. Wszystko pokryte kurzem. W oknach zamiast firanek przypięte pluskiewkami prześcieradła. Ogólnie — koszmar. Nie wiedzieć czemu Kate spodziewała się raczej garsoniery z owczymi skórami na podłodze, pufami obitymi materiałem imitującym skórę zebry i dobrze zaopatrzonym barkiem na kółkach. Kiczowatej, lecz szpanerskiej — jak sam Alex. Potem przypomniała sobie ze smutkiem, że Alex jest bezrobotny. Pieniądze, które zarabiał u Hogana, starczały mu pewnie tylko na sprzęt kulturystyczny i curry w hinduskiej garkuchni.

— Ładnie tu — skłamała.

Weszli do saloniku. Alex wyjął z lodówki dwa piwa i podał jej jedno, nie troszcząc się o szklankę. Potem włączył telewizor stojący na obróconej do góry dnem starej skrzynce po mleku.

Kate upiła łyk piwa i powiedziała sobie, że jest nowoczesną kobietą. Alex nie podoba jej się dostatecznie, by kontynuować znajomość, ale ma ładne włosy i pięknie rzeźbione mięśnie. W końcu należy jej się chyba jedna namiętna noc jako zadośćuczynienie za tę żenującą obiadokolację? Zażywa pigułki i nie ma z nich żadnych korzyści. Od ostatniej rozbieranej randki minęły już trzy miesiące. Alex jest przystojny i pod ręką, mogą przynajmniej pościskać się na sofie. A jeśli całuje tak dobrze, jak wygląda, kto wie, może warto go nieco okrzesać. Wpoić elementarne podstawy dobrych manier. Przypomniały jej się czasy szkolne, gdy to właśnie, wbrew wszelkim przeciwnościom, usiłowały osiągnąć ich nauczycielki. Po raz pierwszy w życiu współczuła prowadzącym szkołę zakonnicom. Pewnie nieraz wypłakiwały się w poduszkę. Okiełznać siedemset smarkatych proletariuszek przechodzących okres dojrzewania albo buntu, albo jedno i drugie... Co za stres!

Gratulowała sobie w duchu, że nie zdjęła płaszcza. Miała uczucie, że wszystkie kręgi kurczą jej się z zimna i tulą do siebie. W budynku było chyba chłodniej niż na zewnątrz. Słyszała, jak studenci użalali się na ten fenomen, ale nie sądziła, że mówią poważnie. Myślała, iż chełpią się ciężkimi warunkami życia, żeby zwrócić na siebie uwagę. Tu jednak panował potworny chłód i wilgoć, a na dodatek nie było kaloryferów. Dokończyli piwo. Trzymając w ręce pustą puszkę Alex pochylił się i pocałował ją w usta. Przeciętnie. Bardzo przeciętnie. Żadnych fajerwerków. Kiedy zastanawiała się nad ewentualnym oddaniem pocałunku, nagle spytał, czy chce go zobaczyć w slipach, w których występuje na pokazach. Właśnie kupił sobie nowe. Markowe, amerykańskie. Kate była tak zaskoczona, że się zgodziła.

Oznajmił, że w takim razie najpierw się odświeży. Zniknął w łazience i puścił prysznic. Kate zaczęła mieć nadzieję, że mimo wszystko nie będzie aż tak źle. Zgasła górne światło, bo widok sprzętu kulturystycznego skutecznie zabijał w niej popęd płciowy. Podobnie jak plakaty z umięśnionymi herosami przypięte do pomalowanej na szaro płyty wiórowej. Wysadzone żyły oplatające mięśnie wyglądały ohydnie, jak gdyby miały zaraz eksplodować.

Czekała w lodowatym półmroku. Woda i minuty płynęły. Alex pod prysznicem śpiewał „The Final Countdown”. Z nudów próbowała sobie przypomnieć, czyj to utwór: Bon Jovi czy Europe? Wszystkie te zespoły brzmiały dla niej tak samo. Po kilku kolejnych minutach delikatnie zastukała do drzwi.

— Długo tam będziesz? — pisnęła histerycznie. Chciało jej się sikać.

— Zaraz do ciebie idę — usłyszała w odpowiedzi. — Jedną chwileczkę.

— Tu jest zimno!

— Co? A, w kominku jest grzejnik elektryczny. Włącz go, jak chcesz. Na pierwszą kreskę.

— Dzięki. Co za hojność!

Wściekła przemierzyła pokój, żeby włączyć ogrzewanie. Pochyliwszy się przed kominkiem zobaczyła sześcioro małych czarnych oczek wpatrujących się w nią zza kraty. Należały one do trzech małych, bardzo zziębniętych myszy, które nawet się nie spłoszyły, kiedy odskoczyła z jękiem:

— Alex! Alex! Tu są myszy!

— Nie bój się! — odkrzyknął. — Są oswojone. Szukają okruszków. — I znów zaczął śpiewać.

— Co ty tam do cholery robisz? — wrzasnęła ze złością. — Czekam już Bóg wie jak długo. Zimno mi, a w kominku są myszy!

— Ho, ho, ho, ależ ci się spieszy! Jeszcze dosłownie chwila. Olejek ciężko się rozsmarowuje na wilgotnej skórze.

Wtedy Kate powiedziała sobie: „pas”. Od początku robiła to bez przekonania, a teraz całkiem jej przeszło. Czy ten wół sądzi, że będzie czekać jak jakaś niewolnica, aż on się wypiękni? To nawet nie jest oficjalna randka! Za co ją uważa? Za zdobycz na jedną noc? Nagle myśl o Aleksie Stonie w konkursowych slipkach wywołała w niej przypływ panicznego strachu. Musi uciekać! Najpierw jednak pobiegła do sypialni i przełożyła część kulturystycznego żelastwa w inne miejsce.

— Pieprzyć spadek po jubilerze — powiedziała myszom. — Ja stąd znikam, a wy, jeśli macie choć trochę rozumu, powinniście zrobić to samo.

Zbiegając po chwiejnych schodach usłyszała, że drzwi łazienki w końcu się otwały. Zostawiła dla Alexa mały prezent pod kołdrą — znajdzie go, gdy nareszcie oderwie się od lustra.

*

Wróciwszy do pokoju Alex naprężył mięśnie w swojej najlepszej pozie, ale Kate, która miała go podziwiać, nie było. Nie znalazł jej również w kuchni. A zatem właściwie odczytał język jej ciała: czeka na niego w sypialni. Co za dziewczyna! Stał w drzwiach pogrążonej w

mroku alkowy, odziany jedynie w kilka garści olejku i miniaturowe slipki ozdobione sztuczszartycznymi brylancikami. Sugestywnie przesunął palcem pod gumką.

— Mam nadzieję, że mierzyłaś ostatnio ciśnienie krwi — rzekł złowieszczo, rozpędził się i skoczył na łóżko z okrzykiem: — Przybywam!

Na nieszczęście wybrzuszenie kołdry nie kryło ciepłego, chętnego ciała Kate Winters, lecz stosik stalowych ciężarków — zimnych i bardzo twardych. Na szczęście w nieszczęściu trafił twarzą w poduszkę, dzięki czemu nie poniósł trwałego szwanku na urodzie, ale za to boleśnie obił sobie niższe partie, zwłaszcza zaś okolice brylancików.

— Aaaa! — krzyknął, gdy ból przeszył go jak oszczep. Ostrożnie roztarł poszkodowane miejsca, drugą ręką szukając włącznika światła i jęcząc: — Dziwka! Niewdzięczna, głupia, wredna, szurnięta, niepoczytalna... — Nic więcej nie mógł wymyślić, bo za bardzo cierpiał. Na domiar złego od jego najlepszych turniejowych slipków za pięćdziesiąt dolarów odpadły dwa oczka. Tyle forsy na marne...

14.

SIEKIERA UDERZA

Przez kilka następnych dni Kate była bardzo przygaszona. W sobotę nie poszła na dyskotekę. W niedzielę nawet nie wybrała się na zakupy, co dało rodzicom powód do podejrzeń, że jest chora. (Ostatecznie był już wrzesień, pora pierwszych przeziębień.) Odkąd weszło w życie zarządzenie, że można handlować także w dzień święty, Kate była wielką entuzjastką niedzielnych zakupów. Cóż innego można robić w niedzielę? (Czytać Biblię, grzmieli dewoci w wieczornych wiadomościach.) Chodzenie po sklepach było jednak znacznie ciekawsze, a największą przyjemność sprawiało Kate paradowanie z pełnymi reklamówkami pod nosem pikiet protestacyjnych stojących pod ratuszem. Kiedy więc oznajmiła, że już jej to nie bawi, rodzice wpadli w popłoch.

Pani Winters ugotowała wielki gar rosółu i włączyła centralne ogrzewanie. Pan Winters kupił witaminę C dla całej rodziny i postawił opakowanie na parapecie w kuchni, żeby było pod ręką. W niedzielę wieczorem Shirley zauważyła, że ręce Kate drżą przy smarowaniu grzanki. Przeraziła się śmiertelnie, że ma to związek z alkoholem. Zmilczała, postanowiła jednak ograniczyć Kate liczbę okazji do picia. To zaś oznaczało — przynajmniej na razie —

koniec wypraw do dyskoteki, gdzie bywał Declan Greenwood. Jeśli Kate koniecznie będzie chciała gdzieś wyjść, zaproponuje jej kino.

Nadszedł poniedziałek, a wraz z nim chandra kolejnego powrotu do pracy. Kate i Shirley milcząc siedziały w autobusie, każda zatopiona we własnych myślach. Shirley marzyła o Declame i zastanawiała się, czy powinna sobie kupić nowy zimowy płaszcz obrzeżony sztucznym futrem. Mieli takie w butiku Top Shop, śliczne! Zaduma Kate miała minorowy odcień. Czuła się ostatnio bardzo dziwnie, trochę tak, jakby zgubiła drogę we mgle. Incydent z Alexem usunął jej grunt spod nóg. Czuła, że się dusi w tym ciasnym pokoju wśród myszy i bicepsów na plakatkach. Nawet myśl o pięknym ciele Alexa nie odprężyła jej dostatecznie, by zdołała wytrzymać tam jeszcze chwilę. Spokojnie, powtarzała sobie, to już przeszłość. Nie jest tchórzem. Zaliczyła w życiu paru interesujących mężczyzn. Może się uważać za kobietę światową. Na przykład ten policjant, Simon. Kiedy kochali się w jego domku nad morzem, kładł rewolwer na szafce przy łóżku. Kate bardzo to podniecało, ale rodzice omal nie dostali zawału, gdy wyszło na jaw, kim jest z zawodu jej chłopak. Pytali, czy Kate chce ich wysłać na tamten świat. Kontakty z członkami sił bezpieczeństwa nie były w Ulsterze zbyt dobrze widziane. Pani Winters bała się podejść do okna w saloniku — mogła wpaść przez nie cegła lub koktajl Mołotowa. Ojciec prosił Kate, żeby za każdym razem wracała z pracy inną drogą — na wypadek gdyby chłopcy z IRA już mieli ją na oku. Kate kłóciła się z nimi przez kilka miesięcy, a potem i tak rzuciła Simona, bo nie chciał zgolić wąsów. W nosie miała politykę, ale nie lubiła, gdy ktoś ją laskotał przy pocałunku.

A teraz ilekroć czuła się zagrożona, zaczynały jej drżeć ręce. Co prawda lekko, ale i tak się martwiła. Kate Winters, która nigdy nie bała się wyzwania i każdemu umiała stawić czoło, nagle zaczynała dygotać, jakby stała goła na biegunie północnym.

Napadło ją to znowu, kiedy przeczytała leżącą na biurku kartkę, że ma się natychmiast stawić u panny Bingham. Po raz pierwszy od dziesięciu lat ominęło ją sortowanie listów od biednych zasiłkożerców. Ruszyła korytarzem, nerwowo zapukała do drzwi gabinetu i weszła do środka. Kierowniczka siedziała za swoim dziewiczym biurkiem z rękami surowo splecionymi na piersi. Kate po raz kolejny zwróciła uwagę na to, że w małym pokoju nie było nic osobistego. Ani zdjęć rodziny, ani kwiatów w doniczkach — w ogóle nic poza plastikowym pojemnikiem pełnym bardzo ostro zatemperowanych ołówków.

— Proszę usiąść. — Panna Bingham wyjęła z szuflady czerwoną teczkę i zaczęła kartkować jej zawartość, przedłużając moment napięcia. Potem jeszcze przez kilka sekund patrzyła na Kate, nim powiedziała: — Oczywiście wie pani, dlaczego została pani wezwana?

— Dostałam awans? — Kate uśmiechnęła się szeroko. — Jakże się cieszę!

— Nie dostała pani awansu. O, nie! — Kierowniczka pogardliwie wydmuchnęła powietrze przed nos niczym koń wyścigowy w chłodny dzień przed gonitwą w Ascott.

— Wobec tego muszę się przyznać do niewiedzy.

— Nie ma sensu się wypierać, panno Winters.

— Nie rozumiem.

— Ostrzegła pani niejakiego Alexa Stone'a, że jest pod obserwacją wydziału weryfikacji świadczeń. To poważne naruszenie...

— Ktoś go ostrzegł? No cóż, nie ja, naprawdę. Nie wiem, skąd pani ma takie informacje.

— Widziano, jak pani z nim rozmawiała.

— Ja? Gdzie?

— Już pani dobrze wie, gdzie. W dyskotecę Hogana. Rozmawiała z nim pani przez dziesięć minut. Mamy wasze zdjęcia.

— Jasny gwint! To człowiek już nie ma prawa do prywatnego życia?

— Proszę nie używać tego rodzaju sformułowań w moim gabinecie. — Panna Bingham napawała się tą rozmową i miała zamiar cieszyć się nią tak długo, jak się da. A później oznajmić tej Winters, że została zwolniona.

— Przepraszam. Jeśli oprócz zdjęć macie również nagranie tej zwykłej towarzyskiej pogawędki, to sami wiecie, że nie zdradziłam mu żadnych tajemnic służbowych.

— Pan Stone od dłuższego czasu był pod obserwacją. To nie pierwsze wyłudzenie zasiłku, jakiego się dopuścił. — Panna Bingham wydała z siebie zgorszone sapnięcie.

— Rozumiem. Mogę się z nim skontaktować i przekazać mu instrukcje, w jaki sposób ma zwrócić niesłusznie pobrane świadczenia.

— Na to już za późno. Pan Stone otrzyma wezwanie do sądu.

— Ach... — Kate zrobiło się odrobinę żal Alexa (nie bardzo, bo zachował się jak kretyń, kiedy u niego była). — Pewnie zmusiła go do tego nędza. Nie ma zbyt wysokich kwalifikacji. Za to jest bardzo dobrym ochroniarzem.

— Mógł podjąć dowolną pracę fizyczną w pełnym wymiarze godzin, na rynku jest dość ofert. A jako ochroniarz pracować wieczorami, skoro lubi tego rodzaju meliny. To już nie mój

problem, sprawą zajmuje się weryfikacja. Za to pani, moja droga, znalazła się w poważnych opałach.

— Ja?

— Przekazała pani Stone'owi tajną informację.

— Nic podobnego.

— Znalazłam jego list w pani biurku. Powinien był zostać wpięty do jego teczki.

— To nie dowodzi, że cokolwiek mu powiedziałam. — Twarz Kate oblał jednak krwisty rumieniec, czerwony jak najpikantniejsze chili.

— Przykro mi, lecz decyzja została już podjęta. — Jaka decyzja?

— Dotycząca pani zatrudnienia.

— Zaskarżę ją. To jest dyskryminacja. Pani mnie nie lubi, bo jestem młoda i myślę samodzielnie. — Gdzieś w głębi serca wiedziała, co się święci. Przypomniała jej się piosenka słyszana ostatnim razem w dyskotecie: „Potępieni nie płaczą” zespołu Visage.

— Nie pij sobie, dziewczyno, bo sytuacja jest poważna. Rozmowa z panem Stone'em to tylko jeden zarzut z długiej listy.

— Co pani ma na myśli? — Serce Kate zaczęło podchodzić do gardła. Czują, jak żyły i tętnice napinają się, usiłując utrzymać je na miejscu.

— Niepunktualność, niszczenie materiałów biurowych, prywatne rozmowy telefoniczne, negatywne nastawienie do petentów, jedzenie i picie przy biurku, brak szacunku wobec przełożonych, nie mówiąc o niestarannym prowadzeniu dokumentacji i prostackich dowcipach naruszających bezpieczeństwo i higienę pracy.

— Co?! To nie są poważne zarzuty! Wszyscy dzwonią i jedzą śniadania przy biurkach!

— Będzie pani łaskawa nie zwać własnej winy na innych.

— Właśnie że tak. Wszyscy, odkąd tu pracuję. To zresztą nie jest żadne sterylne laboratorium!

— Przestrzegamy tu bardzo wysokich standardów. Obawiam się, że po prostu nie spełnia pani wymogów stawianych urzędnikom państwowym.

— Wiadomo, że państwo zatrudnia odrzuty z sektora prywatnego. Jesteśmy bardzo wrażliwymi, uduchowionymi ludźmi. Oczywiście oprócz pani, panno Bingham.

— Jak śmiesz! — Panna Bingham zerwała się z krzesła, z chrapnięciem wypuściła powietrze przez nos, po czym znów usiadła. — Ty bezczelna mała... Nie. Nie powiem tego na głos.

— Źle mnie pani zrozumiała. To miał być komplement. Że jest pani twarda. Twarda jak stary but. Och, przepraszam! Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało!

— Panno Winters, z przykrością informuję panią, że nie jest już pani pracownikiem naszego urzędu.

— Co? Myślałam, że dostanę pisemną nagane! Pani mnie zwalnia?

— Tak, zwalniam panią! Jak pani śmie tak się wyrażać!

— Stwierdziłam tylko fakt.

— Nie ma tu obiboków. Poza panią.

— A pani jest pozbawiona serca. W zeszłym tygodniu doprowadziła pani biedną panią Kelly do łez, wie pani o tym?

— Cóż to za brednie?

— To prawda! Musiała wysłać dwadzieścia osiem pism do jednego klienta w sprawie nadpłaty w wysokości czterech funtów. Nawet bulterier dałby sobie spokój, ale nie pani! Gdyby miała pani choć krztę poczucia przyzwoitości, byłaby pani miła dla podwładnych, zamiast skradać się po sali jak głodna pantera i polować na co słabsze sztuki!

— Rozmowa jest zakończona.

— Alex Stone nazywa ten budynek kwaterą gestapo. Niech pani to też włączy do swojej teczki... stara wiedźmo — dodała ciszej, ale rozjuszona kierowniczką usłyszała.

— Proszę stąd wyjść!

— Nie pozwolę się tak traktować! A moje prawa obywatelskie? Moja godność?

— Proszę opuścić ten budynek, zanim stracę cierpliwość. No, proszę wyjść!!! Podobno się tu pani nie podoba, więc w czym problem?

— Bardzo chętnie stąd pójdę. Budzi pani we mnie odrazę. Drżenie. I przerwa. Palpitacje. I znów przerwa.

— Do widzenia, panno Winters. Może pani nie sprzątać biurka.

— Nigdy nie lubiłam tej pracy. Jest nudna. Mam za wysokie kwalifikacje, żeby marnować się jako maszyna do sortowania papierów.

— Do widzenia, panno Winters.

— Mam maturę z dziesięciu przedmiotów. Dziesięciu, wie pani? A pani jest ohydą starą wiedźmą! Pewnie w ogóle nie ma pani matury. W średniowieczu nie robili egzaminów, prawda?

— Proszę wyjść!

Ale Kate nie mogła wyjść, bo nie była w stanie się podnieść. Wirowało jej w głowie, nogi zmieniły się w galaretę. Z wielkim trudem dźwignęła się z krzesła, zrobiła dwa chwiejne kroki i zawróciła, ale panna Bingham złapała ją za łokieć i wypchnęła za drzwi, wołając, żeby ktoś jak najszybciej sprowadził Shirley Winters. Śmiertelnie bladą Kate ubrano w płaszcz i doholowano do wyjścia, gdzie portier delikatnie odczepił jej identyfikator. Czuł się przy tym fatalnie, ale musiał wykonać polecenie służbowe. Wiedział równie dobrze jak wszyscy, że stara Bingham jest pozbawiona ludzkich uczuć. Uśmiechnął się współczująco na znak, że nie cieszy go ta sytuacja. Widok przyjaznej twarzy pozwolił Kate odzyskać nieco sił. Wyszła z budynku, zaczerpnęła głęboko powietrza, wznosząc twarz ku słońcu. Pracownik ochrony stał z nią przez kilka minut. Gawędził o pogodzie udając, że nie widzi panny Bingham, która wielkimi krokami przemierzała oszklony hol, zbrojąc się do następnej utarczki. Oddech Kate powoli wrócił do normy. Drżenie też ustąpiło, ale serce wciąż tłukło się jak oszalałe. Nadbiegła Shirley. Kierowniczka wyjaśniła jej sytuację.

— Och, Kate, coś ty zrobiła? — Shirley próbowała objąć siostrę, ale Kate odwróciła się i zryzakiem ruszyła przed siebie.

Panna Bingham nie posiadała się ze szczęścia, że nareszcie ma ją z głowy.

— Zabierz ją do domu, Shirley — terkotała, napawając się finałem tego kameralnego dramatu. — Moim zdaniem powinna iść do lekarza, jest emocjonalnie rozstrojona. A ciebie oczekuję jutro rano w pracy.

Shirley bez słowa kiwnęła głową.

— Bycie uczuciowym to nie przestępstwo, ty stara wiedźmo! — wrzasnęła Kate.

Kilka wielkich łez spłynęło jej po policzkach.

— Oddałaś mi przysługę, wiesz? Będę kiedyś bogata, bo mam własny rozum i potrafię go używać. Będę bogata, a ty idź do diabła!

Panna Bingham zawróciła do budynku, niosąc garść wybornych plotek, którymi zamierzała się podzielić z innymi członkami kadry kierowniczej. Siostry zostały na ulicy.

— Chcesz iść do domu, Kate?

— Przepraszam cię, staruszko. Naplotłam kupę bzdur. Boże, ależ się fatalnie czuję! Przez moment, tam u niej, myślałam, że rozsypię się na kawałki. Chyba miałam jakiś atak.

— Nie przejmuj się. Za dzień, dwa dojdiesz do siebie i przestaniesz o tym myśleć. Możesz zaskarżyć wypowiedzenie. Weź zaświadczenie od lekarza, że ostatnio nie czułaś się dobrze. Problemy hormonalne albo coś w tym rodzaju.

— Muszę się napić.

— Myślisz, że to rozsądne? Jest dopiero wpół do dziesiątej rano.

— Nie mogę pójść do domu i powiedzieć mamie, że straciłam pracę.

— Dajże spokój! Od kiedy to zaczęłaś dbać o jej samopoczucie? Posłuchaj: moim zdaniem nie powinnaś lać w siebie wody ognistej. Alkohol cię rozstraja. Mówiąc szczerze, trochę się obawiam, że zaczynasz mieć z tym problem.

— Alkohol mnie wzmacnia.

— Nie gniewaj się, ale czy zauważyłaś, że jesteś nieco drażliwa? Może to głód alkoholowy?

— Muszę się napić. Przed chwilą wywaliła mnie z pracy najokropniejsza jędza. Mogłabyś wykrzesać z siebie choć trochę siostrzanej solidarności. Nie dała mi nawet ustnego ostrzeżenia. A co dopiero pisemnego. Idę się napić i koniec.

— O Boże. Gdzie chcesz iść? Musimy poczekać, aż otworzą knajpy. Bo zakładam, że nie będziesz pić na ulicy?

— Cicho! Pójdziemy Pod Koronę. Chcę wygodnie usiąść i spokojnie zalać się w trupa.

— Kate, pomyśl o swojej biednej wątrobie. Czy nie dosyć już wycierpiała?

— Idziesz ze mną czy nie?

— Idę, idę. Ktoś musi się tobą zaopiekować.

— To chodź.

Wzięły się pod rękę i do jedenastej błąkały się bez celu po sklepach. Kate omal nie kupiła sobie naszyjnika z pereł, ale nie zdołała wzbudzić w sobie dostatecznego entuzjazmu, by sięgnąć po książeczkę czekową.

— A może poszłabyś do domu i zafundowała sobie gorącą kąpiel z pianką? Ja w tym czasie zrobię coś dobrego do jedzenia. Na przykład placek pasterski. Zawsze ci smakował.

— Shirley, jeśli będzie mi potrzebna pielęgniarka, udam się na pogotowie. Lepiej się pośpiesz, bo zajmą nam wszystkie stoliki.

— Dobra, ale moim zdaniem to duży błąd i chcę mieć na piśmie, że cię ostrzegłam.

W milczeniu lawirowały pomiędzy zaaferowanymi paniami domu na zakupach, przyciągane ku mrocznemu jak czarna dziura wnętrzu baru Pod Koroną. Za drzwiami musiały na chwilę przystanąć, żeby oczy przyzwyczyły się do braku światła. Pracownicy baru, zajęci odsłanianiem dystrybutorów piwa, krojeniem cytryn na plasterki i rozstawianiem popielniczek, powitali je poważnymi ukłonami. Nie trzeba mówić, że o tak wczesnej porze lokal był jeszcze

zupełnie pusty. Kate wybrała zaciszną niszę i opadła na skórzane siedzisko podając Shirley dwudziestofuntowy banknot.

— Bądź tak dobra, zamów dwie podwójne wódki.

Shirley zerknęła na zegarek. Były trzy minuty po jedenastej. Nie do wiary, że Kate zamierza się upić o tej porze. Co sobie o nich pomyśla? Jak się okazało, nie musiała iść do baru, bo barman podszedł, żeby przyjąć zamówienie. Kate, choć bardzo zajęta uzalaniem się nad sobą, mimo wszystko puściła do niego oko, choć trzeba przyznać, że jakość mrugnięcia bardzo odbiegała od jej standardów. Zamówiła alkohol i ziewnęła szeroko. Zaczynała czuć zmęczenie po porannych przejściach.

— Dla mnie tylko sok pomarańczowy — powiedziała przekornie Shirley.

Trzy godziny później Kate pogodziła się wreszcie z upokorzeniem. Na stoliku stał talerz z niedojedzoną zapiekanką, obok piętrzyła się piramida pustych szklanek. Tłumek, który obiegł bar w porze lunchu, już się rozszedł. Pod wymyślnie rzeźbionym sufitem kłębiła się gruba warstwa dymu z papierosów. Kilku mężczyzn siedziało przy barze, studiując wyniki wyścigów w gazetach. W pomieszczeniu zrobiło się cieplej i przytulniej i Kate poczuła się znacznie szczęśliwsza.

— No cóż, Shirley, miałaś rację. Dostałam Kopa przez duże K. Prosto na zieloną trawkę. Przez Alexa. I żeby chociaż był tego wart!

— Nie bądź dla siebie taka surowa.

— Lepiej uważaj, co mówisz w pracy. Głowę dam, że mają wszędzie podsłuch. Mówiłam ci, że Bingham grzebała mi w biurku?

— To już nieważne. I tak nie lubiłaś tej pracy.

— Owszem. Ale lepsza taka niż żadna.

— Dlaczego nie spróbujesz zatrudnić się w handlu? Może w którymś z tych eleganckich butików przy Royal Avenue? Znasz się na ciuchach, czułabyś się tam jak ryba w wodzie.

— Myślisz, że Bingham da mi dobre referencje? Zresztą w butikach też nie mam czego szukać. Ci snobi albo potrzebują niedorozwiniętej nastolatki, która za nędzne grosze będzie robić wszystko bez szemrania, albo zatrudniają swoje stare ciotki. W społeczeństwie nie liczy się to, co umiesz, mała. Liczy się, kogo znasz. To beznadziejne. Poza tym nie chcę przez cały dzień stać na nogach. Jestem po trzydziestce, dostanę żyłaków jak matka Kevina.

— Oj, Kate, Kate! Próbowałam cię ostrzec.

— Byłam u niego, mówiłam ci o tym? Tylko nie pytaj, po co, bo naprawdę nie wiem. Nie pamiętam nawet, czy miałam zamiar się z nim przespać czy nie. Poszedł do łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze, i już nie wyszedł. To było najdziwniejsze. On śpiewał jak opętany pod prysznicem, a w kominku urzędowały trzy myszy. Oswojone myszy szukające okruszków.

— A więc nic między wami się nie wydarzyło?

— Nic a nic. Więcej namiętności zaznałam na przystanku autobusowym przy Limestone Road. Kiedy Sean Doherty się rozpałił, nawet oddział służb specjalnych nie był w stanie go powstrzymać.

— Naprawdę jesteś niemądra, Kate. Jeśli dobrze rozumiem, nie zamierzasz się już spotykać z Alexem?

— Wolałabym się z nim nie spotkać. Może być na mnie troszkę zły. Zrobiłam mu kawał. Wsadziłam mu coś do łóżka. — Kate odbiło się głośno. Pomasowała sobie brzuch. — Przepraszam. Za dużo coli.

— Nawet nie pytam... No dobra, zapytam. Co mu wsadziłaś do łóżka?

— Niech się wypcha! — Kate zignorowała pytanie siostry.

— Jak u diabła mam spłacić zakupy z katalogów? Jestem im winna fortunę. Powiedz mi, Shirley, jak?

— Nie wiem, Kate. Pomogę ci, oczywiście, dopóki nie znajdziesz innej posady. Nie byłaś ubezpieczona od utraty pracy, co?

— Kate ubezpieczona, to byłby dopiero fenomen, dodała w duchu.

— Trochę kręci mi się w głowie. Ubezpieczenie od utraty pracy? Jest takie?

— Chodźmy już do domu. Powinnaś się położyć.

— No co ty! Dopiero się rozgrzewam. Barman, jeszcze raz to samo!

— Lepiej nie, kończą nam się pieniądze. Zostały tylko drobne. Poza tym nudzę się i nogi mi zdrętwiały.

— Dobrze ci zrobi spacer. Weź moją kartę i idź do bankomatu. Drinkomatu, cha, cha. No idźże! I powiedz barmanowi, żeby zmienił płytę. Trochę tu za cicho. Z życiem, kochani, z życiem!

Shirley westchnęła ciężko i dźwignęła się z krzesła. Była zła na Kate, że przepija pieniądze, których miały tak mało. Jeśli zaraz nie przestanie, spadnie pod stół, a Shirley przyjdzie odtransportować ją do domu. Będzie musiała powiedzieć barmanowi, żeby następnym razem nalał jej do drinka tylko kroplę alkoholu. Nie miała jednak takiej szansy, bo

przepasany białym fartuchem barman pojawił się w niszy, żeby zebrać puste szklanki w zgrabną wieżyczkę, którą oparł sobie o ramię, drugą ręką wycierając stół.

— A! — Kate rozpromieniła się w pijackim uśmiechu. — Poprosimy o repetę, dobry człowieku. I jakąś głośną muzyczkę. Moja siostra zaraz przyniesie świeżą gotówkę. Pospiesz się, kochanie!

Shirley wymknęła się z pubu nie spostrzegłszy Declana Greenwooda, który stał przy barze. On wszakże ją zauważył.

— I jeszcze paczkę papierosów! — zawołała Kate za oddalającym się barmanem. — Chyba zacznę palić. Bezrobotny powinien mieć jakieś zajęcie, cha, cha, cha!

Drinki przyniósł Declan we własnej osobie.

— Proszę pozwolić, że postawię paniom tę kolejkę — rzekł, ostrożnie stawiając tacę na mahoniowym stoliku. — Jestem Declan Greenwood.

— Faktycznie. — Kate wyjęła papierosa z paczki i zapaliła zapalną. — Witaj i przyjmij wyrazy wdzięczności. Może i ty się z nami napijesz?

— Mam w barze guinnessa.

Z umieszczonych pod sufitem głośników zatrzeszczeli Stranglersi, światła odrobinę przygasły.

— No, nareszcie jest tu właściwa atmosfera — orzekła Kate. — Powiedz mi, Declanie, a skąd ty mnie znasz?

— Mój kumpel, Kevin McGovern, zna ciebie i Shirley.

— Ano tak. Shirley to kochana dziewczyna. Opiekuje się mną, wiesz? Właśnie pożegnałam swoich pracodawców.

— A zatem świętujesz?

— Raczej topię smutki. Wskazano mi drzwi, by tak rzec. Uwierzysz, że wywaliła mnie z pracy kobieta? Myślałam, że my, kobiety, powinnyśmy się trzymać razem. No, chyba że sprawa dotyczy jakiegoś przystojniaka. — Kate znów ziewnęła i pomyślała czule o swoim stylowym francuskim łóżku.

— Nie martw się. Znajdziesz coś innego.

— A ty pracujesz gdzieś, Declanie?

— Studiuję, a oprócz tego pomagam w małej restauracji, ale jej właścicielem jest mój ojciec, więc nie mam się czym chwalić.

— Dlaczego? Moim zdaniem to dość ciężka praca. Każda praca z klientami to absolutny koszmar. Albo żebrzą, albo skarżą się na obsługę. Sama nie wiem, co gorsze.

Declan wzruszył ramionami.

— Shirley poszła do domu? — spytał. — Widziałem, jak wychodziła.

Barman przyniósł jego piwo, więc wstał, żeby zapłacić. Kate bardzo ostrożnie wlała do swojej szklanki zawartość miksera. Miała wrażenie, że szklanka tańczy po całym stole.

— Wszystko okej? — spytał Declan. — Może przynieść ci wody mineralnej?

— Nie, wszystko w porządku. Dzięki. — Kate doszła jednak do wniosku, że odczeka chwilę, nim wleje w siebie następnego drinka. — Shirley wyskoczyła tylko do bankomatu. A co? Jesteś zainteresowany?

— Tak tylko pytam.

— Fajna jest ta moja siostrzyczka. Trochę nieśmiała, ale rzetelna jak złoto. Wiesz, nie powinnam ci tego mówić, ale dziś mam tak fatalny dzień, że powiem. Wpadłeś jej w oko.

— Naprawdę? — Declan uśmiechnął się szeroko.

— Tak, ale nigdy w życiu ci tego nie okaże. To marzycielka. Fascynują ją Celtowie, gada do księżycy i do gwiazd.

— Każdemu się to czasem zdarza.

— Czy ja wiem...? W każdym razie Shirley jest bardzo uczuciowa.

— Tak? Powiedz mi o niej coś jeszcze.

— To smarkula, nie ma jeszcze dwudziestu lat i sama nie wie, czego chce. Zresztą spójrz na mnie, ja mam dwadzieścia dziewięć i też nie wiem, czego chcę. — Kate wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. — A oto i ona! Shirley, skarbie, gdzieś ty się podziewała? Patrz, kto do nas zawitał! Twój ulubiony Declan! Postawił nam po drinku. Daj mi torebkę, pójde przypudrować nos. Grzeczna dziewczynka. — Kate pospieszyła do łazienki, czując, że jeszcze chwila, a jej żołądek zwróci część spożytych płynów.

Shirley przysiadła obok wejścia do niszy. Czy to naprawdę on, czy upiła się siedmioma sokami pomarańczowymi i ma zwidy? Spojrzała na swoje buty, dość mocno obkopane. Declan coś mówił. Uczyniła wysiłek, by się skupić.

— Widziałem cię w dyskotecce, z siostrą.

— Tak?

— Mhm. Nieźle tańczysz. Shirley oblała się rumieńcem.

— Lubisz muzykę? — wydukała.

— Bardzo. Praktycznie każdą. Kupuję mnóstwo płyt, mam ich setki. Nagrania koncertowe, studyjne, specjalne wydania. Chętnie zostałbym dyskdżokejem lub załapał się do jakiejś kapeli.

— Naprawdę?

— Jasne. Mam lekkiego hopla na punkcie muzyki. Mam też sporo pomysłów na dobrą imprezę. Rozrywka to świetny biznes. Każdy lubi się zabawić.

— Tak myślisz?

— O, tak. Muzyka wyrównuje różnice społeczne. Niezależnie od statusu ludzie lubią jej słuchać, tańczyć, poznawać innych...

— Tak?

— Jestem tego pewien.

— Przepraszam cię za Kate — powiedziała szybko Shirley. — Za dużo wypła i ledwie trzyma się na nogach. — Zerknęła na zegarek. — Dam jej jeszcze pięć minut, a potem pójdę zobaczyć, czy nie leży nieprzytomna w toalecie. Nie znoszę, kiedy ludzie za dużo piją. Nigdy nie wiem, co wtedy robić.

— Posiedzę do jej powrotu, jeśli chcesz.

— Bardzo ci będę wdzięczna. Martwię się o nią. Ostatnio niezbyt jej się...

W tejże chwili wróciła Kate. Była bardzo blada, ale stąpała dość pewnie.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, siostrzyczko, chciałabym pójść do domu i się położyć.

Shirley z ociąganiem sięgnęła po płaszcz. Declan wstał.

— Też będę leciał. Wpadłem tylko na małe piwko. Muszę wracać do pracy. — Uśmiechnął się. Na twarzy Shirley też zamajaczył cień uśmiechu. Najchętniej zostałby tu z nią dłużej, ale ojciec czekał na niego w restauracji. — No cóż. Miło było was poznać, dziewczyny. Może spotkamy się znów w dyskotecce?

— Na pewno. Pa, trzymaj się. — Kate usiłowała przypalić filtr papierosa. Płaszcz miała już na sobie, podszewką na wierzch. We troje wyszli z baru, Declan jeszcze raz powiedział „cześć” i ruszył w stronę centrum.

— Żegnaj — szepnęła Shirley, powstrzymując się, żeby nie iść za nim.

Kate szturchnęła ją w bok i wyczekująco zajrzała jej w oczy. Po kilku podwójnych wódkach miała problemy z ostrością widzenia.

— No, mówże! Rozmawialiście? O czym rozmawialiście? Dałam wam tyle czasu, ile tylko mogłam.

— Dzięki, Kate. To było prawdziwe bohaterstwo z twojej strony, zważywszy na okoliczności. No cóż, on mówił dosyć sporo. Ja niewiele.

— No ale co mówiłaś? Nie milczałaś przecież przez cały czas.

— Niech pomyślę. Powiedziałam: „Tak?” „Naprawdę?” „Tak myślisz?” i znów: „Tak?” Pewnie doszedł do wniosku, że jestem niedorozwinięta. Nic więcej nie byłam w stanie z siebie wydusić.

— O Jezu. Wiesz, na czym polega problem, mała? Za długo siedzieliśmy w tej zasiłkowni. Człowiek zapomina tam języka w głębie. Głębie. Nie, wróc. Gębie.

— Starał się nawiązać rozmowę, a ja wszystko popsułam.

— Nic podobnego. Podobasz mu się. Wróci. A teraz idziemy prościutko do domeczku. Muszę się walnąć spać. Uświadomienie starej Siekierze kilku prawd straszliwie mnie wyczerpało.

15.

DAWNE NAMIĘTNOŚCI

Marion i Eddy leżeli w swoim pięknym łóżku z rzeźbionymi kolumnkami w sypialni dużego domu przy Derryvolgie Avenue. Na ulicy było cicho i spokojnie. Marion urządziła małżeńską sypialnię w kremowej tonacji, na podłodze leżał puszysty dywan, a w nogach łóżka stała mała wygodna sofa. Nad toaletką, w prostej drewnianej ramce, wisiał akwarelowy pejzaż wiejski z okolic Galwayu, który kupili podczas podróży poślubnej. Oboje przyglądali mu się teraz, wspominając tamte chwile. Ich miodowy miesiąc, spędzony w przytulnym hoteliku nad morzem, był doprawdy przedziwny. Co wieczór kładąc się do łóżka całowali się tylko i zasypiali trzymając się za ręce. Eddy nie chciał wywierać na nią presji. Powiedział, że zaczeka do narodzin dziecka. W tym czasie Marion powoli się z nim oswoi. Ich małżeństwo zostało spełnione prawie rok później. Namiętność Eddy'ego zdumiewała Marion; był znacznie lepszym kochankiem, niż się spodziewała — delikatnym, wrażliwym na jej uczucia. Życzyłaby każdej kobiecie takiego szczęścia w małżeństwie, jakie stało się jej udziałem.

Uśmiechnęła się do męża, a on pocałował ją lekko.

Eddy też czuł się szczęśliwy. Bardzo lubił tę komfortową sypialnię, choć reszcie domu również niczego nie brakowało. Artystyczne zdolności Marion stanowiły dla Eddy'ego źródło nieustającej dumy, ale przede wszystkim podziwiał ją za to, że była wspaniałą matką czworga dzieci. Dzięki Bogu zaczekał na właściwą kobietę choć przecież mógł się poddać i ożenić z inną.

Na zewnątrz wiał lekki wiatr, latarnie uliczne igrały cieniami nagich gałęzi kasztanowców. Nie zaciągnęli zasłon, żeby obserwować posuwisty korowód chmur na tle księżyca. Eddy objął żonę Delikatnie wodził dłonią po jej gładkim ramieniu i jasnych lokach i myślał, jaka jest piękna. Jesienią zawsze czuł się dziwnie podniośle. Niedługo przyjdą święta. Z początkiem grudnia pójda całą rodziną na piezzonego indyka do restauracji, a potem w sklepie ogrodniczym naprzeciw kupią choinkę. Ubiorą ją razem, robiąc przy tej okazji zdjęcia do albumu. Dzieci uwielbiały tę rodzinną tradycję. Potem będą z Marion buszować po sklepach kupując prezenty dla całej rodziny. Eddie westchnął błogo i po raz drugi pocałował żonę.

Marion wiedziała, do czego zmierza, ale nie mogła się skoncentrować na seksie, dopóki nie powie mu o swoim dzisiejszym spotkaniu. Nigdy nie miała tajemnic przed mężem. Wzięła głęboki wdech.

— Rozmawiałam dziś z kimś... kimś z przeszłości.

— Z kim, kochanie? — Eddy udał, że nie wie, ale serce zatrzymało mu się na moment

— Z Johnnym Hoganem. Przyszedł do sklepu i zapraszał mnie na lunch.

— A po co, jeśli wolno spytać?

— Chciał się pożegnać.

— Jest chory? — Fala nadziei wezbrała w piersi Eddy'ego. (Ostatecznie ludzie umierają na raka nawet przed czterdziestką a Johnny jest nałogowym palaczem.) Czuł do siebie odrazę za te potworne myśli, ale prawdę mówiąc nigdy nie wybaczył Johnny'emu Hoganowi, że ten odbił mu ukochaną dziewczynę.

— Co za dziwne pytanie! Wygląda zdrowo. Wyjeżdża.

— Za granicę? Na stałe? — A zatem nie wszystko stracone.

— Do Stanów, na trzy miesiące. Pół roku, jeśli mu się tam spodoba.

— To znaczy, jedzie na urlop? Na litość boską, nikt z powodu urlopu nie składa wizyt pożegnalnych!

— Johnny ustanawia własne zasady, Eddy

— O tak, wiem o tym. Chciał, żebyś z nim pojechała?

— Nie, no co ty, głuptasie!

Zawahała się nieco, nim to powiedziała, i Eddy wiedział, że odgadł trafnie. Zacisnął pięści pod kołdrą.

— Założę się, że tak było. Nie ma prawa prosić cię o cokolwiek, nawet o to, żebyś zjadła z nim lunch. — Eddy zniżył głos do szeptu, żeby nie usłyszały go dzieci. — Zawsze miałem obawy, że w końcu się domyśli, że jest ojcem Declana. Wspominał o tym? Declan urodził się ledwie siedem miesięcy po naszym ślubie.

— Nie. On nie należy do ludzi, którzy liczą dni i miesiące. W ogóle ignoruje upływ czasu. Wiesz, że wciąż jeszcze nosi niebieskie zamszaki? Bóg jeden wie, skąd je bierze. Pewnie kupił sto par, kiedy były modne, i trzyma je na strychu. — Marion czuła, że papla trzy po trzy, odbiegając od tematu. — Nie chciał być ojcem. To nie w jego stylu.

— Powiedziałaś to jak komplement.

— Eddy! Sam wiesz najlepiej, że Johnny'ego nudziła sama myśl o rodzinie. To nie jest człowiek, który by pełzał po podłodze bawiąc się z synem kolejką. On żyje w innym świecie.

— Jestem nudny, Marion?

— Ani trochę. Jak możesz w ogóle mówić coś takiego?

— Skoro się dowiaduję, że moja żona w tajemnicy idzie na lunch ze swoim byłym kochankiem... Czego on chciał, Marion? Na pewno czegoś chciał. Proszę, powiedz mi prawdę.

— Powiedziałam ci prawdę. Wyjeżdża, chciał się pożegnać i przeprosić za to, jak mnie potraktował. Uspić upiory przeszłości. I tyle.

— To jest ta prawda?

— Tak, kochanie. Życzyłam mu wszystkiego najlepszego i poprosiłam, żeby o mnie zapomniał. Wysłałam za właściwego mężczyznę i jestem z tobą szczęśliwa.

— Powiedział, że wciąż cię kocha?

— Nie. Dlaczego miałby to mówić?

Eddy nie uwierzył. Jakiż mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógłby przestać kochać Marion, jej bławatkowe oczy, usta jakby stworzone do całowania i smukłe nogi w pantofelkach na wysokich obcasach. Marion, której głos był delikatniejszy od tchnienia letniego wiatru.

— Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Marion. Wiesz o tym. Przeżyliśmy razem wiele dobrych lat, choć nie były one pełne emocji i przygód.

— Eddy, w chwili kiedy poprosiłeś mnie o rękę, miałam już powyżej uszu emocji i przygód. Dramatyczne sytuacje wcale nie są przyjemne, przeciwnie, dość stresujące.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Pragnęłam spokoju, bezpieczeństwa i mężczyzny, na którym będę mogła polegać. Kocham cię od bardzo dawna najmilszy, i zawsze będę cię kochać, przysięgam.

— Wybacz, że cię tak wypytuję. Ta sprawa nie daje mi spokoju. W końcu byliście razem przez pięć lat... Czy nie wydaje ci się dziwne, że nigdy się nie ożenił?

— Nie. Za bardzo zależało mu na firmie, żeby mógł poświęcić się rodzinie.

— Ja też prowadzę firmę i jakoś nie przeszkodziło mi to w ożenku. Ty także pracujesz.

— Ale on pracuje wieczorami. Dla żony mogłoby to być dość przykre.

— Niemożliwe, żeby to był jedyny powód. Nie sądzisz, że dalej się w tobie kocha?

— Posłuchaj, Eddy: wstyd mi to przyznać, ale Johnny pragnął mnie tylko dlatego, że byłam ładna. Służyłam jako ozdobnik dla jego ego miejscowego bohatera. Większość czasu, który spędziliśmy razem, przetańczyliśmy w dyskotecce. Albo przesiadeliśmy w kinie. Johnny lubił się ze mną pokazywać publicznie.

— Ale... pięć lat! — O, tę liczbę Eddy pamiętał dobrze. Każdy dzień tych pięciu lat wypalił się bolesnym piętnem na jego duszy.

— Rzadko kiedy byliśmy tylko we dwoje. Johnny nie chodził ze mną na długie spacerunki tak jak ty. Nie spędzaliśmy wielu godzin na miłości lub po prostu rozmowie. Johnny nie chciał się mną obarczać całodobowo. Był i jest egoistą.

— Więc nic już do niego nie czujesz? Nie żałujesz, że to się skończyło?

— Mówię szczerze, kochanie: nie masz się o co martwić. Powiedziałam ci, że widziałam Johnny'ego, bo przyrzekłam niczego przed tobą nie taić. Jemu powiedziałam to, co miałam do powiedzenia, i więcej się z nim nie spotkam. Myślę, że w Ameryce mu się spodoba. Kto wie, może nawet zostanie tam na stałe. Nadawałby się na Amerykanina. Tu nigdy nie pasował.

— Nie mów Johnny'emu o Declanie, słyszysz?

— Oszalałaś? Nie powiedziałam nikomu przez tyle lat, dlaczego miałabym to zrobić teraz? Jesteś jedyną osobą, która wie. Pamiętasz minę lekarza, gdy urodził się Declan? Siedmiomiesięczny wcześniak ważący ponad cztery kilo! A kobieta, która wypisywała świadectwo urodzenia? Ją też okłamałam, prawda?

— No cóż, wiem, jak łatwo się wzruszasz. Łatwo można cię wziąć na litość. Biedny Johnny, jedzie całkiem sam do Ameryki i będzie tam siedział nad jakimś jeziorem patrząc melancholijnie w dal i rozmyślając o niespełnionym życiu. Ten drań zawsze wiedział, jak manipulować kobietami. Niedobrze mi się robi, kiedy o nim myślę.

— Eddy, jesteś zaborczy! I wciąż trochę zazdrosny, prawda?

— Bardziej, niż się domyślasz. — Eddy pocałował ją czule i przyrzekł nie wspominać o Johnnym Hoganie.

Marion poczuła ulgę. Jak to dobrze, że Eddy wszystko rozumie. Jeśli nie liczyć rzadkich manifestacji zazdrości, był doprawdy ideałem mężczyzny. Upomniała się w duchu: trudno się dziwić, że tak bardzo nie lubi Johnny'ego. Czekał przecież na nią długie pięć lat od dnia, w którym zwróciła mu pierścionek zaręczynowy i ruszyła z Johnnym w dyskotekowe tango. Przytuliła się do męża pod kołdrą i jeszcze raz powtórzyła, że bardzo go kocha.

Ale Eddy cierpiał, choć tego nie okazał. W sercu miał bolesny okruch lodu. Gniew, który pochował na tyle lat, znów zaczął go dręczyć. Nie był teraz w stanie spełnić powinności małżeńskiej nie mógł nawet zasnąć. Wiedział, że Marion go kocha, ale był też pewien, że Johnny znów stara mu się ją odebrać. Ten bezwzględny egoista chciał mieć towarzyszkę, która zadba o niego na stare lata. Która będzie cierpliwie wysłuchiwać wspomnień z bohaterskim gwiazdorem w roli głównej. Nie dbał o to, że Marion ułożyła sobie życie. Czyż to nie typowe dla Johnny'ego Hogana? Eddy miał ochotę udać się wprost do dyskoteki i spuścić mu takie lanie, jakiego nie dostał nigdy w życiu. Żaden przyzwoity człowiek by go za to nie winił. Znając jednak Hogana, był pewien, że wsadziłby go do więzienia na parę miesięcy i wykorzystał ten czas (oraz ślady pobicia), aby uwieść mu żonę. Marion już raz obiecała Eddy'emu, że go nie opuści, a jednak odeszła na jedno gwizdnięcie tego tupeciarza. Nie chciała nawet rozmawiać z nim przez telefon, tłumacząc się, że zrani uczucia Johnny'ego. Uczucia, jakie targały wówczas Eddym, omal nie doprowadziły go do obłędu. Odzyskał Marion tylko dlatego, że była w ciąży i rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by się nią zajął. I oto w każdej chwili mogło się okazać, że zbudował swoje życie na piasku, że zawali się ono jak domek z kart. Spokój, zachowaj spokój, mówił sobie raz po raz tej nocy. Musiał być silny i rozsądny; tego oczekiwała od niego Marion. Myśl! — powtarzał. — Myśl!

No cóż, skoro nie może zagrozić Johnny'emu dostępu do Marion, najlepiej będzie, jeśli wywiezie ją z Belfastu do czasu, aż Hogan spakuje walizki i nareszcie zniknie. Pojadą na zimowe wakacje. Wezmą dziewczęta — Marion nie zostawiłaby ich samych na tak długo. A Declan zajmie się w tym czasie firmą. Trzy tygodnie u steru powinny wybić mu z głowy myśl o zostaniu przedsiębiorcą. Przy dobrych układach w dniu ich powrotu będzie tak zmęczony, że w te pędy wróci na uniwersytet, by tam odpocząć. Marion byłaby uszczęśliwiona. Eddy przymknął oczy i zaczął odpływać w sen marząc o luksusowym rejsie, na który zabierze żonę

najszybciej, jak tylko uda mu się zarezerwować miejsca. Pokaże jej, że potrafi zamawiać koktajle i całować ją pod gwiazdami, i nie gubić się w nieznanymi miastach. Zadba o to, by dziewczęta też dobrze się bawiły. Nie będzie ich trzymał zbyt krótko, pozwoli samym robić zakupy. Sam też obkupi się w modną odzież i będzie tańczył z Marion każdej nocy na statku, choć nie jest najzgrabniejszym z tancerzy. Pokaże jej, że nie tylko z Johnnym życie ma blask.

Marion również długo przewracała się z boku na bok. Istotnie, Johnny zaproponował jej, żeby z nim wyjechała. Powiedział, że wciąż żywi do niej bardzo mocne uczucia. To wyznanie przyszło jednak o dwadzieścia lat za późno. I jeśli naprawdę myślał, że ona zostawi w Belfaście męża, czworo dzieci i spędzi z nim resztę życia leżakując na Florydzie, to doprawdy w ogóle jej nie znał. Była zadowolona, że tego dnia w kawiarni zachowała stosowny dystans. Co prawda czasem zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie z Johnnym, i zaraz dochodziła do wniosku, że był do tego stopnia oderwany od rzeczywistości, tak pozbawiony poczucia odpowiedzialności, iż na pewno zakończyłoby się katastrofą. Dzięki Bogu, trafił jej się Eddy. Nie miała najmniejszego zamiaru lecieć z Johnnym ani na Florydę, ani nigdzie indziej. Rozważała i to, czy powinna mu wyjawić prawdę o Declanie. Ich syn był już dorosłym mężczyzną, nie groziła zatem bezpardonowa walka o opiekę nad dzieckiem. A Declan, czyż nie miał prawa wiedzieć? Z drugiej wszakże strony... Trudno było wyrokować w takiej delikatnej sprawie. A jeśli Declan jej nie wybaczy, że przez tyle lat tajiła przed nim prawdę, i odjedzie z Johnnym do Ameryki? Nie chciała w żaden sposób zakłócać mu spokoju, dopóki nie porzuci idiotycznego mniemania, że studia medyczne są dla niego za trudne. Taki szok mógłby dać jej synowi idealny pretekst do rzucenia medycyny, a tego za wszelką cenę chciała uniknąć.

Kiedy księżyc zbladł, a słońce pokazało się nad horyzontem, jeszcze nie spała. Cicho wstała z łóżka, włożyła ciepły szlafrok i poszła zrobić śniadanie dla siebie i Eddy'ego. Ustawiła na tacy rumiane grzanki z tostowego chleba, masło w szklanej maselnicy, sok ze świeżych pomarańczy, dwa duże kubki kawy i saszetki ze słodzikiem w ładnej porcelanowej czarce. I różową różę w wysokim wazonie na znak, że Eddy jest dla niej kimś wyjątkowym i że wcale nie myśli o dawnych namiętnościach. Jedynie o ich konsekwencjach.

ZASTANÓW SIĘ, NIM WYPOWIESZ ŻYCZENIE

Shirley w pośpiechu wpadła do biura. Bez Kate, ożywiającej atmosferę swoimi dowcipami, było jeszcze nudniej. To Kate podrzucała do szuflad gumowe pająki, Kate wołała, że się pali, gdy ktoś za długo okupował toaletę; a kiedy urządzali w biurze bal gwiazdkowy, Kate pierwsza zrywała się do tańca w śmiesznej czapeczce i naszyjniku z lamety.

Ale ostatnio Kate zupełnie straciła ochotę do żartów. Tego ranka przy śniadaniu rozplakała się na myśl, że o drugiej ma się stawić w swojej dawnej pracy, tym razem jako petent. Będzie musiała stanąć po drugiej stronie lady i prosić o zasiłek. Państwo Winters przyjęli wieść o jej zwolnieniu dość lekko. Matka stwierdziła, że to była kiepska praca; Kate ze swoim wykształceniem powinna znacznie więcej zarabiać. A ojciec oznajmił, że jest jeszcze młoda, całe życie przed nią i może by tak pomyślała o założeniu rodziny? (Wintersowie byli jedynymi pięćdziesięciolatkami na całej ulicy, którzy jeszcze nie mieli wnuków, i fakt ten był dla nich źródłem ciągłego wstydu.) Na nieszczęście ich wypowiedziane w dobrej wierze uwagi nie zostały przyjęte ze zrozumieniem: Kate zaczęła szlochać, lejąc łzy do płatków kukurydzianych. W końcu listopada przypadały jej trzydzieste urodziny i zrobiła się nieco przeczulona na punkcie wieku. Młoda? Nie związana? Rozwojowa? Już prędzej: trzydziestoletnia bezrobotna stara panna.

— Dziękuję wam bardzo, kochani rodzice! Miło wiedzieć, że waszym zdaniem zmarnowałam w urzędzie dziesięć lat życia! Na pewno bez problemu załapię się gdzie indziej jako stażystka. W moim wieku! No proszę, kto jeszcze ma ochotę dołożyć przegranej dziewczynie do bicia w niebieskim narożniku?! Nie bójcie się kopać leżącej! Mogłam się spodziewać czegoś takiego od obcych, ale kiedy człowiek dostaje cios poniżej pasa od własnych rodziców, to naprawdę boli! Bezsensowna praca, mówią. Trzask! Na dodatek chcą wnuków! Trzask, bach, łubu-du! Chociaż dobrze wiedzą, że nie mam chłopaka! Jezu Chryste, co to, koncert życzeń? Mam kandydować w wyborach? Zostać premierem rządu? Z uczepioną spódnicy kupą adoptowanych dzieciaków? Dobrze, rozpocznę kampanię, jak tylko zbuduję kilka sierocińców w Trzecim Świecie. Boże, ty to widzisz i nie grzmisz!

Pan Winters natychmiast pospieszył do szopy sprawdzić, czy jego ukochane ozdoby choinkowe nadają się do użytku. (Nic nie szkodzi, że był dopiero październik.) Pani Winters

pomknęła na piętro składać pranie. W ten sam sposób przyjmowali huśtawki nastroju Kate, kiedy była w okresie dojrzewania, i nadal była to najlepsza metoda uniknięcia konfrontacji. Kate nigdy z żadnej scysji nie wyszła pokonana. W zeszłe święta przez dwie godziny wyklócała się z Shirley o ostatniego karmelka, który został w puszcze.

Tym razem Shirley pozostawiła starszą siostrę jej problemom i poszła na przystanek autobusowy. Przykrzyło jej się jeździć bez paplaniny Kate. Miała nadzieję, że ta wreszcie przestanie się użalać nad sobą i podejmie jakąś pracę, zanim zaczną spływać rachunki za zakupy z katalogów. Owszem, obiecała, że pomoże, ale nie chciała, żeby Kate przerzuciła na nią cały ciężar zadłużenia.

Gdy wieszala kurtkę na oparciu swego biurowego krzesła, jej uwagę zwróciło poruszenie w drugim końcu sali.

— Shirley! Shirley! Telefon do ciebie! — Jedna z dziewczyn gwałtownie przyzywała ją ręką. — To facet!

— Super! — pisnęły chórem pozostałe urzędniczki, ożywione drobnym urozmaiceniem w codziennej monotonii podań o kredyt zapomogowy.

— Ciszej! — syknęła Shirley biegnąc do telefonu. Panna Bingham wpatrywała się w nią jak jastrząb. — To na pewno pomyłka — dodała głośno. — Znajomym nie podaję telefonu do pracy. Nigdy.

— Halo? Czy to Shirley Winters?

Jego głos brzmiał tak głęboko, jak gdyby dobiegał z jaskini. Shirley poczuła, że całą twarz oblewa jej rumieniec. Gorący ciemny rumieniec, który zdradzi ją przed przełożoną. Zdusiła cisnący się na usta okrzyk i zrugowała się w duchu za nieprzystojną płochą. Wzięła głęboki oddech, odzyskując panowanie nad sobą.

— Tak, to ja.

— Mówi Declan Greenwood. Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

Shirley czuła niewytłumaczalny spokój. Zobaczyła, że panna Bingham podchodzi bliżej, powiedziała więc neutralnym tonem:

— Czy złożył pan już podanie w naszym biurze?

— Co? Naprawdę muszę złożyć podanie?

— Szefowa słucha — tchnęła Shirley do słuchawki.

— Aha. To będę się streszczał. Może byśmy się spotkali?

— Tak, zaraz to sprawdzę.

— Nie wiedziałem, jak inaczej się z tobą skontaktować. Nie było cię w sobotę w dysko-
tece. W ogóle dawno cię tam nie widziałem.

— Zgadza się.

Gdyby wiedziała, że Declan tam będzie, czekałaby pod drzwiami od rana, ale Kate ostatnio unikała Alexa i jego obitej miednicy.

— Czy mógłbym wpaść i zabrać cię na kolację? Gdzie mieszkasz?

— Nie mogę panu podać tej informacji przez telefon. — Co? A, szefowa. Może wobec tego spotkamy się pod urzędem? O wpół do szóstej? Dziś? Jutro? Kiedy zechcesz. — Tak, to z pewnością wystarczy.

— Świetnie. Będę czekał dziś o wpół do szóstej. To na razie, cześć.

— Do widzenia panu.

Shirley zerknęła na pannę Bingham, która tkwiła przy sąsiednim biurku, przysłuchując się tej rozmowie. Szybko odwróciła głowę i pospiesznie udała się do toalety dla personelu, żeby zbadać swój wygląd. Była nieumalowana i nie miała przy sobie kosmetyków. Będzie musiała wyskoczyć w czasie przerwy po kredkę do oczu. Przypomniała sobie, że w szufladzie biurka pałęta się stara czerwona szminka, na szczęście będzie pasować. Dlaczego, och, dlaczego rano nie umyła włosów? I dlaczego zgodziła się spotkać z nim dziś, a nie jutro, tak by mogła przyjść do pracy umalowana od stóp do głów? Doprawdy jest kompletną idiotką. Potem jednak poczuła rozlewające się po ciele cudowne ciepło. Wiedziała, dlaczego nie przełożyła spotkania na następny dzień. Po prostu nie mogła się już doczekać. Bez towarzystwa Kate może być sobą i po prostu normalnie z nim pogadać. Doznawała błęgiego uczucia, że panuje nad sytuacją. Ostatecznie Declan był jej przeznaczony. Bogini Księżycy wysłuchiwała prośb Shirley, chwalała jej za to. Shirley przyrzekła sobie, że w ramach ofiary dziękczynnej wpłaci spory datek na konto którejś z organizacji proekologicznych. Uratuje drzewo, wieloryba czy coś w tym guście. Ciężko jej było skupić się na pracy. Listy wydawały się jeszcze nudniejsze w porównaniu z cudowną kołyszącą radością, że zobaczy Declana. Stop. Powinna sprawiać wrażenie, że wie, co robi. O tej porze roku, kiedy chłód na dworze zmuszał duże rodziny do wspólnego spędzania większej ilości czasu w ciasnych domach, pomoc społeczna miała pełne ręce roboty. Prócz Mikołaja, choinek i kolęd okres przedświąteczny przynosił również zatargi rodzinne, zdrady małżeńskie, braki finansowe, nadmierne pijaństwo i wszelakie kryzysy wieku średniego.

Po południu miało się odbyć zebranie w sprawie strajku — część pracowników administracji miała już dość ciągłego przeciążenia pracą. Jeśli zostanie przegłosowany, trzeba będzie wezwać karetkę, ponieważ panna Bingham cierpiała na serce, a jej poglądy wykluczały możliwość, że przykłaśnie idei pracowniczego protestu. Poranek ciągnął się niemożliwie, lecz po lunchu wystąpiło dziwne zjawisko: zegar nagle przyspieszył. Ilekroć Shirley podnosiła głowę, widziała, że odwalił kolejną wielką porcję czasu. Żałowała, że nie ma przy niej Kate, która mogłaby jej udzielić paru cennych rad.

O drugiej zamierzała iść do obsługi, żeby wesprzeć moralnie Kate, która będzie się rejestrować jako bezrobotna, ale panna Bingham kazała jej bez zwłoki skopiować jakiś druk w pięciuset egzemplarzach.

Przez resztę dnia Shirley była tak zaprzątnięta swoimi myślami, że gdy zapytano ją o opinię na temat strajku, odparła: „Już nigdy nie wyjdę z domu nie umalowana”. Wszyscy śmiali się do rozpuku — wszyscy z wyjątkiem panny Bingham, która zacisnęła wargi tak mocno, że całkiem znikły. Bijąca w oczy niekompetencja sióstr Winters stanowiła dowód na poparcie jej tezy, że nieudacznictwo to skaza genetyczna, dotykająca całe rodziny.

Nim ktokolwiek się obejrzał, minęła siedemnasta trzydzieści i Shirley popędziła po schodach do wyjścia, mając nadzieję, że Declana tam nie ma, i jeszcze gorętszą nadzieję, że jest. Był. Zmienił kolor włosów z jasnego na kruczą czerń i wyglądał jeszcze bardziej oszalamiająco. Przez moment poczuła nieodpartą ochotę, żeby przewrócić go na chodnik przed urzędem i zedrzeć z niego odzież. Wybuchnęła śmiechem i od razu zrobiło jej się lekko na duszy. Po chwili uprzytomniła sobie, że wypada się odezwać do biednego Declana, który wydawał się zбитy z tropu jej szaleńczą wesołością.

— Cześć — powiedziała. — Widzę, że zmieniłeś kolor włosów. Są czarne.

— Jesteś spostrzegawcza!

— Jestem wyszkolonym pracownikiem socjalnym,

— Mam nadzieję, że nie przysporzyłem ci kłopotów?

— To znaczy? — Shirley siłą woli usunęła z mózgu obraz Declana rozpinającego jej sukienkę. Jeśli jakkolwiek mężczyzna mógł wpędzić ją w kłopoty, to był nim właśnie on.

— Dzwoniąc do ciebie do pracy — wyjaśnił. — Myślałem, że w dzisiejszych czasach to dopuszczalne.

— Ach, to! Większość szefostwa nie ma nic przeciwko temu, ale panna Bingham jest trochę staroświecka. Wyznaje na przykład pogląd, że kobiet zameężnych nie powinno się zatrudniać w urzędach państwowych.

— A to bardzo przepraszam. Za to, że dzwoniłem.

— Nie ma problemu. Bardzo się ucieszyłam. To była miła niespodzianka — uśmiechnęła się Shirley.

— Dokąd chciałabyś pójść?

— Dokądkolwiek.

— Dokądkolwiek? Masz niewielkie wymagania! A zatem to będzie łatwe.

— Co będzie łatwe?

— Ciekawska jesteś! — roześmiał się.

— Wybacz. Skrzywienie zawodowe. Lepiej sam zadecyduj, nim zacznę cię wypytywać, ile zarabiasz i ile godzin w tygodniu pracujesz.

— Wobec tego powiem ci, co zrobimy: przejdziemy się spacerkiem do francuskiej knajpki przy Shaftesbury Square, żeby coś zjeść. A potem, jeśli uznasz, że wciąż możesz na mnie patrzeć, pójdziemy gdzieś na drinka. Dobrze?

— Tak do mnie mów, kowboju. Brzmi obiecująco. Zadzwoń tylko do mamy, żeby nie czekała na mnie z obiadem.

Ruszyli zatłoczoną ulicą paplając, jakby się znali od lat. Shirley zastanawiała się tylko w duchu, dlaczego nazwała kowbojem faceta, który zaprosił ją do snobistycznej francuskiej restauracji.

SIOSTRZANA RYWALIZACJA

Kiedy Shirley wróciła z randki, było już po pierwszej. Rodzice spali, ale Kate leżała na sofie otoczona pustymi garnuszkami i papierkami po cukierkach, ze znużeniem przeglądając stare czasopisma.

— Czemu jeszcze nie śpisz? — spytała Shirley przechodząc przez salonik do kuchni żeby napić się wody.

Kate zerwała się i pobiegła za nią.

— No, jak było? Mama mówiła mi, że poszłaś na randkę z Declanem! Jestem żadna wieści. — Kate nalala wody do czajnika i włączyła go. — Zjesz grzanekę? Opowiadaj! Umieram z ciekawości! — Wrzuciła dwie kromki chleba do tosterka i zamknęła go z trzaskiem.

— Idę się położyć. Ledwie stoję.

— Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie opowiesz mi wszystkiego ze szczegółami. Siadaj.

— Kate, ja rano muszę iść do pracy. Pamiętasz, co to takiego praca? To takie paskudne miejsce, w którym zarabia się na życie. — Shirley odstawiła szklanekę i ruszyła do drzwi. Nie powinni byli zarywać nocy przed dniem roboczym, ale tyle mieli do obgadania, a czas płynął tak szybko...

— Usiądź! Zaraz zrobię herbaty. Gdzie byliście? — W głosie Kate pojawiły się błagalne nutki. W starym dresie i puchatych kapciach wyglądała tak bezbronne, że Shirley zrobiło się jej żal. Usiadła i splotła ramiona.

— We francuskiej restauracji obok baru Lavery'ego. Tej malutkiej z zielonymi łukowatymi oknami.

— O, la la! Tam jest drogo!

— Zjedliśmy pyszny obiad.

— Co jedliście?

— Nie pamiętam. Na ścianie był fresk. Śliczny.

Gdy czekali na kawę, Declan dotknął jej dłoni. Do końca życia zapamięta scenę, w której dotknął jej pierwszy raz. Pod stylowym freskiem we francuskiej restauracji. Jakież to romantyczne! Ideal!

— Shirley, możesz to zrobić po dobroci lub z musu. Zapytam jeszcze raz: co jedliście? Wołowinę, kurczaka, rybę? Nie czuję od ciebie czosnku.

— No, dobra. Declan jadł pierś kurczącą z pomidorami i serem na wierzchu. A ja kraba. W skorupie! Pierwszy raz w życiu jadłam coś podobnego! Było bosko. Nigdy tego nie zapomnę, chociaż Morrissey pewnie by mnie potępił. Ale ja mu tego nie powiem i ty też nic nie mów! — Zaśmiała się. — Potem podano nam sorbetowe kulki w takim śmiesznym cukrowym koszyczku i bardzo mocną kawę z ekspresu, a potem różne wymyślne koktajle. Mówię ci, Kate, było fantastycznie.

— Jakie koktajle? — Wargi Kate zadrżały z zazdrości. To niesprawiedliwe, żeby Shirley na pierwszej randce została zaproszona do francuskiej restauracji, gdy ona musiała znosić zionącego curry Alexa.

— Możesz mnie zabić, ale nie pamiętam, jak się nazywały — oznajmiła Shirley. — Wcześniej piliśmy wino. Koktajle były różowe... a może to szklanki były różowe? I były w nich kandyzowane wisienki nadziane na małe plastikowe mieczyki. Czekał, mam je w kieszeni. Popatrz. Śliczne, prawda? — Shirley rozłożyła na kuchennym stole kolorowe przezroczyste szpikulce. Potem odbiło jej się krabem i zachichotała jak wariatka. Kate doznała okropnego uczucia, że siostra straciła głowę dla Declana. Dotychczas interesowały ją wyłącznie płyty Morrisseya, filmy z Bette Davis i światowa polityka.

— Kto zapłacił za obiad?

— Declan. Nie pozwolił mi się dorzucić. Choć proponowałam.

— Powiedział ci, ile zapłacił?

— Nie. Nawet nie zajrzał przy mnie do rachunku. Poszedł z nim do baru.

— Zgrabnie. A co potem?

— Byliśmy w winiarni. Nie wiem, jak się nazywa.

— Shirley! Robisz to celowo!

Kate postawiła kubki na stole i usiadła. Po chwili zerwała się z powrotem, żeby przynieść grzanki i maselnickę.

— Naprawdę nie pamiętam. Mały ciemny lokalik przy Strandmillas. Na stolikach stały prawdziwe świece. A na ścianach wisiały współczesne obrazy. Bardzo przytulnie. Czekał, może sobie przypomnę nazwę...

— Mniejsza z tym. Pocałowałaś go?

— Właściwie tak.

— To znaczy tak czy nie? — Kate była bliska płaczu.

— Nie w winiarni. Cały czas rozmawialiśmy. Był tam dwuosobowy zespół; dziewczyna śpiewała. Była dobra.

— Objął cię?

— Potem, w drodze do domu.

— Gdzie?

— Przy parku. Ulicą szła duża grupa ludzi, robili mnóstwo hałasu. Pewnie pijani.

— To normalka. No i co się stało?

— Staliśmy obok dużego krzaka rododendronu i po prostu schowaliśmy się w jego wnętrzu. I czekając, aż tamci przejdą, umililiśmy sobie czas buziakiem.

— Chwilka. Czy ja dobrze rozumiem: całowałaś się z Declanem w krzaku?

— Tak. To zdumiewające, ile miejsca jest w rododendronie. Wszystkie gałęzie idą na zewnątrz. Było pięknie. — Marzenie Shirley wreszcie się spełniło.

— To tłumaczy, dlaczego masz liść we włosach. I jak? — Kate nie miała ochoty słuchać o miłości, ale w duchu była na to przygotowana. To nieuniknione. I bardzo niesprawiedliwe, skoro to Kate włożyła znacznie więcej starań w poszukiwanie ideału.

— Powietrze przesycone było zapachem kwiatów. Nic dziwnego, byliśmy w parku. — Shirley uśmiechnęła się, wciąż zapatrzona w parkową dal.

— Shirley!!! Pytałam o pocałunek. Czy ziemia się poruszyła? Serce ci stopniało? Czy ogarnęło cię dzikie pożądanie?

— Było... cudownie. — Tak cudownie, że trudno było to opisać. Tak zmysłowo, że obojgu odjęło mowę. Shirley czuła się potem odprężona i senna, do tego stopnia, że potknęła się o korzeń i wylądowała na ziemi (stąd liść).

— Dobrze całuje? Nie wykręcisz się od odpowiedzi.

— Już mówiłam, że tak. On mi się podoba.

— Nie bądź taka nieśmiała. Chcę poznać szczegóły. Był namiętny czy gwałtowny? Oddychał ciężko? Zamknął oczy? Czy wasze zęby się zderzyły? Ja tego nie cierpię.

— Strasznie jesteś wścibska. Przecież to ty w naszej rodzinie piastujesz etat znawczyni mężczyzn. Czemuż taka światowa kobieta nagle interesuje się moim skromnym życiem uczuciowym?

— Opowiesz mi wreszcie o tym cholernym pocałunku?

— Nie. To sprawa osobista. — Shirley zerknęła na zegar, obliczając w duchu, ile godzin musi minąć, nim znów zobaczy Declana.

Kate westchnęła ciężko. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

— Spotkasz się z nim jeszcze? — spytała po chwili.

— Owszem.

— Kiedy?

— Idziemy dziś razem do kina.

— Nie za duże tempo? Powinnaś mu kazać poczekać kilka dni.

— Och, Kate! Nie chcę stosować wobec niego żadnych gier. On mi się bardzo podoba i z jakiegoś powodu ja też mu się podobam. Jeśli coś z tego wyjdzie, to świetnie. A jeśli nie, cóż, będę musiała to znieść. Uznałam, że lepiej jest kochać i stracić, niż nie kochać w ogóle.

— To bardzo nowoczesne podejście, muszę stwierdzić. Niezbyt pogańskie.

— To moje podejście i dobrze się z nim czuję.

— Masz zamiar przejść z nim do konkretów?

— Co przez to rozumiesz?

— Wiesz, co przez to rozumiem.

— Nie wiem.

— Owszem, wiesz. Jesteś na to za młoda. Zrobisz z siebie idiotkę.

— Już ci powiedziałam: mam zamiar zaufać instynktowi. Żadnych gier. Żadnych reguł. Nie mam zamiaru go podpuszczać ani okłamywać. Nic mnie to nie obchodzi, że ma bogatych rodziców, dobre perspektywy i świetny samochód. Rozumiesz? Po prostu lubię jego towarzystwo, ot i tyle.

— Dobrze, dobrze, nie unos się. Po prostu nie chcę, żebyś zbyt pochopnie się zaangażowała i skończyła ze złamanym sercem. Jesteś jeszcze dzieciak.

— Zaryzykuję. A teraz muszę się położyć, bo padam z nóg. Dobranoc, Kate

— Dobranoc, mała.

Kate patrzyła przez chwilę, jak Shirley w podskokach wbiega na schody, a potem zrobiła sobie jeszcze jedną herbatę. Wcale jej nie cieszyła ta raptowna odmiana w życiu siostry. Już zauroczona? Po jednej, jedynej randce? W ciągu minionych piętnastu lat Kate umawiała się z niezliczonymi mężczyznami i nigdy, przenigdy nie czuła się tak, jak w tej chwili Shirley. Całowała się z bogaczami w luksusowych wersjach samochodów, z biedakami na zasiłku, z ojcami rodzin i awangardowymi muzykami z miejscowych kapel rockowych. Miała romanse z

przedstawicielami obu stron religijnej barykady, z czarnoskórym studentem uniwersytetu Queens, z amerykańskim turystą, który przez jakiś czas pracował w jej ulubionej pizzerii. Chodziła z policjantem z Lisburn i z nastolatkiem notowanym przez policję za zakłócanie porządku publicznego. Lecz gdyby miała być ze sobą szczerą, nigdy, ani razu nie czuła, że mogłaby się zakochać. Ciepłym uczuciem darzyła swoje torebki.

Kate wpadła w panikę. Nie może pozwolić, by to mała Shirley zakochała się pierwsza.

Rozejrzała się po małej kuchni, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Przedmioty, wśród których wyrosła, znane jej tak samo jak własna twarz w lustrze, wydawały się obce i groźne. Oprawiony w ramki obrazek z Aniołem Stróżem, wiszący nad kuchenką, przypomniał jej, że kiedyś zwędziła pięć funtów z koperty przeznaczonej na ofiarę w kościele i zastąpiła je ulotką firmy wymieniającej okna. Wydała pieniądze na słodycze pewna, że wszystkich przechytrzyła, dopóki do drzwi nie zadzwonił proboszcz. Okazało się, że na ulotce widniał adres państwa Winters. Powinna była dostać lanie za ten śmiertelny grzech wobec niebios, ale ojciec zbył cały incydent śmiechem, nazwał ją paskudnym łobuzem i dołożył brakującą kwotę. Pomyślała wtedy, że nigdy nie pokocha żadnego mężczyzny tak jak jego.

Otarła łzę z kącika oka i zjadła kawałek zimnej grzanki.

Na uśpionej kuchence czekała cierpliwie kolekcja niedobrych garnków z zanurzonymi w wodzie ziemniakami i jarzynami na jutro. Matka nie miała zwyczaju się kłaść, dopóki nie przygotowała obiadu na następny dzień. Obok tylnych drzwi wbity był mały mosiężny haczyk z jednym kluczem, tym od szopy. Nigdy nie mieli kluczyków do samochodu. Ojciec orzekł, że niepotrzebny mu samochód, skoro ubezpieczenie go kosztuje fortunę. Kate podejrzewała jednak, że co najmniej tak samo ważnym jak finanse powodem tej decyzji było jego nerwowe usposobienie. Jeśli musiał się dostać gdzieś dalej, wsiadał na stary czarny rower.

Na półce stały dwa artystyczne słoje na biszkopty, prezent od jakiejś dalekiej krewnej, która przeniosła się do Anglii i zamieszkała w Luton. Nie pasowały do ich pospolitej kuchni, ale pani Winters bardzo je lubiła i polerowała codziennie. Plastikowy zegar w kształcie pomarańczy tykał głośno, zbyt głośno, ogłuszająco. Kate nastawiła wodę na kolejną herbatę i przepłukała imbryk pod kranem. Nie było sensu iść do łóżka. I tak nie będzie mogła zasnąć.

Na piętrze Shirley szorowała zęby dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie, że tego dnia padało. Jej erotyczne fantazje omal nie stały się faktem. Declan miał cudowne miękkie wargi i całował tak... całował tak, że gdyby ziemia była sucha, a nie mokra i grząska, Shirley straciłaby

dziewictwo w krzaku rododendronu przy bramie ogrodu botanicznego. Co gorsza, wcale się nie bała. Czowała, że nie ma się czego bać.

18.

ROZPACZLIWE SYTUACJE WYMAGAJĄ DRASTYCZNYCH KROKÓW

Kate nie nadawała się na bezrobotną. Długie puste godziny wpędzały ją w depresję. W telewizji nie nadawali nic ciekawego, a reorganizacja garderoby według kolorów zajęła jej zaledwie trzy dni. Rodzice starali się być mili, ale to jeszcze bardziej działało jej na nerwy. Ilekroć odważyła się wejść do kuchni po coś do jedzenia, natychmiast zaczęli litanie. Matka radziła, żeby nie przejmowała się utratą pracy, tylko znalazła sobie inną, taką, która będzie sprawiać jej przyjemność. I lepiej płać, żeby mogła kupić samochód i od czasu do czasu zawieźć matkę do supermarketu. Albo niech idzie na studia. Może przecież złożyć podanie o stypendium i nauka nie będzie jej kosztować złamanego grosza.

Ojciec dowodził, że młode kobiety tylko dlatego podejmują pracę robiąc dobrą minę do złej gry, że nie udało im się złapać męża. Kto o zdrowych zmysłach wolałby się pocić pod okiem kierownika, zamiast być panią we własnym domu? Kate niedługo będzie za stara, żeby rodzić dzieci. Jest śliczna i naprawdę nie ma potrzeby, żeby pracowała. Studia też powinna wybić sobie z głowy. Potrzebny jej mąż. Czemu nie zadzwoni do tego miłego Kevina McGovernna? Wczoraj przy kiosku znowu o nią pytał. Pewnie wciąż jest zainteresowany.

Matka nie miała przekonania do tego scenariusza i stanowczo odradzała jej podobny krok. Kate może mieszkać z nimi do końca życia, jeśli chce. Macierzyństwo to żaden miód. Kate się do tego nie nadaje, jest delikatna i za bardzo rozpieszczona. Na porodówce nie ma kryształowych żyrandoli, o nie. Nikt tam nie zawraca sobie głowy różami i poezją. I od nikogo nie uświadczy się współczucia. Tylko skurcze i ból, a potem szwy i bardzo nieprzyjemne uczucie „tam na dole”.

— Nie zniechęcaj jej do rodzenia dzieci, kobieto! — burknął pan Winters. — Dzień, dwa i znów wszystko jest w porządku.

— Jasne, łatwo ci mówić! — oburzyła się jego żona. — Kate, chcesz wiedzieć, gdzie był ten drań, kiedy przyszedł na świat?

— Nie — odparła krótko Kate. Próbowала właśnie zrobić sobie kanapkę, a jeszcze usilniej starała się nie myśleć o dolnych rejonach ciała swojej matki rozciągniętych na stole porodowym.

— Martha, przestań — poprosił ojciec. — Słowo daję, robisz się nudna.

— Ten drań zalewał pałę w pubie z kolegami, gdy tymczasem pół tuzina studentów medycyny gapilo się na mój wstyd! — wykrzyknęła pani Winters, oskarżycielskim gestem wskazując męża.

— Ile razy jeszcze masz zamiar to wyciągać? To nie moja wina. Zaczęłaś rodzić wcześniej. Kate, ona zaczęła rodzić przed terminem — dodał, patrząc błagalnie na córkę.

— To była twoja wina. Sama przesuwałaś szafę, bo ty musiałeś koniecznie iść na mecz! — głos pani Winters podniósł się do wrzasku.

— A po jaką cholere przesuwalaś meble w ósmym miesiącu ciąży, co? Skąd miałem wiedzieć, że przyjdzie ci do głowy ruszać szafę!

— Odkurzałam pokój przed narodzinami dziecka! Ktoś musiał to zrobić! Położna zawsze sprawdza, czy w domu nie jest brudno!

— Ale nie za szafą! Jezu, daj mi cierpliwość! Sprawdza, czy nie trzymasz bulterierów w łóżku z dzieckiem, a nie szuka kurzu za cholerną szafą trzydrzwiową!

— Dziewczyny powinny wychodzić za mąż przed dwudziestką, a nie po trzydziestce! — piekliła się pani Winters, wskazując na Kate. — Zanim się dowiedzą, że można żyć lepiej! Jak ona ma teraz dać się osiodłać, skoro przez cały czas żyła jak królowa? Wakacje w Portugalii, zabawy, dyskoteki. Nie umie nawet gotować, na litość boską!

— To się może nauczyć! — wrzasnął pan Winters. — Tak trudno obrać parę ziemniaków i wrzucić stek na patelnię? Co tu można popsuć, kobieto? — Rozłożył szeroko ramiona w geście desperacji.

— Nasza Kate miałyby obierać ziemniaki? Chciałabym to zobaczyć! A jeśli próbujesz powiedzieć, że prowadzenie domu jest łatwe, to ja powiadam ci, że się mylisz! Typowy chłop!

— Przepraszam! — krzyknęła doprowadzona do ostateczności Kate. — Może byście przestali mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było! Jezu Chryste! Nie mam ochoty wysłuchiwać wciąż o twoich wstydlivych miejscach, mamu. I o szwach. Odbiera mi to apetyt. — Odsunęła talerz. Musi jak najszybciej znaleźć sobie pracę. Czyszczenie rynsztoków szczoteczką do zębów będzie mniej uciążliwe niż siedzenie przez cały dzień pod jednym dachem z rodzicami. To, że ich kochała, nie zmieniało faktu, że mieli pomieszane w głowach.

— Posłuchaj, w dzisiejszych czasach bycie starą panną nie jest powodem do wstydu... — Pani Winters pocieszyła swoją starszą córkę. — Wiele kobiet w twoim wieku jest niezamężnych i bezdzietnych. Shirley da nam wnuki, jestem tego pewna.

— Też coś, mamo, czyżbyś się opiała sherry? Shirley nie ma śmiałości do chłopaków. — A przynajmniej nie miała jej do tej pory, dodała w duchu.

— Cicha woda brzegi rwie — zauważył rozsądnie pan Winters, mrugnął do córki i ukradkiem wskazał swoją żonę. Kate zachichotała.

— Nie pokazuj mnie palcem za moimi plecami! — warknęła pani Winters.

— Też miałbym co pokazywać. Nawet nie patrzę na ten twój grzbiet, mamuśka.

— Dobrze wiem, że tak. Zmykaj do pokoju i poczytaj sobie gazetę — ofuknęła go pani Winters. — Zagrucasz mi kuchnię.

— Lubię takie kobietki — oznajmił pan Winters i poczłapał do saloniku. W starym swetrze wyglądał jak gruby wełnisty żuk.

Kate zamknęła się u siebie na resztę dnia. Przerwała smętne odosobnienie tylko dwa razy, żeby zrobić sobie kakao i żeby zerknąć do popołudniowej gazety. Nie było w niej żadnych ofert, które wzbudziłyby w niej chęć podjęcia pracy. Ojciec napomknął, że mógłby jej załatwić etat na pogotowiu. Potrzebowali salowych, oczy wiście jeśli Kate zniesie widok krwi — w każdy weekend jest trochę złamań i czasem parę ran postrzałowych. Nie zaszczyciła go odpowiedzią.

W dniu urodzin nie chciała nawet obejrzeć kartek, więc Shirley czytała jej życzenia na głos. A tort czekoladowy, który po obiedzie wjechał na stół z trzydziestoma płonącymi świeczkami, przyprawił ją o nerwowy skurcz mięśni karku. Znajomi planowali zorganizować jej urodzinowy ochłaj u Hogana i zapowiedzieli, że jeśli Kate nie przyjdzie, oni przyjdą po nią i zaniósą ją do dyskoteki. Próbowwała się wykręcić niezręczną sytuacją z Alexem. Powiedziano jej jednak, że Obelisk nie pokazuje się w dyskotece. Cygan twierdził, że pracuje teraz w dość podłej knajpie koło portu i nie wyściubi stamtąd nosa co najmniej przez miesiąc, dopóki sprawa z zasiłkiem nie przyschnie. Co prawda Louise Lowry wciąż była na ścieżce wojennej, ale przyjaciele zapewnili Kate, iż lojalnie staną w jej obronie, jeśli Louise będzie chciała ją pobić. (Na wszelki wypadek Kate i Shirley od dawna omijały szerokim łukiem trafikę z jednooką sprzedawczynią o rękach jak bochny.) Impreza urodzinowa się odbyła i można ją było uznać za udaną z tym wyjątkiem, że Kate nie zdołała nikogo poderwać. Shirley przez całą wieczór tańczyła z Declanem. Kiedy didżej puszczał wolne kawałki, przy czym sapał, wzdychał, jęczał i

przewracał oczami, wybuchali śmiechem i tańczyli dalej ciasno przytuleni do siebie. Kate siedziała przy stoliku i piła wódkę, aż obraz zaczął jej się rozplýwać przed oczami.

Kevin McGovern też przyszedł, a jakże, tym razem w białym garniturze i czarnej koszuli ozdobionej metalicznie srebrzystym krawatem, ale nie poprosił jej do tańca. Kate uśmiechnęła się do niego zalotnie. Taniec z Kevinem jest lepszy niż nic, rozumowała w duchu. Kevin jednak uznał, że po prostu stara się być dla niego miła. Kiedy zeszłym razem próbował ją poderwać, najpierw wypchnęła go na parkiet ze swoją siostrą, a potem z płaczem uciekła z dyskoteki. Postanowił dać sobie nieco na wstrzymanie. Poudawać twardziela. Spacerował wokół parkietu kiwając głową w takt muzyki i starając się wyglądać jak symbol seksu. Niech Kate Winters najpierw się na niego napatrzy, zanim pozwoli się jej zdobyć.

Kiedy nadszedł grudzień, Kate, od kilku tygodni na zasiłku, zdążyła już zgromadzić w nocnej szafce sporą kupkę nie zapłaconych rachunków. Shirley pożyczyła jej pięćdziesiąt funtów, ale była to zaledwie kropla w morzu potrzeb. Co gorsza, Kate nie mogła powiedzieć rodzicom prawdy o zadłużeniu, bo od lat zaniżała ceny swoich zakupów. „Ta bluzeczka? — mówiła. — Piątkę w Primarku.” (Naprawdę dała za nią czterdzieści funtów w ekskluzywnym butik.) „Te perfumy? Trzy funty na targu.” (Nieprawda. Trzydzieści i wcale nie na targu, a u Chanel.) I tak dalej. A teraz stanęła przed ścianą.

Miała trzydzieści lat i dotkliwie czuła każdy przeżyty dzień. Była stara, wręcz sędziwa. Zastanawiała się, czy w tym wieku można jeszcze nosić spódnice przed kolano, czy też ludzie zaczną ją wytykać palcami? Czy trzydziestoletnia staruszka może jeszcze pójść na dyskotekę? Na domiar złego Shirley bez przerwy trajkotała o swoim kochasiu. Dziesięć razy na dzień pytała Kate, co mu kupić na Gwiazdkę. Kate zasugerowała, że białą laskę i psa przewodnika, na co matka zdzieliła ją w ramię.

— Lepiej byś się wzięła za jakąś użyteczną pracę — fuknęła. — Idź, kup choinkę do saloniku, a przy okazji trochę nowych ozdób. Shirley zaprosiła na dziś swego kawalera.

— A czemu ona nie może? To jej chłopak!

— Bo nie masz nic innego do roboty, leniuchu! Smaruj, ale to już! — Pani Winters stanowczo wyłączyła telewizor i kciukiem wskazała drzwi. — Kup też babeczki z bakaliami i zimnego indyka w plastrach. I słoik sosu z żurawin do kanapek. I jakieś ładne świąteczne serwetki. I sprawdź, czy lampki choinkowe działają, możliwe, że trzeba będzie kupić nowe. I... — Ale drzwi wejściowe zamknęły się już z trzaskiem.

Kate była wściekła. Ona ma biegać na posyłki dla Shirley? Wybierze najbrzydsze drzewko w Belfaście i najbardziej kiczowate bombki. Powiesi wszystkie z jednej strony i oberwie skrzydła aniołowi. A zamiast indyka i żurawin kupi szynkę i dżem truskawkowy. I gładkie serwetki w odcieniu majtkowego różu.

Kiedy drzewko stanęło w pełnej krasie, wyglądało tak, jakby ktoś przez tydzień włóczył je za samochodem. Kate dostała ataku histerycznego śmiechu i uciekła do swojego pokoju. Rzuciła się na łóżko, na stertę rachunków, niechcący zdzierając kawałek tapety, i śmiała się tak, że aż dostała kolki. Teraz Declan Greenwood będzie wiedział, z kim się zadaje. Z bandą niedorozwiniętych nędzarzy, którzy nie potrafią nawet zawiesić paru bombek na choince. Kiedy jednak dwie godziny później zeszła na dół, stare drzewko stało na podwórku, a w saloniku pyszniła się dwumetrowa jodła o idealnym kształcie, rozjarzona lampkami w kształcie śmieżynek. Zdobiły ją śliczne małe aniołki o skrzydłach z prawdziwych piórek, kuliste lustrzane bombki i gruby srebrny łańcuch. Shirley układała właśnie równe rzędkie kanapek z indykiem i żurawiną na półmiskach wyścielonych barwnymi gwiazdkowymi serwetkami. W domu unosił się zapach bakaliowych babeczek podgrzewających się w piekarniku.

— Wielkie dzięki — warknęła Shirley. — Bardzo nam się podobał twój dowcip.

Pierwsza wizyta Declana niezmiernie się udała. Zachwycał się wszystkim wokół i wkrótce pani Winters wodziła za nim urzeczonym wzrokiem jak zakochana nastolatka. Podbił jej serce chwalać jej porcelanowe bibeloty. Opowiadała o każdym kolejno, cierpliwie wywodząc, gdzie został kupiony albo od kogo dostała go w prezencie. Z Declanem łatwo się rozmawiało, nie był wcale nadęty ani zarozumiały. Państwo Winters uznali, że jest przemiły i wart poczynionych gorączkowych starań.

Nazajutrz Kate i Shirley strasznie się pokłóciły. Zaczęło się od tego, że Kate poprosiła Shirley o pożyczkę na zakup świątecznych prezentów, a Shirley odparła, że bardzo jej przykro, ale wydała pieniądze na kilka przyzwoitych ciuchów dla siebie, bo rodzice Declana zaprosili ją na podwieczorek. Im też musiała kupić porządny prezent, żeby nie zrobić sobie wstydu. (Kupiła ręcznie rżnięte kieliszki do wina w sklepie z rzemiosłem artystycznym.) Oprócz tego sprawiła sobie ten długi fioletowy płaszcz, koło którego chodziła przez całą jesień, a Declan powiedział, że wygląda w nim szalowo, zwłaszcza gdy maluje się fioletową szminką. Jak wytworna, piękna czarownica. Declan uważał, że elegancko ubrane dziewczyny, upiękzone tylko kontrastową szminką, są o wiele bardziej pociągające od tych półnagich, wytapetowanych

grubą warstwą cienia do powiek i różu. Wszystkie te rewelacje z rozmaitych przyczyn zdenerwowały Kate w najwyższym stopniu. Wściekła się tak, że nazwała Shirley nudziarą.

— Nazwałeś mnie nudziarą?

— Tak! Nudziara, nudna pinda, na którą pierwszy raz ktoś zwrócił uwagę i teraz nie zrobi nic, jeśli najpierw nie spyta swojego nudnego kochasia. Declan to, Declan tamto! Jestem twoją siostrą, Shirley, zapomniałeś? Straciłam pracę i jestem kompletnie spłukana. A ty wyrzucasz pieniądze na jakieś głupie szmaty, żeby zrobić wrażenie na tym małym snobie. Doprawdy bardzo się zmieniłaś!

Teraz dla odmiany rozzłościła się Shirley. Nazwała Kate pijawką i pasożytem.

— Nie myśl, że tyram od rana do nocy tylko po to, żeby płacić za wszystkie te luksusy, którymi napchałaś aż po sufit swój królewski buduar! Trzeba było myśleć, czy cię na nie stać, zanim je kupiłaś! Że też masz czelność liczyć moje pieniądze!

— Obiecałaś, że pomożesz mi spłacić długi.

— Wypchaj się.

— To znaczy, że łamiesz obietnicę?

— Właśnie tak. Może byś tak wreszcie dorosła, pijawko!

— Jak śmiesz mnie tak nazywać?

— A co, myślisz, że nadal będziesz nas okręcać wokół palca, rodziców i mnie? Koniec z tym, Kate. Już się ciebie nie boimy. Jeśli rzeczywiście jesteś taka mądra, za jaką się uważasz, to powiedz mi, dlaczego mając trzydzieści lat wciąż siedzisz na garnuszku u rodziców i próbujesz się wepchnąć do łóżka pederastie? Twarz Kate skurczyła się, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

— Alex nie jest pederastą! Jak śmiesz insynuować coś takiego!

— Jasne, że jest. Chodzi na paluszkach i kręci tyłkiem jak emerytowany baletmistrz.

— No proszę! Shirley Winters homofobem! Nie do wiary, że właśnie ty popisujesz się taką nietolerancją!

— Jestem daleka od homofobii. Moim zdaniem Alex jest milutki. Ale to nie zmienia faktu, że jest pedałem, a ty normalną heteroseksualną kobietą. Czyżbyś była nie tylko durna, ale i ślepa?

I wtedy Kate nazwała Shirley głupią dziwką.

— Co takiego? — wrzasnęła Shirley. — Nie jestem dziwką!!!

— No przecież Declan nie umawia się z tobą dla twojej inteligencji ani pieniędzy, prawda? A już na pewno nie dlatego, że potrafisz się ubrać. To jaką korzyść ma z tej znajomości? Nie pozostaje nic innego, jak małe bara-bara!

— Wiesz, że jesteś podła? To zresztą nie twój interes, czy sypiamy ze sobą czy nie! Za kogo się uważasz? My się kochamy, idiotko! Znasz takie słowo na „M”: Miłość? Jesteś po prostu zazdrosna!

— Daj spokój! Byłam już zakochana, setki razy. Wielkie mi coś! Myślałby kto, że jesteś jedyną dziewczyną na świecie, która obściskuje się z facetem i myśli, że to miłość.

— To jest miłość.

— A skąd ty to możesz wiedzieć? Nie masz żadnego doświadczenia. Wydaje ci się, że jesteś zakochana, bo chłopak postawił ci lemoniadę. Żalodne.

— Po prostu wiem, że mnie kocha. Starczy? Miałaś setki facetów i co z tego? Żadnego nie udało ci się utrzymać. Kevina, jedyne, który wciąż jest dla ciebie miły, traktujesz jak wycieraczkę. I ty twierdzisz, że wiesz cokolwiek o mężczyznach! To ty jesteś głupią dziwką, nie ja!

— Och, zamknij się! — Kate poczuła się zmęczona.

— To ty się zamknij! — Shirley furia dodawała sił.

— Idź, idź do tych swoich snobów na Derryvolgie Avenue, a mnie zostaw tutaj, będę się gapić w ten cholerny ogłupiacz z mamusią i tatusiem. Tylko pamiętaj, żebyś nie pomyliła noży i widelców, a na pewno będziesz się świetnie bawić!!!

Kate wściekła pobiegła na górę i z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi. Rzuciła się na łóżko, żeby trochę popłakać. Za chwilę Shirley przyjdzie ją przeprosić, powiedziała sobie. Czekala dość długo, ocierając łzy liliową chusteczką. Kiedy Shirley nie przyszła, Kate zaczęła się martwić. Jej pozycja primadonny zdawała się zagrożona. Nawet rodzice nie przejęli się dostatecznie, kiedy straciła pracę. Był taki czas, kiedy wpadliby do urzędu, postawili dyrektora pod ścianą i zagrozili, że podadzą cały wydział do sądu za zdenerwowanie ich córeczki. W ostatnich latach jednak znacząco zmiękli. Możliwe, że ludzie łagodnieją z wiekiem. Wiek! A ona dźwigała już trzeci krzyżyk, bezrobotna i niezamężna. Ten refren wciąż brzmiał jej w głowie, nie dając się uciszyć. Czula się bardzo samotna. Nagle usiadła i otarła oczy rękawem zakietu. Nie ma nikogo, kto by jej pomógł. Musi liczyć na siebie. Przede wszystkim powinna szybko znaleźć pracę, nim nadejdzie termin następnej wizyty w bezrobotniaku. Jeśli choć

kątem oka ujrzy szyderczą minę panny Bingham, przeskoczy ladę i udusi tę starą jedzę paskiem od torebki. Co robić? Do kogo się zwrócić? Odpowiedź była prosta: Kevin McGovern.

W poniedziałek rano ubrała się ładnie i poszła na spacer koło warsztatu. Kevin znał mnóstwo ludzi; możliwe, że słyszał o jakimś wolnym miejscu i nie będzie musiała dłużej się upokarzać.

Kevin siedział w drzwiach na składanym krześle i zajadał kanapkę z serem, popijając ją herbatą. Trochę się bał ją zaczepić, ale tym razem to Kate przystanęła i z uśmiechem pomachała mu ręką. Omal nie upuścił kanapki na umazaną smarami posadzkę.

— Kate Winters! Co słychać?

— Cześć, a u ciebie?

— Praca, praca, praca. Jak zwykle. Opowiadaj, jak ci leci w biurze.

— Odeszłam stamtąd. Szukam czegoś innego.

— Poważnie? — Kevin wstał i wytarł ręce o spodnie. Przypadkiem wiedział o paru miejscach, gdzie poszukiwano pracowników. Myślał intensywnie. To wspaniała okazja, żeby pomóc Kate. Nie chciał jednak zmarnować okazji, by samemu się z nią zbliżyć. Gorączkowo kalkulował, czy stać go na to, żeby samemu ją zatrudnić.

— Nie słyszałeś może o jakichś ofertach pracy? Jestem bardzo elastyczna i szybko się uczę.

Mózg Kevina dwukrotnie zwiększył obroty. Postanowił zaproponować Kate posadę, choćby musiał pracować na jej pensję w weekendy.

— Sam kogoś szukam — bąknął. — Mam straszny bałagan w papierach — kiwnął w stronę dużego, lecz zagraconego biura i z nadzieją spojrzął na Kate. — Zwykle odwalam rachunki w weekend, ale powoli zaczynam w nich tonąć.

— Dłużej nie szukaj. Jestem twoją nową sekretarką. Jak ci się podobam?

Twarz Kevina przybrała ten sam odcień różu, co jego kupiony w Londynie garnitur.

— Wspaniale. Po prostu świetnie. Wejdz, oprowadzę cię.

— Jeżeli chodzi o referencje... jest pewien mały problem... Muszę ci się przyznać, że w mojej poprzedniej pracy zaistniały pewne tarcia... można by to określić jako niezgodność charakterów. Mówiąc krótko, nie rozstaliśmy się po przyjacielsku.

— To żaden problem. Po co mi referencje? Kiedy możesz zacząć?

— Choćby jutro.

— Fantastycznie. Oszczędziłaś mi konieczności przyuczania kogoś obcego. — Wprowadził ją do ciemnego, ponurego wnętrza i ruszył po wąskich schodach na pięterko.

Kate przeczuła, że wkrótce pozna na własnej skórze, jak irytujące bywa szukanie niechlujnie zarchiwizowanych dokumentów. To jednak nie było najgorszym, co mogło ją spotkać. Kevin może nie miał pojęcia o prowadzeniu akt, ale z pewnością okaże się miłszym szefem niż stara Bingham.

— Tu jest sztab — powiedział Kevin i z wolna otworzył drzwi.

— Ładnie — bąknęła Kate mierząc wzrokiem scenę kompletnej ruiny. W półmroku zdołała dostrzec wielkie sterty papierów i instrukcji obsługi, setki części samochodowych, a nawet kilka zużytych opon. Wszystko pokryte warstwą wieloletniego kurzu.

— Co chciałabyś najpierw wiedzieć?

— Jedno. Wezmę tę pracę pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Chcę odnowić biuro. Malowanie, wykładzina, krzesła, biurko. Porządny regał, jakieś obrazki. Oświetlenie. Nowy czajnik i kubki. Wszystko powinno się zmieścić w dwóch tysiącach funtów.

— Jasne. — Kevin już wyjmował książeczkę czekową. — Sam miałem zamiar zrobić tu porządny remont, ale brak mi czasu. I gustu. Wiesz co? Po prostu rób tutaj, co chcesz.

— Jasne — powtórzyła jak echo Kate i mrugnęła do niego myśląc: „zawsze robię to, co chcę”.

19.

POD SKRZYDŁAMI ANIOŁA

Nowa posada była dla Kate uśmiechem losu; pozwalała jej wyjść z domu i zniknąć z oczu rodzicom. Kate rzetelnie się napracowała przenosząc biuro w dwudziesty wiek. Było to jednak znakomite pole do popisu dla jej licznych talentów, wśród których wyróżniał się talent do wydawania pieniędzy. Zamówiła nawet nowe okna, dzięki którym budynek stał się znacznie cieplejszy. Urządziła przytulną enklawę śniadaniową z zielonkawą sofą zarzuconą różowymi poduszkami i niskim stolikiem o szklanym blacie oraz ładną lampą w stylu lat pięćdziesiątych. Lubiła o swym dziele myśleć jako o oazie piękna w męskim bałaganie. Przez wiele dni

sortowała papiery, niektóre pochodzące sprzed dwudziestu lat. Opony i części samochodowe zostały zesłane na dół, do magazynku.

Modernizacja warsztatu wzbudziła ogólne uznanie. Kevin był wniebowzięty. Wnikliwie zaznajomił się z nowym systemem przechowywania dokumentów, chcąc okazać Kate, iż docenia jej trud, po czym orzekł, że zaoszczędzi mu mnóstwo czasu. A choć elegancki kącik jadalny nie był konieczny, to jednak miło było usiąść w czystym, ładnym miejscu. Kate ustawiła swoje biurko przy oknie, z którego miała widok na ulicę. Nieraz, rozmawiając z klientami przed budynkiem, Kevin widział ją za szybą kantorku na piętrze i wyobrażał sobie, że jest księżniczką w wieży, a on jej rycerzem. (W roboczym kombinezonie zamiast lśniącej zbroi.)

Przez kilka pierwszych dni czekał grzecznie, aż Kate zawoła go na herbatę. Potem bardziej się ośmielił i sam zjawiał się na pięterku, gdy w radio rozbrzmiewał sygnał wiadomości o trzynastej. Kate podnosiła głowę znad papierów, uśmiechała się do niego i wstawiała, żeby nastawić czajnik. Nigdy nie czuli się skrępowani. Bywały dni, gdy telefon się urywał i trudno im było zamienić choć parę słów, ale innym razem mogli przez pół godziny gawędzić o interesach, o wycieczkach zagranicznych albo o tym, gdzie by chcieli mieszkać, jeśli sytuacja w kraju się zaostrzy. Wielu znajomych emigrowało, legalnie bądź nie. Mówili, że wolą pracować pod niebieskim, a nie szarym niebem, bez wiszącej nad nimi ciągłej groźby zamachu. Kevina wabiły wielkie metropolie, takie jak Londyn, ale bał się zostawić kwitnący interes i zaczynać od zera gdzie indziej. Kate przyznawała mu rację. Sama chętnie przeniosłaby się do ciepłych krajów, ale też nie miała dość odwagi, by samotnie zdobywać obce brzegi. Zielona sofa stała się miejscem posiedzeń klubu dyskusyjnego i powiernicą wielu refleksji na temat świata w ogóle. Roztaczana przez nią miła atmosfera zdawała się sprzyjać otwieraniu serc.

Kate skonstatowała z uczuciem zawodu, że Kevin nie przyprowadził jej o dreszcz pożądania. Z drugiej jednak strony u jego boku; mogła się odprężyć. Nieprzyjemne drżenia i bicie serca ustały jak ręką odjął. Była tak wdzięczna Bogu, że wieczorami klękała przy łóżku i modliła się porządnie przez całe dziesięć minut.

Odebrawszy pierwszą wypłatę zaprosiła Kevina na obiad, żeby podziękować mu za to, co dla niej zrobił. Z dnia na dzień stopniowo zyskiwał w jej oczach. Był sympatycznym szefem i teraz z radością zrywała się rano słysząc dźwięk budzika. Siedzenie przez cały dzień za biurkiem wcale nie jest przykre, jeśli człowiek dysponuje odrobiną samodzielności. Kevin nie

rozliczał jej z przerw na kawę, pozwalał słuchać radia i kupować świeże kwiaty; wymagał jedynie, żeby na koniec dnia papiery były w porządku. Traktował ją jak człowieka, a nie składnik zasobów ludzkich. Dlaczego ci niby-spece od zarządzania nie mają o tym pojęcia? Czyżby nie znali takich słów jak „indywidualizm”, „stres” i „zespół napięcia przedmiesiączkowego”? Samopoczucie Kate poprawiło się do tego stopnia, że postanowiła być miłsza dla rodziny. Przeprosiła wszystkich za swoje niedawne ataki złego humoru.

Pogodziła się z Shirley, choć obie miały świadomość, że sporo czasu minie, nim zapomną o przykrych słowach wypowiedzianych w złości. Kate dowiedziała się przy okazji, że panna Bingham źle zniosła wieść o jej nowej pracy. Spytała wprost, dlaczego Kate nie przyszła się „odhaczyć”. Shirley oznajmiła z dumą, że siostra jest teraz kierownikiem administracyjnym prężnej prywatnej firmy i zarabia tam więcej niż w urzędzie. Panna Bingham tak się zdenerwowała, że najpierw złamała łyżeczkę, a potem boleśnie przycięła sobie palce szufladą szafki z aktami. (Obie siostry turlały się ze śmiechu wyobrażając sobie tę scenę.) Biedna! Odebrano jej satysfakcję, że skomplikowała życie znenawidzonej podwładnej.

Kate przyznała, że Kevin jest przyzwoitym szefem i dobrym kumplem. Shirley bąknęła tylko, że z Declanem świetnie jej się układa, nie precyzując, iż spędziła z nim kilka niebiańskich wieczorów w wielkim łóżku, kiedy jego rodzina pojechała na wycieczkę. Declan miał piękne ciało i fantastyczną kolekcję płyt. Od tamtej pory słysząc The Cure albo The Stranglers Shirley oblewała się rumieńcem.

To ona zaczęła, nie on. Kiedy po raz pierwszy rozpięła górny guzik koszuli Declana, nie było już odwrotu.

— Jesteś pewna? — spytał. Wrócili właśnie z cudownego spaceru i siedzieli przed telewizorem jedząc rybę z frytkami i zapijając ją herbatą.

— Tak — odpowiedziała. — Jestem pewna.

Kochała go, a on ją. Oboje powiedzieli to sobie kilkakrotnie. Po co czekać, aż wreszcie około trzydziestki stać ich będzie na wystawne wesele? Zanim zaoszczędzą na imprezę dość huczną, by zadowolić Marion Greenwood, oboje będą siwi.

Kate byłaby zszokowana, że posunęli się tak daleko, chociaż znali się ledwie kilka krótkich tygodni. Ale Kate nigdy by nie zrozumiała, jak bardzo byli sobie bliscy. Declan, choć miał dopiero dwadzieścia lat, był bardzo dojrzały. Nie chichotał, kiedy się rozbierali przy zaciągniętych od wiatru zasłonach. Jak się okazało, obawy Shirley związane z rozbieraniem były zbędne. Przeważnie i tak zanadto im się spieszyło, by marnowali czas na zdjęcie całej

odzieży. Ładowali w łóżku w skarpetkach, czasem nawet butach, zaplątani w swetry i rękawy koszul. W pracy Shirley miała już dwudniowe zaległości. (Wyobrażała sobie oburzenie panny Bingham przy następnej kontroli.)

Ale Declan był tego wart. Uważała go za najseksowniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkała w prawdziwym życiu. Miał mnóstwo wrodzonego uroku, który nie był niepokojący czy drażniący, lecz ciepły i uwodzicielski. Opowiadał jej zabawne historyjki, którymi rozśmieszał ją do łez. Mówił jej, że jest piękna. A co najważniejsze, był dyskretny. Nie przechwalał się przed kolegami swoim życiem erotycznym. Była tego pewna, bo kiedy spotykała ich na ulicy, nie słyszała żadnych śmieszków ani docinków. Niektórzy chłopcy byli tacy niedojrzali, dosłownie jak dzieci; chichotali słysząc słowo „sutek” albo „orgazm”. Declan był naprawdę wyjątkowy; wiedziała, że nie udawał tylko wrażliwego, żeby ją poderwać. Już po paru dniach miała wrażenie, że zna go od zawsze.

Ale Shirley nie mogła opowiedzieć tego siostrze. Kate traktowała seks jako nagrodę za kolacje w drogich restauracjach albo złotą biżuterię. Lubiła wiedzieć, że mężczyzna jej pożąda, lecz nie było to dla niej doznaniem emocjonalne ani nawet intelektualne. Nie była w stanie wyobrazić sobie wzniosłego uczucia więzi, gdy dwie odrębne dusze nagle się odnajdują i stają jednością. Kate zmroziłaby jej radość stwierdzeniem, że oddała się zbyt szybko i Declan nie będzie jej szanował.

Tak więc Shirley celowo nie wdawała się w szczegóły. Nie wyjawiała, że jej marzenie, by całować się z Declanem w ulewnym deszczu, już się spełniło. Oboje przemokli do nitki. (Kate uznałaby, że Shirley straciła rozum). Ani że Declan zadeklarował chęć pozostania z nią do końca życia. (W przeciwieństwie do wielu mężczyzn, nie odczuwał lęku przed stałym związkiem). Był wspaniałym, delikatnym kochankiem, czule całował jej twarz i ramiona przed... a także po. Skórę miał czystą i gładką, pachnącą wodą po goleniu i grzankami. Pierwszy raz nie był dla niej zbyt przyjemny, ale tego się należało spodziewać. Za to potem było bosko. Leżąc w jego ramionach i zasypiając u jego cudownie ciepłego boku, Shirley czuła się na swoim miejscu. Ta zwyczajna zażyłość była jeszcze bardziej wzruszająca od miłosnego aktu. Czasem spędzali w ciepłej pościeli całe popołudnie, pili w łóżku herbatę, jedli biszkopty i plotkowali o krewnych i znajomych. Biednej Kate nigdy nie dane było zaznać czegoś takiego, toteż Shirley nie zdradziła się przed nią, jak mocna jest jej świeżo wykluta miłość. Niektóre rzeczy są po prostu zbyt osobiste, żeby się nimi dzielić.

Piętnastego grudnia pisała kartki świąteczne i zastanawiała się, kiedy je nadać, gdy nagle uprzytomniła sobie, że nie pamięta daty ostatniej miesiączki. Nakazała sobie spokój, wstała, wzięła kalendarz i przekartkowała strony. Pięć tygodni! Zajęta przygotowaniami do świąt zupełnie o tym zapomniała. Kiedy zrozumiała, co to oznacza, na chwilę przestała oddychać. Nigdy dotąd jej okres się nie spóźniał — nawet kiedy przeżywała stresy z powodu egzaminów, braku pieniędzy czy śmierci kogoś z rodziny. Shirley włożyła palto i poszła do apteki w odległej dzielnicy. Nie zdradzając żadnych emocji kupiła test ciążowy, jakby przeznaczony był dla kogoś innego. Kiedy miła sprzedawczyni zapewniła ją, że jest to najdokładniejszy test na rynku, odparła: „Dziękuję, przekażę tę informację”. Po powrocie wcisnęła kartonik na dno szafy i zaczęła się modlić. Modliła się trzy dni, bez skutku.

Po trzech dniach wyjęła test. Był tak banalnie, wręcz ordynarnie prosty, że trudno było uwierzyć, iż na jego podstawie jej życie legnie (lub nie) w gruzach. Kilkakrotnie przeczytała instrukcję, by ustrzec się jakiegokolwiek błędu. Wynik musiał być wiarygodny. Niestety, potwierdził jej obawy. Była w ciąży. Shirley skamieniała ze zgrozy, niezdolna nawet zapłakać czy wybuchnąć histerycznym śmiechem. Czas zatrzymał się w miejscu. Podświadomie oczekiwała, że niebo zwali jej się na głowę lub oddział specjalny policji ulsterskiej wyważy drzwi i oskarży ją o zdradę stanu albo też przed domem zatrzyma się furgonetka pełna księży, którzy wywożą ją do domu dla upadłych kobiet, gdzie każą jej ręcznie prać miliony prześcieradeł. Co zdumiewające, nie stało się zupełnie nic. Po pewnym czasie otrząsnęła się na tyle, żeby zejść na kolację. Nikt z rodziny nawet nie zauważył, że Shirley jest blada z napięcia i nic nie zjadła, za to wypiła aż sześć kubków herbaty. Tej nocy leżała bezsennie, odrętwiała, wpatrzona w wiszący za oknem księżyc. Czy taki był twój zamiar, bogini? — myślała. — To przeznaczenie czy straszliwa pomyłka? Może to ja wszystko popsułam i teraz Declan mnie rzuci, ojciec dostanie ataku serca, a matka ukrzyżuje mnie na najbliższym wolnym drzewie. Albo skończę w jakiejś norze żywiąc się przeterminowanym żarciem, będę mieć wiecznie tłuste włosy i tę samą wiatrówkę przez resztę moich dni...

Tydzień przeleciał nie wiedząc kiedy i nadeszły święta. Shirley nikomu nie zdradziła swojej tajemnicy. Ani rodzinie, ani koleżankom, ani nawet Declanowi. Najpierw musiała się uporać z własnymi myślami. Aborcji w ogóle nie brała pod uwagę, wykluczone — i tylko tego była pewna. To nie wina dziecka, że okazała się idiotką. Właściwie tylko ono było tutaj bez winy. Toteż choć kusiło ją, żeby jechać do prywatnej kliniki w Londynie, jak matka Kevina z żyłakami, wiedziała, że żałowałyby tego do końca swych dni. Czytała w czasopismach artykuły

o kobietach, które nękanie wyrzutami sumienia odbierały sobie życie. Nie pękaj, powtarzała sobie setki razy dziennie jak alkoholik na odwyku. Dasz sobie radę. Wiedziała jednak, że dopóki wszystko się nie ułoży, będzie ciężko. Matka zaczęła wzywać na pomoc wszystkich świętych, ojciec na pewno schowa się do szopy, Declan zwieje, a Kate będzie się wymądrzać na temat antykoncepcji. Shirley czuła mdłości na samą myśl o tym, co ją czeka. A może to już były zwykłe poranne mdłości?

Milczała więc i życie toczyło się jak zwykle. W tym roku państwo Winters bardzo wiele uwagi poświęcili świątecznym zakupom. Na plan pierwszy wyszła kwestia indyka: świeży (modny) czy mrożony (tańszy)? Ze splątanych wyobrażeń pani Winters na temat klasy średniej oraz niejasnych informacji o Świącie Dziękczynienia w Ameryce narodził się pogląd, że gościom w żadnym razie nie wypada podać mrożonego indyka. W końcu kupili dwa: mrożonego na dzień Bożego Narodzenia i świeżego na świętego Szczepana (jak wciąż tradycyjnie nazywali drugi dzień świąt), kiedy to Kevin i Declan mieli przyjść na obiad. Sos żurawinowy również musiał być świeży i domowej roboty. (Słoiczek z supermarketu został ukryty w spizarni wraz z gotowym nadzieniem w proszku.) Pan Winters narzekał, że pójdzie z torbami i że gdyby sąsiedzi wiedzieli, iż wydał dwadzieścia funtów na pudełko ogni bengalskich, w te pędy odwieźliby go do wariatkowa.

— My się mieścimy w klasie dwa na dwa — mawiał, co miało oznaczać, że mają dwa pokoje na parterze i dwa na piętrze. Nie było to całkiem zgodne z prawdą, na piętrze bowiem były trzy pokoje. (No, właściwie dwa i pół: z garderobą przerobioną na sypialnię Shirley.)

W tejże garderobie w wigilijny wieczór Shirley klęcząc na podłodze pakowała prezent dla Declana. Po długim namyśle kupiła mu piękne skórzane rękawiczki. (Przypuszczalnie zadziałała tu podświadoma pretensja do Declana, że nie był dość ostrożny z prezerwatywą.) Schludnie zawinęła paczuszkę i związała ją szeroką niebieską kokardą. Potem wyjęła z torby z zakupami dopasowany kolorystycznie bilecik i napisała na nim: „Od kochającej Shirley”. Dla matki kupiła perfumy, dla ojca wodę po goleniu, a dla Kate — błyszczącą balową torebkę, choć siostra ani takiej nie potrzebowała, ani na nią nie zasłużyła. Shirley jednak niezależnie od sytuacji postanowiła cieszyć się Gwiazdką. Obiecała to sobie. Będzie się napawać każdą świąteczną minutą, jeść mnóstwo słodczy, oglądać telewizję do bólu gałek ocznych, a dopiero potem, w smutnym poświątecznym styczniu, weźmie się za bary z perspektywą ciąży.

W małej sypialni zrobiło się ciemno i gdy Shirley wstała, by zaświecić lampkę nocną, dostrzegła powód, dla którego na niebie brakło światła. Chyba zadbał o to sam Duch Bożego

Narodzenia: zaczął padać śnieg. Z szarego nieba sypały się kłęby suchych płatków. Początkowo było ich niewiele, lecz w miarę upływu czasu roily się coraz gęściej, zacierając kontury domów po drugiej stronie ulicy. Shirley podeszła do okna i ujrzała z zachwytem, że śnieg nie topnieje, lecz zbiera się we wszystkich kątach, zupełnie jakby miał zamiar poleżeć przez parę dni. Poczowała radosne podniecenie. Teraz będzie mogła pocałować Declana w nowej bajkowej scenerii! Na chwilę prawie zapomniała o dziecku.

Obserwując białe płatki wirujące za szybą, pomyślała o Kate i zrobiło jej się żal siostry. Musi się czuć samotna bez chłopaka na święta. (Shirley była w tym roku bardzo wyczulona na wszystko, co dotyczyło świąt.) Świadoma tego, nie opowiedziała Kate, jak rozkwitał jej romans, ani tego, że poznała już rodziców Declana i że wcale nie było to traumatyczne przeżycie. Mimo bogactwa byli dla niej bardzo serdeczni i życzliwi. Nawet matka, Marion Greenwood, choć mogłaby być zaborcza w stosunku do jedyne go syna, przyjęła ją nadzwyczaj miło. Wychodziła ze skóry, by Shirley dobrze się czuła, dokładała jej potraw i nie zadawała zbyt krępujących pytań. (Na przykład gdzie pracuje, gdzie mieszka albo czym się zajmuje jej ojciec — wiedząc z góry, że odpowiedzi jej nie usatysfakcjonują. Irlandzkie matki potrafiły być pod tym względem okrutne i nawet jeszcze bardziej snobistyczne niż angielskie.) Shirley mieszkała w małym szeregowym domku, a oboje państwo Winters pracowali jako salowi w szpitalu Royal Victoria. Pani Greenwood miałaby pewnie większe ambicje w stosunku do swojego pierwszego wnuka, gdyby wiedziała o jego istnieniu.

Westchnęła głęboko i poszła sprawdzić, czy Kate jest gotowa do wyjścia na pasterkę. Pomodli się do Boga, żeby pomógł jej przeżyć następne parę lat bez załamania nerwowego. Choć w zasadzie nie wierzyła już w Boga, nie widziała jednak nic zdrożnego w zapewnieniu sobie protekcji i z Jego strony. Jeśli bowiem istnieje, na pewno zrozumie, że Shirley szczerze kocha Declana, a do ciąży doszło przypadkiem. Nie była to celowa próba podniesienia statusu społecznego. Bóg pomoże jej przetrwać okres do narodzin dziecka, a w zamian za to Shirley otoczy je miłością i opieką. (Podniosła oczy do nieba z jeszcze jedną żarliwą prośbą: aby Bóg na kilka lat odebrał mowę jej matce.)

Nazajutrz, oglądając wraz z Kate telewizję, Shirley twardo trzymała się postanowienia, by nie mówić za wiele o Declanie. Bała się, że wyrwie jej się coś o dziecku. Oglądały kreskówki pogryzając na przemian chrupki i słodycze i plotkując na różne nieszkodliwe tematy. Shirley opowiedziała siostrze, że Alex Stone chodzi teraz z Louise Lowry. W sądzie uznano go winnym oszustwa, ale wykręcił się niewielką grzywną. By to uczcić, przetańczył z Louise cały

wieczór u Hogana, tym razem jako gość. Kate była zazdrosna, ale nie aż tak, by przejść do czynów. Skoro Louise uparła się, by mieć Alexa, niech go sobie weźmie. Dla dziewczyny spędzającej całe dnie w towarzystwie cukrowych myszy i żab z galaretki jest to zmiana na lepsze. O tyle, o ile.

— Czy Kevin ci się choć trochę podoba? — odważyła się spytać ją po południu Shirley.
— Naprawdę wydaje mi się, że byłby dla ciebie dobrym mężem.

Obierały jarzyny w malutkiej kuchni. Pani Winters miała dziś wolne od prac domowych. Indyk był już w piekarniku, nadzienie gotowe na oddzielnym talerzu, cały dom został wyszorowany do białości i wypolerowany. Państwo Winters udali się do kościoła na sumę, trzymając się za ręce jak nastolatki. Pani Winters włożyła nowy płaszcz, który dostała w prezencie od męża, a pan Winters — ciepłe buty, którymi obdarowała go żona. Nie kłócili się już o przyszłość córek. Starsza miała nową pracę, a młodsza pierwszego chłopca, zatem nie można było nawet wykluczyć upragnionego wnuka. W dalszej przyszłości rzecz jasna.

Kate wzruszyła ramionami. Prawdę mówiąc całowała się już z Kevinem, dwukrotnie, na zielonej sofie w kantorku nad warsztatem. W zasadzie był to eksperyment, chciała sprawdzić, czy jej popęd płciowy wrócił. (Nie wrócił.) Oraz sprawdzić, czy jej wdzięki działają na Kevina (Ho, ho, ho, ho! Jeszcze jak!) Poobściskiwali się trochę i w sumie nie było źle. Za drugim razem Kevin zdjął najpierw usmarowany kombinezon i wtedy było już całkiem miło. W dżinsach i bielutkiej trykotowej koszulce prezentował się nie najgorzej. Wiedziona sumienną ciekawością badaczki Kate pocałowała go tak namiętnie, jak tylko zdołała. Dodała głośny namiętny oddech dla zwiększenia efektu i jeszcze wpiła mu palce we włosy. Podniecił się bardzo i tak gwałtownie pieścił jej plecy swymi dużymi mocnymi dłońmi, że ich temperatura znacząco wzrosła. (Prawdę mówiąc, można było na nich usmażyć jajko.) Kate porzuciła resztki ostrożności i rozpięła parę guzików w nowym krwistoczerwonym sweterku, żeby odsłonić stanik w tym samym kolorze. Ujrzawszy jego zawartość Kevin omal nie zemdleł. Kilkakrotnie powtórzył „Mój Boże!” i z zamkniętymi oczyma dotknął imponujących wypukłości. Potem zrobił to z otwartymi oczyma. Potem znów z zamkniętymi. A potem zerwał się z sofy i popędził na dół wdziewając po drodze kombinezon. Kate była bardzo zadowolona, że wciąż potrafi budzić w mężczyznach tak silne namiętności. Zapięła sweterek, zagotowała wodę i zniosła mu na dół garnuszek herbaty. Kilka dni później Kevin poprosił ją o rękę, gotów natychmiast kupić zaręczynowy pierścienek, nie traktował więc tego jak przelotnego flirtu. Kate przyznała w duchu, że mogła trafić gorzej. Kevin był miły, troskliwy i całkiem niezły

całował. Ale podczas ich *tête-à-tête* nie czuła żadnych ognii. Żadnych cudownych salw w dole brzucha, jak wtedy, gdy mając czternaście lat umawiała się z Seanem Dohertym. Może wówczas na efekt składała się mieszanka młodości, niedoświadczenia i nerwów? Trudno było to nazwać „związkiem”; Sean należał do tak zwanej trudnej młodzieży, zajętej w wolnych chwilach kradzieżami w sklepach albo rozpalaniem efektownych ognisk w strefie demarkacyjnej. Na daleki odgłos policyjnej syreny w mgnieniu oka przeskakiwał najbliższy mur. Czternastoletniej Kate bardzo to imponowało. Możliwe, że miała słabość do łobuzów.

Kevin naciskał ją o odpowiedź. Twierdził, że oświadczyzny wcale nie były nagłe, bo kocha się w niej od lat. Kate ma trzydziestkę, on trzydzieści pięć lat, po co zwlekać? Kate w istocie bardzo poważnie rozważyła jego propozycję. Ojciec byłby zadowolony, a Kevin to z pewnością lepszy kandydat na męża niż większość znanych jej mężczyzn. Ale bała się podjąć ostateczną decyzję. Chciała to jeszcze przemyśleć. Oficjalnie nawet nie byli parą. To wszystko było bardzo skomplikowane. Chociaż z drugiej strony jeśli związek Shirley z Declanem przybierze poważniejszy ton, Kate koniecznie powinna się zareczyć. Nie pozwoli się wyprzedzić smarkatej siostrze, która nie ma nawet modnych ciuchów ani markowych kosmetyków i która ważne życiowe decyzje niefrasobliwie pozostawia „instynktowi”. Toteż Kate zaczęła się umawiać z Kevinem na drinka po pracy, czasem na zakupy albo niedzielny spacer. Można było dzięki temu stwierdzić, że ze sobą chodzą. Kevin kilkakrotnie zaprosił ją na kolację. Obie rodziny dręczyło rosnące zaciekawienie. Kate i Kevin mężnie puszczali mimo uszu zawołane pytania. Nie byli jeszcze gotowi, by rozmawiać o swym związku; na razie sami starali się go określić.

— Jestem dumna i szczęśliwa, że zaproponowałeś mi małżeństwo — powiedziała Kate pewnego razu, gdy w przerwie na lunch leżeli razem na zielonej sofie. — Kiedy będę gotowa dać ci odpowiedź, zrobię to bez dalszej zwłoki. I przysięgam ci, że na horyzoncie nie ma żadnego innego mężczyzny.

W wieczór wigilijny Declan zabrał Shirley na spacer. Ziemię pokrywała warstewka śniegu, który cudownie skrzypiał pod nogami. Declan wręczył jej prezent w malutkim puzderku, w jakie pakowano biżuterię. W środku był śliczny srebrny naszyjnik z brylantowym serduszkami, które roziskrzyło się w świetle ulicznych latarni. Shirley nagle poczuła się bardzo mała i krucha. Zachciało jej się płakać. Doszła do wniosku, że nie ma sensu ukrywać przed nim dłużej tego, że będzie miała dziecko. Cokolwiek Declan powie lub zrobi, nie wpłynie na jej decyzję, by je urodzić. Rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy są sami.

— Posłuchaj, mam ci coś do powiedzenia. Chciałam poczekać do Nowego Roku, ale już dłużej nie mogę. Chodzi o to, że będę miała dziecko. Wiem, że znamy się od niedawna i pewnie myślisz, że zrobiłam to celowo, ale tak nie jest i nie przerwę ciąży, a jeśli chcesz, możesz ze mną zerwać i bardzo mi przykro, jeśli twoi rodzice się wściekną, bo moi się wściekną na pewno, i zupełnie nie wiem, co mam zrobić...

— Ciii... — szepnął, tuląc ją do siebie na środku ulicy. Minę miał zatroskaną. — Jesteś tego absolutnie pewna?

— Tak. Zrobiłam test, a potem byłam u lekarza.

— Od jak dawna?

— Szósty tydzień. To musiało się stać za pierwszym razem.

— Tak mi przykro, Shirley. To moja wina.

— Nie mam do ciebie pretensji. Pani doktor powiedziała, że nie ma absolutnie pewnej metody i wpadki są bardzo częste. Mnie nie jest przykro.

— Nie?

— Nie. Jestem śmiertelnie przerażona, ale nie smutna. A ty tak?

— Nie. Ale przykro mi, że przeze mnie będziesz miała kłopoty.

— Chcesz ze mną zerwać? — wykrztusiła, pokonując opór ściśniętego gardła. Musiała zadać mu to pytanie i wiedziała, że jeśli Declan zażąda czasu do namysłu, to już nigdy w życiu się do niego nie odezwie. Dla niej sprawa była jasna: wszystko albo nic.

Jak się okazało, niepotrzebnie się martwiła.

— Skądże, głuptasie! — roześmiał się. — Dlaczego miałbym chcieć z tobą zerwać?

— Jeśli chcesz, proszę bardzo. Jak już powiedziałam, nie zrobiłam tego celowo, żeby cię do siebie przywiązać ani nic w tym rodzaju. Mam swoją dumę. Jeśli trzeba będzie, dam sobie radę sama.

— Shirley, ja cię kocham. Zawsze chciałem mieć żonę i dzieci. Moi rodzice są bardzo szczęśliwym małżeństwem. Czy zgodzisz się wyjść za mnie?

— A nie jesteśmy za młodzi? Zbyt niedoświadczeni?

— I tak, i nie. Ja chętnie zaryzykuję, jeśli ty zechcesz.

— Zaryzykuję?

— Chodzi mi o to, że za rok możesz uznać, że mnie jednak nie kochasz. Ja jestem przekonany, że wciąż będę cię kochał. Prawdę mówiąc, wiem to na pewno.

— A czy twoi rodzice nie pomyślą, że jestem dla ciebie nieodpowiednią partią?

— Na pewno nie. Przecież wiesz, że oni też nie pochodzą z wyższych sfer. Dorobili się ciężką pracą.

— Ale na pewno będą rozczarowani.

— Osłódzę im nieco tę pigułkę.

— Jak?

— Ponieważ teraz ciąży na mnie poważna odpowiedzialność, jako na przyszłym ojcu rodziny, zdecydowałem się kontynuować studia medyczne. Przez jakiś czas zastanawiałem się, czyby ich nie rzucić.

Shirley nieco się odprężyła i po raz pierwszy od wielu dni odetchnęła pełną piersią. Jeśli Declan nie ma zamiaru jej opuścić, to i jej rodzice trochę łatwiej to zniosą.

— To wspaniale, tylko że zanim otrzymasz dyplom, minie parę lat. Ja zarabiam grosze. Z czego będziemy żyli?

— Wynajmiemy małe mieszkanie. Będę dorabiał w weekendy w restauracji.

— Zamieszkamy razem?

— Oczywiście. Przecież mamy się pobrać, prawda?

— Zanim urodzi się dziecko?

— Chyba nie masz nic przeciwko temu?

— Naturalnie, że nie mam nic przeciwko temu. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że będę musiała zakwaterować malucha w swoim pokoju u rodziców.

— Mówiłaś, że to jest komórka.

— Bo to jest komórka. Dosyć ciasna.

— To jak chciałaś zmieścić w niej kołyskę? I kojec, i zabawki? Nie wyobrażasz sobie nawet, ile gratów potrzeba, kiedy się ma dziecko!

— O Boże! Declan, co myśmy zrobili!

— W porządku, Shirley. Wszystko będzie dobrze, przyrzekam ci. Mam trzy młodsze siostry, jestem ekspertem w wychowaniu dzieci. Powtarzaj za mną: wszystko będzie dobrze.

Spacerowali przez dwie godziny, a gdy Declan wreszcie odprowadził Shirley do domu i pocałował ją na dobranoc, postanowili, że poinformują rodziców jak najszybciej i wezmą ślub, zanim brzuch Shirley będzie zwracał uwagę na pamiątkowych zdjęciach, co doprawdy byłoby odrobinę żenujące.

Patrzyli na pięknego anioła, który przycupnął na czubku stojącej w oknie choinki i uśmiechał się do nich przez zamarznąłą szybę.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że zaręczyny w Boże Narodzenie to marzenie wszystkich romantyczek świata? — szepnęła Shirley. Czowała się już prawie szczęśliwa, a nawet lekko podekscytowana. W każdym razie nie było to taką katastrofą, jaką się wydawało na początku.

— Cieszę się, że zaczynasz się oswajać z tą myślą — uśmiechnął się Declan. — Naprawdę cię kocham, Shirley. Nie chodzi tylko o dziecko. Ja cię po prostu kocham. Wszystko będzie dobrze.

— Podejrzewam, że dziecko będzie już na studiach, zanim całkiem się przyzwyczaję — powiedziała Shirley cicho. — Ale powiem ci jedno...

— Co takiego?

— Kate wpadnie w furję, gdy się dowie, że pierwsza wychodzę za mąż. A mówiąc „furia” mam na myśli coś o mocy równoważnej sporemu wybuchowi jądrowemu. Chyba powinniśmy wcześniej wezwać karetkę, będą potrzebne silne środki uspokajające. I, obawiam się, pasy.

— Jak szaleć, to szaleć — stwierdził Declan i po raz pierwszy tego wieczoru oboje wybuchnęli śmiechem. — Kiedy powiemy twoim rodzicom? — spytał cicho.

— Jutro po obiedzie. Kiedy będą trawić indyka i wino i nie starczy im sił na nic oprócz wrzasków.

20.

CHCECIE WIDZIEĆ DZIECIĘ?

Uroczysty obiad w dniu świętego Szczepana był już prawie gotowy. Stół został odsunięty od ściany i rozłożony na całą długość, tak że trudno było go obejść dookoła, nakryty najpierw dwoma kocami dla ochrony, a następnie nowym szkarłatnym obrusem. Świątecznego wystroju dopełniał złocisty bieżnik, wzorzyste serwetki, zielone kieliszki do wina i niebieskie szklanki na wodę, a także ceramiczna solniczka i pieprzniczka w kształcie świętych Mikołajów. W porcelanowych miseczkach piętrzyły się orzechy, galaretki w cukrze, ciastka migdałowe i domowej roboty sos żurawinowy. W regularnych odstępach leżały skrzyżowane tutki bengalskich ogni z niespodzianką, a wszystko to oświetlały herbaciane świece w czerwonych szklanych uchwytych. Kiedy zgaszono górną lampę, wyglądało to bardzo nastrojowo. Idealnie dopieczony indyk leżał już na desce, czekając na pokrojenie. Shirley pilnowała gotujących się

warzyw, gdy tymczasem Kate kroїła owoce i ucierała maliny z cukrem pudrem, a pani Winters mieszała sos, sporządzony według własnego sekretnego przepisu: cztery łyżki sosu Bisto w proszku, trochę wina i odrobina czarnego pieprzu. Kobiety wesoło krzętały się po kuchni; pan Winters z czystym sercem pozostawił je przy tym zajęciu i legł na sofie przed kominkiem w saloniku. Niewiele jest w życiu miłszych rzeczy, myślał, niż drzemka przy ogniu i akompaniamencie garnków brzękających w kuchni. Aromat rumieniącego się indyka przeniósł go w szczęśliwe lata dzieciństwa spędzonego na odludnej kurzej farmie w głębi hrabstwa Armagh.

Shirley kupiła singel z najnowszym przebojem, „Fairytale of New York”, i nastawiła odtwarzacz tak, że grał go raz po raz, aż w końcu matka straciła cierpliwość i zagroziła, że wrzuci płytę do ognia wraz z całym sprzętem. Kate też dołożyła swoje trzy grosze: Shirley chyba upadła na głowę, co to za przebój, wykonawca jest koszmarnie brzydki i na dodatek szczerbaty. Shirley odrzekła z godnością, że Kate nie poznałaby prawdziwej sztuki, choćby ta ugryzła ją w nos.

— Pilnuj lepiej szparagów — odcięła się Kate. — Ciekawe, czy Declan lubi rozgotowane.

Punktualnie o pierwszej rozległ się dzwonek u drzwi. Pan Winters wychylił się i zerknął w okno, żeby zobaczyć, kto to. Zawsze to robił, nawet gdy wizyta była zapowiedziana.

— Jestem winien waszej matce dychę — zawołał do dziewcząt. — Jak Bóg na niebie, naprawdę przyszli. Muszą być odważniejsi, niż wyglądają. Pewnie powinienem ich wpuścić? — Dźwignął się z sofy, przeciągnął się i ziewnął szeroko. Ciepło kominka wprowadziło go w błogą senność.

Kevin i Declan, punktualni co do minuty, stali nerwowo na schodkach ściskając butelki z winem i poprawiając krawaty. Obie siostry natychmiast zaczęły się wdzięczyć przed lustrem w holu. Tymczasem ich ojciec poczłapał do drzwi i otworzył je z marsem na twarzy. Co prawda bardzo pragnął wydać wreszcie córki za mąż, ale najście dwóch samców na jego prywatne terytorium nieco wytrąciło go z równowagi. Gości zaproszono do środka, złożono sobie życzenia, płaszcze zostały powieszony na przepelnionym wieszaku, po czym przyszła pora na liczne pochwały pod adresem świątecznego stołu. Kate pocałowała Kevina w policzek, wzbudzając tym wesołość całej rodziny, i w końcu wszyscy usiedli starając się nie zmiąć obrusu. Kate znikła w kuchni i po chwili wyszła posuwistym krokiem w stylu Delii Smith, niosąc tacę pełną apetycznych zakąsek.

— Kate sama zrobiła apetyzery — ogłosiła pani Winters.

— Apetajzery, mamó. I bardzo proszę, nie chwal mnie przy ludziach.

— Podziękujmy Panu za te dary — rzekł pan Winters. Chłopcy zamarli, przekonani, że czeka ich teraz pół godziny żarliwych modłów. Na czole Declana pojawiła się kropelka potu. Każda wzmianka o religii przyprawiała go o lęk, jak zostanie przyjęta wieść o dziecku. Kevin też czuł się zmieszany. Mieszkał sam, modlił się rzadko i nie był pewien, czy przypomni sobie słowa, jeśli sprawy zajdą aż tak daleko. Był to jednak tylko ulubiony żarcik pana domu. Wszyscy pochylili głowy na dziesięć długich sekund, czekając, aż ktoś pierwszy się odezwie.

— Dziękujemy!!! — wrzasnęły Kate i Shirley przerywając ciszę i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Po tym wstępie zapanował prawdziwie świąteczny nastrój. Owoce zniknęły w ciągu dwóch minut. Kevin otworzył wino i napełnił nim zarówno kieliszki, jak i szklanki na wodę. Declan wychylił swój kieliszek jednym haustem, ale tylko Shirley to zauważyła. Wymienili spojrzenia. Wszystko będzie dobrze, mówiły oczy Declana. Shirley upiła łyk wina, potem przypomniawszy sobie o dziecku i odstawiła alkohol.

Pani Winters miała na sobie różowy sweterek obrzeżony łabędzim puszką, który bez przerwy wchodził jej do ust.

— Och, przepraszam. Proszę mi wybaczyć — powtarzała, co rusz się krztusząc, do siedzącego obok Declana, czym budziła powszechną radość.

Trzaskały zimne ognie, z tutek wypadały śrubokręty i breloki z nierdzewnej stali. Pan Winters zwracał uwagę zebranych na ich wysoką jakość; kilkakrotnie wymienił również cenę, a także napomknął o paru rzeczach, na które wolałby wydać dwadzieścia funtów. W końcu Kate musiała go kopnąć pod stołem, żeby przestał.

Olbrzymi złotobrazowy indyk wniesiony przez panią Winters na babcinym półmisku został nagrodzony hucznymi oklaskami. Gospodyni postawiła półmisek przed mężem i wycofała się z uszanowaniem. Pan domu wstał i z lekkim ukłonem (oraz lekkim drżeniem rąk) zaczął kroić mięsiwo. Kate paplała z Kevinem o tym, jak dobrze prosperuje warsztat, Shirley zaś krążyła wokół stołu nakładając wszystkim parujące warzywa i kulki farszu. Indyk był pyszny — nic dziwnego, w końcu był to świeży ptak.

Pani Winters oznajmiła Declanowi, że nigdy w życiu nie zhańbiłaby się przyrządzeniem mrożonego indyka. Na samą myśl o podobnej zbrodni przeszywały ją ciarki. Declan odparł na to, że w restauracji często korzystają z mrożonego ptactwa, świeżego bowiem nie można dłużej

przechowywać. Pani Winters poczerwieniała i połknęła jeszcze kilka piórek ze swojego boa. Kevin nie mówił wiele, ale za to zjadł dwie porcje indyka i trzy bakaliowe babeczki ze śmietaną. Kate powiedziała mu w zaufaniu, że to ona gotowała, bo Shirley była zajęta nastawianiem płyt, Kevin chciał więc wyrazić uznanie dla jej kunsztu.

— Kate, babeczki są rewelacyjne — stęknął. Twarz miał czerwoną z przejedzenia, odczuwał żywą ochotę, żeby popuścić pasa, ale nie ośmielił się tego zrobić pod jastrzębim okiem pana domu.

— Gotowanie to nic trudnego — oświadczyła bez zmrużenia powiek Kate, podając mu dzbanek ze śmietaną. — Nie wiem, z czego mama robi taki problem przez tyle lat.

Słyszając tę bezczelną wypowiedź, matka zatrzęsała się z oburzenia, lecz zmilczała dla dobra świątecznego nastroju. Kate, która nigdy z własnej woli nie kiwnęła w domu nawet małym palcem, wolałaby żyć sucharami i herbatą, niż zbliżyć się do kuchenki. Trzeba było dopiero wizyty chłopaka, żeby łaskawie owinęła ptaka folią i wrzuciła go do piekarnika! Co za tupet! Upiekła babeczki, tak? Z mrożonego ciasta i kupnych bakalii! Chciałabym zobaczyć, jak gotuje obiady przez czterdzieści lat, a co dzień inny! I pilnuje, żeby dzieci w tym czasie nie podpaliły domu! — piekliła się w duchu pani Winters. Atmosfera była jednak tak miła, że grzechem byłoby ją zepsuć karczemną awanturą. Obiad udał się nad podziw. Pani Winters ugryzła się więc w język, uśmiechnęła do Declana po raz setny, po czym oświadczyła, że teraz pozbiera talerze i poda kawę oraz słodycze. (Słowa „oraz” użyła specjalnie z tej okazji.)

I właśnie wtedy, na sam koniec uczty, kiedy wszyscy byli tak najedzeni, że nie zmieściliby już ani kęsa, Shirley nagle obwieściła, że będzie miała dziecko z Declanem, jego rodzice już wiedzą i wszystko będzie dobrze.

Pan Winters zmieszał się przeokropnie. Miał taką minę, jakby ktoś kazał mu naświetlić społeczne i polityczne tło Reformacji. Twarz pani Winters przybrała amarantowy odcień, zlewając się ze swetrem. Utkwiła wzrok w brzuchu Shirley, jakby chciała go prześwietlić. Shirley osłoniła dłońmi swoje dziecko.

— Powiedz coś, mamó — szepnęła i zaczęła płakać.

Declan objął ją ramieniem i pocałował w policzek. Miał nadzieję, że rodzice nie będą dla niej za surowi. Czuł, że to, co teraz powiedzą, na zawsze ukształtuje jego opinię o nich.

— Pobierzemy się najszybciej, jak się da — powiedział, biorąc Shirley za rękę na obrusie drukowanym w gałązki ostrokrzewu. — Jutro idziemy wybrać pierścionek zaręczynowy. Moi

rodzice bardzo się ucieszyli. Przykro mi, jeśli są państwo wstrząśnięci, ale ja bardzo Kocham Shirley.

Kate, podchmielona koktajlami, myślała, że ma halucynacje. Wieczorem wybierała się z Kevinem na dyskotekę. Trzeba powoli przyzwyczajać ludzi, że chodzą ze sobą. A tu nagle Shirley (mała Shirley w ciuchach ze składu starzyzny) postawiła wszystko na głowie.

Tylko Kevin wyglądał na uradowanego. Spojrzał na Declana z podziwem, klepnął go w plecy, uściśnął mu dłoń i wykrzyknął:

— Dobra robota, chłopie! Moje gratulacje! I dla ciebie też, Shirley, oczywiście. Dzieciatko od Dzieciatka, słowo daję, pierwsza klasa!

Pan Winters upuścił szklanekę z whisky na dywan i zaklął tak strasznie jak jeszcze nigdy w życiu. Wstał ze swojego miejsca u szczytu stołu, chwiejnym krokiem przeszedł do saloniku, wyłączył telewizor, urwał gałązkę z choinki i zaczął nią czyścić uszy.

— Czy mnie słuch myli? — wychrypiął, po czym nagle odzyskał głos i ryknął: — Martha! Martha! Słyszałaś, co przed chwilą powiedziała twoja córka?

Pani Winters cichutko powtarzała jak mantrę: „Matko Boska, zlituj się nade mną”. W takim wykonaniu modlitwa robiła bardzo pogańskie wrażenie. Z drugiej jednak strony najwyraźniej działała. Martha Winters zachowała podziwu godny spokój.

— Momencik, Shirley — powiedziała wolno Kate. — Jesteś pewna, że to ciąża? Zrobiłaś porządne badania? Czy to twoja kolejna zbzikowana hipoteza?

— Tak, tak i nie w kolejności zadawanych pytań.

— Jakim cudem możesz być w ciąży? Nie jesteś przecież dzieckiem i mamy dwudziesty pierwszy wiek! Zapomnieliście o antykoncepcji?

— Nie zapomnieliśmy. — Shirley przyglądała grzywkę, a Declan nerwowo poprawił krawat. Sytuacja doprawdy była bardzo żenująca, choć mniej więcej na to się przygotowali. Wymienili spojrzenia, jakby chcieli sobie powiedzieć: „Najgorsze za nami. Już wiedzą. Wykrzyczą się i przestaną”.

— Zażywałaś pigułkę? Jaką? — drażyła Kate.

— O, nie! Jeśli macie zamiar rozmawiać o takich rzeczach w Boże Narodzenie, to ja będę w szopie — oznajmił pan Winters i wypadł do ogrodu nie zdejmując nawet papierowej czapeczki.

Kate spojrzała na siostrę, jakby nagle objawiła jej się kosmitka.

— No, Shirley, jak do tego doszło? Czekamy.

— Wolałabym nie wdawać się w szczegóły, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dość powiedzieć, że to nie było zaplanowane. Przykro mi, mamó. Bardzo cię przepraszam.

— Shirley, ja... Powiedz mi, że to sen — jęknęła bliska zemdenia Kate.

Nie był to jednak sen. Shirley naprawdę spodziewała się dziecka. A Declan trzymał ją za rękę i uśmiechał się do niej. Shirley nagle przestała być jej małą siostrzyczką. Stała się dorosłą, ciężarną kobietą, związaną uczuciowo ze swoim partnerem, a on, o dziwo, wciąż był przy niej. (W Belfaście ojcowie nieplanowanych dzieci pędzili zwykle wprost do portu nie zatrzymując się nawet po to, żeby wziąć płaszcz.) Declan wydawał się pogodzony z ojcostwem.

Co więcej, chciał się żenić. Powiadomił rodziców i zamierzał kupić pierścione! Serce Kate zaczęło łomotać jak brygada robotników układających tory. Niech to szlag! Myślała, że ma już tę przykrą dolegliwość poza sobą. Ręce zatrzęsyły się jej tak gwałtownie, że musiała na nich usiąść. Kevin objął ją ramieniem widząc, że z twarzy Kate odpływają wszystkie kolory oprócz dwóch smug różu.

— Co ci jest? — spytał zaniepokojony. — Kate, dobrze się czujesz?

Kate zamrugła ciężkimi od tuszu rzęsami i otworzyła oczy. Płynne kontury twarzy matki i siostry wyostrzyły się nieco. Musiała coś powiedzieć. Wszyscy na nią patrzyli.

— Właśnie miałam zamiar ogłosić nasze zaręczyny, bo Kevin i ja zamierzamy się pobrać, ale Shirley oczywiście musiała wszystko zepsuć! Primadonna ze spalonego teatru!

— Je... e... esteśmy zaręczeni? — zająknął się Kevin. — No nareszcie! Dzięki, Kate! Kurczę, długo będziemy pamiętać te święta! — Zabębnił palcami o stół imitując radosną fanfarę.

— Zaraz, zaraz! Jak możecie być zaręczeni, skoro Kevin nie chodził do ciebie w zaloty? — Pani Winters trudno było się w tym wszystkim rozeznąć. Zastanawiała się, czy nie za dużo wypiła. Bóg świadkiem, że czterech kieliszków wina pod rząd nie miała w ustach od poprzedniej Gwiazdki. Może to dlatego wydaje jej się, że będzie babcią.

— Właśnie że chodził... to znaczy, chodziliśmy ze sobą. Mówiłam wam o tym, ale w tym domu nikt mnie nie słucha. Jesteśmy zaręczeni i koniec! — Obróciła się do Shirley ze łzami w oczach. — Nie tylko ty masz chłopaka, o nie! Ale chłopak ci nie wystarczał, smarkulo, musiałaś jeszcze zmajstrować sobie bachora! W tym wieku! Za kogo, do cholery, się uważasz?

— Przecież nie zrobiłam tego celowo! — rozszlochała się Shirley. — Myślałam, że choć raz mi ustąpisz i będziesz się cieszyć razem ze mną, zamiast wciąż się wymądrzać. Ale nie, ty też musisz się zaręczyć, żeby nie zostać w tyle!

— Zareczyłam się, siostrzyczko, bo ja jestem w odpowiednim wieku.

— A takiego! Ustaliliście już datę? Bo my tak! To żadne zaręczyny, jeśli nie ustaliliście daty ślubu. — Shirley wysmarkała nos w papierową serwetkę i westchnęła głęboko. Ostatnią rzeczą, jakiej by pragnęła w tak trudnej chwili, była kłótnia z siostrą. Ale Kate potrafiła być wredna, jeśli sprawy nie szły po jej myśli.

— Uspokój się, Shirley — wtrącił Declan. — Pomyśl o dziecku. Nie wolno ci się teraz denerwować. — Przytulił ją i spojrzał z przyganą na Kate.

Kate, pobudzona alkoholem i złością, była bliska hysterii. Czuła, że przegrywa. Pierścionek zaręczynowy to tylko ładnie oprawne szkiełko, jeśli nie doda mu wagi zamówiona msza i sala weselna. Do tego czasu jest tylko próbą nadania pozorów przyzwoitości przedmażeńskim stosunkom. Jedynie łatwowierna idiotka oddałaby komfort posiadania młodego smukłego ciała w zamian za tandetny pierścionek od miejscowego jubilera. (W każdym razie takie stanowisko reprezentowało starsze pokolenie.) Kate spojrzała na Kevina z paniką w oczach.

— Kiedy się pobierzemy? — wychrypiała.

— Kiedy tylko zechcesz — odparł szybciotko.

— No cóż, my weźmiemy ślub na wiosnę. Zrobię wszystko, żeby Shirley była szczęśliwa — powiedział Declan, starając się rozładować sytuację.

— Dosyć już zrobiłeś — zgrzytnęła zębami pani Winters. — Kevinie, bądź tak miły i wyciągnij mojego stukniętego chłopca z szopy, zanim zamarznie w niej na śmierć, dobrze? Bardzo cię proszę. — Kevin posłusznie wstał. — A w ogóle to czemu wam się tak spieszy? Ta też jest w ciąży? — szturchnęła Kate łyżką z resztką śmietany.

— Nie jestem w ciąży! Jak śmiesz mnie tak obrażać! — krzyknęła Kate. — I nie smaruj mi śmietaną najlepszej kiecki! Ja w ciąży, też coś! Nie jestem taka głupia, żeby dać się wydymać jakiemuś smarkaczowi. Skandal! I to w chwili, kiedy ogłaszam swoje zaręczyny! Słyszysz, Kevin? Mówiłam ci, że oni są nienormalni.

— To cud, że jeszcze nie masz gromadki dzieci! — wrzasnęła Shirley. — Nie zgrywaj się tu na dziewicę! I nie waż się zadzierać nosa! Nie dałam się nikomu wydymać! Kocham Declana, jest moim pierwszym i jedynym mężczyzną i będzie moim mężem! I tak, poszliśmy razem do łóżka, wcale się tego nie wstydzę. Skoro już chcesz wiedzieć, było fantastycznie! Cudownie! Bosko!

Declan zaczerwienił się gwałtownie aż po cebulki włosów. Kevin mrugnął do niego i dyskretnie uniósł w górę kciuk.

— Nie waż mi się mówić bezceństw w dzień święty! — huknęła pani Winters. — Nie prosiliśmy o szczegóły! Ja się pytam, co powie na to proboszcz!

— No tak! Teraz mamy jasność! Właśnie się zastanawiałam, kiedy na stół wjedzie proboszcz. Powinien być uradowany, że na świat przyjdzie kolejne chrześcijańskie dziecko! Przyrost naturalny na Zachodzie spada, nie wiesz o tym? Nie popełniłam żadnej zbrodni, na litość boską! To, co zrobiłam, było zgodne z naturą i normalne. Chciałaś mieć wnuka? Chciałaś? No to masz!

— Och, moje serce! Panie mój, Boże, jakże cię zawiodłam!

— Pani Winters trzykrotnie przeżegnała się z rozmachem.

Declan żałował, że nie może teleportować siebie i Shirley z pokoju, jak w filmie „Star Trek”. Postanowił odczekać jeszcze pięć minut, a potem zabrać Shirley do domu Greenwoodów. Matka doradziła mu, żeby to zrobił, jeśli atmosfera stanie się zbyt gorąca.

— W żaden sposób nie zdołam cofnąć tego, co się stało, mamó — powiedziała Shirley uspokajając się nieco. — Staramy się rozwiązać to najlepiej, jak umiemy. Proszę cię, bądź rozsądna.

— Będę musiała zapytać ojca Damiana o radę — chlipnęła pani Winters.

— Spytaj go przy okazji, dlaczego nie dopuszczają kobiet do kapłaństwa — warknęła Shirley. — Robią z nas chrześcijan drugiej kategorii. Mówią, że tyle mamy hormonów, iż nie mogłybyśmy odprawić mszy, by się nie rozplakać! — I natychmiast zepsuła efekt swojej butnej mowy, wybuchając płaczem.

— Proszę, jaka mądrała! — sarknęła z goryczą matka. — Skoro pozjadałaś wszystkie rozumy, to pytam, czemu wpakowałaś się w kłopoty? Może mi odpowiesz?

— Dostyc tego — rzekł Declan. — Shirley, kochanie, weź płaszcz i coś do spania. Zabieram cię stąd. — Wstał i położył serwetkę na stole.

— Dokąd? — spytała półprzytomnie Shirley. Była wykończona.

— Zamieszkamy u mnie, dopóki nie znajdziemy własnego mieszkania. Naprawdę nie ma potrzeby robić takich awantur. Przykro mi, pani Winters, ale dziwię się pani. Shirley jest w ciąży, na miłość boską, a pani na nią wrzeszczy.

— Usiądź, dobrze? — powiedziała pani Winters cicho. — Co mam powiedzieć? Wiesz, jacy są ludzie, uwielbiają skandale. Będzie o nas plotkować cała ulica.

— To nie żaden skandal. Bierzemy ślub. A pani powinna myśleć przede wszystkim o Shirley, nie o sąsiadach. Proszę się nie gniewać, ale taka jest prawda. Dlaczego nie okaże jej pani wsparcia jak moi rodzice?

Pani Winters nie była przyzwyczajona, żeby ktoś przemawiał do niej bez ogródek. Ci bogacze są jednak bardzo bezpośredni, uznała w duchu. Shirley będzie do nich pasować ze swoim szokującym pojęciem o moralności.

— Czy to prawda, Declanie? — spytała po dłuższej chwili. — Naprawdę zamierzasz zrobić z mojej Shirley uczciwą kobietę? Ile ty w ogóle masz lat? Sam jeszcze nosisz mleko pod nosem.

— Proszę się nie martwić. Mam już skończone dwadzieścia lat. Moi rodzice są gotowi nam pomóc. Mama powiedziała, że wszystkim się zajmie. Wesela to jej specjalność. Nie muszą się państwo o nic troszczyć.

Pani Winters po namyśle zrezygnowała z planu ucieczki do Ameryki. Może jednak nie będzie to takie fiasko, na jakie wyglądała cała ta sprawa jeszcze kilka minut temu. Jeśli zaangażowali się w nią rodzice chłopca, istniała szansa, że coś z tego wyjdzie.

— Skąd u kogoś w twoim wieku taki pęd do ołtarza? — zagadnęła Kate, już spokojniejsza, lecz zaintrygowana meandrami działania męskiego umysłu. — Szczeniak z ciebie, jak słusznie zauważyła mama.

— Moi rodzice są bardzo szczęśliwi w małżeństwie. Zawsze marzyłem o takim właśnie związku. Odkąd pamiętam, miałem w planie się ożenić i być równie szczęśliwy.

— Tego nie możesz sobie zagwarantować — stwierdziła zjadliwie Kate, a Shirley z trudem powściągnęła chęć, by ją zdzielić. — Nie wiesz, czy wam się uda.

— Ależ wiem — odparł. — Sami tego dopilnujemy. Oboje jesteśmy rozsądnymi ludźmi.

Na chwilę zapadła cisza. Ani Kate, ani jej rodzice nie mogliby z czystym sumieniem określić się mianem rozsądnych. Nagle rozległo się głośnie beknięcie i wszystkie oczy zwróciły się na Kevina, na którego twarzy oprócz wstydu malowała się wyraźna ulga.

— Nareszcie — sapnął. — Bardzo państwa przepraszam. Naprawdę za mnie wyjdiesz, Kate? — Najwidoczniej wciąż był w szoku.

Kate westchnęła i przewróciła oczami.

— Tak, Kevinie. Naprawdę.

Kevin wydał triumfalny okrzyk, wyrzucając w górę pięść.

— Kevinie, bardzo cię proszę, sprowadź tu mojego męża, bo inaczej będziemy mieli pogrzeb, a nie wesele. — Po policzkach pani Winters popłynęły łzy ulgi. Świąteczne serwetki, używane niezgodnie z przeznaczeniem, okazały się nad podziw przydatne do wchłaniania lejących się strugami łez.

— Dwa wesela — poprawiła ją Kate z naciskiem. Kevin wypadł jak strzała do ogrodu.

— Panie Jezu i Najświętsza Panienko! — zaszlochała pani Winters. — Co za święta, co za święta! Ojcu żal było pieniędzy na zimne ognie; ciekawe, co powie, kiedy będzie musiał dać na wesele dla tych dwóch wariatek! Idę na górę, muszę się położyć. Nagraj mi „Coronation Street”, dobrze, Shirley? Podobno Hilda Ogden ma już nie występować. — Pani Winters wyszła z pokoju mamrocząc pod nosem kolejną modlitwę.

Shirley odetchnęła. Rodzice znieśli to dość mężnie. Nie zachowali się tak źle, jak by mogli.

— No, no, no, proszę, proszę! — odezwała się Kate, wodząc wzrokiem od Declana do Shirley. — Czarne konie, słowo daję!

— Sama jesteś czarny koń. Nikt nawet nie wiedział, że chodzisz z Kevinem.

— Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz. — Kate zrobiła tajemniczą minę.

— Nie tak wielu, skarbie. Wiem nawet, ile jesteś winna sklepom wysyłkowym. Osiem tysięcy funtów, uwierzyłbyś, Declanie?

— Ty wścibska krowo!

— Nie powinnaś zostawiać wezwań do zapłaty na podłodze w łazience. — Shirley ziewnęła. Czuła się tak zmęczona, że miała ochotę oprzeć głowę na stole i zasnąć wśród resztek obiadu.

— Jak śmiesz wściubiać nos w moje prywatne sprawy! — oburzyła się Kate. — A tak przy okazji: ja jestem pierworodna, więc moje wesele będzie miało pierwszeństwo. Nie rozpędzaj się z wydatkami, mała.

— Oprzytomnij, Kate. Co dziś znaczy „pierworodna”? To nie osiemnasty wiek. W dzisiejszych czasach kto pierwszy, ten lepszy.

— Mylisz się. Jestem pierworodna i dlatego mam prawo do huczniejszego wesela.

— No nie! Co za idiotka! W najlepszym razie będzie indyk i szynka, a sukienkę to możesz sobie kupić w używanej odzieży. Tato jest salowym, na miłość boską! Co ma zrobić? Obrabować bank?

— A, właśnie — wtrącił Declan. — Rodzice powiedzieli, że bardzo chętnie urządzą nam wesele w naszej restauracji, na ich koszt. I nie martw się o sukienkę, Shirley. Mama ma ich setki w swoim sklepie.

— Declan! — rozpromieniła się Shirley. — Jak to miło z jej strony! Powiedz swojej mamie, że jestem uszczęśliwiona. I żeby się nie martwiła: wybiorę coś niedrogiego.

Pod Kate ugięły się kolana na samą myśl o Shirley w strojnej sukni ślubnej z ekskluzywnego butiku pani Greenwood. Doprawdy świat stanął na głowie. To było nie do zniesienia!

— Miałem zamiar powiedzieć twoim rodzicom, żeby nie martwili się o koszty, ale nie zdążyłem, zanim odeszli od stołu — tłumaczył Declan.

Drzwi kuchenne otwały się i wszedł Kevin, prowadząc pana domu, którym miotały gwałtowne dreszcze.

— Tato, Declan właśnie powiedział, że jego rodzice pokryją koszt wesela Shirley.

— To najlepsza nowina, jaką słyszałem od lat. Dzięki, Declame. — Na twarz starszego pana wróciło nieco barw. Zdjął żółty kapelusik i opadł na krzesło.

— A to oznacza — ciągnęła Kate — że będziesz miał więcej pieniążków dla mnie. Tato drogi, trzymaj się, żebyś nie upadł. Kevin i ja też się pobieramy.

W pokoju zaległa cisza. Wszyscy zamarli. Tylko płomyki w czerwonych szklanych świecznikach potrzaskiwały i chwiały się w przeciagu. Oczy pana Wintersa wyszły z orbit. Młodzi wpatrywali się w niego modląc się, żeby serce wytrzymało szok.

— Gdybym wiedział, że czekają mnie dwa wesela, nie kupowałbym tych cholernych zimnych ogni — rzekł po dłuższej chwili. — Dwadzieścia funtów starczyłoby na sześć półmisek jajek w majonezie.

— Och, tato! — jęknęła z rozpaczą Kate. Zdała sobie sprawę, że Shirley precyzyjnie oceniła rodzinną sytuację finansową. Biedny ojciec padłby trupem, gdyby zobaczył listę rzeczy, które Kate koniecznie chciała mieć. Najlepszego szampana, olbrzymie bukiety szklarniowych róż z przybraniem i srebrnego rolls-royce'a do kościoła. W życiu nie będzie go na to stać. Jej także, przy ośmiu tysiącach długu i czterotysięcznym debecie na koncie. Zagryzła wargi.

Pan Winters zauważył, że przy stole nie ma jego żony.

— Gdzie matka? — spytał szeptem.

— Na górze. Poszła się położyć. Ale, tato...

— Chyba wezmę z niej przykład — rzekł pan Winters i krokiem starego, złamanego człowieka poczłapał do holu.

Obie młode pary przysłuchiwały się jego powolnym krokom, kiedy wspinał się na piętro po skrzypiących schodach. Kate spojrzała na Shirley z urazą. Ojciec nie wypowiedział się wiążąco, czy sfinansuje jej wesele, a ona sama tonęła po uszy w długach. Musiałaby je najpierw spłacić. Nie miała ochoty czekać kilka lat, nim zgromadzi jakieś oszczędności. Chciała natychmiast ustalić datę, najlepiej przed pospiesznym ślubem Shirley. A gdyby tak polecili z Kevinem do Las Vegas i pobrali się tam w najbliższą niedzielę? Gotowa była na wszystko, byle ubiec siostrę.

— Obiad był pyszny — oznajmił Kevin pogodnie. — Może pozmywamy naczynia, Kate? — Złożył kilka talerzy i zaczął zbierać serwetki. — Strasznie smakowały mi twoje babeczki.

— Zostaw te gary, Kevin, chodźmy na spacer. Tu jest za gorąco. Pójdę po płaszcze. — Kate chwiejnym krokiem wyszła do przedpokoju, czepiając się po drodze krzeseł. Pozostali nie zwrócili uwagi na jej wzburzenie, zajęci własnymi myślami.

Kevin postanowił poprosić Kate, by z nim zamieszkała. Posiadał na własność domek w Finaghy, czysty i schludny, choć na razie niezbyt przytulny. Brakowało w nim kobiecej ręki.

Declan w myśli obliczał sumę potrzebną na wynajęcie mieszkania na peryferiach miasta, z dala od tej ciasnej, klaustrofobicznej uliczki. Shirley nie donosi ciąży w tak histerycznym otoczeniu. Musi mieć więcej spokoju.

— Kevin! — zawołała Kate tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Ja już jestem gotowa!

— Dobrze! — Kevin przestawił dwa talerze na dowód swoich dobrych chęci i wyszedł za Kate do przedpokoju. Po drodze odwrócił się i uśmiechnął się szeroko:

— Jeszcze raz wam gratuluję. Ciekawe, kto z nas pierwszy weźmie ślub.

— Ja też jestem tego ciekawa — mruknęła Shirley, wiedząc, że Kate raczej zaciągnęłyby do ołtarza bezdomnego pijaka, niż pozwoliła się wyprzedzić. Mogła z góry przewidzieć, że będzie awantura.

Gdy zamknęły się drzwi, Declan mocno przytulił narzeczoną i powiedział, żeby już się nie martwiła.

— Co za wstrętna krowa! — rozżaliła się Shirley. — Nawet mi nie pogratulowała. Żebym usłyszała od niej choć jedno miłe słowo! Nie, piekli się, że wyjdę za mąż pierwsza. A

mama i tato też są do niczego. Wpadają na przemian w furję lub depresję bez stanów pośrednich. Mówiłam ci, że tak będzie.

— Wiem, że jest ci ciężko, kochanie. Ale to już niedługo. Przysięgam, że natychmiast wynajmę mieszkanie. Będziemy mieli własne ciepłe gniazdko, gdzie nikt nie będzie nas niepokoił. Wieczorami będziemy leżeć razem w łóżku, słuchać muzyki i snuć plany na przyszłość.

— Mam nadzieję. Mam taką nadzieję. — Shirley ruszyła do kuchni, żeby zrobić herbatę. Po drodze zahaczyła o gramofon. Płyta, której spalaniem groziła pani Winters, opadła na talerz gramofonu i ożyła.

— Przepadam za tą piosenką — powiedział Declan. — Chodź, zatańczymy!

— Tu jest za ciasno.

— To będziemy tańczyć mocno przytuleni. Chodź — objął ją ramionami i zakołysali się łagodnie obok różnokolorowego pobojuwiska na stole. — Uwielbiam tę porę dnia, kiedy wszystko powoli zbiera się do snu i w domu robi się tak bardzo domowo...

— Kocham cię. Jesteś za dobry, żebyś był prawdziwy. Miałam mnóstwo szczęścia.

— Nic podobnego, przyszła pani Greenwood. To ja miałem szczęście, że cię poznałem. Nawiasem mówiąc, ja też cię kocham.

I słuchając, jak bezzębny brzydal śpiewa najpiękniejszą piosenkę dekady, Shirley poczuła, że ogarnia ją spokój. Niech rodzinka miota się, krzyczy, skarży i pomstuje do woli. Nie mogą dotknąć jej dziecka, nie mogą jej go odebrać. Wreszcie ma coś, co należy tylko do niej. Do niej i Declana. Kate może poruszyć niebo i ziemię, by mieć huczniejsze wesele niż siostra, ale przecież nie wyprzedzi jej w macierzyństwie, prawda? Shirley uśmiechnęła się szeroko. Była bardzo szczęśliwa.

Rozpoczął się styczeń. W domu państwa Winters zapanowała atmosfera radosnego podniecenia. Pani Winters po długim namyśle opuściła przeładowaną dewocjonaliami sypialnię, w której przez kilka długich dni na przemian się modliła i przeprowadzała telefoniczne konsultacje z krewnymi, znajomymi i przedstawicielami kleru — i teraz dla odmiany poddała się euforii. Ponieważ nikt się nie zgorszył wieścią o dziecku, doszła do wniosku, że i ona jakoś to przeżyje. Ignorując taryfy British Telecom w godzinach szczytu, informowała każdego, kto chciał słuchać, że obie jej śliczne córeczki wychodzą za mąż. Kompletna niespodzianka! — powtarzała wciąż od nowa. Spotykały się ze swoimi kawalerami ledwie miesiąc, kiedy Amor przeszył obu strzałą. Opowiedziała tę historię nawet sprzedawcy w domu

towarowym, kiedy poszła zwrócić zakupioną spódnicę. Był zafascynowany. Nie ma się czemu dziwić, wyjaśniła mu pani Winters, raptowne oświadczenia to taka nasza rodzinna tradycja.

— Będę miała dziecko — napomknęła mimochodem Shirley nad jajecznicą i grzankami w stołówce urzędu.

— Ja się zastrzeżę! — pisnęła Amanda z Weryfikacji Świadczeń. — Z Declanem?

— Jasne, że z Declanem — powiedziała Julie z Inicjatyw Gospodarczych.

— To chyba oczywiste, że z nim! — oznajmiła Shirley ze zgorzaniem. — Nie jestem aż tak wyzwolona!

— O rany! — zakrzyknęły dziewczyny. — O rany Julek!

— Nie planowaliśmy tego, ale tak wyszło — powiedziała Shirley. — Będę wam bardzo wdzięczna, jeśli udzielicie mi moralnego wsparcia. Czuję się trochę niezręcznie. — Popatrzyła na twarze osłupiałych koleżanek i siłą woli powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— A powiedz mi, słonko, czy ten twój młody człowiek zamierza się z tobą ożenić? — Amanda przeczytała w życiu za wiele rozpaczliwych podań, żeby być optymistką.

— Nie bądź taka staroświecka! — obruszyła się Shirley, celowo trzymając słuchaczki w napięciu.

— Będzie ślub czy nie? Zrozum, skarbie, my cię nie osądzamy. Chcemy tylko wiedzieć, czy trzeba kupić prezent — uspokoiła ją Amanda.

— TAK!!! W kwietniu! Wybaczenie, że nie powiedziałam od razu, ale chciałam was trochę podręczyć. Oczywiście wszystkie jesteście zaproszone. I możliwe, że poproszę jedną z was na drużnę. Kate zachowuje się ostatnio bardzo dziwnie. Możliwe, że do kwietnia będzie już mężatką.

— Przejdzie jej — stwierdziła Julie. — A co na to twój ojciec?

— Powtarza: „W razie gdyby ktoś mnie szukał, jestem w saloniku, gdzie przeliczam ostatnie grosze”.

— Typowe! — orzekła Amanda. — Wszyscy ojcowie są tacy sami.

Marion była szczęśliwa. Kiedy Declan oznajmił swoją wielką nowinę, zaniemówiła tylko na krótką chwilę, a potem uśmiechnęła się, uściskała go mocno i dała im swoje błogosławieństwo. Powiedziała, że jej zdaniem ludzie powinni zakładać rodziny, kiedy są jeszcze młodzi, zanim zapomną, jak to jest być dzieckiem.

Poprosiła Eddy'ego, żeby zaraz zaczął szukać domu dla młodej pary. Dostatecznie daleko od Derryvolgie Avenue, żeby młodzi czuli się niezależni, a dostatecznie blisko, żeby w razie potrzeby można było wpaść z pomocą, kiedy dziecko przyjdzie na świat.

— Nie rozumiesz? — powiedziała do męża któregoś wieczoru. — Właśnie tego było mu trzeba. Poczucia odpowiedzialności.

— Shirley to miła dziewczyna, prawda? — bąknął Eddy. — Niebrzydka. Mam nadzieję, że będą szczęśliwi.

— O, tak. Będą bardzo szczęśliwi. Przede wszystkim ta Shirley ma wiele rozsądku.

Eddy nie drażył tematu. Wystarczało mu, że Marion jest zadowolona.

Johnny Hogan nie kontaktował się z nią więcej i wszystko wskazywało na to, że wkrótce całkiem ich od siebie uwolni. Dyskoteka została wystawiona na sprzedaż, we wszystkich lokalnych gazetach były ogłoszenia. Eddy nareszcie zaczął lepiej sypiać. A Declan zdecydował się jednak zostać lekarzem. Mały staż w zarządzaniu restauracją ostudził jego plany związane z gastronomią. Co prawda Shirley nie była pięknością, daleko jej było do Marion w dniu ich ślubu, ale może to i lepiej. Opieka nad pięknymi kobietami bywa bardzo uciążliwa.

Shirley uprzedziła dział kadr, że spodziewa się dziecka. Uważała, że należy postawić sprawę uczciwie. Poza tym w każdej chwili mogła się źle poczuć. Kiedy panna Bingham usłyszała nowinę, zemdląła w toalecie. Porcelanowy garnuszek, który właśnie płukała w umywalce, wypadł jej z ręki i roztrzaskał się na kawałki. Dwie urzędniczki z Działu Wspomagania Inicjatyw Gospodarczych podniosły ją z podłogi i spryskały jej twarz zimną wodą.

— Wcale mnie to nie dziwi — wyszeptała słabo, gdy ciśnienie krwi wróciło jej do normy. — Ta dziewczucha jest źle wychowana. Podobnie jak jej siostra, wiecie, że musiałam ją zwolnić. A jak pyskowała! To wina rodziców. Mój Boże! Tylko czekać, aż Shirley zjawi się w Mieszkaniowym szukając darmowego lokum na koszt podatników.

— O, bardzo w to wątpię — odparła jedna z kobiet, imieniem Beryl. — Słyszałam, że jest zaręczona. Nie znam jej chłopaka, ale dziewczyny mówią, że wart grzechu. Jego rodzice są bardzo zamożni, zamierzają kupić im dom i zapłacić za wesele.

— Nie wierzę — oznajmiła panna Bingham.

— O, tak! — potwierdziła koleżanka Beryl, zaznajomiona ze wszystkimi szczegółami sprawy. — Shirley dobrze trafiła. Na pewno nie przyjdzie żebrać o zasiłek. Już prędzej złoży wymówienie.

— Szczęściara! — mruknęła Beryl. — Kto przy zdrowych zmysłach pracowałby tu, gdyby nie musiał!

Panna Bingham zemdląca ponownie i przez wiele dni nie mogła dojść do siebie.

*

Kate także czuła się fatalnie. Postępek Shirley wywrócił do góry nogami ustalony porządek rzeczy, Jeśli Shirley pierwsza wyjdzie za mąż, Kate będzie wyglądać na starą pannę, kobietę, która została pominięta. Dlatego zdecydowała się zrobić to samo. Po paru kolejnych namiętych popołudniach na zielonej sofie powiedziała Kevinowi, że mogą ustalić datę.

Kevin tak się ucieszył, że przez dwa dni nie mógł się skoncentrować na pracy i w tym czasie nie ruszył palcem w warsztacie. Kate oznajmiła rodzicom, że natychmiast wychodzi za mąż, ci więc znów zaczęli sobie łamać głowy nad wydatkami. Któregoś wieczoru przy kolacji podzielili się zmartwieniem z Shirley i Declanem. Declan, który czuł się poniekąd odpowiedzialny za zaistniałą sytuację, uprzejmie zaproponował, by urządzili podwójny ślub i wspólne wesele.

Kate początkowo była temu przeciwna, ale w końcu zgodziła się, choć z ociąganiem. Marzył jej się ślub jak z bajki z sześcioma drużbami, flotą limuzyn i morzem drogiego szampana, ale ojciec poinformował ją, że jest w stanie sfinansować indyka i wędliny na czterdzieści osób. Wszystko inne musi pokryć sama.

Pani Greenwood już była pogrążona po uszy w planowaniu. Miał być wystawny zimny i gorący bufet, fantazyjne rzeźby z lodów oraz kwartet smyczkowy. (Marion była miłośniczką serialu telewizyjnego „Dallas”.) Kiedy Declan przyznał się, że zaproponował Kate i Kevinowi współudział w przedsięwzięciu, dołożyła starań, żeby ukryć rozczarowanie. Na szczęście okazało się, że Kevin nie ma wielu krewnych i są to mili, cisi ludzie, których będzie można upchnąć przy dodatkowych stolikach w końcu sali. Można było zatem drukować zaproszenia.

Kevin zadeklarował, że oprócz podróży poślubnej dla siebie i Kate pokryje koszt wynajmu samochodów oraz garnitury dla drużbów. Eddy uścisnął mu dłoń i stwierdził, iż dobry z niego chłopak. Marion Greenwood w duchu uznała za skandal, że z poniesionych przez nią starań niezasłużenie skorzysta despotyczna siostra Shirley. (Spotkała jak dotąd Kate dwa razy i zdążyła poczuć do niej silną antypatię.) Była to wszakże jedyna skaza na ogólnej radości,

Marion stwierdziła więc, że i tak ma za co być wdzięczna niebiosom. Kto jak kto, ale ona wiedziała najlepiej, że idealne wesela istnieją tylko w filmach. Declan się ustatkował, a Shirley była miłą dziewczyną. Lepszego losu dla swojego syna nie mogłaby sobie wymarzyć.

Shirley też nie była zachwycona, że musi dzielić z Kate swój wielki dzień, ale nie miała sił z nią walczyć. To rozwiązanie miała zresztą i dobrą stronę: usuwało ją w cień, tuszowało skandal przedmałżeńskiej ciąży egzotyką podwójnego ślubu. (Jak pamięć ludzka sięga, czegoś takiego jeszcze nie było w tej dzielnicy.) Ojciec się cieszył, bo nie musiał ponosić wszystkich kosztów. Shirley co prawda nieraz była wściekła na siostrę, że robi ze ślubu niesmaczny cyrk, ale milczała, w głębi duszy marząc o maleńkim mieszkanku, w którym ona i Declan nareszcie znajdą się sami. Zresztą i tak nie mogła się uważać za żarliwą chrześcijankę. Ceremonia ślubna była dla niej tylko formalnością. Uszczęśliwi rodziców, a dziecku da ładne nazwisko. Shirley wątpiła, czy sama zmieni się choć trochę z chwilą zamążpójścia.

Którejś soboty, będąc sama w domu, obejrzała sobie program o kosmosie. Co prawda przeznaczony był dla dzieci, ale i tak ją zafascynował. Wyjaśniał, że wszechświat nie ma góry ani dołu, a zatem nie mają ich także planety. Było to całkiem odmienne spojrzenie na znany świat, nowa koncepcja do przyswojenia. Shirley poczuła się nią bardziej zaniepokojona niż oświecona. Co więc każe gwiazdom i planetom krążyć wesoło w czarnej, bezmiernej pozbawionej kierunków pustce? Bóg? Ten sam, o którym ją uczono? Skoro jest aż tak potężny, to dlaczego nie pomógł jej rodzicom znaleźć lepszej pracy, żeby nie musieli przez całe życie szorować ubikacji wdychając środek dezynfekcyjny z dodatkiem chloru, od którego łzawiły oczy? Może więc Bóg zajmuje się tylko wielkimi sprawami, a to, kto sprząta szpitale w Belfaście, jest dla niego bez znaczenia. Wychowano ją jednak w wierze, iż kocha wszystkich ludzi, niezależnie od koloru ich skóry, wyznania czy pozycji. Żałowała, że nie potrafi wzbudzić w sobie niegdysiejszej pewności, że Bóg i jego aniołowie cały czas czuwają nad nią z nieba. Stała się poganką, wierzyła w to, co mogła zobaczyć i dotknąć — drzewa, zachody słońca, rzeki i gwiazdy, wodospady i wulkany wypluwające z siebie jaskrawopomarańczową lawę.

Zaraz potem musiała pędzić do łazienki na kolejną poranną sesję torsji, które położyły kres jej filozoficznym rozmyśleniom tego dnia. Opadła na kolana obok miski klozetowej dygocąc z wysiłku, niezdolna skoncentrować się na niczym prócz swego ciała, a zarazem zdumiona, że w niej samej drzemią tak wulkaniczne moce. Nie miała nad nimi żadnej kontroli. Kiedy było po wszystkim, spocona i wyczerpana położyła się na podłodze. Czowała się jakby oczyszczona i nareszcie spokojna. Pod tym względem wymioty trochę przypominają seks, pomyślała smętnie.

Po kilku minutach zrobiło jej się zimno. Zaczęła dygotać. Dźwignęła się do umywalki i opłukała sobie twarz ciepłą wodą. Potem, choć naprawdę nie miała na to siły, umyła zęby,

wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, będzie się czuć fatalnie. Jej twarz w lustrze była szara, przerażona i ściągnięta. Ciekawe, czy w dniu ślubu też będzie tak wyglądać. A co tam! W gruncie rzeczy uroczystość jest dla krewnych i znajomych, nie dla pary młodej. Ci złożyli sobie śluby wcześniej, w innym miejscu. Powlokła się do swojej małej sypialni i bardzo ostrożnie położyła się w wąskim łóżku naciągając patchworkową kołdrę na ramiona. Zawsze było jej zimno, kiedy mijały mdłości. Postanowiła, że odtąd nie będzie tyle myśleć. Weźmie przykład z Kate. Starsza siostra była wprawdzie kompletną idiotką, lecz bynajmniej nie psuło jej to nastroju. Wsłuchiwała się w dochodzące z ulicy odgłosy: szczekanie psa, jakiś łomot na budowie, policyjną syrenę. Ale ciężko jest nie myśleć, kiedy człowiek jest sam w domu, z obolałym od wymiotów wnętrzem. Czy Kate i Kevin będą razem szczęśliwi? Czy Kevin wykaże się dostatecznym hartem ducha w roli męża? A czy jej samej ułoży się życie z Declanem, czy też Declan prędko się nią znudzi? Jest dla niej bardzo dobry, ale jak długo? Cięża sprawiała, że Shirley czuła się zmęczona, apatyczna i nieświeża, trochę jak używana ścierka do naczyń. Odwalenie dniówki w pracy wyczerpywało jej wszystkie siły, nie starczało ich już na bycie piękną i kuszącą dla ojca jej nienarodzonego dziecka. Czy we wrześniu Declan rzuci ją dla jakiejś studentki medycyny w obcisłych dżinsach? Ich oczy spotkają się nad trupem w prosektorium i będzie to koniec małej Shirley Winters i jej wielkich marzeń o miłości. Przestań, zbesztala się w duchu.

— Jestem przygnębiona, bo męczą mnie te torsje — wyjaśniła swojemu staremu misiowi. — Declan mnie kocha. Na pewno mnie kocha.

Choć w pokoju było jasno, przymknęła oczy i mocniej otuliła się kołdrą. Dreszcze ustąpiły, po chwili zaczęła się odprężyć. Zapadła w drzemkę. Śniły jej się planety powiązane sznurkiem pakowym i tato, który wygrał na loterii i pięknym rzutem w dal raz na zawsze pozbył się swojego służbowego mopa.

Kate rozповідаła naokoło, że bierze ślub tego samego dnia co siostra, we wspólnej ceremonii, bo od dawna była szaleńczo zakochana w Kevinie McGovernie, tylko dopiero niedawno to sobie uświadomiła. (Nie odłoży przecież ślubu tylko po to, by odgrywać druhnę dziesięć lat młodszej siostry. Coś takiego było absolutnie wykluczone.)

Datę ustalono na 21 kwietnia. Do tego czasu poranne mdłości przestaną męczyć Shirley, a brzuszki będzie jeszcze mały. Pani Winters specjalnie wzięła wolny dzień, żeby kupić kapelusz, a w przerwie wpaść na lazanie do baru Maguire'a. Pan Winters poświęcał wiele czasu na dorabianie półek w szopie. Stopniowo odzyskał równowagę psychiczną i nawet się ucieszył,

że jego nieprzewidywalne córki złapały sobie takich przyzwoitych chłopców. W głębi ducha czuł ulgę, że wesele będzie wspólne. Dwa kosztowałyby fortunę, choć nie wypadało mówić takich rzeczy głośno. Greenwoodowie zobowiązali się zapłacić za jedzenie, podróż poślubną Declana i Shirley, a nawet lukrowany tort z owocami. Kevin także dokładał swoją część. Pozostały drobiazgi, w tym suknia dla Kate. Tata Winters był w siódmym niebie — do chwili, gdy się dowiedział, że córka życzy sobie wystąpić w kreacji renomowanego projektanta. Wtedy znów wpadł w depresję.

Kevin kupił Kate pierścionek zaręczynowy z kamieniem wielkości grejpfruta i dał jej swoją książeczkę czekową, żeby mogła dokonać niezbędnych udogodnień w ich przyszłym domu.

Panna Bingham długo szukała w przepisach kruczka, pozwalającego zwolnić z pracy niezamężną matkę. Nie do wiary, ale najwyraźniej nie było takiej możliwości. Co gorsza, Shirley przysługiwał ponadto płatny urlop macierzyński. Nikt z kadry kierowniczej nie przejął się skandalem. W czasie przerw na lunch rozmawiano wyłącznie o wakacjach za granicą i o tym, czy obciążyć hipotekę na chesne uczelni czy raczej zachęcić dzieci do podjęcia wieczorowej pracy. Panna Bingham nie miała własnej rodziny, toteż tego rodzaju dylematy w ogóle jej nie interesowały. Żadna z pań w biurze nawet nie zmrużyła oka, kiedy Shirley codziennie rano biegła do toalety. Ciężce stanowiły dla nich chleb powszedni — im więcej, tym weselej. Większość urzędniczek miała własne dzieci i otwarty światopogląd: wiedziały, że radość, jaką się czuje tuląc do serca noworodka, jest o wiele ważniejsza niż stan cywilny. Oczywiście to miłe, kiedy mąż jest obok, trzyma cię za rękę *et caetera*. Ale każda kobieta w gruncie rzeczy jest sama ze swoim bólem, radością i troską o dziecko.

Panie przeprowadziły w tajemnicy zbiórkę i kupiły Shirley prześliczny wózek dla malucha. Został ozdobiony gigantyczną kokardą i uroczyście wprowadzony do biura. Shirley wstała i kłaniała się, a wszyscy klaskali i składali życzenia. Patrząc na to, panna Bingham sama czuła mdłości.

Przyjaciele Declana naśmiewali się z niego, nazywając go jeleniem, który dał się złapać i zaciągnąć do ołtarza. Oni — twierdzili — nie są tacy głupi. Ale Declan zadziwił wszystkich deklaracją, że kocha Shirley i już nie może się doczekać dnia, kiedy będzie prawdziwym ojcem rodziny. Zastrzegł z góry, że nie ma mowy, by przychodzili do niego na piwo. Dziecko musi mieć spokój, a Shirley też nie byłaby zachwycona ciągłymi imprezami. Będą się spotykać co jakiś czas w pubie, o ile jego żona nie zgłosi obiekcji.

Odrzucił też pomysł wieczoru kawalerskiego w oddzielnej salce w klubie, z morzem alkoholi i striptizerkami. Shirley byłoby bardzo przykro, powiedział, a on nie jest bydlakiem, żeby zostawiać ciężarną kobietę i nurzać się w rozpuście. Chłopcy byli zdumieni tą pompatyczną przemową, ale Declan zbył ich śmiechem i oświadczył, że są okropnie staroświeccy. Pewnie dlatego wciąż gnuśnieją w kawalerskim stanie.

Podwójny ślub to rzecz rzadka, a nawet wyjątkowa. Prezentów więc także było bez liku. Codziennie dostarczano ręcznie malowane serwisy do herbaty, lustra w złożonych ramach i stalowe rondle, kryształowe kieliszki, porcelanowe bibeloty, malowane zegary, dywaniki z długimi ciężkimi frędzlami. Shirley cieszyła się jak dziecko; Kate miała zastrzeżenia do niektórych modeli, uważała, że są nieco pospolite. (Pani Winters ostrzegła ją, że jeśli wymieni prezent na coś innego, ściągnie na siebie pecha.) Nie zapomniano także o dziecku; większość ofiarodawców, nie chcąc peszyć Shirley, przesyłała gotówkę w kartach z życzeniami. Kate była zazdrosna. To ona miała stać się gwiazdą imprezy dzięki wystrzałowej sukni, ale jakież ciuch może się równać z nowym życiem? Obojętne, co mówiono i pisano o pracy zawodowej kobiet, rodzenie dzieci wciąż budziło największe zainteresowanie. To, że Kate zarządzała dobrze prosperującą firmą, było niczym w porównaniu z wielkim wózkiem i owacją w biurze. Nawet kucharki ze stołówki urzędu włączyły się do ogólnego świętowania. Upiekły dla Shirley wielki czekoladowy tort z lukrowanym napisem „Gratulacje” i kupiły dla dziecka pluszowego króliczka. Kate czuła się dotknięta tym, że jej mała siostra jest tak lubiana. Nawet rodzice wyraźnie ją teraz faworyzowali; po raz pierwszy w życiu pani Winters wyłączyła Shirley z udziału w pracach domowych.

Kate poskarżyła się Kevinowi, że została zepchnięta na drugi plan.

— Nie martw się — odparł. — Kiedy się pobierzemy, zmajstrujemy sobie całą gromadkę dzieci. Na każde ich jedno my będziemy mieć parkę.

Wtedy Kate zaczęły się śnić koszmary, w których pchała przez supermarket wózek pełen wrzeszczących dzieciaków wcierających sobie nawzajem czekoladę we włosy. Kevin nie mógł się już doczekać płodzenia potomków. Zastanawiała się, jak to zniesie. Kiedy podniecenie związane z wyścigiem do ołtarza opadło, wraz z nim straciła wszelką ochotę na seks. Dziwne, bo zwykle coś takiego dotykało mężczyzn, w każdym razie tak pisano w magazynach dla pań. Kate miała po dziurki w nosie artykułów typu „Jak pozostać atrakcyjną dla swojego partnera”. Potrzebna jej była rada, jak ostudzić jego erotyczne zapędy.

Rozważała myśl o odłożeniu ślubu, ale byłby to chyba zbyt drastyczny krok. W ostateczności jakoś wytrzyma regularne stosunki płciowe. Absolutnie jednak nie zamierza rodzić dzieci. (Uda bezpłodność, jeśli będzie do tego zmuszona.). Wolny czas przeznaczyła na odnowę domu. Zamówiła podwójne okna w stylu króla Jerzego oraz meble kuchenne z jasnego drewna z kutymi uchwytyami. Postanowiła na razie się nie przeprowadzać. W ten sposób uniknie kurzu i hałasu związanego z remontem, jak również natrętnych zapalów Kevina. Za to jeszcze przez trzy cenne miesiące będzie mogła się rozkoszować matczyną kuchnią.

Jak widać, Kate Winters nie była zbyt romantyczna.

21.

PORWANIE

Był pierwszy tydzień lutego; mieszkańcy Belfastu znosili bolesne smagnięcia zimowych wichrów i smutek pustych poświętecznych kieszeni. Okna i mury odarte ze świątecznych dekoracji wyglądały po prostu brzydko. Kolorowe lampki upchnięto w lamusach, żeby czekały do przyszłej zimy. Johnny także czuł się pozbawiony werwy i wyprany z kolorów, odkąd Marion oświadczyła mu, że kocha Eddy'ego Greenwooda — i to kocha prawdziwie, głębokim uczuciem, które sięga znacznie poza powierzchowność. Johnny dotąd żywił nieśmiałą nadzieję, że Marion postanowiła go tylko ukarać dwudziestoletnim małżeństwem z Eddym i kiedy uzna, że odpokutował grzechy, wróci do niego. Słyszając w jego ustach te słowa, Marion poczuła lęk. Czyżby Johnny był niezrównoważony psychicznie? Ostatecznie zanim odkopano z ruin kołyskę z niemowlęciem, minęło bite dwadzieścia godzin. Może ten czas spędzony w ciemności, w chłdzie, głodzie i opuszczeniu, wywołał u dziecka tak silny uraz, że jego charakter został okaleczony raz na zawsze? Czy dlatego zawsze Ignął do ludzi, gwaru, muzyki? Wystraszona Marion rozmawiała z nim łagodnie, trzymając go za rękę. Powtórzyła, że zawsze zachowa go w sercu jako drogiego przyjaciela, ale niech nie liczy na nic więcej.

Johnny może by i zrezygnował z podróży do Ameryki, ale co pomyśleliby o nim ludzie — zwłaszcza Marion i Eddy? Że jest dużym rozkapryszonym dzieckiem, ot co. Z ciężkim sercem postanowił wyjechać pod koniec kwietnia.

W dniu, w którym wreszcie zarezerwował sobie lot do Miami, jakiś turysta na Florydzie został zaatakowany przez krokodyla. Przeżył, ale założono mu na nodze dwieście szwów. Przez

cały dzień mówiły o tym wszystkie lokalne stacje. Wielu Ulsterczyków planowało spędzić urlop na karaibskim wybrzeżu i choć na co dzień żyli w ciągłym zagrożeniu politycznymi samosądami i bombami wybuchającymi bez ostrzeżenia w centrach miast, wszyscy wpadli w panikę na myśl, że w basenie mógłby się czaić zabłąkany krokodyl. Johnny uznał to za zły omen. Wsadził bilet do portfela w nadziei, że jednak go nie wykorzysta.

Codziennie wieczorem dyskoteka pękała w szwach. Ludzie pchali się drzwiami i oknami, chcąc jeszcze raz odwiedzić słynny przybytek, nim zamknie podwoje na zawsze. Jim Cygan i Alex „Obelisk” Stone, który wrócił na swoje miejsce pracy, wpadli w ciężką depresję. Była to najlepsza posada, na jaką w życiu trafili. Gdzie indziej będą się czuli tacy ważni? Gdzie mogliby sobie pozwolić na to, żeby stać tyłem do napierającego tłumu (oczywiście przed otwarciem drzwi)? Didżej Toni już rozglądał się za innym kontraktem, ale wątpił, czy znajdzie drugi taki z darmowym żarciem i koktajlami za pół ceny. Pograżony w smętnych myślach, machinalnie odczytywał dedykacje, z czego bez ograniczeń korzystały Louise Lowry i Kate Winters. Louise zadedykowała piosenkę „swojej przyjaciółce Kate, której hobby to robienie skarpet na drutach, śpiewanie psalmów i kolekcjonowanie [cudzych] łyżeczek.” Kate wzięła częściowy odwet poświęcając Louise piosenkę Smithsów: „Zeszłej nocy śniło mi się, że ktoś mnie kocha”. Louise za pośrednictwem Toniego poinformowała zebranych, że Kate Winters cierpi na agorafobię i uczęszcza na spotkania grupy terapeutycznej. Wszyscy bili Kate brawo i wyrażali poparcie, a Louise musiała dla własnego bezpieczeństwa zabarykadować się w damskiej toalecie. Po tym incydencie Johnny Hogan mocno zrugął Toniego, każąc mu zwracać baczniejszą uwagę na wybryki młodzieży, czym do reszty zwarzył mu humor. Przez dłuższy czas Toni siedział obrażony w swojej niszy i puszczał jedną smętną piosenkę o miłości za drugą.

Timothy Tate był zrozpaczony. Spędził dwie godziny na klęczkach modląc się o rozwiązanie palącego problemu, z którym nie mógł się uporać. Oto za pół godziny w drzwiach sali gimnastycznej stanie Eugene Lolly, żeby zabrać Timothy'ego na pierwszy od dwudziestu paru lat skok. Nie warto już nawet nigdzie dzwonić. Owszem, policja mogła tu przyjechać w ciągu dziesięciu minut, gotowa ująć przestępcę. Ale czy Timothy mógł liczyć na to, że mu uwierzą? Prędzej uwierzyliby Lolly'emu, który zawsze potrafił od ręki wymyślać przekonujące kłamstwa. „Napad, panie oficerze? Jaki znowu napad? Wpadłem odwiedzić starego kumpla, Tima. Niestety, obawiam się, że biedak traci kontakt z rzeczywistością...” Timothy nie miał dowodów na poparcie swojej wersji.

A kiedy odjadą, Eugene się na nim zemści. Postury był mizernej, to prawda, ale miał wybuchowy i bardzo wredny charakter. A może by po prostu czmychnąć do parku lub gdziekolwiek? Ukryć się do czasu, aż Eugene da za wygraną i znajdzie sobie innego pomagiera. Niewiele myśląc, Timothy nałożył palto i pogasił światła w głównej sali. Kiedy szukał klucza, usłyszał za sobą kroki i zobaczył Eugene'a z oczyma błyszczącymi z podniecenia.

— Pomyślałem, że przyjdę trochę wcześniej. I tak nie mam nic innego do roboty.

Drań, pomyślał Timothy. Przewidział, że spróbuję zwiać.

— Myślałem, że się rozmyśliłeś — rzekł ostrożnie. — Długo się nie odzywałeś.

— Rozmyślić się? Nie, skądże! Po prostu przestudiowanie planu sytuacyjnego zajęło mi trochę więcej czasu, niż zakładałem. Chodź, pogadamy po drodze. Mam samochód. Od wczoraj stoi zaparkowany w zaułku koło dyskoteki.

— Naprawdę masz zamiar obrabować dyskotekę? A potem co?

— Zamelinujemy się u ciebie i odczekamy parę dni.

— O nie, tylko nie u mnie. Mówiłem ci, że się nie zgadzam.

— Nie wpadnie im do głowy, żeby tam szukać. Minęło wiele lat, odkąd pracowaliśmy razem, a ciebie pewnie już w ogóle nie mają w kartotekach. Zresztą podczas akcji nikt nie zobaczy naszych twarzy. A potem zamówimy curry i parę piw i pooglądamy sobie telewizję. Jutro pójdziesz do pracy jak zwykle. Kiedy przestaną kontrolować terminale promowe, przeprowadzę się do Anglii, a stamtąd mogę płynąć, dokąd zechcę. Choćby na koniec świata.

— Nie sądzisz chyba, że Hogan będzie miał taką forszę przy sobie, co? Sprzedaż lokalu zajmie mu kilka tygodni, każdy nabywca będzie się najpierw starał o pozwolenie na wyburzenie tej rudery, zanim wyłoży kasę. A jeśli ma tam obciążoną hipotekę? Żaden bank nie da mu tylu pieniędzy ot tak, na żądanie i bez zadawania pytań.

— Jasne, że będzie miał gotówkę, całe wory. Nie słyszałeś, co robią, żeby wyłgać się od podatków? Zwłaszcza w branży rozrywkowej! Grzecznie wyłoży pieniążki, bo jak nie...

— Bo jak nie, to co? Weźmiesz zakładników w tancbudzie? Już tak nisko upadłeś, Eugene? Nie masz za grosz godności?

— Teraz ty mnie posłuchaj, Tate. Mam ciebie dość i taka jest prawda. Gdyby nie ty, siedziałbym teraz w Hiszpanii pozwalając żonie skakać wokół siebie na paluszkach. Zrobisz, co ci każę, albo ja zrobię to, co powinienem był zrobić dwadzieścia lat temu. Uciszę cię raz na zawsze!

Przeszli w milczeniu przez centrum miasta, mijając kina i sklepy z elegancką konfekcją. Potem skierowali się na południe. Timothy przyglądał się wiktoriańskim domom z czerwonej cegły, jakby był na wycieczce. Niektóre były ładnie utrzymane, z białymi firankami w wykuszowych oknach. Inne zaniedbane, na podwórkach pieniło się zielsko i zalegały śmieci — w tych mieszkali studenci. Minęli budynek uniwersytetu, wokół którego kręcili się młodzi ludzie z książkami w rękach, wszyscy jak jeden mąż ubrani w dżinsowe kurtki. Dalej ruszyli przez park, wśród rabat i strzyżonych krzewów o czerwonych gałązkach. Jakiś pies chleptał wodę z kałuży, która zebrała się w zagłębieniu ścieżki.

— A jeśli ktoś zasłabnie albo dostanie zawału? — podjął Timothy. — Pomyślałeś o tym?

— Weźmiemy forszę tak, jak to ustaliliśmy. Wszystko pójdzie dobrze. Potem się przyczaimy. A potem ja wsiądę na prom, a ty rób, co chcesz.

— A moje mieszkanie, moja praca? Przecież po tym wszystkim nie będę mógł tam wrócić. Ktoś mógłby mnie rozpoznać. To będzie koniec, więcej mnie nie zatrudnią.

— Zaczekaj, chcę coś sprawdzić. — Eugene szturchańcem wepchnął go do palmiarni. W głównej sali pięknego starego budynku było niewielu ludzi; spacerowali, dziwiąc się rozmiarom liści egzotycznych roślin. Po prawej stronie cieplarnia z ekspozycją kaktusów przyciągnęła trochę więcej zwiedzających. Eugene i Timothy poszli na lewo, gdzie w schludnych rzędach stały setki roślin w donicach.

— Dalej, do końca — komenderował Eugene. — Muszę coś stąd zabrać.

Timothy wszedł za nim za regały wystawowe, gdzie w niewielkiej wolnej przestrzeni zgromadzono puste doniczki. Ziemia była wilgotna i pokryta mchem. Nie widział tu żadnej torby ani paczki.

— Nic tu nie ma — powiedział.

Eugene tylko się uśmiechnął. Sięgnął za dużą donicę i wyjął długi nóż z fantazyjną rękojeścią. Obrócił go w dłoni; wąskie ostrze zaśniło złowieszczo.

— Tego właśnie szukałem. A teraz, bezmózgi ośle, będziesz robił, co ci każę, jeśli nie chcesz zapoznać się bliżej z tą zabaweczką.

— Eugene, proszę cię... — Timothy miał łzy w oczach.

Ale niższy mężczyzna złapał go za kłapy i wrzasnął mu prosto w twarz:

— Nie będę się powtarzał, Tate! Masz tylko stać na warcie i najwyżej parę razy przyłożyć Hoganowi. Czy proszę o wiele? Nie wytrzymam dłużej tego biadolenia! Idę zapalić, a ty w tym czasie weź się w garść! I ani słowa więcej! Jak już wysmarkasz nos, wyjdiesz

grzecznie i będziemy kontynuować plan. — Pchnął go mocno, Timothy zaplątał się w donice i legł jak długi na mokrym mchu. Nie krzyknął, ale twarz poczerwieniała mu z desperacji. Odwrócił głowę i spojrzał na zielone, subtelnie wykrojone liście roślin, doskonale piękne. Poczul radość estety, nawet w tej koszmarnej sytuacji.

Oddalające się kroki Eugene'a były ledwie słyszalne na porośniętej mchem ścieżce. Drzwi zamknęły się za nim z cichym skrzypnięciem. Timothy usiadł, przytknął twarz do chłodnej szyby; skroplona na niej para koila jego rozpaloną skórę. Okno drgnęło lekko i nagle uświadomił sobie, że szyba luźno tkwi w ramie. Głośno wciągnął powietrze i zanim jeszcze w jego udreńczonym mózgu wykrystalizował się plan działania, ostrożnie wyjął szybę i wyczołgał się na zewnątrz. Z trudem, ale jednak się zmieścił. Był wolny! Prędko sięgnął do środka i przysunął szybę. Pozostała szpara i ślady rąk, istniała wszakże szansa, iż w półmroku Eugene ich nie zauważy. Timothy wpełzł w gęstą kępę krzewów rosnących przy palmiarni i przywarł do podłoża. Nie mógł i nie chciał jeszcze raz przez to przechodzić. Wolałby do końca życia żyć w nędzy, niż iść na jeszcze jeden skok. Żeby znów drukowali w gazetach jego zdjęcia? Tego by nie zniósł, nawet dla starego kumpla. Czekał w zaroślach przez kilka długich minut, pocieszając się słowami ulubionego psalmu.

Jak należało się spodziewać, Eugene po chwili wrócił, trzęsąc się ze złości, że współnik nie zameldował się przy drzwiach. Timothy zobaczył, jak jego prześladowca zdumiony drapie się po głowie, rozgląda po pomieszczeniu, potem patrzy za okno, na spacerujących alejkami zwiedzających. Wściekły, kopnął w wystawę, strącając parę doniczek, które poczęstował jeszcze serią kopniaków. Timothy z uśmiechem zamknął oczy, dziękując Bogu za oblużowaną szybę i papierosowy nałóg Lolly'ego. Modlił się o pomoc i Bóg mu ją zesłał. Chwała niech będzie Panu! Po chwili Eugene wypadł z palmiarni i pobiegł w stronę dyskoteki. Będzie musiał przeprowadzić operację samodzielnie.

Timothy miał ochotę zostać w parku na zawsze w charakterze rzeźby ogrodowej, ale wiedział, że to niemożliwe. Powoli wpełzł ze swej kryjówki i ruszył w przeciwnym kierunku. Wśliznął się do budki telefonicznej przy muzeum. Gdy poprosił centralę o numer dyskoteki Hogana przy ulicy Magnoliowej, nagle ogarnął go spokój. Wykręcił numer i oznajmił dziewczynie, która odebrała telefon, że chce mówić z panem Hoganem.

— To pilne — dodał. — Proszę się pospieszyć. Po chwili w słuchawce rozległ się męski głos:

— Słucham, tu James Hogan. O co chodzi?

— Nie mogę podać swojego nazwiska. Idzie tam do was pewien człowiek. W złych zamiarach.

— Kto? Co chce zrobić?

— Dokonać napadu rabunkowego.

— Co takiego?

— Nic więcej nie wiem. Do widzenia.

— Halo, proszę poczekać! Kto mówi?

Ale w słuchawce panowała już cisza. James odłożył ją i zbiegł na dół, gdzie Eileen piła kawę w barze. Sala została dziś wynajęta na zabawę z okazji dwudziestych pierwszych urodzin i personel przygotowywał się do imprezy.

— Szybko, zamknijcie wszystkie drzwi! — krzyknął. — Trzeba przeszukać magazyny. Dostałem wiadomość, że ma tu być napad. Niech ktoś zaraz zadzwoni po policję. Trzymajcie się razem, niech nikt nie włączy się samotnie. Eileen, ty jedziesz ze mną.

— Co się stało, James? Rozum postradałeś? — protestowała.

Ale James już trzymał ją za łokieć i łagodnie, lecz stanowczo, prowadził w stronę drzwi. Niech to licho, myślał. Jak na złość Johnny musiał akurat wyjść!

— Zabieram cię do domu, kochanie, a tą sprawą zajmie się policja. Pamiętasz, co było ostatnim razem?

— Nie możemy zostawić pracowników samych. To jeszcze dzieci, na miłość boską. A jeśli wpadną w panikę? Musimy z nimi zostać do przybycia policji. — Eileen kurczowo uczepliła się klamki.

— Czy chociaż raz w życiu mnie posłuchasz? Nie masz już dwudziestu lat. W twoim wieku silny stres może być śmiertelny!

— Co rozumiesz przez „mój wiek”? Nic mi nie będzie. Powinniśmy zostać i pomóc tym młodym ludziom. Jesteśmy za nich odpowiedzialni!

— Boże, nie znam bardziej nieznośnej kobiety! Czekał, jedźcie Marion Greenwood. — James wyskoczył na jezdnię machając rękami. — Stop! Marion, stój!

Marion gwałtownie wcisnęła hamulec.

— Panie Hogan, życie panu niemiłe?

— Posłuchaj, Marion, zrób coś dla mnie, błagam! Weź tę moją wariatkę do siebie do domu i przytrzymaj ją przez jakiś czas. Mieliśmy telefon, że będzie tu napad.

— Napad? Znowu? Nie wierzę!

— Niestety, to prawda. Ja osobiście podejrzewam głupi dowcip, ale policja już tu jedzie, a ja wolałbym zaoszczędzić Eileen emocji. Tak na wszelki wypadek. Proszę, zrobisz to dla mnie? Będę ci dozgonnie wdzięczny.

— Naturalnie, to żaden problem. Zapraszam, pani Hogan. Wstąpię tylko do sklepu, żeby uprzedzić sprzedawczynię, że nie będzie mnie przez jakiś czas, a potem pojedziemy do mnie na herbatkę. Niech mężczyźni się tym zajmą. Dobrze?

Eileen naburmuszona wsiadła do samochodu i skrzyżowała ramiona na piersi. Spojrzała złośliwie na Jamesa.

— A ty, staruszkę? Nie powinieneś dotrzymać towarzystwa biednym bezbronnym kobietom? Bronić nas, gdy będziemy drzeć w kąciku?

— Zaczekam tu, żeby wpuścić policjantów. Nie bój się, nie zamierzam zgrywać bohatera. No, jedźcie już. — Delikatnie zamknął drzwi za Eileen i lekko klepnął w dach samochodu. Błyszcząca elegancka limuzyna zniknęła za rogiem. James westchnął z ulgą, wrócił do środka i sprawdził, czy wszystkie drzwi są zamknięte na klucz. Pracownicy przeszukali budynek i zameldowali, że jest czysty. Ktoś wreszcie dodzwonił się do Johnny'ego. Dwa radiowozy były już w drodze, podobnie karetka — na wszelki wypadek. Wszyscy usiedli, czekając na rozwój wypadków.

Eugene widział to wszystko z trafiki na rogu, gdzie stał, wyglądając zza rozłożonej gazety. Kobieta w mercedesie wydała mu się znajoma. Po chwili sobie przypomniał. Kiedy widział ją poprzednim razem, była dziewczyną Hogana.

— Kupuje pan tę gazetę czy nie? — spytała ostro sprzedawczyni, wysoka, postawna blondyna o dłoniach jak bochny.

Eugene zamknął czasopismo i odłożył je na półkę.

— Nie, dziękuję. Właśnie sobie przypomniałem, że muszę jeszcze gdzieś wpaść.

Wyszedł ze sklepu i kątem oka widząc, że w ulicę skręca już pierwszy radiowóz, ruszył w przeciwną stronę. Schował się w bramie klubu robotniczego, zastanawiając się, czy zdoła bezpiecznie dotrzeć do samochodu.

To ten tchórz Timothy, myślał ze złością. Najpierw zwiął gdzie pieprz rośnie, a potem wsypał mnie przed Hoganem. A podobno byliśmy współnikami!

Będzie musiał wymyślić coś innego. Nie wróci do brudnego, nędznego schroniska, do długich pustych dni i jeszcze dłuższych pustych nocy. Teraz musi iść naprzód, nie może się już cofnąć. Cóż, obrabuje jakąś inną firmę, chociaż to miał być jego koronny skok. Czuł mdłości na

myśl, że klan Hoganów znów go przechytrył. I że ten tani playboy przez dwadzieścia lat nie kiwnął palcem, podczas gdy pracujący mieszkańcy Belfastu sami znosili mu ciężko zarobione pieniądze do tej skleconej z pustaków hali przypominającej targ bydłocy.

W tejże chwili dostrzegł mercedesa przyjaciółki Hogana zaparkowanego przed butikiem z sukniami ślubnymi. W środku siedziała samotnie Eileen Hogan. Eugene dostrzegł swoją szansę. Porwanie! Weźmie staruszkę jako zakładnika i w ten sposób wydostanie forszę od jej wnuka. Skoczył do samochodu, zobaczył, że drzwi nie są zablokowane, wsiadł więc z tyłu, wyciągając z kieszeni nóż.

— A cóż to znów, u licha! — zawołała oburzona Eileen.

— Nawet nie drgnij, paniusiu, bo posiekam cię na plasterki — syknął Eugene. — Mam tu nóż i przysięgam, nie zawaham się go użyć. — Poczuł, jak ożywia go gwałtowny zastrzyk adrenaliny. Ach, dobrze znów być w branży!

— Och, na litość boską, mam się przestraszyć, czy jak? Wariat z mokrą głową. Nie jest pan czasem za stary na autostop? Bierz pan ten cholerny samochód i spływaj! — Eileen pociągnęła za klamkę, ale nie znając mercedesów nie była pewna, w którą stronę się otwiera. W tej samej chwili Marion wybiegła ze sklepu i pospiesznie wsiadła za kierownicę.

— Jedziemy. Zaraz będziesz w domu, Eileen... — zaczęła z ożywieniem, ale słowa zamarły jej na wargach, gdy zobaczyła paskudnie wyostrzony nóż o parę cali od swojej szyi. — To ty... Eugene Lolly... — Twarz Marion przybrała kredowobiałą barwę.

— Zgadza się. Jedź — rozkazał.

— Dokąd? — wyszeptała.

— Jeszcze nie wiem. No, ruszaj!

— Nie słuchaj go, Marion — wtrąciła starsza pani. — To jakiś idiota. Nic nam nie zrobi.

— Powiedziałem, jedź! — wrzasnął Lolly

— Nie ma mowy, ty nędzny płazie! — Eileen obróciła się, żeby zgromić porywacza miażdżącym spojrzeniem. Gdyby miała dość siły, złapałaby drania i skręciła mu kark jak kurczakowi. Na to jednak, niestety, była o pięćdziesiąt lat za stara. Dyskretnie wykonała kilka dźgających ruchów łokciem, żeby poinstruować Marion, jak ma unieruchomić porywacza ciosem w krtań. Ale Marion potrząsnęła głową.

— Jedźże, do cholery! Ja naprawdę nie mam nic do stracenia; zarżnę was obie, przysięgam!

Marion uruchomiła silnik, samochód zjechał z krawężnika i ruszył ulicą w ślimaczym tempie. Odrętwiała kobieta prowadziła w milczeniu, jak w transie.

— Och, Marion! — odezwała się z żalem staruszka. — Nie powinnaś się bać tego pajaca. Nawet kiedy miał spluwę i goryla, też był z niego gówniany gangster. Czy on sobie myśli, że zdoła nas sterroryzować nożem kuchennym?

Ale Marion była śmiertelnie przerażona. Nóż Landryny wcale nie kojarzył jej się z kuchnią.

Tymczasem w dyskotecie James i Johnny gratulowali sobie sprawnie przeprowadzonej akcji. Policjanci orzekli, że telefon najwyraźniej miał na celu wystraszenie właściciela lokalu, bardzo jednak chwalili zachowanie obecnych w sytuacji zagrożenia. Personel nie poddał się panice i wykazał umiejętność sprawnego zespołowego działania. Johnny i James pojechali więc błękitnym lincolnem Johnny'ego na Derryvolgie Avenue, żeby zabrać Eileen. Okazało się jednak, że Eileen tam nie ma. Marion również nie widziano w domu od śniadania. James trochę się zdenerwował, ale Johnny uznał, że obie panie siedzą gdzieś w kawiarni. Minęła godzina, potem druga — bez echa... Trzeba było powiadomić Eddy'ego. Przyjechał natychmiast, nie zdjawszy nawet piekarskiego fartucha, ze smugą mąki na twarzy. Obdzwonili każdego, kto przyszedł im na myśl. Znajomych Marion, znajomych Eileen, nawet szpitale — Eileen mogła przecież zasłać. Sprzedawczyni w butiku widziała Marion przelotnie w ciągu dnia. Wkrótce zaczęła im świtać smutna prawda: Eileen Hogan została porwana, a wraz z nią Marion przypadkowo wmieszana w tę sprawę. James rozpaczał, Johnny'ego nękały wyrzuty sumienia, a Eddy był wściekły. Najchętniej zatłukłby Johnny'ego na miejscu, ale powstrzymała go obecność zapłakanych córek. Nigdy dotąd nie widziały go w złości. Tak samo jak on martwiły się o matkę, musiał być dla nich podporą.

Policja zaczęła organizować grupę poszukiwawczą i konferencję prasową. Johnny im pomagał. Przyjęcie odwołano; kazał pracownikom rozejść się do domów, lecz jeszcze długo snuli się po kątach, szepcząc między sobą. James trzymał straż w biurze. Patrząc posepnie w ścianę, czekał na telefon z żądaniem okupu.

POSEPNE DNI

— Gdybym tu był — powiedział po raz setny Johnny — może zdołałbym temu zapobiec. O Marion i Eileen wciąż nie było wieści. Porywacze dotąd się nie odezwali.

— Nie możesz się winić, Johnny. Nikt nie jest w stanie być wszędzie. — James przełknął łyk brandy. Od porwania żony nie jadł ani nie spał, brandy poszła mu więc wprost do głowy. Zamrugał i odstawił kieliszek. Nie mógł wystąpić pijany przed kamerą.

— Trudno mi w to uwierzyć — powtarzał Johnny. — Kto porywa dziewięćdziesięcioletnie staruszki? I biedna Marion, jak ona to wytrzyma? Ostatnim razem zemdląca. Kiedy się dowiem, kto to, zabiję go gołymi rękami, przysięgam.

— Zaraz będą filmować apel o pomoc. Dasz sobie radę?

— Tak.

W tejże chwili do biura wszedł Eddy Greenwood. Spojrzał dawnemu rywalowi prosto w oczy i jego serce stężało w bryłę lodu. Johnny nie miał prawa wciągać Marion w swoje ciemne sprawy. Kiedy to wszystko się skończy, policzy się z nim raz na zawsze.

— Dzwonili do was? — spytał. — Bo u mnie na razie cisza.

— Eddy, tak mi przykro! — James podszedł do niego i uściśnął mu rękę. — Straszne jest to czekanie. Co za okropna sprawa!

— „Okropna” nie jest tu właściwym słowem — rzekł sucho Eddy, patrząc na Johnny'ego. Nienawidził go w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek. Ten facet przez całe swoje życie sprawiał kłopoty. Jakiego rodzaju człowiek zrezygnowałby z życia rodzinnego tylko po to, żeby puszczać płyty w betonowej hali? Wiedząc, że branża rozrywkowa jak miód przyciąga kryminalistów! Ciekawe, w co tym razem się wplątał?

— Napijesz się herbaty? — spytał Johnny siląc się na uprzejmość. Wiedział, że Eddy go nie znosi, ale nie mógł dociec dlaczego. Fakt, zabrał mu Marion, kiedy byli młodzi. Mężczyźni nie zapominają takich rzeczy. Ale przecież to Eddy w końcu się z nią ożenił. Spłodził z nią czworo dzieci, na litość boską! O co jeszcze ma pretensje? Przecież to nie wina Johnny'ego, że kobiety zostały porwane! (Niestety, jakaś nieracjonalna część mózgu podpowiadała mu, że właśnie on jest winien.)

— Nie. Przyszedłem tylko na nagranie. Dzieci na mnie czekają. — Eddy chciał jak najszybciej wrócić do domu i usiąść przy telefonie. Poza tym wylał dziś sporo łez, a ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął, było publiczne rozplakanie się przed kamerami. Że też właśnie wtedy, gdy Marion była tak szczęśliwa, snuła plany związane ze ślubem Declana, ich nowym domem i dzieckiem, znów została wciągnięta w żywy koszmar w wykonaniu upiornej rodziny Hoganów.

— Chodźmy. Też chcę to już mieć poza sobą — zarządził James.

W milczeniu zeszli na dół i usiedli rzędem za długim stołem. Ustawiono jupitery. Johnny przemówił do kamery ze swadą wytrawnego spikera. Podał rysopis Eileen, a potem Marion. Nie zauważył, że w oku Eddy'ego błysnął gniew, kiedy określił Marion jako bardzo atrakcyjną kobietę. Kiedy skończył mówić, otarł oczy wierzchem dłoni i westchnął, zgodnie z otrzymanym zaleceniem.

— Niech się panowie nie krępują okazywać uczucia — uprzedził ich sierżant policji. — Przekonaliśmy się, że to pomaga. Widzowie pilniej wysilają pamięć, kiedy widzą, jak bardzo wstrząśnięte są rodziny ofiar. Proszę mówić własnymi słowami. Pomożemy, jeśli któryś z panów się zatnie.

James był zanadto podenerwowany, by wystąpić. Potrząsnął tylko głową i kiwnął na Eddy'ego. Eddy wyrównał kłapy marynarki i spojrzał w kamerę czekając na znak. Potem cicho i z tkliwością mówił o swojej pięknej żonie i o tym, jak bardzo tęsknił za nią zrozpaczone dzieci.

Na koniec znów zabrał głos Johnny.

— Proszę was, proszę! — rzekł z naciskiem. — Jeśli ktokolwiek wie cokolwiek o zniknięciu mojej babci albo o tym, gdzie jest teraz, błagam, żeby zadzwonił do nas albo na policję. Eileen jest wyjątkową kobietą i wiem, że trzyma się dzielnie, ale ma ponad osiemdziesiąt lat i bardzo chcemy, żeby do nas wróciła. Babciu, jeśli mnie słyszysz: kochamy cię i bardzo za tobą tęsknimy. — Podniósł do kamery zdjęcie Eileen i otarł kolejną łzę. — Powiem jeszcze, że wyznaczyłem sześciocyfrową nagrodę za informację, która doprowadzi do odnalezienia porwanych. — Policja miała co do tego pomysłu mieszane uczucia, ale Johnny się uparł.

Eddy też pokazał zdjęcie, które niedawno zrobił Marion w Mayo. Wiatr rozwiewał jej włosy, unosząc je wokół twarzy. W białym prochowcu, ze słonecznymi okularami zsuniętymi na czubek głowy wyglądała jak Marilyn Monroe. Jeden z detektywów odczytał numer telefonu i poprosił słuchaczy o przyłączenie się do poszukiwań.

Już mieli kończyć zdjęcia, kiedy James powiedział:

— Błagam, pozwólcie mojej żonie wrócić do domu. I pani Greenwood także. Kocham cię, Eileen, jesteś dla mnie ważniejsza niż cały świat. Niedługo cię znajdziemy, przyrzekam.

— Świetnie — rzekł kamerzysta. — Zdażymy to jeszcze puścić w wiadomościach o dziesiątej.

James Hogan był w domu. Siedział w swoim gabinecie, wpatrzony w telefon, i czekał. Zwykle siedząc przy biurku pracował nad książką. Szło mu całkiem dobrze, była prawie skończona. A ostatnio pojawił się drugi zainteresowany nią wydawca. Ledwie dwa dni wcześniej zadzwonił do niego z Londynu agent literacki z wieścią, że przy minimalnym wysiłku licytacja osiągnie zawrotny pułap. Książka jest bardzo nowatorska, stwierdził. Rękopis leżał w zamkniętej na klucz szufladzie, ale kiedy James teraz o nim myślał, czerwienił się ze wstydu. Jakże żalosne wydawały mu się własne słowa w obecnej sytuacji. James Hogan, który zawsze uważał się za człowieka mądrego i każdemu mógł służyć dobrą radą musiał sam przed sobą przyznać, że nie jest wszechwiedzący. Czuł, że tak się to skończy, od lat przestrzegał Johnny'ego, że przestępcy ciągną do branży rozrywkowej jak muchy do miodu. A mimo to nie potrafił zapobiec nieszczęściu. Potarł oczy. Johnny trzymał wartę w dyskotecie na wypadek, gdyby porywacze zadzwonili właśnie tam, ale James miał przeczucie, że to z nim się skontaktują, i słusznie. Ostry dzwonek sprawił, że podskoczył na krześle, a ziewnięcie zamarło mu w gardle. Pochwytał słuchawkę.

— Tu James Hogan.

— Witam, panie Hogan. Rozumiem, że wie pan, w jakiej sprawie dzwonię?

— Jak się czuje moja żona? Nie zrobiliście jej żadnej krzywdy. — James z trudem formułował słowa. Czaszkę przeszył mu ból. Potarł delikatnie głowę i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

— Staruszka jest cała i zdrowa. A ja nie mam czasu na pogawędki.

— Czego pan chce?

— Pieniędzy oczywiście. Na inne zachcianki nie starcza mi wyobraźni. — Eugene odczytał żądanie i usłyszał stłumione jęknięcie Jamesa na drugim końcu przewodu. — Ma pan dwa dni. Wtedy znów się z panem skontaktuję.

— Proszę mi pozwolić porozmawiać z żoną!

— Szkoda czasu.

— Błagam!...

— I żadnych sztuczek. — Połączenie zakończył stuk odkładanej słuchawki.

*

Eugene Lolly wysłuchał nadawanych o dziesiątej wiadomości radiowych z uczuciem, że oto wkroczył na nową drogę życia. Z uśmiechem wyłączył radio.

— Słyszaliście panie? — odezwał się. — Jesteśmy sławni!

— Pewnie już nas szukają — powiedziała Eileen. — Niedługo trafisz pan z powrotem za kratki i wspomnisz moje słowa!

Marion milczała. W ogóle niewiele się odzywała przez całą podróż. Strach i niedobre wspomnienia całkowicie zaprzętały jej umysł, toteż nie próbowała nawet podtrzymywać tej błahej wymiany zdań. Gdyby nie napad Lolly'ego na dyskotekę w 1967 roku, zapewne nie zdobyłaby się na odwagę, żeby opuścić Johnny'ego i wyjść za Eddy'ego. Czyżby historia miała się powtórzyć i znów odmienić jej życie? Czy tym razem Lolly sprowadzi na nią nieszczęście? Kilka godzin temu przekroczyli granicę i teraz znajdowali się w hrabstwie Donegal, wchodzącym w skład Republiki Irlandii. Samochód stał zaparkowany na wysadzonej drzewami alei biegnącej wzdłuż morza. Przez okno wpadał rześki wiatr. Było ciemno, szarpane wiatrem gałęzie krzewów ocierały się o drzwi samochodu. Marion miała straszną ochotę skulić się gdzieś, gdzie jest sucho i ciepło, i po prostu zasnąć. Nigdy nie tęskniła za Eddym bardziej niż w tej chwili. Eileen przeciwnie, była w bojowym nastroju.

— Chyba nie masz nadziei, że ci się uda, co? Teraz jest już nagroda za twoje ujęcie, ty... złoczyńco! — Eileen ze złością wypluła ostatnie słowo, miażdżąc Lolly'ego potępiającym wzrokiem.

— Nic nie szkodzi — odparł z niezmaconym spokojem. Eileen Hogan była stara jak świat i nie stanowiła dla niego zagrożenia. A Marion Greenwood też nie wyglądała na bohaterkę. Ta akcja okazała się tak łatwa, że aż wstyd. — Cieszę się, że was tak kochają. To znaczy, że jesteście warte duuużo pieniędzy.

— To, że chodzi o pieniądze, sama wiem! — syknęła Eileen.

— Powiedz mi pan coś nowego!

— Zawsze chodzi o pieniądze. Tylko one się liczą w ostatecznym rozrachunku, prawda? — rzekł filozoficznie Eugene Lolly.

— Dają wolność.

— Powinieneś się pan wstydzić. Porywać dwie bezbronne kobiety!

— Wstyd to luksus, na który mnie nie stać, pani Hogan.

— Silny, zdrowy mężczyzna ma wiele możliwości. A panu nic nie dolega... może poza brzydotą.

— Jaki cięty języczek, no, no! Sprawa wygląda tak: szanowna pani jest zakładniczką. Wróci pani do domu, gdy zamożna rodzinka zapłaci pewną sumę pieniędzy. Ot i wszystko. Proste, prawda?

— Ile?

— Jeszcze nie wiem. Z pół miliona...

— Chyba rozum ci odjęło, młody człowieku. Nie mamy tylu pieniędzy. Owszem, parcela jest sporo warta, o ile mi wiadomo. Możesz więc dostać działkę budowlaną, nic poza tym. A ja się ciebie nie boję. Jesteś nędznym tchórzem. — Eileen splotła ramiona i wyzywająco zadarła nos.

— Co za buta! To u was typowe. Zapłacą, zapłacą, bez obaw. Nikt nie wystawi mnie do wiatru... a przynajmniej nie dwa razy.

— Idioto! I ty nazywasz siebie kidnaperelem? Człowiek, który sam się postrzelił? Boże, zmiłuj się! Zostałam porwana przez durnia i niezdare! Matko Boska, co za wstyd!

— Tak, tak, niech się pani modli.

— To był zbędny cynizm, panie Lolly.

— Nie cynizm, tylko tęsknota do ciepłych krajów.

— I na cóż one panu? Ciepły klimat przyciąga jadowite pająki i węże. Oraz lwy i tygrysy zżerające ludzi hurtem! Nie słyszał pan o tym biedaku, który dwie godziny po zejściu z samolotu na Florydzie dostał się prosto w paszczę krokodyla?

— Cicho! — sarknął Eugene. — Myślę.

— Dobry Boże! On myśli! Panie, miej nas w opiece!

— Powiedziałem, żeby przestała pani gadać! I dość już tych religijnych uniesień. Ja nie wierzę w Boga i jestem z tego dumny.

— Zmienisz zdanie, kiedy będziesz w moim wieku. Będziesz wdzięczny Bogu za drobne rzeczy. Świeże powietrze, kwiaty...

— Niechże pani zamilknie! — zdenerwował się Lolly.

— Tak — uparcie ciągnęła Eileen. — Będiesz pan dziękował Bogu za każdy dzień przeżyty we względnym zdrowiu.

— Zawsze byłem zdania, że kobiety stanowczo za dużo mówią — warknął Lolly

— Eileen, proszę! — szepnęła Marion i w samochodzie zapanowała cisza.

Luksusowy mercedes czekał cierpliwie, aż jego pasażerowie skończą rozmyślenia o istnieniu Boga, wszechświecie w ogóle, a płynności finansowej Hoganów w szczególności. Potem Eugene kazał Marion ruszyć i poprowadził ją w kierunku samotnej farmy, na którą zwrócił uwagę przed laty. Starannie odmalowany budynek był za ładny, by należeć do tubylca; najpewniej przyjeżdżali tu na wakacje jacyś burżuje z miasta. O tej porze roku powinien stać pusty.

— Ciekawe, czy trafimy tam po ciemku. — Eileen była głodna i przez to rozdrażniona. — Może byś pan wreszcie nas nakarmił?

— W okolicy jest sporo domków letniskowych. Włamiemy się do któregoś i wygodnie przyczaimy. Zaczekamy, aż przyjdzie czas zadzwonić do lodziarza.

— Kogo?

— Johnny'ego Hogana w słynnym białym kubraku. Tylko ostrzegam: kiedy będziecie iść z samochodu do budynku, niech no jedna wykona jakiś nerwowy ruch, a nie zawaham się użyć tego. — Machnął nożem, lecz Eileen tylko prychnęła z pogardą:

— Lepiej byś trzymał język za zębami, chłopcze, bo jeszcze niechący go sobie utniesz. Nie boję się ciebie ani twojego głupiego noża. Niby gdzie miałybyśmy iść po nocy? W taką pogodę groziłaby nam śmierć z zimna. Albo z nudów.

23.

LANDRYNA W MALINACH

Eugene Lolly był bliski obłądu. Eileen Hogan doprowadzała go do szału. Jeszcze kilka dni w jej towarzystwie groziło mu odesłaniem do psychiatryka. Stara wiedźma miała stanowczo za dużo energii jak na swoje lata i wykorzystywała każdą jej krzytykę, żeby go dręczyć. Możliwe, że doskwierał mu niedobór witamin, ale gotów był przysiąc, że babcia prowadzi z nim wyrafinowaną wojnę psychologiczną. Bez przerwy zadawała idiotyczne pytania tym swoim piskliwym głosikiem i przeszkadzała mu snuć plany luksusowej starości w jakimś miłym kurorcie w Ameryce Południowej. Musiał je obie w końcu zamknąć na klucz w sypialni, żeby mieć trochę spokoju. Wtedy zaś Eileen zażądała butelkowanej wody pitnej oraz gaśnicy — na wypadek gdyby instalacja elektryczna okazała się wadliwa. Uskarżała się na wszystko,

raz było jej za gorąco, raz za zimno, a raz znów za sucho. Miał na przemian to zmniejszać, to podkreślać ogrzewanie i znosić im dodatkowe koce.

Kiedy w porze posiłków wpuszczał je do kuchni, tam też nie dawała mu spokoju. Miał ochotę trzymać je cały czas pod kluczem, ale nie cierpiał gotować. To robota dla kobiet. A Eileen Hogan świetnie przyrządzała wołowinę. Chyba tylko dlatego jeszcze jej nie zadźgał, a bardzo go korciło, kiedy patrzył, jak wciąż się modli z zamkniętymi oczyma, bezgłośnie poruszając ustami. Ten widok był hipnotyczny i bardzo irytujący. Jakiegokolwiek napomknienia o religii wprawiały Lolly'ego we wściekłość. Nie wierzył w Boga, a jakiegokolwiek zorganizowany kult uważał za marnotrawstwo czasu i środków. Zresztą Marion Greenwood wcale nie była lepsza. Ta z kolei wciąż wzdychała do męża i zmywając naczynia mamrotała bez ustanku: „Eddy, kochany Eddy!” Ilekroć zaś obok niej przechodził, podskakiwała ze strachu, jakby oczekiwała, że ją zje. Pomiędzy rozdygotaną Marion i rozmodloną Eileen Lolly zaczął dochodzić do wniosku, że mógłby spędzić resztę życia w wyłącznie męskim środowisku i wcale nie byłoby mu żal.

Poza tym wykańczał go brak snu. Był pewien, że natychmiast zbudzi go każdy podejrzanym dźwięk, jeśli kobiety spróbują wydostać się z sypialni, ale siłą rzeczy drzemki, na które sobie pozwalał, były krótkie, lekkie i urywane. Kidnaping to zajęcie dla dwóch osób: kiedy jedna śpi, druga czuwa. Gdyby był tu ten idiota Tate, mógłby go zastąpić pozwalając mu na uczciwy wypoczynek. Eugene upodobał sobie przestronny salon. Chętnie by się w nim zamknął na jakiś czas, udając, że ten śliczny bungalow należy do niego. Doprawdy niesprawiedliwy jest świat, w którym niektórzy mają dość pieniędzy na taki dom. Położony w pięknym miejscu nad morzem, odgradzony od głównej drogi wysokim żywopłotem, z zapasem białego wina w lodówce i zamrażarką pełną najlepszej jakości steków i filetów z ryb. I to tylko na urlopy, jak wywnioskował zajrzawszy do szaf ubraniowych: ziały pustką. Znalazł w nich tylko parę swetrów i turystyczne obuwie. Aż szkoda mu będzie stąd wyjeżdżać, choć z drugiej strony jak zbawienia pragnął chwili, gdy nareszcie uwolni się od Eileen Hogan i jej szeptanych modlitw. (Tu zdał sobie sprawę, że użył w myślach teologicznego porównania i znów wpadł w złość.)

Pomacał się po kieszeni. Klucze były na miejscu. Jakże miło ze strony właścicieli, że trzymali zapasowy komplet w szopie! Pod doniczką, doprawdy śmiechu warte! Niektórzy ludzie wprost się proszą, żeby ich okraść. Albo jak w tym wypadku, wykorzystać ich dom dla swoich celów. Sprawdził, czy drzwi sypialni, w której umieścił zakładniczkę, na pewno są

dobrze zamknięte. A potem zwałił się na sofę, ułożył nogi wyżej i przygotował się do godzinnej drzemki.

Tymczasem Eileen zaparzyła w dwóch kubkach ekspresową herbatę, dodała do każdej trochę mleka w proszku i trzy kostki cukru. (Zdażyła już zorganizować schludną minikuchnię na szafce nocnej.) Podała kubek Marion, która w milczeniu siedziała na łóżku marząc o tym, że wyratuje je jakiś przypadkowy przechodzień. Rozwodziły wybite szyby, ale po namyśle odstąpiły od tego zamiaru. Przede wszystkim słysząc brzęk, Lolly natychmiast przybiegłby sprawdzić, co się dzieje, i tym razem na pewno by je związał. Może nawet zakleiłby im usta taśmą, co musiało być bardzo nieprzyjemne. Po drugie, obie były pewne, że potrójną szybę dość trudno będzie stłuc.

— Nie martw się, Marion — powiedziała Eileen. — Wydostaniemy się stąd jeszcze dziś przed wieczorem, obiecuję ci to. Ale musisz wziąć się w garść. Będzie mi potrzebna twoja pomoc. — Eileen miała nadzieję, że kiedy uciekną, Marion będzie w stanie dojechać do Belfastu. Bez samochodu nie miały większych szans.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Eileen była stara, lecz jej mózg działał bez zarzutu. Prędko zauważyła, że Eugene Lolly jest kłębkiem nerwów i brakuje mu snu. Wykorzystała to dla swoich celów. Utrzymywała go w ciągłym napięciu doprowadzając do kompletnego wyczerpania. Dzisiaj już ledwie trzymał się na nogach i Eileen uznała, że pora wziąć dalszy bieg wydarzeń we własne ręce. Na początek zażyczyła sobie, żeby podkręcić centralne ogrzewanie jak tylko się da. Niewielu ludzi potrafi zachować czujność w przegrzonym pomieszczeniu, toteż oczy Eugene'a wkrótce zaczęły się zamykać. Da mu jeszcze dziesięć minut, a potem zacznie łomotać w drzwi sypialni i krzyczeć.

Eugene Lolly był idiotą. Tylko kompletny idiota mógł pomyśleć, że Johnny będzie w stanie zgromadzić pół miliona w gotówce przez dwa dni. Ci domorośli kryminaliści nie mieli o niczym pojęcia. Brali za dobrą monetę to, co zobaczyli w filmach. Zgromadzenie takiej sumy w aktywach trwało lata. A spieniężenie ich mogło zająć parę miesięcy. Wielkie kwoty wiążą się z potężną biurokracją.

Podobał jej się ten dom z wielkimi oknami i oślepiająco białymi ścianami. Obita lnem sofa, skórzany fotel i mnóstwo obrazów na ścianach składały się na całe wyposażenie salonu. Wielkie abstrakcyjne widoki morza, malowane akwarelą zamaszystymi pociągnięciami pędzla, rozpoczynające się u dołu nasyconą morską zielenią i blednące niemal do bieli u góry. Wnętrza były schludne, przestronne — i takie jasne, kiedy świeciło słońce! Dla Eileen była to cudowna

odmiana po mrocznym świetle dyskoteki. Zastanawiała się, czy Johnny zamknął lokal. Lolly nie pozwolił jej włączyć telewizora ani radia. Co za czort z tego kurdupła! Wielka szkoda, że od 1953 roku już nie wieszka się skazańców, pomyślała Eileen z goryczą. Wzięła kolejny herbatnik z puszki, nasłuchując odgłosów z sąsiedniego pokoju. Za drzwiami panowała cisza.

— Jesteś gotowa, Marion? Do dzieła. Rób to, co ci mówiłam, a wkrótce będziemy w domu. Bądź dzielna. Cała akcja nie zajmie więcej jak pięć minut.

— Jesteś pewna, Eileen? Trochę się boję.

— Wszystko pójdzie jak z płatka, masz na to moje słowo. Ten drań się niczego nie spodziewa. Połóż się teraz, zamknij oczy i spróbuj wyglądać na chorą.

Marion wykonała polecenie. Nie miała kłopotów z odegraniem swojej roli; była bliska utraty przytomności.

— No to już — szepnęła. — Jeśli nie zrobię tego teraz, to już nigdy. — Pomyślała o swoim ślicznym domu w Belfaście i jak bardzo chciałaby do niego wrócić. Zamknęła oczy i skinęła głową.

Eileen włożyła sweter, nabrała powietrza w płuca i z dzikim wrzaskiem załomotała w drzwi.

Eugene Lolly właśnie zapadł w drzemkę. Chrapał z szeroko otwartymi ustami. Na podbródku miał parodniowy zarost, oczy przekrwione od nadmiaru wina wypitego wczoraj wieczorem. Na czole perlił mu się pot; w pokoju było za gorąco. Mgliście dotarł do niego hałas dobiegający z głębi domu. Kiedy Eileen w końcu zaczęła walić w drzwi butem, zwałókł się z sofy i poczłapał korytarzem.

— Na pomoc! Na pomoc! Pani Greenwood zemdlą! Pomocy!

Eugene przekręcił klucz w zamku i wpadł do środka. Marion leżała bezwładnie na łóżku z zamkniętymi oczyma. Podbiegł do niej i zaczął delikatnie klepać ją po twarzy. Eileen stanęła za nim, z radością spostrzegając, że Lolly nie ma przy sobie noża i nie będzie musiała uciekać się do planu „B” polegającego na walnięciu go w łeb czajnikiem.

— To pewnie śpiączka po szoku! — krzyknęła. — Biedaczka ma kompletnie stargane nerwy. No toś się doigrał! Jeśli umrze, skazą cię za morderstwo!

— Zamknij się! Daj jej wody.

— Nie ma wody! — Eileen przewidująco opróżniła wcześniej butelkę do zlewu.

— Weź z łazienki!

— Wykluczone. Nie nadaje się do picia.

— No to idź do kuchni, głupia babo! — ryknął rozjuszony Lolly.

— Nie wrzeszcz na mnie! Idę po wodę, a ty spróbuj ją ocucić. Boże, ona chyba nie oddycha!

Eileen wybiegła do salonu, gdzie znalazła nóż na podłodze obok sofy. Kiedy Wróciła do sypialni, Eugene sapiąc próbował podnieść Marion do pozycji siedzącej. Stała za nim i przyłożyła mu nóż do karku.

— Nie próbuj nawet drgnąć, szczurze.

Lolly skrzywił się i drgnął, chcąc się odwrócić, lecz staruszka złapała go za włosy i pociągnęła mu nożem po szyi zostawiając czerwony ślad. Jęknął.

— To tylko powierzchowna rana. Pospiesz się, Marion. Młodsza kobieta żwawo zeskoczyła z łóżka.

— Zabierz mu klucze — komenderowała Eileen przyciskając nóż mocniej do zarośniętego karku porywacza.

Marion sięgnęła do kieszeni Lolly'ego i namacała chłodną stal kluczy. Zacisnęła je w garści.

— Mam!

— No to zabierajmy się stąd. Nie próbuj nas zatrzymać, Lolly, bo przysięgam, że poderżnę ci gardło. I nawet mnie za to nie wsadzą. Działałam w samoobronie, mam świadka.

— Eileen, chodź! — ponagliła ją Marion od drzwi.

Starsza pani jak strzała wypadła na korytarz. Marion zatrzasnęła za nią drzwi, przekreśliła klucz i wyjęła go z zamka.

Pobiegły do wyjścia. Marion drżącymi rękami odnalazła właściwy klucz i po chwili znalazły się na zewnątrz. Lolly przypiął kluczyki mercedesa do domowych. Głupiec, pomyślała Eileen i zaśmiała się głośno.

— Mówiłam ci, że ten idiota nie ma mózgu!

Wsiadając do samochodu, pomachała Lolly'emu uwięzionemu w sypialni swojego wymarzonego domu. Łomotał wściekle w okno, krew sączyła mu się za kołnierz, plamiąc marynarkę. Marion wykonała na podjeździe modelowy nawrót i z piskiem opon wyjechała na główną drogę, przez cały czas wstrzymując oddech.

Eileen śmiała się głośno i klaskała w dłonie. Co za pomyslny obrót wydarzeń! Ta nędzna kreatura, Eugene Lolly, zamknięty na klucz w domu o potrójnych oknach. Niechże sobie teraz płaszczy nos o szyby jak ryba w akwarium. Nie wydostanie się tak łatwo. Eileen przesunęła

niecio lusterko kierowcy i zaczęła się rozglądać za drogowskazami do Belfastu. Droga zajmie im co najmniej dwie, trzy godziny. Powinny zadzwonić do domu, lecz nie miały pieniędzy; Lolly zabrał im torebki. Poza tym bały się zatrzymywać — co będzie, jeśli samochód nie zechce znów zapalić? W telewizyjnych filmach kryminalnych zdarzało się to raz po raz. A tymczasem porywacz gotów je dogonić. Jechały więc dalej bez przestanku i zgubiwszy się po drodze tylko dwa razy, o siódmej wieczorem zaparkowały przed domem Eileen przy Eglantine Avenue.

Marion kilkakrotnie nacisnęła klakson.

— Dziękuję ci, kochana. Byłaś bardzo dzielna! — oznajmiła Eileen rzucając jej się na szyję.

— Udało się — wyjąkała Marion. — Naprawdę się udało.

Za firanką ukazała się kochana twarz Jamesa. Eileen pomachała i posłała mu całusa. Chwilę później drzwi otworzyły się gwałtownie i zdumiony James runął przed dom, na przemian śmiejąc się i płacząc.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu! — powtarzał. — Serduszko, to naprawdę ty?

— To ja — odparła z dumą Eileen. — Wróciłam.

— Och, Eileen, kochana! Nie zdołaliśmy zebrać całej sumy, a bank odmówił nam większej pożyczki. Odchodziłem od zmysłów ze zmartwienia. Gdzie byliście? Czy to oni was odwieźli?

— Same uciekłyśmy. Porwał nas ten kretyn, Eugene Lolly.

— Ten, który postrzelił się kiedyś w dyskotece?

— Właśnie.

— Eugene Lolly? Sam?

— Tak. Wszawy gnojek! Wykończyłam go psychicznie, a kiedy zasnął, dałyśmy nogę.

— Jak??

— Nie był dość ostrożny. Trzeba to będzie opowiedzieć policji, usłyszysz wtedy wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Odebrałyśmy mu klucze i zamknęłyśmy go w sypialni. Proszę, puść mi wodę do wanny! Nie cierpię tych nowomodnych pryszniców; jak można znieść takie ciśnienie? A, i poproś Johnny'ego, żeby kupił po drodze gotowane kurczę. Od porwania jadałam wyłącznie wołowinę i mam jej serdeczne dość.

Marion pomachała im na pożegnanie i pojechała do siebie, na Derryvolgie Avenue. Nie mogła się doczekać spotkania z rodziną. Panie przyrzekły sobie wcześniej, że dadzą sobie

trochę czasu na powitania, nim zadzwonią na policję. To na wypadek, gdyby od razu kazano im złożyć zeznania. Pozostawała jeszcze drobna kwestia zranienia Lolly'ego jego własną bronią. Zaczynało się to przeradzać w rodzinną tradycję.

James i Eileen ściskali się w holu.

— Eileen, moja ty bohaterko!

— To naprawdę nie było nic trudnego. Ten karaluch ma mózg mniejszy od orzeszka.

— Mogłaś dostać ataku serca!

— Oj, nie zrzedź. W czasie wojny straciliśmy jedyne go syna. Skoro przeżyłam tamto, przeżyję wszystko. Zadzwoń zaraz do Johnny'ego i powiedz mu, żeby nie zawracał sobie głowy okupem. I niech nie zapomni o kurczaku. A potem zadzwoń na posterunek policji w Donegalu i powiedz im, że Eugene Lolly najprawdopodobniej wciąż jest zamknięty w dużym różowym domu letniskowym około jednej mili na południe od tawerny U Przemysłowców. Dookoła jest wysoki żywopłot i dwa kamienne orły przy bramie. Aha, dom chyba należy do artysty, bo pełno w nim wielkich malowideł.

— Trudno mi w to wszystko uwierzyć. Wybacz, ale nagle zrobiło mi się słabo. — James opadł na sofę. Eileen usiadła obok, objęła go ramionami i przegadali następne pół godziny.

Potem, w czasie gdy Eileen relaksowała się w wannie, James usiadł przy telefonie i gorączka medialna zaczęła się od nowa. W domu przy Eglantine Avenue zaroilo się od policjantów, dziennikarzy, przyjaciół, krewnych i sąsiadów. Eileen z dużą swobodą udzielała wywiadów, opowiadając coraz to od nowa historię swej brawurowej ucieczki. Johnny, bardzo z niej dumny, pozował z nią do zdjęć na sofie. W końcu około jedenastej James wyprosił wszystkich za drzwi, żeby Eileen wreszcie mogła odpocząć. Kilka sekund później spała już jak zabita. James położył się obok i trzymał ją za rękę ze łzami w oczach.

O północy, gdy Johnny zamykał drzwi na klucz, zadzwonił telefon. Patrol policji wysłany do domu nad morzem powrócił z niczym. Przy gruntownym przeszukaniu znaleziono tylko kilka pustych butelek po winie i stos wołowych kości. Policja prosiła, żeby rodzina Hoganów zachowała najwyższą ostrożność przez kilka dni, zanim Lolly nie zostanie ujęty. Johnny przekazał to Jamesowi, lecz obaj wzdregali się budzić Eileen tylko po to, aby jej oznajmić, że porywacz wciąż jest na wolności. Postanowili zatem iść spać, a dalsze decyzje podjąć jutro.

CHWILA PRAWDY

Tajemnicze zniknięcie Eugene'a Lolly'ego nie zdołało przyćmić szampańskiego nastroju, jaki zapanował po brawurowej ucieczce Eileen i Marion. Rodzina Hoganów i rodzina Greenwoodów chcąc nie chcąc musiały się spotykać na rozmaitych konferencjach prasowych i przyjęciach. Marion zdawała sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, kiedy Johnny spotka się z Declanem i zobaczy w jego przystojnej twarzy własne odbicie. Teraz, gdy jej syn raptownie dojrzewał i z młodzieńca przeistaczał się w mężczyznę, podobieństwo nasilało się z dnia na dzień. Odkąd zaś ufarbował włosy, było jeszcze bardziej widoczne. Marion błagała go, żeby wrócił do naturalnego jasnego koloru, ale Declan odparł, że w kręgach muzycznych, w których się obraca, moda nakazuje być brunetem.

Z okazji szczęśliwego odzyskania babki Johnny Hogan zorganizował dla krewnych i znajomych huczny bankiet w pobliskim hotelu. Greenwoodowie zostali zaproszeni wraz z Shirley. Oczywiście Eddy stwierdził, że nie pójdzie. Odłożył na razie projekt uśmiercenia Johnny'ego, ale nie miał ochoty więcej go oglądać. Jawną odmową uraziliby jednak Eileen Hogan, zdecydowali więc w końcu, że pójdą i wyjdą zaraz po posiłku. Marion wciąż czuła się bardzo rozstrojona emocjonalnie, przy lada okazji wybuchała płaczem. Zamknęła nawet na pewien czas swój butik. Rano wylegiwała się w łóżku, potem w wannie, a popołudniami oglądała czarno-białe filmy w telewizji. Zaproszenie zakłóciło jej wypoczynek, lecz nie było sposobu, by się od niego wykręcić.

Kiedy nadszedł dzień przyjęcia, Eddy musiał się pokrzepić podwójną whisky, nim wsiadł z Marion do samochodu. Pocieszała go mówiąc, że Johnny zaprosił około stu pięćdziesięciu osób, na pewno więc będą mogli dyskretnie usiąść gdzieś przy drzwiach. Eddy tylko pokręcił głową i westchnął. Wiedział, że Johnny natychmiast wyłuska Marion z tłumu. Gwiazdor Hogan nigdy nie robił czegoś tylko po to, żeby sprawić przyjemność innym ludziom, jeśli nie widział w tym korzyści dla siebie. Tym razem postanowił wykorzystać porwanie, żeby znów uwieść Marion tuż pod nosem jej męża. To samo zrobił dawniej, gdy zatrudnił ją w dyskotecie i bez przerwy z nią flirtował. W dniu, w którym Marion oświadczyła, że kocha Johnny'ego Hogana, Eddy był zrozpaczony, lecz bynajmniej nie zaskoczony.

Dzieci nie wiedziały, że Marion i Johnny kiedyś byli razem. W ich obecności nie mógł więc wyartykułować swych podejrzeń i ostrzec żony, by w hotelu trzymała się blisko niego i miała na baczności przed złotoustym Johnnym. Zbeształ się w duchu za panikarstwo: tym razem on miał mocniejsze karty. Dwadzieścia lat wspólnego życia, dzieci i dom naprzeciw młodszyńczego zauroczenia próżnym pozerem, który dziś mając piąty krzyżyk na karku wciąż używał lakieru do włosów. Jeśli tak na to spojrzeć, czy doprawdy miał się czym niepokoić?

Kiedy Marion zaparkowała mercedesa przed hotelem, foyer już było pełne ludzi. Średnia wieku znacznie przekraczała pięćdziesiątkę, czego naocznym dowodem było wiele lasek. Panny Greenwood jęknęły chórem i odmówiły opuszczenia samochodu. Nie znosiły takich napauszonych spędów, na których staruszkowie bez końca wspominają stare dobre czasy. Ta ostatnia próba spełzła jednak na niczym — matka bezlitośnie wepchnęła je do holu. Chciała to już mieć za sobą i zająć się tym, co absorbowало ją znacznie bardziej: ślubem Declana. Miał przyjechać własnym samochodem, choć Marion starała się go zniechęcić. Słyszając to, jego trzy siostry zapalały oburzeniem. Skoro one muszą iść na to nudne przyjęcie, to dlaczego Declan nie?

— Declan wkrótce się żeni — wyjaśniła im matka. — Może chce spędzić dzień ze swoją narzeczoną. Niech nacieszy się spokojem, póki dziecko nie przyjdzie na świat.

Tak więc Eddy, Marion i ich córki stali zbici w grupkę obok gigantycznego kosza z kwiatami w hotelowym holu i czekali na zaproszenie do sali bankietowej. Panowała atmosfera radosnego podniecenia. Z ożywieniem witano dawno nie widzianych znajomych i wzajemnie fundowano sobie drinki.

— Chyba pójdę po napoje, chociaż w barze już jest kolejka. Na co macie ochotę? — Eddy namacał portfel w kieszeni i zaczął się przepychać w stronę baru mówiąc po drodze: „Dzień dobry”, „Tak, już jest lepiej”, „Tak, to był straszny wstrząs” i „Dziękuję, przekażę jej pańskie życzenia”.

Wtedy właśnie pojawił się Gwiazdor — podstarzały James Dean z papierosem w ręce i podniesionym kołnierzem marynarki.

— O, jest Johnny — powiedział ktoś. Eddy się obejrzał. Zobaczył, jak Johnny przepatruje oczyma tłum i macha do Marion. Uniosła rękę na powitanie. Johnny z wdziękiem zaczął się ku niej zbliżać witając się to z tym, to z tamtym, ściskając dłonie. W końcu ucałował Marion i jej córki w oba policzki i stanął obok nich, jakby byli rodziną. Eddy zagryzł wargi. Gorączkowo pomachał dziesięciofuntowym banknotem do pierwszego barmana z brzegu, w

nadziei że przyciągnie jego uwagę. Wszyscy jednak byli zajęci obsługiwaniem innych klientów.

Johnny głęboko zaciągnął się papierosem. Policzki miał blade i wpadnięte od niedawnych zmartwień, ale włosy wciąż irytująco czarne. Eddy modlił się gorąco od wielu lat, żeby Johnny Hogan wyłysiał. Odmawiał w tej intencji całe dziesiątki różańca. Johnny mógłby być kastratem, nawet to niczego by nie zmieniło, dopóki na głowie nosił tę gęstą lśniąca fale. Zbudował na niej cały swój image. Włosy były jego najlepszą cechą. Eddy podejrzewał go o potajemne wizyty w amerykańskich laboratoriach, gdzie pielęgnowano mu czuprynę przy użyciu najnowszych osiągnięć biotechnologii. Obserwując kątem oka swoją żonę ujrzał, że Marion głaszcze Johnny'ego po ramieniu i uśmiecha się do niego. Zaczęli rozmawiać. Johnny nachylił się bardzo blisko, pewnie udawał, drań, że chce ją lepiej słyszeć. Znudzone dziewczynki wymknęły się do toalety. Kiedy Eddy wreszcie zwrócił uwagę barmana, prędko zamówił dwie małe whisky i trzy cole i powiedział chłopakowi, żeby zatrzymał resztę. Prawie pobiegł z powrotem, żeby wyrwać żonę ze szponów uwodziciela, ale Marion natychmiast odesłała go z powrotem po drinka dla Johnny'ego i dwa ciemne piwa dla jego dziadków, którzy właśnie nadeszli. Eddy miał ochotę krzyczeć. Miną wieki, nim porter ustoi się w szklankach. Tymczasem kolejka do baru wydłużyła się trzykrotnie. Spędzi w niej co najmniej pół godziny. Trząśnięcie z bezsilnej furii.

Zanim wreszcie podano mu napoje na małej srebrnej tacy, goście już zajmowali miejsca przy stolikach. Nigdy nie przestawało go zadziwiać, jak szybko potrafią poruszać się ludzie, gdy w grę wchodzi darmowe jedło. W ciągu paru sekund tłum przemieścił się z holu do sali bankietowej i już organizował się w ośmioosobowe grupy. Przez moment Eddy poczuł do nich nienawiść. Potem jednak spostrzegł, że są szczęśliwi. Cieszyli się, że dane im było spotkać się przy tak miłej okazji. W epoce telewizji ludzie przestali się wzajemnie odwiedzać i tylko podczas uroczystych gali mogli posłuchać nowin i uaktualnić znajomości. Dlatego sam pracował w gastronomii. Lubił patrzeć na zadowolonych, przyjemnie spędzających czas ludzi. No, może z wyjątkiem Johnny'ego Hogana.

Zatrzymał się w progu, szukając wzrokiem w tłumie platynowych loków Marion. Ku swemu rozgoryczeniu ujrzał, że Johnny Hogan odsuwa dla niej krzesło przy swoim stoliku. James i Eileen mieli dość zmieszane miny. (Widać Pan Bóg nie poskąpił im poczucia przyzwoitości!) Johnny natomiast czuł się całkiem swobodnie. Zdjął marynarkę, częstował papierosami, kłaniał się krewnym i znajomym przy pobliskich stolikach. Zanim Eddy zdołał się

do nich przedrzeć, wszystkie miejsca wokół były już zajęte. Stał jak głupek na środku sali, walcząc z chęcią, by cisnąć tacę z drinkami i zakląć w głos. Po chwili spostrzegł Emily machającą do niego od stolika w samym końcu sali. Ruszył pospiesznie do córek, dziękując losowi, że w ogóle ma gdzie usiąść. Posłał Eve do stolika Hoganów z tacą i wiadomością dla Marion, że zarezerwowali dla niej miejsce. Ale oczywiście Marion była już tak zagadana, że reszta świata przestała dla niej istnieć. Eileen, trzymając ją za ramię, opowiadała o przesłuchaniu na policji, gdzie dostała burę za użycie noża. (James wpadł w furję, kiedy się dowiedział, że zaryzykowała bezpośrednie starcie z bandytą, posługując się do tego niebezpiecznym narzędziem.) Tymczasem miejsca, które Eddy trzymał dla Marion, Declana i Shirley, zostały zajęte i musiał się kontentować towarzystwem córek.

Johnny naturalnie musiał wygłosić mowę, a potem oklaskiwano go przez pięć minut. Eileen kilkakrotnie podnosiła rękę, żeby uciszyć tłum, lecz bez rezultatu. Oklaskom nie było końca, ktoś nawet zaczął śpiewać „Sto lat”. Zdawało się, że minęły wieki, nim wreszcie harmider dobiegł końca i można było podawać obiad. Johnny w pozie rzymskiego cesarza skinął na naczelną kelnerkę, ta zaś pogoniła młodsze, które pospiesznie wtoczyły na salę wózek zastawiony wazami z dwoma rodzajami zup. Teraz jednak goście musieli grzecznie czekać, aż sędziwy ksiądz odmówi modlitwę dziękczynną. Kierowniczką sali wzniosła oczy ku niebu i nerwowo pomacała wazy, czy aby zbyt nie ostygły. W pomieszczeniu zapadła nabożna cisza. Eddy'emu zbierało się na płacz ze zniecierpliwienia, kiedy starzec pokaszując, drżącym głosem intonował rozwlekłe bardzo długą i staroświecką modlitwę. Większości gości jednak najwyraźniej bardzo się podobała; w skupieniu kiwali głowami na znak uznania dla sędziwego kapłana. Gdy nareszcie skończył, kelnerki ruszyły prawie biegiem. Przy stolikach podawano sobie gorące wazy, ludzie sięgali po chrupiące pieczywo i opakowane w folię kosteczki masła. Podniósł się szmer pogodnych rozmów, toteż Eddy przyoblekł twarz w uśmiech słuchając, jak córki plotkują o jakiejś szkolnej koleżance. Wysączył resztę whisky i zamówił następną. Ktoś go spytał, jak się czuje Marion. Czy była u lekarza po pastylki na uspokojenie? (Najwyraźniej mieszkankom takich miast jak Belfast rozdawano je bez ograniczeń.) Eddy potrząsnął głową. Dzięki Bogu Marion nie potrzebowała psychotropów. Rozmówcy pokiwali głowami i zastygli w oczekiwaniu, że rozwinie temat. Ale Eddy był zły i nie miał ochoty na pogawędki, zajęli się więc sobą i rozmowa zesłała na inny temat. Informacje o niedawno operowanej przepuklinie przeplatały się z opisem okazjnie nabytej zabytkowej maselniczki. (Eloise nie zdołała stłumić chichotu.) Eddy był zadowolony, że porwanie przestaje być tematem dnia, aczkolwiek wciąż

jeszcze o nim mówiono. Wiedział, że aż do śmierci będzie go prześladować wspomnienie tych koszmarnych dni wypełnionych ciągłym lękiem o Marion.

Wkrótce z kuchni doleciał aromat dopiekających się indyków i po półgodzinie ciężkiej pracy kelnerek każdy miał przed sobą sutą porcję mięsiwa. Eddy stracił jednak apetyt. Podziękował za deser i przeniósł się z kieliszkiem do sali klubowej, gdzie usiadł przed płonącym kominkiem posepny niczym chmura gradowa. Chciał sprawdzić, ile czasu zajmie Marion zorientowanie się, że go nie ma. Minuty pełzły powoli.

Dziewczęta zapowiedziały, że po herbacie pożegnają się z Eileen Hogan i zadzwonią po Declana, żeby odwiózł je do domu. Dzięki Bogu Declan i Shirley nie przyszli na przyjęcie. Declan rzadko bywał w dyskotecie Hogana i jak dotąd Johnny nie miał okazji z nim rozmawiać. Ale podczas rodzinnej uroczystości w biały dzień ryzyko było znacznie wyższe. Eddy rozważał przeprowadzkę, lecz za wiele trzymało ich w Belfaście. Dwie dobrze prosperujące firmy, piękny dom, za który w Londynie musieliby zapłacić ponad milion funtów. Dziewczęta świetnie radziły sobie w szkole. Westchnął.

Sześćdziesiąt minut później Marion wyszła z sali bankietowej i ujrzała swego męża zgarbionego w fotelu, wpatzonego w tańczące płomienie.

— A, tu jesteś — powiedziała. — Wybacz, kochanie, ale kiedy Eileen zacznie mówić, nie sposób jej przerwać. Po prostu nie mogłam się wymknąć. Ta cała awantura dosłownie ujęła jej lat. Zniosła to znacznie lepiej ode mnie. Doprawdy zazdroścę jej odwagi.

— To nieważne. Możemy już wracać do domu?

— Och, Eddy. Gniewasz się na mnie? Myślałam, że będzie ci przyjemnie w towarzystwie dziewcząt.

— Niczego takiego nie myślałaś. Byłaś zbyt zajęta pocieszaniem Johnny'ego. To ja omal nie oszalałem z rozpaczy. Ale musiałem panować nad uczuciami ze względu na dzieci. Pocieszać je. Jak zawsze. Wciąż ci na nim zależy, prawda?

— Co takiego?

— Widziałem, jak do niego ćwierkasz. Nadal go kochasz.

— To nieprawda! Nie mów bzdur. Chyba za dużo wypiełeś.

— Jadę do domu. — Eddy wstał i potknął się o marmurową płytę przed kominkiem. Zazdrość uderzyła mu do głowy znacznie silniej niż alkohol.

— Nie bądź głupi, Eddy. Chodź, przywitaj się z Eileen, napij kawy i przestań się zachowywać jak rozpuszczony nastolatek. Mnie też to nie bawi, ale bankiet już dobiega końca.

— Nie mogę zapobiec temu, że przy Hoganie robisz z siebie idiotkę. Ale za pozwoleniem, wolałbym na to nie patrzeć. Przepraszam, widzę na zewnątrz taksówkę.

— Eddy, proszę, zostań! Nie piłam, wrócimy razem.

— Powiadam ci, że jeśli teraz tam wejdziesz, zabiję go z zimną krwią. Nie pozwolę tak się lekceważyć. Jestem twoim mężem, a ten gnojek traktuje mnie jak służącego. Coś ty w ogóle w nim widziała, kobieto?

Marion położyła mu rękę na ramieniu i rozmasowała kark. Eddy uwielbiał, kiedy to robiła, zwłaszcza gdy był zmęczony po długim dniu pracy w restauracji. Ale dziś ten pieśczośliwy gest nie wystarczył, żeby go udobruchać.

— Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle cię znam, Marion. — Strącił jej dłoń i wypadł z hotelu nie oglądając się.

Siedzący w pobliżu ludzie widzieli ten incydent i Marion było strasznie wstyd. Pobiegnęła do toalety i rozplakała się zamknięta w kabinie. Wiedziała, że powinna była posłuchać Eddy'ego i w ogóle nie iść na ten bankiet. Bóg świadkiem, że miała idealną wymówkę — mogła była powiedzieć, że nie doszła jeszcze do siebie po szoku, co było częściowo prawdą. Tylko że Eileen pewnie by się obraziła. A gdyby nie bystrość Eileen, pewnie dotąd siedziałyby zamknięte w różowym domku letniskowym z szaleńcem osuszającym hojnie zaopatrzone barek i coraz bardziej nerwowym w miarę czekania na okup. Jak gdyby Johnny mógł od ręki zapłacić podobną sumę. Nawet kochany Eddy nie zdołałby zgromadzić gotówki tak szybko. A policja i tak nie pozwoliłaby im zapłacić, żeby nie dawać złego przykładu...

Tak trudno jest wszystkim zadowolić! Czasem zastanawiała się, skąd bierze siły na wszystko: wychowanie czworga dzieci, prowadzenie butików i dźwiganie tajemnicy ojcostwa Declana. W pewnej chwili podczas porwania już miała ochotę zwierzyć się Eileen, ale coś ją powstrzymało. Powiedziała sobie, że nie może dokładać staruszce kolejnego strapienia. A zaraz potem Eileen zaskoczyła ją brawurową akcją, wyprowadziła porywacza w pole i umożliwiła im ucieczkę. Marion nigdy w życiu nie wpadłaby na taki pomysł. Była niezaradna. Potrzebny jej opiekun. Ktoś taki jak Eddy. Przecież go kocha. To dobry i mądry człowiek. Tylko dzisiaj coś go ugryzło...

Była skłonna przyznać mu rację. Johnny Hogan był samolubny, próżny i miał obsesję na punkcie swojej dyskoteki. Ubierał się jak dziwak, a zachowywał istotnie jak rozkapryszony gwiazdor. I rzeczywiście traktował Eddy'ego z góry. Miał na podorędziu dobre słowo i uśmiech dla każdego spotkanego na ulicy przechodnia, ale kiedy spotkanym przechodniem był Eddy,

Johnny ledwie raczył go zauważyć. A teraz Marion znalazła się w pułapce jako gość honorowy przy jego stole. Kiedy tak źle się czuje! Nerwy ma przecież w strzępach. Dłużej tego nie zniesie. Weźmie żakiet i torebkę, pożegna się i wróci prosto do domu. Dzięki Bogu, że nie piła. Marzyła już o chwili, gdy przekręci kluczyk w stacyjce mercedesa.

Gdy wróciła do stołu, Johnny zauważył, że płakała. Otarł jej oczy serwetką i lekko uściśnął jej ramię. Bąknęła, że Eddy pojechał do domu, dokucza mu migrena. James rzucił Johnny'emu znaczące spojrzenie i lekko pokręcił głową. „Stąpasz po kruchym lodzie”, zdawał się mówić jego wzrok. Ale Johnny udał, że tego nie widzi. Żaden zwyczaj nie zabrania rozmowy z byłą flama na przyjęciu. Grupa młodszych gości podeszła się pożegnać i podziękować za pyszny obiad. Większość starszych przeniosła się do baru, gdzie zabawa dopiero się rozkręcała. Kto wie, czy spotkają się znów w tym samym gronie? James i Eileen postanowili wrócić do domu i odpocząć. Emily, Eve i Eloise wyszły do holu, gdzie miały czekać na Declana. Johnny i Marion pozostali w opustoszałej sali bankietowej. Gawędzili przez kilka minut. Marion chciała być pewna, że Declan w tym czasie zdąży zabrać dziewczęta i odjechać. Potem także zaczęła się żegnać.

— Czuję się jeszcze trochę słabo, Johnny. Było cudownie, ale teraz pora wrócić do siebie.

— Może chciałabyś się przejść na spacer? Zaczepnąć trochę świeżego powietrza?

— Nie, dziękuję. Nic mi nie będzie. Pójdę już...

Wstali. Johnny podał jej żakiet. Rozdał wszystkim kelnerkom po dziesięć funtów wraz z zapewnieniem, że są urocze i jest nimi oczarowany. Marion po raz kolejny zastanowiła się, dlaczego Johnny nie użył swego wdzięku, by zdobyć żonę. Może rzeczywiście czerpał pewną przyjemność z utrzymywania męskiej połowy Belfastu w stanie permanentnego stresu (Eddy wysnuł kiedyś taką teorię.) Kiedy szła z Johnnym przez hol, ktoś zawołał:

— Mamo!

Obejrzel się i zobaczyli Declana w towarzystwie Emily i Eve. Jego czarna czupryna była lustrzanym odbiciem fryzury Johnny'ego. Johnny milczał, ale na jego twarzy pojawił się wyraz zastanowienia. Ciszę dało się kroić nożem. Marion czuła, że serce omal nie wyskoczy jej z piersi.

— Eloise poszła przypudrować nos — wyjaśnił Declan.

— Nie widziałam cię — wychrypiała Marion. — Tato już pojechał.

Johnny na pewno się nie zorientował, pocieszała się w duchu. Przecież widywał Declana wcześniej, w dyskotecie. Ale kiedy zerknęła na Johnny'ego, zobaczyła, że ma zaciśnięte usta i potwornie napiętą twarz.

— Dokąd pojechał? — zdziwił się Declan.

— Do domu — odparła, walcząc z suchością w ustach.

— Bez ciebie? — Declanowi nie mieściło się to w głowie.

— Głowa go rozbolała. Ja nie piłam, więc właściwie mogłam odwieźć dziewczęta. Szkoda, że cię fatygowały.

— Nie ma problemu. Też już jedziesz?

— Tak. Mam samochód na parkingu.

— Proszę przekazać dziadkom wyrazy uszanowania, panie Hogan — rzekł uprzejmie Declan.

Do grupy dołączyła Eloise i młodzi wyszli razem, śmiejąc się i żartując.

Johnny obrócił się do Marion. Na twarzy wypisane miał pytanie. Nie mogła wydobyć głosu, w gardle jej zaschło do reszty. Stanęli w drzwiach, machając odjeżdżającym dzieciom.

— On jest moim synem, prawda? — spytał cicho Johnny.

— Tak — odparła.

Była zaskoczona. Nie spodziewała się zobaczyć jego łez. Johnny także nie sądził, by po dramacie porwania Eileen pozostały mu jeszcze jakiegokolwiek rezerwy emocjonalne. A jednak. Chwiejnym krokiem wyszedł z hotelu na parking i stanął zakrywając rękami twarz. Łzy ciekły mu po policzkach, kapały na ozdobiony srebrnymi skuwkami kołnierz. Marion ujęła go za obie ręce powtarzając: „Przepraszam”. Wolnym krokiem ruszyli w głąb ogrodu i po chwili znaleźli ławkę w cieniu wielkiego dębu. Johnny płakał, palił i znów płakał. Czasem ramiona trzęsły mu się od łkań, a po chwili znów tylko ciche łzy spływały po twarzy uniesionej ku niebu.

— Dlaczego? — spytał. — Na miłość boską, dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Nie mogłam. Byłam śmiertelnie przerażona, niezdolna zebrać myśli.

— Ale dlaczego? Wiedziałaś, że postąpiłbym jak należy.

— Wcale tego nie wiedziałam. Nie zamierzałaś się żenić. Nigdy nawet słowem nie wspomniałaś o zaręczynach. Ani razu przez pięć lat!

— Ożeniłbym się z tobą. Ożeniłbym się, Marion.

— Nie mogłam ryzykować. Gdyby wieść się rozeszła, byłabym skończona. Żaden mężczyzna nigdy by się ze mną nie ożenił. A ja bałam się zostać sama.

— Miałem prawo wiedzieć.

— Chciałam ci powiedzieć. To było w dniu napadu.

— Dranie! Wychodzi na to, że wszystko byłoby dobrze, gdyby nie Lolly i Tate!

— Może. A może nie. Zamierzałam ci powiedzieć, dlatego właśnie przyszłam tego dnia do dyskoteki. Ale zrobiło się zamieszanie i trwało jeszcze przez parę dni. A później nie mogłam już zebrać się na odwagę. Czułam, że mój czas się skończył.

— Nie do wiary. Powinnaś mi była powiedzieć!

— Ile razy mam ci to tłumaczyć? Nie potrafiłam się na to zdobyć. Masz pojęcie, jak ciężko jest wypowiedzieć te parę słów: „Jestem w ciąży”? Nawet nie zauważyłeś, że źle się czuję. Dlaczego to ja sama miałam być odpowiedzialna za wszystko?

— Źle się czułaś?

— Bardzo źle. Bez przerwy miałam mdłości.

— Przepraszam. Zawsze byłaś bledziutka. Nie zauważyłem.

— To już przeszłość, Johnny.

— A więc dlatego tak nagle wyszłaś za Greenwooda. A ja myślałem, że chcesz wzbudzić we mnie zazdrość.

— Johnny, ja nie chciałam cię zranić. Prawdę mówiąc, wątpiłam, czy w ogóle cię to obejdzie. Nie rozumiesz? Ileż razy napomykałam o naszej wspólnej przyszłości, robiłam setki aluzji... Nigdy nie podjąłeś tematu; w końcu dałam sobie spokój. Zresztą i tak byłbyś fatalnym ojcem. Powinnam dziękować Bogu, że przez tamten napad nie zdążyłam ci powiedzieć.

— Jak możesz tak mówić? Tworzylibyśmy świetną parę. Cały świat należałby do nas. Moglibyśmy otworzyć sieć dyskotek...

— Proszę, przestań! Nigdy nie chciałam tak żyć. Spodziewałam się dziecka, nie rozumiesz? Chciałam mieć spokojne życie i męża, który będzie spędzał ze mną wieczory.

— Kochałaś Greenwooda?

— Z początku nie. W każdym razie nie tak jak ciebie.

— Ale potem pokochałaś?

— Tak. Był dla mnie dobry. On mnie zna, Johnny. Spozrzega wszystko, co robię i czuję.

— I nadal go kochasz?

— Tak. Z roku na rok coraz bardziej. To najlepszy mężczyzna na tej planecie. Nie powinnam była w ogóle od niego odchodzić.

— Wiedział o dziecku?

— Oczywiście, że wiedział. Wystarczyło mu na mnie spojrzeć, żeby się domyślić.

— I spostrzegł swoją szansę, żeby mi cię ukraść?

— Proszę cię, Johnny. To nie było tak.

— Nie? Tchórz! Dlaczego nie stawiał mi czoła jak mężczyzna?

— Doprawdy, Johnny, skąd ty czerpiesz tę swoją logikę?! Myślisz, że wygraną bójką można zdobyć miłość? Bądź rozsądny. Czy gdybym cię poprosiła, zrezygnowałbyś dla mnie z dyskoteki?

— A cóż innego mógłbym robić? To jedyna rzecz, w której byłem dobry.

— Sam widzisz.

Johnny zapalił następnego papierosa i westchnął:

— Przystojny chłopak z tego Declana. We mnie się wdał.

— Przystojny i inteligentny. Studiuje medycynę.

— Naprawdę? To świetnie. Słyszałem, że studiuje, ale medycyna, fiu, fiu! Zatem głowę ma po tobie, ja nie byłem taki zdolny.

— Za to kocha muzykę. Tak jak ty.

— Nie wie o mnie? Że ja jestem jego...

— Nie. Nie powiedziałam mu. To niesamowite, jak przeszłość ciągnie się za człowiekiem. Możesz się łudzić, że pewne rzeczy są zamknięte i zakończone, a one pewnego dnia wracają, by cię prześladować. Wielokrotnie miałam zamiar mu powiedzieć, ale nie mogłam się na to zdobyć. Declan uwielbia Eddy'ego.

— A teraz ja nie zdążę go już poznać.

— Za późno, Johnny. Declan ma już własne życie. Niedługo sam zostanie ojcem.

Powiał zimny wiatr i oboje zadrżeli. Marion spojrzała na zegarek.

— Bylibyśmy wspaniałą rodziną — rzekł cicho Johnny, kiedy wstali.

— Proszę, nie mów Eddy'emu o tej rozmowie.

— Dlaczego?

— On myśli, że wciąż się we mnie podkochujesz.

— To prawda.

Marion potrząsnęła głową.

— Nieprawda, Johnny. Przypominam ci tylko młode lata.

— Nadal cię kocham, Marion. Dlaczego nie wyszłaś wtedy za mnie?

— Zrobiłam to, co wówczas uznałam za najlepsze.

— Ach, gdybyśmy mogli cofnąć czas... — Oboje zadumali się na chwilę, wyobrażając sobie, jak mogły się ułożyć ich wspólne losy. Po chwili Johnny dodał: — Założę się, że każdy człowiek na świecie powiedział to przynajmniej raz w życiu.

— Czy James i Eileen dadzą sobie radę, kiedy wyjedziesz do Ameryki?

— Tak. Wyprowadzają się z miasta. Kupili już mały domek w Portstewart.

— Nie wiedziałam.

— To pomysł babci. Stwierdziła, że podoba jej się nad morzem.

— Nie będzie tęsknić za dyskoteką?

— Lubiła tam przychodzić, ale teraz jest już troszkę za stara. Należy jej się odpoczynek. Sam już jestem za stary na prowadzenie dyskoteki.

— Bardzo się kochają z Jamesem, prawda?

— O, tak. Mam nadzieję, że to porwanie nie podkopie ich zdrowia. Doktor powiedział, że stres nie zawsze mija bez śladu. Skutki mogą się uwidocznic nawet po wielu miesiącach. Organizm spycha tak silne uczucia w głąb, dopóki nie jest gotów, by sobie z nimi poradzić.

— O tak, doskonale rozumiem, co masz na myśli.

— Chciałbym kiedyś spotkać się z Declanem, porozmawiać z nim, chociaż raz. Nie powiem mu, że jestem jego ojcem. Nie chcę, żeby myślał, że go porzuciłem. Jego i ciebie.

Marion poczuła ulgę rozlewającą się po całym ciele. Dzięki Bogu, pomyślała. Eddy nie będzie musiał się dowiedzieć, że ich tajemnica wyszła na jaw.

— Muszę już iść — powiedziała. — Naprawdę bardzo mi przykro, Johnny, nie miałam zamiaru cię zranić. Chyba to rozumiesz? Sam zresztą mówiłeś, że nie zależy ci na zakładaniu rodziny. Dobrze, że się stało tak, jak się stało.

— Nie mam do ciebie pretensji, skarbie. Wina leży głównie po mojej stronie. Dziękuję ci, że dziś tu przyszedłeś. Wiele to dla mnie znaczy.

— Bardzo się cieszę. Do widzenia, Johnny.

— Pa, Marion.

Objęli się lekko i Johnny delikatnie pocałował ją w policzek. Uśpione od dawna uczucia zbudziły się w piersi Marion. Johnny wciąż był bardzo pociągający, choć minione lata rozpięły mu wokół oczu delikatną siateczkę zmarszczek i chyba trochę za bardzo zeszczupłał. Uwolniła się z jego objęć i szybkim krokiem odeszła przez trawnik. Nie chciała, żeby zobaczył jej łzy. W sercu miała zamęt. Chyba wciąż kochała Johnny'ego, troszeczkę, przez pamięć dawnych czasów. Naprawdę byli wystrzałową parą, najlepszymi tancerzami w mieście. Ona ze

sztucznymi rzesami, w jaskrawych apaszkach, Johnny w słynnych na cały Belfast niebieskich zamszakach. Miał słuszną rację mówiąc, że razem mogli zawojować świat. Nie dała mu szansy, by dowiódł, jakim mógłby być mężem. Dlaczego jej życie musiało być tak skomplikowane? Nagle jednak pomyślała o Eddym i omal nie spaliła się ze wstydu. Zostawiła go z tacą w holu, jak lokaja. Choć przez tyle lat otaczał ją miłością i opieką. Czekał tak długo, zanim pozwoliła mu się dotknąć. Wstawał w nocy do dzieci. Sfinansował jej własną firmę. Codziennie mówił jej, że ją kocha... W swoich wymiętych tweedach, z potarganą kędzierzawą czupryną, której żaden grzebień nie był w stanie okiełznać, wyglądał jak bukmacher, ale zawsze mogła na niego liczyć. Oddałby za nią życie. Przecież o tym wiedziała.

Otworzyła samochód i wsiadła do środka. Kochany, złoty Eddy. Po tylu latach wciąż zazdrosny. Pojedzie prosto do domu i zaraz go przeprosi. A potem przypomniała sobie o pragnieniu Johnny'ego, by spotkać się z Declanem. Ciekawe, co na to powiedziałaby Eddy?

25.

BAR W BUNDORANIE

Eugene Lolly siedział w malutkiej kafejce przy jednej z bocznych ulic miasteczka Bundoran i rozważał swoją sytuację. Możliwości miał niewiele. Jego zdjęcie, wygrzebane z policyjnych kartotek, zdobiło pierwsze strony niemal wszystkich gazet. Wyglądał na nim na wrednego twardziela, co trochę mu poprawiło humor. Przynajmniej nie był już nikim. Musiał jednak uważać pokazując się publicznie. Dlatego też wystroił się w grube okulary i płócienną czapkę, gwizdniętą nieco wcześniej z nie zamkniętego samochodu. Ale właściciele baru, małżeństwo w starszym wieku, nie zwrócili na niego uwagi. Pewnie wzięli go za rolnika, który zjechał do miasta w interesach. Lolly zsunął okulary na sam czubek nosa, żeby nie przeszkadzały mu w czytaniu, i otworzył miejscową gazetę.

Eugene Lolly, czterdziestosześcioletni notoryczny przestępca z Belfastu, który niedawno porwał dwie mieszkanki tego miasta, Eileen Hogan i jej przyjaciółkę Marion Greenwood, do dziś nie został ujęty. Nasz reporter rozmawiał z osiemdziesięcioletnią panią Hogan niebawem po jej ucieczce z domku letniego w hrabstwie Donegal, gdzie przetrzymywane były obie kobiety. Porywacz zażądał ogromnego okupu, którego rodziny nie były w stanie wypłacić. John Hogan, jedyny wnuk pani Eileen, oferuje wszakże znaczną nagrodę za informacje, które

pomogą w ujęciu i skazaniu przestępcy. Policja po obu stronach granicy zapowiada, że nie będzie tolerować podobnych incydentów. Ostatnim znanym miejscem pobytu Lolly'ego był bardzo ostatnio popularny nadmorski kurort Bundoran. Mieszkańcy miasteczka zostali uprzedzeni, by zamykać domy na klucz i informować policję, gdy tylko zauważą coś podejrzanego.

Poniżej widniało wyjątkowo nieudane zdjęcie Landryny z podpisem: *Eugene Lolly, niezaradny przywódca Cukierkowego Gangu*. No tak, oczywiście znów musieli wyciągnąć Cukierkowy Gang! Nikt nie pracował na życie ciężiej niż on, Eugene Lolly! Jeśli rzadko udawało mu się zrealizować plany, to nie była jego wina, a tego parszywego tchórza Tate'a! I Johnny'ego Hogana, któremu się wydaje, że jest gwiazdą filmową. (W swej białej marynarce i niebieskich zamszakach nadawałby się prędzej do cyrku!) I jego zbzikowanej babki, która chciała go zakłuć jego własnym nożem. (Czuł, że była wówczas gotowa na wszystko.) A teraz, kiedy znalazł się w dołku, na dodatek prasa obrzuca go wyzwiskami! Różnie można by go nazwać, ale na pewno nie niezaradnym!

Pamiętał swoją wściekłość, gdy owego fatalnego dnia kobiety odjechały mu sprzed nosa w siną dal. Eileen Hogan się śmiała; widział to przez szybę. Zamknięty na klucz w pastelowej sypialni letniego domku musiał przyznać, że został wystrychnięty na dudka przez dwie baby — staruszkę stojącą jedną nogą w grobie i idiotkę płochliwą jak pchła na trampolinie. Och, jakże bolała go ta świadomość! Lada chwila przyjadą go aresztować. Każda minuta wydawała się godziną. Z napięcia dostał gęsiej skórki. Za chwilę wpadną, stłuką go pałkami i wrzucą jak toból do karetki więziennej. Policja po jego rodzinnej stronie granicy nie była aż tak brutalna, jak twierdzono. Eugene zawsze uważał ją za względnie ludzką. Pomimo to doszedł do wniosku, że nie chce znów dać się złapać. Miał swoje lata, doprawdy wstyd, by mężczyzna w tym wieku dawał sobą poniewierać.

Dziewczyna Hogana wyjęła klucz z zamka, nie mógł więc zastosować starej sztuczki z wypchnięciem go na podsuniętą pod drzwi kartkę papieru. Usiłował wyważyć skrzydło drzwiowe z futryny. Osiągnął tylko tyle, że boleśnie posiniaczył sobie cały bark. Język, jakiego używał przy tej pracy, absolutnie nie nadawał się do dźwięku. Dwie godziny później posłyszał dźwięk, którego przez cały czas się obawiał: na podejździe przed domem zahamował samochód. To już koniec. W skąpo umeblowanym pokoju nie było się gdzie ukryć. Eugene przelotnie zastanowił się nad szafą, lecz w najlepszym razie zyskałby w niej kilka dodatkowych sekund. To samo tyczyło się pojemnika na pościel. Z pamięci Lolly'ego wypłynął obraz szarych

więziennych ścian i dźwięk zatraskujących się stalowych krat. Spędził za nimi wystarczająco dużo czasu. Decyzja dojrzewała w nim długo, ale wreszcie ją podjął: musi pozostać wolny za wszelką cenę.

Oddałby teraz wszystkie pieniądze świata za klucz do solidnych sosnowych drzwi, które zagradzały mu drogę na świat. Timothy Tate powiedział mu kiedyś, że nigdy nie jest za późno na modlitwę, albowiem nie ma sytuacji bez wyjścia. Obecna sytuacja Lolly'ego zadawała kłam tej ocenie, lecz i tak nie mógł się zmusić do modlitwy. Nagle na szafce w rogu, wysoko pod sufitem, zauważył niebieską szklaną buteleczkę w kształcie Maryi Panny, taką, w jakiej sprzedawali wodę święconą w Knock. Na jej widok wpadł w furję; wdrapał się na krzesło, żeby zdjąć figurkę i roztrzaskać ją w drobny mak. I wtedy zobaczył leżący na półce klucz. Nie wierzył własnym oczom. To było coś na kształt cudu. Właściwie... po co owijać w bawełnę: to był cud. Lolly kurczowo pochwycił oba przedmioty jakby się bał, że nagle znikną. Zeskoczył z krzesła i z bijącym sercem włożył klucz do zamka. Pasował. Wymknął się z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi, żeby zmylić policję. (Był tak poruszony, że dwukrotnie upuścił klucz, nim tego dokonał.)

Od drzwi wejściowych doleciał go odgłos gmerania w zamku. Wiedział, że nie ma co próbować ucieczki przez któreś z okien — sam je wcześniej starannie zabezpieczył. Uniósł wzrok ku niebiosom w nadziei, że znów ześlą mu pomoc, i tuż nad sobą ujrzał właz na strych. W mgnieniu oka wdrapał się na mahoniowy kwietnik i nim policjanci zdążyli wejść do środka, Eugene wraz z kwietnikiem był już na poddaszu. Właz opadł za nim dosłownie w ostatniej chwili. Słyszał, jak przeszukiwali dom. Dotarli na stryszek, ale jego nie znaleźli, schował się bowiem w zbiorniku na wodę. Była lodowata; ziąb przeniknął go do szpiku kości. Z niecierpliwością czekał, aż nareszcie skończą drobiazgową rewizję. Znaleźli kwietnik i zastanawiali się głośno, dlaczego ktoś cisnął taki ładny mebel na stos wełny mineralnej. Nie zaglądali jednak do zbiornika, a zresztą Eugene przezornie wykręcił żarówkę, by nikt nie spostrzegł jego facjaty tuż nad powierzchnią wody.

Dużo, dużo później, gdy wreszcie sobie poszli, skostniały Eugene wygramolił się ze swej kryjówki. Wyrwał dziurę w izolacji dachu, zdjął kilka dachówek, wspiął się na zewnątrz, nałożył dachówki z powrotem i zsunął się po pochyłości w krzaki rosnące na tyłach domu. Ociekając wodą, ruszył biegiem przez pole w towarzystwie dwóch zaciekawionych koni. Znalazł bezludną plażę, gdzie zaszył się w wysokiej trawie przy piaszczystych wydmach. Chociaż był wykończony i zmarznięty, z przyjemnością słuchał krzyku krążących nad nim

mew. Zdjął buty i rozgarnął stopami suchy piach. Pomyślał o małej szklanej buteleczce, która doprowadziła go do klucza i wolności. Było to najbardziej niesamowite ze wszystkiego, co mu się kiedykolwiek przydarzyło.

Oczywiście nie lubił więzienia. Ale kiedy człowiek zawrze parę znajomości i przyzwyczai się do rozkładu dnia, nie jest tam najgorzej. Czysta cela, regularne posiłki i żadnych natrętnych bab. Istnieją gorsze sposoby na życie. Jednakże po przeżyciach w domku Eugene zrozumiał, że już nigdy nie chce znaleźć się w zamknięciu. Nerwowo pomacał kieszeń i z ulgą stwierdził, że figurka wciąż w niej jest. Nie nawrócił się, co to, to nie, ale był zaintrygowany. Może religia to po prostu starożytna forma pozytywnego myślenia? Mnisi w swoich przypominających ule celach byli po prostu ludźmi ceniącymi sobie spokój tak jak on. Wymyślili religię i regułę zakonną, bo rozpaczliwie chcieli uwolnić się od kobiet i ich bezustannego zrzędzenia.

Rozważania nad tymi interesującymi kwestiami umilały mu czas, kiedy włóczył się po peryferiach Bundoranu, czekając, aż coś się zdarzy. Ledwie zauważał mijające godziny. Od czasu swojej cudownej ucieczki sypiał po krzakach, a wieczorami przekradał się do miasteczka, żeby kupić coś do żarcia i butelkę mleka. W Belfaście nie miał czego szukać; policja na pewno obstawiła schronisko, biuro zapomogowe i pocztę. Co u licha ma robić? Jeszcze trochę, a braknie mu pieniędzy.

W dawnym życiu pewnie postanowiłby zlikwidować Tate'a i Hogana także, do kompletu. Zakończyłby karierę mocnym akcentem i resztę swych dni spędził w mamrze otoczony wieczną chwałą. Ale jakoś wcale nie miał na to ochoty. Ani Hogan, ani Tate nie byli warci tego, żeby do końca życia jeść więzienny gulasz. Ku swemu zdziwieniu Lolly doszedł do wniosku, że ma ochotę żyć jak zwyczajny człowiek. Owszem, miłe byłyby jakieś drobne luksusy — od czasu do czasu flaszka whisky, mydło o zapachu drewna sandałowego, wygodne buty. Ale spokój ducha uplasował się na czołowym miejscu jego listy priorytetów. Mógłby dostać się autostopem do Hiszpanii. Zrobi małą niespodziankę byłej żonie i poprosi ją o trochę forsy, coś w rodzaju odprawy. Potem rozstaną się w przyjaźni raz na zawsze. A potem — albo nawet od razu — weźmie kurs na Amerykę Południową i tam znajdzie sobie pracę. Z głową pełną nie do końca sprecyzowanych planów Eugene Lolly otulił się ciasniej wymiętą marynarką i zamówił hamburgera z frytkami oraz dzbanek herbaty.

SZMATKI, KWIATKI I DZIERLATKI

Kwiecień rozpoczął się serią ulewnych deszczy. Eileen Hogan czuła się świetnie, za to James złapał grypę i winił za to przeżyty stres. Marion Greenwood postanowiła dla dobra rodziny wziąć się w garść — nie można było już dłużej odkładać ślubu Declana i Shirley. (Kate w obawie, że sprawa się przeciągnie, już zaczęła planować osobne wesele dla siebie i Kevina, ale kiedy matka się o tym dowiedziała, planom położono kres.)

Wszyscy dowiedzieli się więc z ulgą, że ustalona data nie ulegnie zmianie. Rewolucyjna wieść o podwójnym ślubie dotarła do zainteresowanych osób i pani Winters z nostalgią wspominała chwile, gdy jej wolny czas należał do niej. Teraz krewni, których nie widziała od lat, wpadali nagle z wizytą i siedzieli do północy. W sąsiedztwie stała się czymś w rodzaju lokalnej znakomitości. Ilekroć szła ulicą, mówiono: „Patrzcie, idzie ta kobieta, która wydaje za mąż dwie córki na raz”. Czekano ją teraz bardzo poważne przedsięwzięcie, jakim były zakupy z tej okazji. Co prawda Greenwoodowie wzięli na siebie organizację uczyty, musiała jednak kupić stosowne stroje dla siebie i męża, kwiaty do sali weselnej i kościoła oraz sukienki dla druhen. Stos prezentów osiągnął już taką wielkość, że państwo Winters bali się wychodzić z domu. Przeważnie na straży zostawał ojciec, gdy tymczasem panie grasowały po sklepach.

Shirley zakochała się w zapachu płynu do płukania tkanin i namiętnie prała. Miała kolekcję płynów na parapecie w kuchni i za każdym razem wahała wszystkie po kolei, nim wlała nakrętkę któregoś z nich do pralki. Jadła mnóstwo świeżych owoców, bo nawet odrobina tłuszczu przyprawiała ją o torsje. Ponad wszystko przedkładała truskawki, choć nie były tak sycące, jak matczyne pasztety i gulasze. Zeszczuplała i nawet poszła w tej sprawie do lekarza, ale upewnił ją, że to nic nie szkodzi. Declan znosił jej całe kosze owoców i pudła miętowej herbaty. Jego wizyty miały bardzo ceremonialny przebieg i choć stosunki z przyszłymi teściami układały się bez zarzutu, narzeczonym nie pozwolono widywać się sam na sam w pokoju Shirley. Musieli siedzieć w saloniku, podczas gdy reszta rodziny tłoczyła się w kuchni. Shirley uważała to za wzruszające.

— To, że koń już uciekł — rzekł twardo jej ojciec — nie znaczy, że mamy całkiem pozbyć się płotu.

Nikt nie był do końca pewien, co właściwie ma na myśli, ale nikt nic nie mówił, ponieważ tato Winters radził sobie z całą sytuacją znacznie lepiej, niż się spodziewano. Od czasu do czasu mruczał tylko: „Cicha woda...”, popukując się palcem w bok nosa.

Shirley została zaproszona przez Marion Greenwood na kolejną próbę wyboru sukni ślubnej. Marion czuła się już znacznie lepiej i sama obsługiwała klientki, ale w budynku został zainstalowany system alarmowy i trzeba było najpierw zadzwonić do drzwi, by wejść. Kate postanowiła jej towarzyszyć. Bez słowa wysłuchiwała pouczeń ojca, że nie wypada, aby korzystała z wysuniętej przez panią Greenwood bardzo uprzejmej oferty zakupu sukni po znacznie niższej cenie. Wątpiła, czy w „Wygodnie i romantycznie” znajdzie cokolwiek wystarczająco eleganckiego dla siebie. Dostała jednak odpowiedzi od trzech londyńskich projektantów i wiedziała już, że pięćset funtów nie wystarczy na suknię jej marzeń.

Kiedy starsza siostra nacisnęła dzwonek, Shirley poczuła się nieswojo. Choć doprawdy nie miała powodu tak myśleć, gnębiły ją obawy, że pani Greenwood uzna ją za niegodną swojego przystojnego syna. Przewidywała też kłopoty przy wyborze sukni. Brzuch zaczynał już odrobinę sterczeć, co automatycznie eliminowało proste kroje. Spódnica będzie musiała być marszczona, a Shirley nie cierpiała wymyślnych ciuchów. Owszem, wszyscy wiedzieli, że jest w ciąży, ale i tak nie chciała wyglądać jak ciężarna w dniu swego ślubu. Nie wstydziła się dziecka, nic podobnego! Właśnie zaczęła się z nim oswajać i codziennie wieczorem przemawiała do niego leżąc w łóżku. Teraz, gdy maleństwo było z nią przez cały czas, nigdy nie czuła się samotna. Shirley miała nadzieję, że urodzi się dziewczynka i z czasem będą miały coraz więcej wspólnych tematów do rozmowy. Modliła się też, by — jeśli to będzie chłopiec — powierzchowność wziął po ojcu, a nie dziadku Eddym, który urodą nie grzeszył. Kate „pocieszyła” ją, że cechy genetyczne często przeskakują jedno pokolenie, dziecko ma więc szansę być brzydsze niż wrota do stodoły. Ale czegoż innego można się było spodziewać po Kate!

Shirley westchnęła i poczuła ulgę, że siostra weźmie na siebie ciężar konwersacji. Czasem dobrze mieć w rodzinie gadułę. Zdejmovalo to brzemię z Shirley, która nie była dziś w nastroju do rozmowy. Nie widziała się z Marion od dość dawna, bo wieczorami była bardzo zmęczona, a rankami walczyła z nudnościami. Zasypiała na siedząco. Teraz także ziewała, choć było dopiero południe. Drzwi kliknęły i siostry weszły do środka.

Pani Greenwood, mocno umalowana, w platynowych lokach i obłoku intensywnych perfum, wyglądała jak gwiazda filmowa. Miała na sobie prążkowany kostiumik i ładną srebrną

bransoletkę na przegubie lewej ręki. Nie bardzo wiedząc, jak zagaić, Shirley pochwaliła bransoletkę.

— Ach, to — bąknęła Marion. — Mam ją od lat. Nie ma wielkiej wartości poza sentymentalną.

Prawda była nieco inna: ledwie dwa tygodnie temu dostała tę bransoletkę po raz drugi od Johnny'ego. Trzymał ją w szufladzie przez dwadzieścia lat, czekając, aż nadarzy się okazja. Marion postanowiła, że będzie ją nosić w czasie przygotowań do ślubu Declana. W ten sposób Johnny symbolicznie brał w nich udział. Czuła, że to głupie, lecz zarazem jakby sprawiedliwe.

— Zrobię herbaty, z potem porozmawiamy o fasonach. Rozejrzyjcie się tymczasem. Bledziutko dziś wyglądasz, Shirley. Jadłaś lunch? Zaraz zobaczę, czy mam coś słodkiego.

Shirley istotnie wyglądała jeszcze mizerniej niż zwykle, ponieważ rozsądnie zrezygnowała z makijażu, żeby nie pobrudzić sukienek, które będzie mierzyć. Była jednak zanadto ospała, żeby tłumaczyć to swojej przyszłej teściowej.

Podczas gdy Marion zajęta była w kuchence, dziewczęta przeszły się między rzędami wieszaków. Były tu suknie we wszelkich rozmiarach i fasonach, a ponadto wielka gablota pełna szklanych diademów, satynowych pantofelków, ślicznych ściąganych sznureczkiem torebek i jedwabnych kwiatów. Shirley była zachwycona, Kate — rozczarowana.

— Cały kłopot w tym, że to wszystko jest dla mnie za strojne — szepnęła Shirley

— Oszalałaś?! — odparła Kate. — Wręcz przeciwnie, o wiele za mało strojne. Nie ma tu nic, co zgodziłabym się włożyć. Chciałabym wyglądać jak królowa.

— Jak sądzisz, czy powinnyśmy się ubrać podobnie? W tym samym stylu?

— Wykluczone — orzekła Kate. — Nie jesteśmy bliźniaczkami, do cholery. Ja mam zamiar błyszczeć. Długi welon upięty na brylantowej tiarze, szeroka kloszowa spódnica, paciorki, szczypania, falbanki i...

— Już jestem — powiedziała Marion, wnosząc na tacy trzy eleganckie filiżanki z herbatą oraz talerzyk z ciastkami. — Macie już jakąś koncepcję?

Przez całe popołudnie siostry Winters mierzyły suknie ślubne. Sklep był tego dnia zamknięty, miały więc pełną swobodę. Ale wszystko wskazywało na to, że marnują czas. Nic nie wyglądało tak jak trzeba. Przy bieli — śnieżnej, śmietankowej czy wpadającej w kość słoniową — blada skóra dziewcząt wydawała się niebieskawa. Nawet w przepięknej sukni z wystawy, którą mierzyła najpierw Kate, a potem Shirley, żadnej nie było do twarzy. Próbowaly kompozycji z szalami, kwiatami i kryzami, ale efekt nigdy nie był zadowalający. Dziewczęta

trzeba by wykapać w samoopalaczu, żeby nabrały trochę kolorów. Marion zasugerowała nawet wycieczkę do nowo otwartego solarium. Obie siostry stanowczo odrzuciły tę możliwość. Kate oświadczyła, że sztuczna opalenizna wygląda „wsiowo”, a Shirley bała się napromieniować dziecko.

I nagle Shirley wypatrzyła w samym kącie suknię wieczorową z długimi rękawami, owalnym dekoltem i kloszową spódnicą. Granatowy aksamit miał ten sam odcień co letnie wieczorne niebo. Pierś Shirley ścisnął spazm szczęścia. Z podnieceniem wykrzyknęła, że znalazła dla siebie suknię.

Marion nie była nią zachwycona

— Shirley, kochanie, czy ja wiem... Ona jest granatowa.

— Jest piękna!

— Tak... ale granatowa.

— Będzie mi w niej do twarzy.

— To jest suknia wieczorowa, nie ślubna.

— Mogę ją przymierzyć? Bardzo proszę!

— Oczywiście, jeśli chcesz. Ale nie sądzę...

Shirley zniknęła w przymierzalni z większym zapalem, niż zdołała z siebie wykrzesać przez cały dzień. Suknia pasowała idealnie. Brzuszek nie był widoczny, a świetlisty granat podkreślał barwę jej oczu, które wydawały się jeszcze bardziej niebieskie. Po raz pierwszy Shirley poczuła coś na kształt optymizmu w związku ze ślubem. Wyszła zza zasłony i okręciła się na palcach.

— Ta — oznajmiła. — Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

— Mmm... — zająknęła się Marion bez entuzjazmu.

— Jest za droga?

— Nie, nie jest za droga! Zresztą koszt od początku nie stanowił problemu.

— Nie podoba się pani?

— Nie o to chodzi... — Marion urwała, myśląc o skromniutkiej garsonce, w której sama brała ślub. — Chciałam, żeby był to dla ciebie bardzo uroczysty dzień.

— Będzie taki — stwierdziła z przekonaniem Shirley.

— Jest trochę za surowa — wtrąciła Kate.

— To założę kilka naszyjników. Albo obróżkę z perełek. I wezmę duży, rzucający się w oczy bukiet. Słoneczniki!

— Słoneczniki? Prawdziwe? — Marion była zaszokowana. — Te wielkie niechlujne kwiaty?

— Tak, wielki bukiet słoneczników. Prawdziwych albo sztucznych, obojętne.

— Założysz welon? — zagadnęła Kate. — Chyba powinnaś.

— Zobaczymy.

— Więc jesteś zdecydowana nie wystąpić w bieli? — upewniła się Marion.

— Jestem w... eee... tego, będę miała dziecko. Wszyscy o tym wiedzą. Jeśli wystroję się na biało, to będzie jakby oszustwo.

— Przecież nie trzeba być dziewicą, żeby włożyć białą kieckę! — wykrzyknęła Kate. — Nie ma takiego przepisu, prawda, pani Greenwood?

— Nie, nie ma przepisów odnośnie do koloru sukni — odpowiedziała Marion obracając bransoletę na przegubie. — Natomiast tradycja nakazuje biel.

— Będę więc oryginalna — oznajmiła Shirley. — Zaszokuję gości wielką plamą koloru. W tamtych czułam się trochę głupio, jak mała dziewczynka, która stroi się w suknie swojej mamy. W niebieskiej będę pewniejsza siebie. Przepraszam, ale tak właśnie to odbieram.

— Dobrze, skoro tego właśnie chcesz. — Marion skapitulowała. Nie miała sił się sprzeczać. Shirley cierpi na burzę hormonalną, to zapewne przyczyna tych dziwactw. Ach, co tam, pomyślała. Niech idzie do ślubu w granacie, skoro to ją uszczęśliwi. Od porwania Marion przestała zwracać uwagę na detale. Jej hierarchia wartości uległa zmianie. Najważniejsze jest to, że Declan się żeni, wszystko inne to mało istotne drobiazgi. A Johnny obiecał, że nic mu nie powie. Zresztą za kilka dni nie będzie go już w kraju, a kto wie — może Ameryka tak mu się spodoba, że nie wróci. Podejrzewała, że Johnny też liczył się z taką możliwością.

Nagle zdała sobie sprawę, że Shirley całkiem wyleciała jej z głowy. Co ona mówi? Marion gorączkowo próbowała się skupić.

— ...na sto procent. Zawsze uważałam, że białe suknie ślubne są nudne — dokończyła Shirley podziwiając się w wielkim lustrze. — I dyskryminujące dla kobiet. Mężczyźni nie muszą się ubierać na biało, prawda?

W pomieszczeniu zaległa niezręczna cisza. Dziesiątki białych sukien markotnie obwisły na wieszakach ze wstydu, że są takie nudne. Marion zakaszła nerwowo. Twarz i ramiona Shirley oblał gorący rumieniec.

— No bo... — zająknęła się i dokończyła niezgrabnie: — może powinni. Drużbowie, goście, wszyscy w bieli, jak na przyjęciu w Hollywood...

— Wiesz co, Shirley? — odezwała się Kate po dłuższym namyśle. — Może to i dobry pomysł z tymi kolorami. Pani Greenwood, czy ma pani coś złotego?

— A tak. Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, przypomniało mi się, że istotnie mam złotą suknię. Jest bardzo strojna, nie wiem, czy ci się spodoba. Zamówiła ją kiedyś pewna aktorka, ale w końcu ślub został odwołany. Suknia kosztowała fortunę, pamiętam. Klientka zapłaciła połowę i rozstałyśmy się w zgodzie.

— Aktorka? — ożywiła się Kate. — Czy mogłabym ją przymierzyć?

— Zaraz przyniosę. Jedną chwileczkę. — Marion różnym krokiem ruszyła na zaplecze w nadziei, że ta długodystansowa sesja nareszcie dobiegnie końca.

— Nie boisz się, że ta kiecka przyniesie ci pecha? — szepnęła Shirley. — Odwołany ślub, no wiesz...

— Człowiek sam jest kowalem swego szczęścia — oznajmiła Kate. — A czyjaś strata to mój zysk.

Marion wniosła do salonu złocistą suknię zdobną falbankami, riuszkami, koronkami i pączkami róż, z długim trenem i lśniącym welonem.

— I jak? — spytała wesoło. — Bardzo w stylu księżnej Diany, prawda?

— Biorę w ciemno. — Kate nachyliła się, żeby odczytać metkę. — Rozmiar jest odpowiedni. Ile sobie pani za nią liczy?

— Ani pensa. To prezent.

— Och nie, nie mogłabym... — Kate czuła jednak, że nie da się długo prosić.

— Nie krępuj się, tylko bierz. Miałam zamiar podarować Shirley suknię wartą tysiąc funtów. Ta, którą wybrała, kosztuje zaledwie dwieście. Równie dobrze ty możesz na tym skorzystać.

W głębi ducha Marion była srodze zawiedziona, że przy Kate brylującej w strojnej złotej kreacji jej synowa będzie wyglądać jak szara myszka. Nie była wszakże w stanie temu zaradzić. Shirley nosi w łonie jej pierwszego wnuka; musi mieć spokój, a skoro się uparła, Marion nie zamierzała z nią wojować.

Kate przymierzyła złocistą suknię i płaśała w niej przed lustrem przez godzinę. W końcu rozmowa całkiem zamarła i Marion niemal siłą pozbyła się obu dziewcząt ze sklepu. Czuła się wykończona. Marzyła o powrocie do domu, do Eddy'ego. Myśl o ciężarnej Shirley w ciemnej sukience i trzydziestoletniej Kate mizdrzącej się do lustra jak zepsute dziecko w przeładowanej ozdóbkami toalecie była zbyt niesmaczna, by Marion mogła jej stawić czoło sama.

DUCH NA UCZCIE

— Nie powiedziałaś mu? Wiem, niczego mi nie obiecywałaś, ale miałem nadzieję, że zmieniłaś zdanie. Czekałem na twój telefon...

Cisza.

Johnny i Marion siedzieli na ławce w cieniu oplecionej różami pergoli w ogrodzie botanicznym. Była połowa kwietnia. Za kilka dni miał się odbyć ślub Declana.

— Nie powiedziałam mu, Johnny, i raczej mu nie powiem.

— Rozumiem, że to nie jest dla ciebie łatwe, ale dlaczego nie chcesz mu powiedzieć?

— Rozmawiałam ostatnio z Declanem. Mówiliśmy o ślubie, wolałam się upewnić, że naprawdę chce się związać tak młodo. Powiedział, że ja i Eddy byliśmy dla niego wzorem. To, że nasza miłość przetrwała tyle lat. Po części dlatego nie miał żadnych wątpliwości prosząc Shirley o rękę.

— I co z tego?

— On naprawdę wierzy w małżeństwo, Johnny, a to dziś rzadko spotykana u młodych mężczyzn cecha. Na ogół unikają zobowiązań jak ognia w całkiem błędnym mniemaniu, że będą dokonywać cudów przez następną dekadę, po czym poprowadzą do ołtarza światowej sławy modelkę.

— Chcesz powiedzieć, że byłbym dla niego złym przykładem?

— Nie chcę, żeby raptownie pozbył się złudzeń.

— Przesadzasz...

— Skąd możesz wiedzieć? Przecież go w ogóle nie znasz. Kiedy się dowie, że wyszłam za mąż z rozpaczy, Bóg jeden wie, jak zareaguje. Ludzie w tym wieku są bardzo niestabilni emocjonalnie. Każde uczucie, jakiego doświadczają, jest wielokrotnie wzmacniane grą hormonów.

— Z tą rozpaczą to trochę przeholowałaś, Marion. Eddy nie był dla ciebie obcy. Po prostu wróciłaś do niego.

— Byłam w rozpaczy, Johnny. Nie masz pojęcia w jak głębokiej. Zamartwiałam się na śmierć. Eddy ocalił mnie przed... trudno dziś powiedzieć przed czym. Oddaniem dziecka do adopcji? Nędzą?

— Ale teraz go kochasz.

— Oczywiście, że tak. Kochałam go i wtedy, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale kiedy przyjmowałam jego oświadczyzny, nie byłam w nim zakochana, jeśli pojmujesz różnicę.

— Nie musisz tego mówić Declanowi. Powiedz, że bardzo kochałaś Eddy'ego.

— To dlaczego byłam w ciąży z kim innym? W jakim świetle postawię nas oboje? Co nas łączyło, że tak cynicznie zdradziłam Eddy'ego? Zwierzęce pożądanie?

Cisza.

— Nosisz moją bransoletę.

— Sama nie wiem dlaczego. Chyba jestem sentymentalna.

— Nadal nie jestem ci obojętny, prawda?

— Myślę o tobie jak o przyjacielu. W końcu byliśmy razem przez pięć lat.

— Więc zrób dla mnie to jedno. Tylko o to cię proszę.

— Nie mogę, Johnny. To ja cię proszę: spróbuj mieć na względzie dobro Declana. Naprawdę chcesz mu zaaplikować taki stres tuż przed ślubem?

— A zatem nigdy się nie dowie?...

— Boję się, że to zniszczyłoby mu życie. Może załamać się nerwowo.

Cisza.

Przez chwilę słuchali świergotu ptaków krzątających się po pustej muszli koncertowej i szelestu wiatru w gałęziach sykomor. Johnny wziął głęboki wdech.

— Czy mógłbym przyjść na wesele? — spytał nagle. — Jako zwykły gość. Mogłabyś zaprosić także Eileen i Jamesa. Eddy nie będzie zdziwiony po tym, co przeszłyście razem z Eileen.

— Och, Johnny! Eddy nigdy na to nie pozwoli. Zapraszamy tylko najbliższą rodzinę. Poza tym i tak musieliśmy się już ścieśnić, żeby zmieścić rodzinę Kevina McGoverna. Nie byłoby gdzie wetknąć kolejnego stolika.

— Jestem jego ojcem, Marion! Mógłbym zająć się muzyką do tańca albo...

— Nie trzeba. Zamówiłam już kwartet smyczkowy.

— Na pewno jest coś, w czym mógłbym pomóc.

— Nie, Johnny.

— Chcę mu dać prezent.

— O Boże! A po co? Nagle zgrywasz się na tatusia? Nie rozumiesz, że to jest poważna sprawa? Skąd możemy wiedzieć, jak to wpłynie na Declana? Żeby się odważyć na taki krok, trzeba by co najmniej konsultacji z psychologiem! Nie możesz ot, tak sobie rujnować komuś życia, aby zaspokoić swoje widzimisię!

— Sporo ostatnio myślałem. Jak wiesz, chcę się wycofać z biznesu. A Eileen boleje nad tym, że kolejny właściciel może zburzyć lokal, w który zainwestowała tyle starań i serca. Postanowiłem więc podarować go Declanowi. Jak wiesz, wkrótce wyjeżdżam do Ameryki. Zdążę go jeszcze nauczyć tego i owego.

— Co takiego? Chcesz mu dać dyskotekę?! Wiesz, doprawdy brak mi słów. Zawsze byłeś bezczelny, ale to już przechodzi wszelkie wyobrażenie!

Jedźże wreszcie do diabła, byle dalej, dodała w duchu. Zaczynała podejrzewać, że Eddy ma rację i Johnny wymyślił tę podróż tylko po to, by wzbudzić zainteresowanie.

— Ale ja chcę, żeby ją miał.

— A ja chcę, żeby został lekarzem. Co ważniejsze, on też tego chce. Inaczej bym go nie naciskała.

— Po co ma się męczyć na studiach, kiedy może mieć gotową dobrą firmę? Nauka potrwa lata, a pieniądze potrzebne mu są teraz, skoro ma się urodzić dziecko. Malec pójdzie do szkoły, zanim jego tato wreszcie skończy studia.

— To nie ma znaczenia. Mamy dość pieniędzy, żeby mu pomóc do tego czasu utrzymać rodzinę. Na razie myśli o wynajmie mieszkania, ale namawiam go na kupno domu. Będziemy spłacać raty, dopóki sam nie zacznie zarabiać. A zresztą mówiłeś, że dyskoteka się kończy. Przecież dlatego postanowiłeś się wycofać.

— To ja się kończę. Ale młody człowiek taki jak Declan da sobie radę. Będzie wiedział, co jest na fali. Czego chce młodzież.

— A, więc tak to sobie umyśliłeś? Declan niech się użera z bandytami, radą miejską i niekompetentnym personelem, a ty w tym czasie będziesz się opalał na Florydzie? Nie ma mowy. Już zapomniałeś, że niedawno porwano twoją babkę, a wraz z nią i mnie?

— Mówiłaś, że lubi muzykę.

— Posłuchaj, Johnny. Declan lubi muzykę, kocha ją, dom jest pełen płyt. Ale to jest hobby, nie sposób na życie. Jest już dorosły, żeni się, będzie miał dziecko. Powinien mieć solidny zawód.

— Szacowny, chciałaś pewnie powiedzieć? — wtrącił Johnny z goryczą. — Lekarz to coś lepszego od dyskdżokeja?

— Szczerze mówiąc, tak. Będzie miał szacunek w społeczeństwie. I będzie się czuł potrzebny, związany z ludźmi. — Nie tak jak ty, pomyślała nagle. Nie dziwota, że Johnny tracił kontakt z rzeczywistością, skoro spędził całe życie wśród kolorowych światełek w ciemnej sali, zadowolając się krótkimi i powierzchownymi rozmowami z obcymi ludźmi. To było smutne życie. Marion nagle poczuła dla niego współczucie.

— Zmieniłaś się, Marion. Zrobiła się z ciebie snobka.

— Chcę dla swojego syna jak najlepiej. Chcę, żeby się obracał wśród miłych ludzi.

— Miłych? A jego własna rodzina? James i Eileen? Nawet się nie dowie, że jestem jego ojcem. Nie mogę przyjść na ślub. Nie mogę dać mu prezentu. To usiłujesz mi powiedzieć?

— Niestety. Tak musi być. Masz zamiar się z tym pogodzić czy nie? Pytam, bo jeszcze nie powiedziałam Eddy'emu o tym wszystkim. Muszę wiedzieć, czy zamierzasz nam sprawić kłopoty.

Nie miała ochoty przez kolejną ceremonię ślubną drzeć ze strachu, że nagle w progu kościoła stanie Johnny i krzyknie: „Stójcie!” A tym razem wydawał się na tyle zdesperowany, że byłby do tego zdolny. Shirley gotowa zemdleć od szoku. Marion na tę myśl wpadła w panikę.

— Kłopoty? — powtórzył Johnny. — Pytasz, czy mam zamiar zepsuć wam zabawę? Nie, Marion, nie zrobię tego. Możesz spokojnie wydać swój wielki bal z orkiestrą smyczkową i tłumem nadętych burżujów. Nie pojawię się jak duch na uczcie i nie powiem synowi, że został poczęty na tylnym siedzeniu lincolna w Portstewart Strand!

— Ach tak? Spodziewałam się, że gdy zabraknie ci rzeczowych argumentów, zaczniesz mnie obrzucać błotem! Ty... ty... Nie kochałabym się z tobą w samochodzie, gdybyś się ze mną ożenił! Dał mi dom i legalne małżeńskie łóżko! To typowe dla ciebie, wykorzystywać mnie przez tyle lat, a potem winić za to, że byłam łatwa!

— Właściwie powinienem mu o tym opowiedzieć. Pospieszna miłość pod kocem w samochodzie. Pamiętasz, przedtem jedliśmy frytki z przewoźnego straganu, a potem lody na patyku, w malinowej polewie. Zdjęliśmy buty i poszliśmy na spacer brzegiem morza. Powiedziałas wtedy, że zawsze będziesz kochać tylko mnie.

— Jesteś śmieszny. Nikt przy zdrowych zmysłach nie opowiada swoim dzieciom o takich sprawach. I co mają do rzeczy lody i frytki? — Marion czuła, że ogarnia ją złość.

— W tamtych czasach nie zadzierałaś tak wysoko nosa, Marion Evans. Byłem dla ciebie wystarczająco dobry.

— Nazywam się Marion Greenwood. I nie powinnam ci była mówić o Declanie. Masz nie po kolei w głowie, Johnny. Nic się nie zmieniłeś. Zawsze myślisz tylko o sobie. Chcesz się pokazać.

— Nie chodzi o mnie. Chcę mu pomóc dojść do czegoś w życiu.

— Chcesz się wprosić na ślub mego syna, bo byłeś zbyt wielkim egoistą, żeby sam się ożenić, i teraz czujesz się samotny. Taka jest prawda. Nie byłam ci potrzebna wtedy, kiedy otaczali cię reporterzy, policja, kamery telewizyjne i zachwyceni goście. Ale teraz reflektor przygasa, prawda, Johnny? Nie jesteś już pępkiem świata. Ostrzegam cię: zostaw mojego syna w spokoju!

— To nasz syn. I wcale nie czuję się samotny.

— A właśnie że tak! Siedzisz sam jak palec, odkąd James i Eileen przenieśli się nad morze. Nigdy nie miałeś odwagi się od nich wyprowadzić, a teraz oni wyprowadzili się od ciebie. Masz tylko tę idiotyczną dyskotekę. Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinieneś ją zatrzymać. Umrzesz bez niej.

— Na litość boską, Marion, nie wiesz nic o moim życiu.

— A ty nie masz pojęcia, co to znaczy być ojcem. Gdybyś miał, nie chciałbyś denerwować chłopaka, kiedy stara się żyć jak należy. Po takim szoku gotów nawet odwołać ślub, a ja stracę swojego pierwszego wnuka.

— I kto tu jest egoistą? Zaczynam myśleć, że popierasz ten ślub tylko dlatego, że zaczyna ci odbijać na punkcie wnuków! Declan ma prawo wiedzieć i sam podjąć decyzję.

— To Eddy odbierał go ze szkoły, Eddy uczył go jeździć na rowerze i wszystkich innych rzeczy. Już za późno, nie ma dla ciebie miejsca w jego życiu! Czemu wreszcie nie wyjedziesz na tę swoją Florydę i nie zostawisz nas w spokoju? Zaczynam wątpić, czy w ogóle miałeś zamiar jechać!

— Idę do domu. Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy jesteś taka.

— W ogóle nie będziesz więcej ze mną rozmawiać, Johnny. To koniec. Eddy miał rację: jesteś powierzchowny, samolubny i nigdy nikogo nie kochałeś oprócz siebie. Nienawidzę cię.

— A ja cię kocham, Marion. Bardziej, niż przypuszczasz.

— Nic mnie to nie obchodzi, słyszysz? Żyjesz mrzonką. Kochałam cię, kiedy byłam młoda i głupia. Nie miałam ani krzty rozumu. Kochałam cię, bo byłeś świetnym tancerzem,

miałeś szpanerski samochód i ludzie pozdrawiali cię na ulicy, lecz to nie są powody, żeby kogoś kochać. Nigdy, przenigdy nie wybaczę sobie tego, jak straszliwie skrzywdziłam Eddy'ego porzucając go dla ciebie. A on dał mi drugą szansę i ożenił się ze mną w bardzo przykrych okolicznościach, i wychował Declana jak własnego syna. A ja zawiodłam go po raz kolejny mówiąc ci prawdę. Chcesz rozbić nasze małżeństwo? O to ci chodzi?

— Wiesz, co do ciebie czuję, Marion. Kiedy pocałowałam cię przed hotelem, zauważyłam, że i ty to czujesz. Popatrzyłaś na mnie tak... Znam to spojrzenie. Chciałaś, żebym do ciebie wrócił, prawda?

— Postawmy sprawę jasno: nawet gdyby Eddy ode mnie odszedł, nie wpuściłabym cię za próg. Choćbyś mnie błagał na kolanach. Choćbyś był ostatnim mężczyzną na ziemi. — Marion była bliska łez. Ta rozmowa kręciła się w kółko i donikąd nie prowadziła. Poczula potężny ból głowy rodzący się gdzieś za lewym okiem.

— Nie wierzę ci. Przyjdź do dyskoteki, zatańczymy razem. Tylko my dwoje. Na pewno poczujesz znów ten sam dreszczyk!

— Dostyc tego! Jedź do Ameryki czy gdziekolwiek, tylko zejdz mi z oczu! Jeśli zbliżysz się do mojej rodziny, pożałujesz. Zmuszę Declana, żeby dokonał wyboru między nami, i oboje dobrze wiemy, kogo wybierze. I nie myśl, że Eddy stracił panowanie nad sobą po naszej poprzedniej rozmowie. Gdybym powiedziała mu o dzisiejszej, zabiłby cię gołymi rękami! — Marion zerwała z ręki srebrną bransoletkę i rzuciła mu ją w twarz. Potem złapała żakiet i pobiegła przez park dysząc ze złości.

Johnny podniósł bransoletkę i zważył ją w ręku. Długo siedział na ławce, zatopiony w myślach. Możliwe, że tym razem stracił Marion na zawsze. Wybrała tego nudnego piekarza i jego idiotyczną ciastkarnię. Ale to jeszcze nie koniec. O, nie. Z Declana nie zrezygnuje tak łatwo.

WIECZÓR POŻEGNALNY

Tego dnia miała się odbyć pożegnalna impreza przy ulicy Magnoliowej. Jutro zamkną się okiennice, muzyka i magia znikną, może na zawsze. Johnny po raz ostatni włożył swoją słynną białą marynarkę. Smutek ścisnął mu serce, ale czuł, że jest za stary, by podołać tak dużemu przedsięwzięciu. Może dyskoteka będzie działać dalej w cudzych rękach, a może budynek zostanie opróżniony lub nawet zburzony. Tak czy owak zajmie się tym już ktoś inny. Rozsunął firanki. Poranne słońce wdarło się gwałtownie przez wysokie okna domu przy Eglantine Avenue, oświetlając nowe skórzane walizki, które kupił z myślą o podróży na Florydę.

Za parę dni znajdzie się o tysiące mil stąd. Declan w tym czasie będzie już żonaty, a za kilka miesięcy urodzi się wnuk Johnny'ego i nadadzą mu nazwisko Greenwood. A za parę lat Declan będzie harował w jednym z miejskich szpitali i ratował ludziom ich pieskie życie, zamiast starać się je upiększyć muzyką. Stanie się szacownym filarem społeczności zgodnie z wolą mamusi. Chyba że najnowszy świetny pomysł Johnny'ego zdoła to wszystko zmienić. Albowiem wyobraźnia Johnny'ego była nieposkromiona. Dzięki niej zdołał się utrzymać przez dwadzieścia lat w branży rozrywkowej. Miał wyczucie trendu; zawsze prędzej niż ktokolwiek inny wiedział, kiedy rzucić przebrzmiewającą modę i wskoczyć do wagonu z nowym szalem.

Z uznaniem spojrzął na swe odbicie w dużym lustrze w holu. Fryzjer zużył wczoraj całą saszetkę farby; ciemne włosy Johnny'ego wyglądały prawie naturalnie. W przyćmionym świetle mógł uchodzić za czterdziestolatka. A dziś chciał wyglądać naprawdę jak gwiazdor. Zamówił w drukarni dwa tysiące złotych biletów wstępu. Już dawno rozprzedano wszystkie. Ostatnia zabawa pod wodzą Johnny'ego miała się rozpocząć o piątej po południu dansingiem dla starszego pokolenia. Sentymentalne piosenki lat pięćdziesiątych — Frank Sinatra, Bing Crosby i im podobni. O dziewiątej gorąca kolacja, potem szybkie sprzątnięcie przed główną imprezą, która rozpocznie się o dziesiątej i potrwa do trzeciej nad ranem. Grane będą największe hity czterech dekad: Elvis, Beatlesi, Bay City Rollers i Spandau, Ballet, by wymienić tylko niektórych wykonawców. Didżej Toni od paru miesięcy wybierał płyty na tę noc. Pod koniec Johnny wygłosi mowę.

Goście, jeśli chcieli, mogli przyjść w strojach z epoki; przewidziano nagrody za najlepsze kostiumy. Gorące posiłki i egzotyczne koktajle miały być serwowane przez całą noc aż do

trzeciej rano. (Rada miejska, acz z ociąganiem, wydała przedłużoną koncesję). Zmobilizowano cały personel, zaangażowano nawet kilka dodatkowych osób i wynajęto zawodowego fotografa, żeby robił zdjęcia w trakcie imprezy. Jeśli Johnny nie pomylił się w obliczeniach, powinien dziś zarobić dwadzieścia tysięcy funtów na samych tylko trunkach i kolejne dziesięć w bistrze. A bilety już przyniosły fortunę. Gdy jeszcze sprzeda dom, będzie się dosłownie tarzał w forsie. Ma dość, by zacząć nowe życie, gdziekolwiek zechce. Musi pamiętać, żeby regularnie odprowadzać pieniądze z kas do sejfów. (Prześladowało go wspomnienie Eugene'a Lolly'ego. Rzezimieszek wciąż był na wolności.)

Ochrona miała się dziś stawić wcześniej, wystrojona w najlepsze garnitury i muszki. Johnny nie życzył sobie żadnych kłopotów. Kazał im starannie sprawdzać wszystkie bilety i pod żadnym pozorem nie wpuszczać gapowiczów. Alex Stone także wrócił na swój posterunek przy drzwiach. Gdy uregulował to, co był winny państwu, Johnny znów go zatrudnił — tym razem legalnie. Świeżo przyjęty w poczet uczciwych członków społeczeństwa Alex stał się obrońcą prawa i poprzysiął nie tolerować żadnych szwindli. Policja miała patrolować ulicę na wypadek, gdyby pojawił się Eugene Lolly, choć raczej nie spodziewano się jego przybycia. Pomimo to ochroniarze przez cały czas zachowywali czujność. Jeśli ta noc przebiegnie bez zakłóceń, obiecano im wysoką premię. James telefonował z Portstewart z życzeniami powodzenia. Nie wybierali się na bal. Babcia wypłakałaby sobie oczy, szepnął James do słuchawki. Johnny to rozumiał.

Marion i Eddy także nie zamierzali przyjść, co było do przewidzenia. Declan natomiast tak. Chłopak był za pan brat z większością personelu, zresztą Johnny osobiście dopilnował, żeby udało mu się dostać bilety. Sam napisał na nich nazwiska Declana i Shirley. Bilet Declana nosił numer 742. Poprzedniego dnia Marion dzwoniła do Johnny'ego i błagała go, żeby pozostawił wszystko tak, jak jest. Może porozmawiać z Declanem przez chwilę, kiedy będzie witał gości. Czy to nie dosyć? Niech zrobi sobie z nim zdjęcie, jeśli chce. Skoro i tak wyjeżdża, czy doprawdy jest tak ważne, żeby poznał Declana? Johnny przyrzekł, że zabierze swój sekret do Ameryki, i zamierzał dotrzymać obietnicy.

Była dopiero dziesiąta rano. O drugiej pójdzie do dyskoteki, otworzy i sprawdzi, czy wszystko zostało należycie przygotowane. Do tego czasu nie bardzo miał czym się zająć. Dom był wysprzątny, spiżarnia zaopatrzona w dostateczną ilość wiktuałów. Marion była głupia, lecz w jednym miała rację: bycie kawalerem jest ekscytujące dla młodego człowieka, ale z biegiem lat traci wiele uroku. Gdyby wówczas się z nią ożenił, teraz oczekiwałby narodzin

pierwszego wnuka. I wdrażał syna w tajniki zarządzania rodzinną firmą. Biedny chłopak zostałby porządnie wychowany, a nie włączył się po uniwersytetach z bandą snobów; to pewne.

Johnny postanowił wybrać się na przejażdżkę, żeby uspokoić nerwy. Dziś wieczorem uściśnie dłoń swego syna, spojrzy mu prosto w oczy i zamieni z nim kilka zdań. Miał nadzieję, że zdoła zachować spokój, gdy o trzeciej tancerze opuszczą dyskotekę i drzwi zamkną się po raz ostatni. Nie przypominał sobie żadnej okazji w swoim życiu, kiedy by publicznie uronił chociaż łzę, i nie miał zamiaru robić tego dzisiaj.

Pojedzie do Newcastle, przejdzie się. plażą i będzie wspominał pikniki, które urządzali tam dla niego dziadkowie, gdy był mały. (Zimny wiatr, piasek w kanapkach i letnia herbata w plastikowych kubkach.) Będzie puszczał kaczki na zatoce i skakał przez kałuże pozostałe w skalnych zagłębieniach. Wpadnie do jakiegoś hotelu na lunch i małą whisky, a może nawet przepuści trochę drobnych w automatach do gry.

Johnny nie był hazardzistą, lecz dzisiejszej nocy będzie grać o najwyższą stawkę. Miał plan, który w ciągu ostatnich kilku dni wielokrotnie na przemian akceptował i odrzucał. Wiedział, że Marion i Eddy będą wściekli. Miał zamiar dotrzymać obietnicy: nie powie Declanowi, że jest jego ojcem. Ale to nie znaczy, że pozbawi go ojcowizny. Plan uległ więc drobnej modyfikacji: podaruje Declanowi dyskotekę wraz z całą dobrą sławą, jaka narosła wokół niej w ciągu lat, ale nie zrobi tego jawnie. Pozwoli mu wygrać lokal na loterii. Declan będzie mógł go sprzedać, by uzyskać pieniądze na studia lub własny dom, albo poprowadzi firmę sam, jeśli zechce. Jest dorosły; niech podejmie decyzję. Tymczasem Johnny pojedzie do Ameryki i zobaczy, czy spodoba mu się dostatecznie, by tam osiąść na stałe. Jeśli nie, wróci i zamieszka z dziadkami w Portstewart. Może otworzy tam małą lodziarnię albo bar, nic wielkiego, ot, tyle, aby nadal codziennie spotykać się z ludźmi. To całkiem dobry plan.

Kilka tygodni wcześniej przyrzekł Eileen, że nie sprzeda dyskoteki za żadną cenę. Nie zabroniła mu jej wszakże oddać. W ten sposób nie złamie więc danego słowa ani nie zdradzi pamięci swych rodziców. Eddy Greenwood nie będzie mógł mu zarzucić, że próbuje kupić sobie miłość chłopca. Nikt nie wiedział, że cokolwiek go łączy z Johnnym. Jego romans z Marion dawno utonął w zapomnieniu. Wszystkim będzie się wydawać, że patrzą na prawdziwe losowanie. Oznaczony numerem 742 bilet Declana na pożegnalny bal będzie również wygrywającym losem na loterii.

Johnny włoży rękę do bębna z losami i wyjmie właściwy zza mankietu koszuli. Żaden prawnik nie zdoła udowodnić, że ciągnięcie zostało sfałszowane. Greenwoodowie także go nie

oskarżą, bo musieliby wówczas ujawnić swój sekret. Nowym legalnym właścicielem dyskoteki zostanie Declan. Jest pełnoletni, nadopiekuńcza matka nie będzie mogła interweniować. Ukradła Johnny'emu syna, okradła go z dwudziestu lat miłości i życia rodzinnego. A wszystko z powodu obsesji na punkcie poczucia odpowiedzialności i tym podobnych burżujskich bzdur. Ale nie uda jej się skraść Declanowi tego, co mu się prawnie należy.

Będzie także kilka mniejszych nagród, aby loteria przebiegła w miłej atmosferze i wszystko wyglądało jak się patrzy. Parę butelek whisky i dobrego wina, kilka premii pieniężnych, duża i efektowna nagroda za najlepszy kostium. Ale gwoździem programu będzie główna wygrana — sama dyskoteka. Wysokie „C”, którym Johnny zakończy swą karierę w branży rozrywkowej.

— Mam nadzieję, że zachowaliście państwo swoje bilety, jak prosiłem — rzekł do lustra w holu. — Lepiej usiądźcie, panie i panowie, bowiem główna nagroda zwali was z nóg! — Nabrał powietrza i przytrzymał je w ustach przez kilka chwil, nim wypuścił. Do licha! On też nie mógł się skarżyć na brak emocji!

Wzwał niebieskie zamszaki, przeczesał grzebieniem lśniące czarne włosy i tanecznym krokiem wybiegł z domu do czekającego nań w garażu błękitnego lincolna.

29.

FRUSTRACJE I PALPITACJE

Kate przysiadła ostrożnie na swoim udekorowanym torebkami łóżku i wydała z siebie głębokie westchnienie, które poruszyło nią aż po czubki białych skórzanych czólenek. Mała biała sypialnia była jej sanktuarium przez trzydzieści lat. Otoczona swoimi ślicznymi rzeczami, przy wtórze kojących pobrzękiwań dobiegających z matczynej kuchni, tutaj — i tylko tutaj — zawsze czuła się bezpieczna. Kiedy dzienniki pełne były doniesień o brutalnych zabójstwach i rosnącym współczynniku bezrobocia, tu mogła się przed nimi schronić. Kate przez całe życie zamykała oczy i uszy na Konflikt oraz inne smutne rzeczy. Tak jak wielu ludzi nie mogących się pogodzić z atakującą ich zewsząd przemocą, emocjonalnie już dawno wyprowadziła się z Belfastu. Żyła w bańce mydlanej, zajęta torebkami, przelotnymi romansami i plotkami z życia gwiazd. Teraz uświadamiała sobie, że jej rodzice robili to samo: przerażony ojciec uciekał do swojej szopy, matka odreagowywała zbierając fajansowe ozdóbki i wyszywając poduszki. W

pracy, zmuszeni patrzeć na przywożone karetkami szczątki ludzi, którzy kiedyś byli młodzi i silni, mówili sobie: „Nic nie słyszę. Nic nie wiem. Nic nie czuję”. Brali się za swoje mopy i ścierki i zmywali krew. Shirley dawniej pytała, dlaczego nie przeprowadzą się do Anglii albo Republiki Irlandii i nie złączą nowego życia w spokojniejszym miejscu. Rodzice wzruszali ramionami: „A cóż byśmy tam robili?

Nasze miejsce jest tutaj. Tam zawsze bylibyśmy obcy, do końca naszych dni”. Kate wolałaby być imigrantką, niż chodzić do szkoły po wypalonych chodnikach zasypanych potłuczonym szkłem, ale jako dziecko nie mogła sama wyjechać z Belfastu.

Na toaletce stał w wysokim flakonie wielki bukiet białych róż. Dostała je od Kevina. Kate namiętnie uwielbiała róże, uważała je za najpiękniejsze kwiaty świata. Jakże to typowe dla Kevina, że obsypuje ją kwiatami, choć wydał już fortunę na remont domu. Róże upamiętniały pierwszy raz, gdy kochali się na całego w podwójnym łóżku w sypialni przy Lisburn Road. Było całkiem przyjemnie, Kevin zrobił, co w jego mocy, żeby ją zaspokoić. Niestety, leżąc uśmiechnięta w jego ramionach, więcej myślała o pięknym wezglowiu łóżka niż o nim. Żałowała, że Kevin tak słabo ją pociąga. Miał przecież piękne nogi — pełne, mocno umięśnione uda, gładkie kształtne kolana i smukłe kostki. Nawet stopy były całkiem ładne: małe jasne paznokcie i żadnych wysadzonych żył, odstręczających u niektórych mężczyzn. W normalnej sytuacji uznałaby takiego kochanka jak Kevin za dar niebios, ale teraz czegoś jej brakowało. Tym czymś było podniecenie. Chciała, żeby serce podchodziło jej do gardła, gdy zaczyna rozpinąć mu koszulę. Chciała drzeć z pożądania, nie ze strachu.

Pogodziła się już z myślą o małżeństwie. Lubiła Kevina; w pewnym sensie nawet go kochała — na tyle, żeby za niego wyjść. Układało im się zaskakująco zgodnie, wciąż jednak nękały ją wątpliwości. Czowała, że powinna wyjawic je Kevinowi i być może iść razem z nim do poradni. Ale łatwiej było jej płynąć z prądem, niż wycofywać się tuż przed ślubem. Pół Belfastu znało historię gwałtownej miłości Kate Winters i Kevina McGovern, zauroczonych sobą tak, że po paru dniach znajomości postanowili się pobrać. Wieść o nich przedostała się nawet do mediów (znajoma sąsiadki z Saintfield Road pracowała jako sprzątaczką w gmachu telewizji). Oczekiwano, że lada moment przed domem państwa Winters pojawi się wóz transmisyjny z Pamelą Ballantine. Pani Winters wypolerowała ustawione w meblościance figurynki i zwiększyła zapas herbatników do dwudziestu puszek. (Kręcenie filmów to ciężka praca, ludzie muszą coś jeść — mówiła, gdy ktoś ją zapytał.)

Kate powtarzała sobie do znudzenia, że Kevin będzie dobrym mężem. Musiałaby oszałeć, żeby odwoływać ślub tylko dlatego, że nie zgłupiała na punkcie narzeczonego tak, jak smarkata Shirley ze swoim Declanem. Dwudziestego pierwszego kwietnia Kate wyjdzie za mąż, a potem będzie miała czas się martwić seksem i rozmnażaniem. Słyszała opinię, że mężczyźni odczuwają pociąg do swoich żon zaledwie przez pierwsze dwa lata, a gdy ten „miodowy” okres minie, wolą leżeć przed telewizorem, oglądać transmisje zawodów sportowych przez szesnaście godzin dziennie, pić piwo i tyć. Twierdzono również, że po narodzinach dziecka miłość, która połączyła parę, przenosi się na latorośl (jakby nie było jej dość, by obdzielić wszystkich). Kate nie mogła się zdecydować, czy ta ludowa mądrość pociesza ją czy przygnębia.

Zapytała Shirley, czy wierzy w teorię o krótkotrwałym pożądaniu. Przyciśnięta do muru gradem pytań Shirley przyznała w końcu, że Declan z pewnością będzie ją pociągał do końca życia. Tak, nawet kiedy przytyje i zacznie łyseć. Tak, nawet kiedy oboje będą już starzy, wciąż będzie go kochać z takim samym ogniem. Niech to szlag! Kate dotąd nie zdołała się oswoić z perspektywą starości, a co dopiero miłości na starość! A w niebie? Czy w niebie Shirley nadal będzie go pragnąć? Jeśli istnieje niebo czy w ogóle życie pozagrobowe, z całą pewnością będzie go kochać i po śmierci. (W tym momencie oczy Shirley rozjarzyły się jak gwiazdy i zadeklarowała, że nawet jeśli będą tylko dwiema smużkami dymu w odległym wszechświecie, odnajdzie go i dalej będą lecieć razem. Co za bzdura! Kate nie snuła aż tak dalekosiężnych planów.)

Ślub miał się odbyć za kilka dni. Złota, ciężka od ozdób suknia wisiała na drzwiach szafy. Kate nie była może pewna osoby wybranka, ale co do sukni ślubnej nie miała wątpliwości. Pyszniła się swoją figurą, zwłaszcza biustem, i zamierzała się nim pochwalić. Dekolt był tak wielki, że księdzu z pewnością groził atak serca. Dobrze mu tak! Od wieków kobiety traktowane są instrumentalnie: w zaciszu alkowy odziera się je z szat, na ulicy zaś każe zapinać po szyję. Uczy się je wstydzic swoich ciał i potrzeb erotycznych. Po co ta komedia z białą dziewiczą suknią, kiedy wszyscy weselnicy zdają sobie sprawę, że po ceremonii para młoda pędzi do hotelu, zrzuca ślubne stroje i natychmiast zabiera się do kopulacji. Czyż nie o to chodziło od samego początku? Rodzaj ludzki nie przetrwałby bez seksu i chyba najwyższy czas, by pruderyjne społeczeństwo wreszcie to sobie uświadomiło. Obrączka jest tu tylko nic nie znaczącym ozdobnikiem. Shirley miała co do tego rację. Shirley ostatnio w wielu sprawach miała rację, co bynajmniej nie poprawiało Kate humoru.

Jedyny problem polegał na tym, że biedna Shirley będzie przy niej wyglądać jak druhna, co niejednokrotnie wytknęła jej już matka. Shirley była innego zdania. Obie sukienki są cudowne, mówiła. I dobrze, że się różnią, ostatecznie nie są z Kate jednojajowymi bliźniaczkami. Pod jej wpływem złota suknia zyskała ostatecznie błogosławieństwo Marthy Winters. Kate zgodziła się na bukiet z żółtych róż, żeby pasowały do słoneczników Shirley. Druhny, dwie koleżanki z pracy, również miały wystąpić w żółtych sukniach. (Te kupiono w innym butik w myśl słusznego założenia, że Marion Greenwood może już mieć dość rozdawania towaru za darmo.) W sumie więc główni aktorzy ceremonii mieli stworzyć bardzo awangardową i wyrefinowaną artystycznie barwną kompozycję. Nawet pani Winters musiała przyznać, że różowa satyna wszystkim się już znudziła. Pan Winters nie wypowiadał się na temat konfekcji. Kiecka to kiecka, oznajmił sucho, a jego interesuje tylko, żeby dwaj oblubieńcy nie dali nogi wystrychnąwszy narzeczone i teściów na dudka. Kate powiedziała mu, żeby nie zrzędził, tylko płacił. Odnalazł więc swoją książeczkę czekową, zdmuchnął z niej kurz i wypisał czek za kwiaty wywiązując się tym samym z ojcowskich obowiązków.

Obok szafy na miękkim fotelu leżał wysoki diadem z kryształowymi wisiorkami, para złotych satynowych pantofelków, ściągana torebeczka z tej samej tkaniny, obroża z siedmiu rzędów perełek, koronkowe podwiązki i komplet bardzo eleganckiej bielizny oraz nowy flakonik perfum Chanel. A także klucze do domu Kevina (remont dobiegł już końca). Obok róż na toaletce spoczywały dwa duże ozdobne bilety na ostatnią dyskotekę u Hogana. Wypisano na nich ładnym charakterem pisma nazwiska Kate i Kevina. Nosiły numery 334 i 335. Wzdłuż dolnej krawędzi biegł napis drobnym druczkiem: *Prosimy okazać bilety przy wejściu i zachować je na czas trwania imprezy.*

Kevin miał przyjechać po nią godzinę wcześniej i zabrać na spokojnego drinka przed rozpoczęciem zabawy. Ostatnio wdrożył się w rolę narzeczonego i wypełniał ją tak sumiennie, że Kate zaczynała czuć przesyt. Codziennie widywali się w pracy. Po południu wpadał do niej albo dzwonił — czasem nawet dwukrotnie w ciągu jednego wieczoru. Zaaprobował wszystkie plany Kate związane ze ślubem. Wykupił luksusową podróż poślubną i zgodził się ubrać w złoty garnitur i połyskliwą koszulę spiętą pod szyją wysadzaną żółtymi i różowymi kamieniami broszą wielkości spodka. Jakby tego było mało, zwisały z niej ozdobne wisiorki. Liberace byłby się spalił ze wstydu, ale Kevin był twardy. To miał być wielki dzień Kate i zrobiłby wszystko, żeby ją uszczęśliwić.

Kevinowi rzecz jasna nie podobał się ten strój, o wiele za wymyślny nawet jak na jego standardy. (Szczęściarz Declan wymigał się czarnym garniturem, białą koszulą i granatowym krawatem.) Mniejsza z tym. Nie mógł się już doczekać wyjazdu z Kate na Barbados. Mieli tam spędzić dwa tygodnie w domku na palach ze szklaną podłogą, przez którą widać przepływające pod spodem barwne ryby. (Ryby nie interesowały Kevina aż tak bardzo jak różowe sutki Kate, którym zamierzał poświęcić większość swej uwagi.)

Kate także wiele myślała o tej podróży. Zamartwiała się, choć niespecjalnie wiedziała czym. Gdyby tylko mogła znów poczuć tamto podniecenie, które pamiętała z czasów Seana Doherty'ego (Sean dawał susa przez najbliższy mur, a ona zostawała sama na chodniku, zmuszona stawić czoło czterem gburowatym policjantom. W czasach największego nasilenia Konfliktu zawsze patrolowali ulice czwórkami.) Dlaczego wciąż o nim myśli? Sean pewnie od dawna siedzi już w więzieniu. Czyżby szła w ślady tych politowania godnych kobiet, które wypisują żalosalne listy miłosne do pensjonariuszy zakładów karnych o zaostrzonym rygorze?

Na miłość boską, przestań, zbesztala się w duchu. Shirley bez słowa skargi tyra w biurze, znosi zmęczenie i apetyt na truskawki, podejrzliwe spojrzenia panny Bingham i ciągle namowy swojej przyszłej teściowej, żeby zrezygnowała z pracy i pozwoliła sobie kupić dom. Zachowuje przy tym stoicki spokój i krew zimną jak igloo pełne pingwinów. A przecież to w gruncie rzeczy jeszcze dziecko. Kto by pomyślał? Jeszcze tak niedawno bała się spojrzeć śmieiej na Declana Greenwooda w sklepie z płytami, a teraz swobodnie rozprawia o ciężówkach i urlopie macierzyńskim.

Gdy tymczasem ona, Kate Winters, kobieta doświadczona i światowa, nie może się zdecydować, czy ma wyjść za uroczonego, mądrego i opiekuńczego mężczyznę. I z łezką w oku wspomina, jak obściskiwala się z nastolatkiem w dziurawej kurtce, z samodzielnie wykonanymi za pomocą długopisu tatuażami. Co za wstyd! Kończy się i tyle. Jezu, znowu to drzenie! Nasilające się łaskotanie w sercu, zwiastun znieawidzonych palpacji. Miała już dość tych tajemniczych symptomów. Wykańczała ją ciągła obawa, że znów się zaczną. To była tortura, gehenna, a nie zwykły lęk. Lekarka na pewno ją okłamuje. Musi jej dolegać coś znacznie poważniejszego, nowotwór mózgu albo jakiś wylew, przez który nie potrafi już myśleć logicznie. Shirley radziła jej iść do przychodni i poprosić o skierowanie na badanie zawartości cukru we krwi. Może ma cukrzyce? A przy okazji niech poprosi o ulotkę na temat alkoholizmu u kobiet, na wypadek gdyby jej objawy miały z tym związek. Cała Shirley! Ostatnio zrobiła się strasznie dorosła, z macierzyńską powagą udzielała dobrych rad i mówiła o

zbliżającym się porodzie tak lekko, jak gdyby miała już gromadkę dziatwy. Przestań histeryzować, nakazała sobie Kate. Weź się w garść, ty cholerna idiotko! Może Shirley ma rację — powinna dorosnąć, mniej pić i dziękować Bogu za Kevina McGoverna, który toleruje jej dzikie ekstrawagancje.

Louise Lowry też zachowywała się dziwnie. Przed kilkoma dniami ni mniej, ni więcej tylko podeszła do Kate na ulicy i zaproponowała zgodę. Najwyraźniej zamierzała puścić w niepamięć historię o szklanym oku w miętówkach. Co było to było, powiedziała. Kate ma teraz Kevina, a ona Alexa, który jest bardzo gorącym kochankiem. Ma warunki i zapal młodego byka. Tak więc nie może się czuć pokrzywdzona. Pogratulowała Kate z okazji zbliżającego się ślubu. Kevin McGovern to przemiły chłopak, mimo że zarabia na życie handlując narkotykami w Carryduff.

Narkotyki?! Kate była pewna, że się przesłyszała. Kevin nigdy nie wspominał o narkotykach. Nawet nie palił tytoniu. Owszem, miała może słabość do łobuzów, ale nie do zbrodniarzy, na Boga!

— Musiałś go z kimś pomylić! — wykrzyknęła i dodała machinalnie: — Jezu, ale ty masz wielkie ręce!

— Trudno się dziwić, że ci nie powiedział — odparowała Louise wpychając ręce do kieszeni. — Ludzie na ogół nie chwalą się takimi sprawkami. Tym bardziej że tak krótko się znacie. Skąd miał wiedzieć, czy może ci zaufać? W tamtym rejonie jest znany jako Letniskowy Baron, nie wiedziałaś o tym? Rozprowadza towar wśród właścicieli domków letniskowych, to zresztą dość dyskretne towarzystwo.

— Łżesz jak pies, Louise. Gdyby rzeczywiście było o tym wiadomo, już dawno siedziałby za kratkami. Czemu nikt go nie aresztował, może mi odpowiesz?

— Pewnie dlatego, że połowa glin w Carryduff też pali marychę. Z nudów, bo nie mają tam nic do roboty. To dzielnica willowa, nie slumsy pełne żebraków i złodziei jak Saintfield Road!

Oczywiście Kate jej nie uwierzyła. Głupia dziwka mówi tak, żeby jej dokuczyć. Ale wątpliwości pozostały. Czy rzeczywiście Kevin zarobił tyle pieniędzy wyłącznie naprawiając samochody? I jakież to irytujące, że Alex okazał się namiętym kochankiem z Louise Lowry, gdy ją tak haniebnie zawiódł! Samoocena Kate omal nie legła w gruzach. Możliwe, że podniecały go prostaczki, tłumaczyła sobie; w towarzystwie kobiet z klasą dławił go kompleks niższości. Niektórzy mężczyźni mieli takie problemy. A może Louise zna jakieś erotyczne

sztuczki, których nie zna Kate? A może po prostu jest zmęczona po trzech miesiącach intensywnych zakupów. Wyczerpana opadła na swą śnieżnobiałą pościel i zapadła w sen.

Podczas gdy wskazówki zegara wolno pełzły w kierunku godziny dziewiątej, udręczony mózg Kate nawiedzały jedna po drugiej przerażające sceny. Alex i Louise uprawiali ostry seks na połamanym łóżku zasłanym miętówkami; młody ksiądz z czerwonymi z podniecenia uszami zaglądał jej w dekolt zapominając o ceremonii ślubnej; Letniskowy Baron w złotym garniturze rozdawał weselnikom jointy i pigułki. Za cały ten cyrk odpowiedzialne było dziecko Shirley. Co gorsza, miało ono również pod komendą hordy jej przyszłych dzieci, o których tak marzył Kevin. Kate widziała je wyraźnie: wrzeszczały, biły się między sobą i niszczyły białe meble brudnymi rączkami. Musiała zatrudnić nianię, która okazała się sadystką. Ale Kevin nie dbał o to; obłapiał ją w dzień i w nocy, ze wstrętem patrząc na ciężarne ciało Kate, poznaczone brzydkimi rozstępami. No i dobrze, pomyślała przez sen. Nareszcie będzie mogła odpocząć od opętanego męża erotomana. Obudziła się mokra od potu, kurczowo ściskając poduszkę. Niecałe dwa metry nad nią wisiał jej ukochany zyrandol. Będzie jej brakować tego widoku każdego ranka.

Do licha, robi się taka sama jak Shirley: filozofuje i zastanawia się nad każdym drobiazgiem. Niech to szlag! W przypiływie rzadkiego obiektywizmu Kate uświadomiła sobie, że wbrew pozorom nie wdała się w despotyczną matkę. Była kopią swojego tchórzliwego ojca. On chował się w szopie, ona w swojej sypialni. Ważne decyzje oboje pozostawiali matce. Kate nie chciała dorosnąć i dźwigać na barkach ciężaru odpowiedzialności za swoje czyny. Chciała nadal jeździć z koleżankami na wakacje, a nie uczyć się gotować potrawkę z wołowiny, płacić rachunki i karmić piersią głodne niemowlęta. Piersi służą do pokazywania w obcisłych gorsecikach i niczego innego. A sprzątanie? Nie widziała się w roli operatorki odkurzacza. Sama przez cały dzień w domu Kevina? Już ta myśl sprawiła, że poczuła się chora.

— Jaka szkoda, że nie pracuję już w urzędzie — powiedziała na głos. — Nawet z tą diabolicą Bingham. Życie było wtedy znacznie prostsze. Miałam przy sobie Shirley i nigdy nie byłam sama.

I to była kropla, która przepełniła czarę.

Kate zerwała się z łóżka i pospiesznie zaczęła zbierać swoje torebki. Obwiesiła nimi ramiona i przedramiona, dwie umieściła nawet na szyi. Udało jej się pochwycić dwadzieścia pięć sztuk, nim do reszty opanowała ją panika. Runęła ze schodów omal nie łamiąc nóg, strąciła dwie doniczki z parapetu i zawołała do zdumionych rodziców:

— Powiedzcie Kevinowi, że ślubu nie będzie. Wyjeżdżam z kraju!

Ceramiczna figura Matki Boskiej z wgłębieniem na wodę święconą wylądowała na podłodze, tracąc złożone do modlitwy ręce. Po krótkiej szamotaninie z wieszakiem na kapelusze Kate wypadła na ulicę i pobiegła chodnikiem, machając na taksówkę.

Wiedziała już, co zrobi. Ucieknie do Paryża i otworzy własny ekskluzywny butik z torebkami. Sama będzie je projektować. Co z tego, że nie ma studiów plastycznych? Komu potrzebny dyplom? Liczy się miłość do przedmiotu twórczości. Nagle pojęła, że do tego została stworzona. Dlaczego dotąd nie przyszło jej to do głowy? Wskakując do taksówki na Lisburn Road zgubiła dwie torebki (czerwoną wyszywaną w tulipany i czarną aksamitną kopertówkę zdobioną sztucznymi szmaragdami). Pospiesznie zatrzasnęła drzwi.

— Prędko, na lotnisko! — wydyszała. — Muszę zdążyć na samolot do Paryża!

— Na które lotnisko, skarbie?

— Wszystko jedno. — Kate wsadziła do ust swoją kartę kredytową i przygryzła ją, zostawiając płytkie ślady zębów. — Takie, skąd jest najwięcej połączeń. Szybciej!

Skuliła się na siedzeniu. Twarz miała zdrętwiałą z napięcia, domy, sklepy i ludzie za oknami zlewali się w nieczytelne smugi. Kate drżała na całym ciele, było jej niedobrze i kręciło się w głowie. Próbowwała kontrolować oddech zgodnie z zaleceniem lekarza, ale wciąż myliła się w rachubie sekund. Zamiast tego więc skoncentrowała się na swoim paryskim butik. Będzie w nim lada pokryta srebrną mozaiką i wielkie lustro jak te, które wiszą w królewskich pałacach. Nauczy się francuskiego, będzie jadła bagietki i te ich sery. Może sprawi sobie małego pokojowego pieska, żeby dotrzymywał jej towarzystwa, gdy zostanie milionerką. Będzie mu wiązać kokardki.

— Niechże pan się pośpieszy! — jęknęła. — Spóźnię się.

— Wedle życzenia — mruknął taksówkarz i nacisnął gaz.

DRAMAT NA ALDERGROVE

Nim zapłakana Kate dojechała na lotnisko, atak paniki wygasł, pozostawiając zmęczenie i senność. Kierowca taksówki w ogóle nie spostrzegł, że coś jej dolega, zapatrzony w jej liczne torebki i kusą spódniczkę. Jeśli cokolwiek go zdziwiło, z pewnością złożył to na karb strachu przed lataniem. Zatrzymał się przed terminalem, szarmancko otworzył drzwi i cierpliwie czekał, aż Kate znajdzie pieniądze. W kolejnych torebkach uzbierało się niewiele więcej, niż kosztował kurs. Do tego Kate przypomniawszy sobie, że nie wzięła paszportu. Nie może dziś lecieć do Paryża. Może uda się jej dostać do Londynu, tam zatrzyma się w hotelu i poprosi Shirley, żeby przysłała jej paszport? Poszła do kawiarni, chcąc się zastanowić nad dalszą podróżą przy filiżance herbaty. Jej torebki ściągały powszechną uwagę; niektórzy podróżni doszli widać do wniosku, że jest obnośną handlarką i powiadomili ochronę lotniska. Natychmiast pojawiło się dwóch ponurych młodych mężczyzn. Uprzejmie, lecz zimno poprosili Kate, żeby poszła z nimi. Zabrali ją do oddzielnego pomieszczenia, gdzie musiała się tłumaczyć, że wkrótce wychodzi za mąż i w związku z tym jest trochę podenerwowana, ale nie stanowi zagrożenia dla porządku publicznego. Okazano jej pełne zrozumienie. Wiadomo, że kobietom czasem trudno jest zapanować nad uczuciami. Dostała herbatę i kilka dużych reklamówek, żeby spakowała w nie swoje torebki. Pozwolono jej też skorzystać z telefonu w biurze.

Kate z pewnymi oporami postanowiła zadzwonić do matki i poinformować ją, że chwilowo porzuciła myśl o emigracji. Nie ma dość energii na start w Paryżu. Znacznie bardziej kuszący wydał jej się pomysł, żeby wrócić do domu, położyć się do łóżka i przespać najbliższe sto lat. Przeczuwała jednak awanturę i miała rację. Gdyby matka mogła przecisnąć się przez kabel telefoniczny, już by tu była, żeby urwać jej głowę przy samej pupie. Pani Winters posiadała zdumiewającą umiejętność mówienia i oddychania jednocześnie, dzięki czemu w jej tyradach nie było żadnych przerw. Kate odsunęła słuchawkę na długość ramienia i przygotowała się na wybuch.

— Kate? To ty? Gdzie jesteś? Wszyscy się tu o ciebie zamartwiamy!

— Jestem na Aldergrove.

— Na lotnisku? Słyszycie? Żyje, jest na lotnisku. Co ty do cholery wyprawiasz, dziewczucho? Do reszty ci odbiło? Ojciec nie chce wyjść z szopy, powiada, że ma dość stresów, a ten wasz ślub go wykończy! Masz natychmiast wracać do domu i zaprzestać tych wyglupów! Biedna Shirley od dawna próbowała cię ostrzec, że powinnaś zacząć panować nad sobą, ale ty oczywiście nie chciałaś jej słuchać. Declan tutaj mówi, że cierpisz na lęki i że to da się wyleczyć terapią relaksacyjną. Moim skromnym zdaniem to już szczyt wszystkiego, ty leniu śmierdzący, książki byś mogła pisać, jak się nic nie robi, a oni każą ci się relaksować, dobre sobie! Zresztą idź, idź do lekarza, może da ci jakieś tabletki na zmądrzenie. Chociaż lepiej byś się od czasu do czasu pomodliła. A właśnie, rozbiłaś kropielnicę. Skończysz jak moja ciotka Betty, co to zaczęła brać na uspokojenie w pięćdziesiątym drugim roku, kiedy wujek George zginął po zderzeniu z ciężarówką pełną lemoniady, i nie przestała już aż do śmierci w siedemdziesiątym dziewiątym. A i tak kiedy widziała reklamę lemoniady, zaraz zaczynała się trząść i krzyczeć i trzeba jej było dawać zastrzyk. Ty już idziesz w jej ślady! Myślałam, że zemdleję, kiedy wybiegłaś z domu wrzeszcząc jak opętana! Nawet „do widzenia” nie łaska było rodzicom powiedzieć! Nic szacunku! I jak chcesz wyjechać z kraju, skoro twój paszport leży w puszcze po biszkoptach w szafce w przedpokoju? Wpędzisz mnie do grobu, dziewczyno, ja już jestem za stara na te twoje dziwactwa, mam sześćdziesiąt jeden lat! Chcesz, to się relaksuj, w ogóle rób, co chcesz, byleś zeszła mi z oczu. Bardzo jestem ciekawa, co na to wszystko powie twój narzeczony? I czy zechce wziąć sobie na garb wariatkę! I w końcu zmarnuje się taka droga suknia. To ciężki grzech, kiedy suknia kosztuje więcej niż...

— Gdzie jest Kevin? — wtrąciła z westchnieniem Kate, porzucając nadzieję, że znajdzie współczucie. Nawet gdyby w ostatnim stadium raka mózgu wisiała na końcach palców nad przepaścią, a po nosie łąził jej jadowity skorpion, kochana mamusia kazałaby jej natychmiast przestać się wyglupiać. Nie, na zrozumienie nie ma dziś co liczyć. Lepiej przejść do spraw praktycznych.

— Jak to gdzie? W warsztacie! Biedak tyra po godzinach, żeby nastarczyć na wszystkie twoje zachcianki! Nowe okna, nowe meble, maszyna do zmywania naczyń, wysuwana deska do prasowania, złocene kurki, co jeszcze? Książniczka się znalazła! Ja dwa dni po ślubie jeździłam już z powrotem na szmacie po szpitalu. Zanadto cię rozpuściłam i to wszystko moja wina. Wszystko uchodziło ci bezkarnie. Cud, że nie wyrosłaś na morderczynię! Powinniśmy byli przeczuć, co się święci, kiedy ukradłaś pieniądze na ofiarę! Należało ci się wtedy takie lanie, jakiego świat nie widział, ale ojciec cię oczywiście nie tknął i mnie też nie pozwolił. I co?

Teraz potrzebny ci lekarz. Rozpychasz się łokciami i wszystkich masz za nic, moja panno, biedna Shirley dzieli się z tobą weselem, żebyś chociaż jej podziękowała! Nie masz w sobie nawet odrobiny wdzięczności! Myślisz, że wszystko ci się należy! Pani Greenwood też nie musiała ci iść na rękę. Ta suknia i orkiestra kosztowały ją tyle, że normalny człowiek by od tego osiwiiał... — Pani Winters przerwała, żeby wytrzeć nos i Kate wykorzystała swoją szansę.

— Mamo, czy mogłabyś kogoś przysłać po mnie na lotnisko? Zabrakło mi pieniędzy.

— To mnie akurat nie dziwi. Przeszukaliśmy twój pokój, bo nikt nie miał pojęcia, co ci się właściwie stało, i powiadam ci, nawet nie podejrzewałam, że masz aż tyle szmat. Można by w nich brodzić po kolana! Jak Boga kocham, nie wiem, czym sobie na to wszystko zasłużyłam. — Pani Winters obróciła się do obecnych w pokoju. — Chce, żeby ktoś odebrał ją z lotniska. Nie, Declan nie pojedzie. Siadaj, Declan. Powiedziałam, siadaj! — Westchnienie. — Kate Winters, zdajesz sobie sprawę, ile narobiłaś nam wszystkim kłopotu? Declan i Shirley za niecałą godzinę idą do dyskoteki i nie będą cię wozić po nocy. Zadzwonię do Kevina, chociaż prawdę mówiąc, powinnam ci kazać przyjść do domu piechotą, ty nieodpowiedzialna dziewczucho!

— Nie! Nie mów Kevinowi, co zrobiłam i gdzie jestem. Po prostu wpadłam w panikę, ale już mi przeszło, naprawdę. — Nie było sensu mówić matce, że przeszła załamanie nerwowe. W pojęciu pani Winters tylko zdegenerowane gwiazdy filmowe miały załamania, a to dlatego, że nadużywały szampana i narkotyków i nie miały żadnych obowiązków.

— A kogo innego mam poprosić? Wiesz, że nie mamy samochodu. Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim wystraszyłaś nas wszystkich na śmierć. Teraz idę do kościoła pomodlić się za ciebie, a ty możesz się w tym czasie zastanowić, co powiesz temu biednemu chłopcu, kiedy go zobaczysz. Do widzenia! — Pani Winters z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Kate delikatnie opuściła swoją na widelki. W sumie nie poszło tak źle, pomyślała. Matka najwyraźniej w lot pojęła sytuację. Zwykle trzeba jej było wszystko powtarzać kilka razy, zanim dotarło do niej, co się dzieje. Kate usiadła na krześle i roztarła ramiona. Zrobiło jej się bardzo zimno.

— Czy ktoś po ciebie przyjedzie, kochanie? — spytała miła pani z biura. — Nie ma się czego wstydzić. Strach przed lataniem, co?

— Tak — powiedziała Kate. — Tak, to chyba to. Wracam do domu. Mój chłopak mnie odbierze.

— No to świetnie. Zostawię cię tutaj w spokoju. A może przesiadłabyś się na sofę? Będzie ci wygodniej. — Zaprowadziła Kate za obite błękitnym filcem przepierzenie i dała jej koc, żeby się okryła. Kate była jej tak wdzięczna, że uściskała uśmiechniętą kobietę i ledwie zdążyła usiąść, już spała. Czterdzieści pięć minut później do budynku wbiegł Kevin. Kiedy Kate się przebudziła i zobaczyła go klęczącego na podłodze obok sofy, wybuchnęła płaczem. Miał taką zmartwioną minę.

— Kate, co się stało?

— Nic. Już w porządku. Przepraszam cię za wszystko.

— Co się stało, kochanie?

— Nic, nic. Poczułam się nagle jakoś... głupio.

— Strach cię obleciał?

— Nie. Nie w tym sensie, który masz na myśli — skłamała. Dygotała ze strachu od stóp do głów.

— Wybierałaś się gdzieś?

— Rozważałam taką możliwość.

— Ale dlaczego?

— Za dużo wrażeń. Mówiąc szczerze, mam dziś problemy z logicznym myśleniem.

— Mieliśmy iść na bal.

— Przepraszam, ale jestem strasznie zmęczona.

— I tak już za późno. Zanim dotrzemy do centrum, będzie północ.

— Proszę, zabierz mnie do domu. — Kate złożyła koc i położyła go na sofie. — Jezu, jak tu zimno. Fajny koc, ciekawe, gdzie się takie kupuje?

— Włóż moją kurtkę. — Kevin zdjął skórzaną kurtkę i otulił nią Kate. Pachniała olejem silnikowym, ale była ciepła i Kate z rozkoszą się w niej zanurzyła. Uśmiechnęła się.

— Dzięki, Kevin. To przemile.

— Chcesz odwołać ślub?

— Nie.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— To co robisz na lotnisku?

Kate doszła do wniosku, że powinna spróbować zwalić winę na kogoś innego. Zawsze tak robiła, kiedy była w tarapatkach.

— Louise Lowry powiedziała mi, że handlujesz narkotykami.

— Co?!

— Letniskowy Baron. To twoja ksywa.

— A ty jej uwierzyłaś?

— Nie wiem. Wydałeś na mnie kupę pieniędzy. Dom. Podróż poślubna. To w sumie tysiące funtów...

— I pomyślałaś, że nie byłoby mnie na to stać, gdybym nie handlował narkotykami?

— Nie wiem. Wpadłam w panikę.

— Wziąłem potężny kredyt w banku, głuptasie! A jak twoim zdaniem ludzie pokrywają zwiększone wydatki?

— Nie wiem. Ja przeważnie robię zakupy z katalogów.

— I co robisz, kiedy brakuje ci pieniędzy na spłatę rachunków?

— Proszę rodziców.

— Kate, Kate! Masz trzydzieści lat, a zachowujesz się jak dziecko!

— Wiem. — Kate była naprawdę załamana.

Robiło się późno i żadne nie wiedziało, jak się ma zachować.

— Czy coś jeszcze cię martwi? — spytał Kevin.

— Dziecko.

— Dziecko Shirley?

— Tak. I nasze dzieci. Boję się bólu.

— Dadzą ci prochy.

— To jednak znasz się na prochach! Oboje zaśmiali się z przymusem.

— Mimo to się boję — ciągnęła Kate. — Nie chcę, żeby obcy ludzie zaglądali mi we wstydlive miejsca. I wtykali te wszystkie metalowe narzędzia, które pokazują w thrillerach medycznych... Nie zniosę tego.

— Powtarzasz słowa swojej matki. W czasie porodu nie będziesz o tym myśleć. Znajdziesz się w rękach fachowców. Nie pozwolą ci cierpieć.

— Skąd wiesz? A jeśli nie zdążymy do szpitala? A jeśli nie wytrzymam bólu, będę krzyczeć i krzyczeć, aż całkiem oszaleję? Wiem, że niektórym trudno to jest zrozumieć, ale nerwowej osobie nie wystarczy powiedzieć: „uspokój się”. To nie działa.

— Jeśli aż tak się martwisz, możesz zaplanować cesarskie cięcie, o ile tylko lekarz się zgodzi. A ja przez cały czas będę cię trzymał za rękę.

— Skąd ty w ogóle wiesz o takich rzeczach?

— Skarbie, wszyscy o tym wiedzą. Możesz mieć prywatnego lekarza. Jak płacisz, dostajesz wszystko, czego chcesz. Zrobią ci cesarkę i nie będziesz musiała znosić bólów porodowych. Będziesz miała własny pokój w szpitalu. Nikt nie będzie się gapił. A ja nie odstąpię cię nawet na krok.

— Nie znam się na dzieciach...

— Ja też nie. Będziemy się uczyć razem. Kupimy sobie podręcznik.

— Nie potrafię nawet usmażyć jajecznicy. Zawsze się przypala.

— Nie szkodzi. Będziemy jedli gotowane jajka. I na zmianę smażyli kotlety. Ja nie jestem grymaśny do karmienia.

— Nie chcę się zestarzeć. — Po twarzy Kate potoczyły się łzy.

— Raczej nie chcesz dorosnąć. Prawda?

— Nie wiem. Boję się — chlipnęła Kate.

— Kate, zamężna czy samotna będziesz miała tyle samo lat. Małżeństwo to dobra rzecz. We dwoje jest łatwiej. Można sobie nawzajem pomagać.

— Wiem. Tylko że...

— Nie płacz, kotku. Zawiozę cię teraz do domu i tam odpoczniesz. Powiemy Declanowi, żeby wzięli ślub bez nas. My zrobimy to kiedy indziej, jeśli wciąż będziesz chciała za mnie wyjść.

— Ale, Kevin...

— Nie ma sensu robić tego na siłę, skoro masz tyle wątpliwości. Myśl o ślubie powinna ci sprawiać radość, Kate. Nie chcę, żebyś się rozmyśliła przy ołtarzu.

— Boisz się, że wystawię cię do wiatru?

— To chyba jasne, że nie chcę zostać wystrychnięty na dudka w obecności moich krewnych i przyjaciół. Ale przede wszystkim nie chcę swoim dramatem rujnować ślubu Shirley i Declana. Jeśli wycofasz się w ostatniej chwili, oni na tym ucierpią. A nie zapominaj, że to Greenwoodowie ponoszą wszystkie koszty. Wesele odbędzie się w ich restauracji. Myślże logicznie.

— Chyba nie potrafię.

— Właśnie widzę. Chodź. Nie możemy tu siedzieć przez całą noc.

Wstali. Kate pozbierała swoje torebki.

— Co miałaś zamiar z nimi zrobić? — zaciekał się Kevin.

— Otworzyć butik w Paryżu.

— Ach, tak.

Wyprowadził ją głównym wejściem na ulicę i stamtąd na parking. Szli do samochodu kuląc się w podmuchach zimnego wiatru. Kate usiadła na miejscu obok kierowcy i bezmyślnie zapatrzyła się w przednią szybę, bliska omdlenia. Kevin okrył jej nogi kocem. Chyba rzeczywiście zanedo pospieszyli się z tym ślubem, myślał. Niektórzy chodzą ze sobą dziesięć lat, nim zdecydują się na małżeństwo. Jeśli Kate wyląduje w szpitalu, to będzie jego wina. Nie kochała go, teraz to rozumiał. Musi jej ułatwić wyjście z impasu, sam zerwie zaręczyny, jeszcze dziś wieczorem, gdy tylko bezpiecznie dowiezie ją do domu. Uprzedzi rodziców, żeby nie zostawiali jej samej przez kilka dni, dopóki nie odzyska równowagi psychicznej.

Jechali w milczeniu. Kate pomyślała jeszcze, że nocny Belfast z regularnie mrugającymi w ciemności światłami na skrzyżowaniach wygląda bardzo spokojnie, a potem przymknęła oczy i zapadła w sen.

Pani Winters czekała na nich na chodniku z zasznurowanymi ustami i ramionami złożonymi na piersi.

— A, jest uciekinierka! — wykrzyknęła, kiedy Kevin zaparkował na krawężniku i wyłączył silnik. Zapukała knykциями w okno Kate. Jej obrączka brzęknęła o zimne szkło.

Kate ocknęła się, zamrugła oczami. Zobaczyła twarz matki wykrzywioną ze złości.

— O Jezu! — Kate skuliła się w fotelu. Nie czuła się na siłach stawić czoło furii pani Winters. — Nie chcę z nią teraz rozmawiać!

— Kate — rzekł poważnie Kevin — myślę, że powinniśmy się rozstać.

— Co takiego?

— Tak będzie najlepiej.

— Nie mówisz tego poważnie!

— Widzę, że nie czujesz do mnie tego, co ja do ciebie.

— Ależ tak! Kocham cię!

— W tym układzie nie mogę się z tobą ożenić, kotku. Ja też mam uczucia. Robiłem wszystko, żebyś była szczęśliwa, lecz jak widać, bez skutku. Rozstańmy się jak przyjaciele. Przepraszam, że za bardzo cię naciskałem.

— Ale ja cię naprawdę kocham.

— Nie aż tak, żeby chcieć za mnie wyjść.

— Chodzi o to, że...

— Dobranoc, Kate. Matka na ciebie czeka.

— Ale...

— Kate, proszę cię, idź już. Jeśli w tym wieku człowiek nie jest gotowy do małżeństwa, to pewnie już nigdy nie będzie. O szczegółach pomówimy za parę dni, kiedy się uspokoisz.

Pani Winters już sięgała do klamki. Kevin potrząsnął głową i nachylił się nad stacyjką. Policzki miał wpadnięte, na twarzy gorycz, włosy spadły mu na oczy, te piękne orzechowe oczy... Działo się coś nie do pojęcia. Kevin z nią zerwał. Nikt nigdy dotąd nie porzucił Kate Winters.

I nagle Kate poczuła głęboki żal, chociaż była zziębnięta, wyczerpana i miała wszystkiego dość. Jeszcze chwila i straci jedyne go mężczyznę, który ją naprawdę kochał. A potem do końca życia będzie słuchać zrzędzenia matki. Wytknie jej to pewnie jeszcze nawet nad grobem. Dramatyzm? Tu rozgrywał się prawdziwy dramat. Stokroć bardziej dramatyczny niż włóczenie się z wytatuowanym Seanem Dohertym. I do tego niezbyt przyjemny. Kate stwierdziła w duchu, że nie chce już w życiu przeżyć ani jednej dramatycznej minuty.

— Kevin, czekaj! Ja cię kocham! Szaleję za tobą!

— Co?

— Chcę za ciebie wyjść. Naprawdę. Zabierz mnie ze sobą, błagam! Nie chcę tu dłużej mieszkać, słuchać, jak mama wypomina mi maturę z dziesięciu przedmiotów, i patrzeć na te wszystkie cholerne ozdóbki. Chcę wyjść za mąż i być dorosłą.

— Jesteś pewna, Kate?

— Jestem pewna. Jedźmy do ciebie! Chcę się porządnie wymoczyć w gorącej kąpieli, potem zjeść grzanki z herbatą przy kominku, a potem chcę, żebyś mnie trzymał w ramionach przez całą noc i cały następny dzień.

— Jesteś tego całkiem pewna?

— Całkowicie. Chcę być z tobą i zostać panią McGovern.

Kevin odrzucił grzywkę z oczu, uruchomił silnik i z piskiem opon zjechał z krawężnika. Pani Winters, oparta o drzwi, zatoczyła się na jezdnię i boleśnie uraziła w duży palec u nogi. Samochód Kevina skręcił za róg i zniknął.

— Naprawdę nie wiem, jakim cudem tej dziewczynie wszystko uchodzi na sucho! — poskarżyła się wróciwszy do domu i z łoskotem zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Jak ona się czuje? — spytał nieśmiało pan Winters wyciągając szyję, żeby zajrzeć za plecy żony. — I gdzie ona jest?

— Ona mnie wpędzi do grobu! Pojechała z Kevinem. Po tym całym cyrku!

— Dzięki Bogu! Nie jesteśmy już tacy młodzi, kochana. Jeśli ktokolwiek ma szansę poradzić sobie z Kate, to właśnie Kevin McGovern. Dobry z niego chłopak.

— Zobaczymy. Jeszcze nie wiadomo, co nasza Kate wymyśli. Ależ tu lodownia! Mogłeś zamknąć drzwi, na litość boską! — powiedziała z wyrzutem do męża sączącego dużą brandy przed dogasającym kominkiem.

— Jeśli sądzisz, że tu jest zimno, powinnaś posiedzieć dwie godzinki w szopie — szepnął, zdejmując buty i rozcierając zdrętwiałe palce u nóg.

31.

GLÓWNA NAGRODA

Była pierwsza w nocy. Kevin i Kate spali, mocno opleceni ramionami. Kate wciąż miała na sobie kurtkę Kevina.

Tymczasem pożegnalna dyskoteka u Hogana trwała w najlepsze. Didżej puszczał utwory największych gwiazd. Wham!. Dollar. Rick Astley. Parkiet dudnił. Nawet twardziele z Ormeau Road przestali się czaić i skakali tak jak cała reszta. Louise Lowry była bardzo rozczarowana nie widząc nigdzie Kate Winters, zaplanowała bowiem dla niej kilka interesujących niespodzianek. Gdy jednak zobaczyła przypiętą do konsoli didżeja karteczkę: „Dziś nie przyjmujemy dedykacji”, machnęła ręką i poszła tańczyć z Mary. Alex dziś był tutaj służbowo, toteż nie miał czasu nawet spojrzeć na Louise, a tym bardziej dotrzymać jej towarzystwa. Ale Louise nie miała mu tego za złe. Nie zależało jej na towarzystwie Alexa ani nawet na jego pięknym ciele. (Skłamała, mówiąc Kate o swym płomiennym romansie.) Pociągały ją wyłącznie jego pieniądze, a właśnie niedawno Alex zwierzył jej się, że stryjek ma zapalenie płuc i nie reaguje na antybiotyki.

Personel w barze uwijał się tak, że niektórzy klienci widzieli tylko czerwono-czarne smugi, co zresztą w pewnej mierze zawdzięczali wypitym trunkom. Flaszki i beczki pękały w mgnieniu oka. Jeśli ktoś nie chciał czekać, aż dany napój zostanie doniesiony z magazynu, kontentował się innym. Wszystkie alkohole sprzedawano dziś zresztą po obniżonej cenie. Kuchnia również miała gigantyczne obroty; zapach octu, w którym blanszowano frytki, ustę-

pował tylko wszechogarniającej atmosferze podniecenia. Zdarzają się czasem takie upojne no-noce. Didżej Toni wciąż używał słowa „ostatni” — na przykład:

— A teraz, panie i panowie, po raz ostatni wysłuchamy utworu „Hi Fidelity” z musicalu „Fame”!

W tym momencie Declan westchnął: „Dzięki Bogu”, lecz kilka wyraźnie już wstawionych pań zerwało się i pobiegło truchtem do toalety, żeby sobie popłakać. Emocje sięgały zenitu. Przecież w tej dyskotecie rodziły się miłości, kojarzyły małżeństwa, na parkingu przed budynkiem poczęło się co najmniej kilkoro dzieci.

Skoro mowa o dzieciach: Shirley była wyczerpana. Cięża to jednak bardzo męczący stan. Muzyka grała stanowczo za głośno; dziwne, że nigdy dotąd jej to nie przeszkadzało. Dziś natężenie decybeli przyprawiało ją o ból głowy. Bała się głębiej odetchnąć, żeby nie zatruć dziecka gęstym dymem z papierosów. Najchętniej wróciłaby już do domu, ale Declan z ożywieniem dyskutował z przyjaciółmi i nie chciała psuć mu zabawy. Umówili się, że wyjdą w pół do drugiej, to już nie tak długo, jakoś wytrzyma. Declan wciąż spoglądał na zegarek i na konsolę didżeja mając nadzieję, że Toni weźmie sobie do serca przynajmniej część jego sugestii i pod koniec imprezy puści parę przyzwoitych płyt. Na przykład New Order albo Simple Minds. Co do zespołu Siouxsie and The Banshees didżej postawił twarde weto. Nawet oferta pięćdziesięciu funtów nie zdołała go przekonać do tych „porąbanych zboczeńców” (jak się wyraził). Declan poczuł się urażony. „Into the Light” Banshees było dla niego przebojem wszech czasów. Stwierdził, że gdyby miał własny klub, co najmniej jeden wieczór w tygodniu poświęcałby naprawdę dobrej muzyce. I puszczał ją podkreślając wzmacniacze do końca skali. Taka wizja miała posmak raj.

Właściciel lokalu podszedł do ich stolika i spytał, czy dobrze się bawią. Shirley potwierdziła skwapliwie. (Zdobyła nagrodę za najlepszy kostium, choć nie przyszła w przebraniu — Hogan mylnie wziął jej smoking z lat dwudziestych i bardzo bladą twarz za personifikację Louise Brooks.) Siedzący przy stole chłopcy grzecznie pokiwali głowami, tylko Declan wyraził żal, iż w programie nie uwzględniono niektórych trendów. Wkrótce on i Hogan z zapalem dyskutowali o muzyce. Zdaniem Declana ambitny klub muzyczny zapewniłby Belfastowi miejsce na kulturalnej mapie świata wbrew terrorystom, którzy usiłowali go z tej mapy zdmuchnąć. Johnny usiadł obok i słuchał zafascynowany, z pochyloną głową. Shirley żałowała, że nie ma z nią Kate. Czowała się niezręcznie jako jedyna dziewczyna przy stoliku. Koledzy Kevina po chwili rozeszli się w poszukiwaniu atrakcyjnych dziewczyn, pozostała więc

sama ze swoimi refleksjami na tle ostatnich wydarzeń w rodzinie Wintersów. Ciekawe, czy Kevin odnalazł już jej siostrę i przywiózł ją z lotniska. Biedna Kate! Przez całe życie Shirley uważała ją za arogancką despotkę. A tu się okazało, że jest tak samo zagubiona i niepewna siebie jak inni. Jej ostatni wybryk stwarzał wymarzoną okazję, żeby odkuć się za wszystkie przeszłe złośliwości, ale chociaż Shirley dokładała starań, by wykrzesać w sobie trochę podłej satysfakcji, nie udało jej się. To musi być bardzo przykre dla Kate, jeśli rzeczywiście nie wie, co ze sobą zrobić. Shirley nigdy niczego nie była bardziej pewna niż tego, że chce przeżyć całe życie z Declanem.

Declan poszperał w słowniku medycznym i określił problemy Kate jako objawy lękowe. Wiedział skądinąd, że znaczna część populacji Belfastu zażywa farmakologiczne środki uspokajające. Dotyczyło to przede wszystkim kobiet. Przyczyną zaburzeń była kombinacja ulicznej przemocy, wysokiego bezrobocia, niekorzystnego klimatu i niejasnego poczucia przynależności narodowej — tutejsi mieszkańcy nie czuli się ani w pełni Irlandczykami, ani Brytyjczykami. Czytał o tym artykuł w czasopiśmie medycznym; podano w nim niepokojące dane liczbowe, o wiele wyższe od przeciętnej w kraju i w Europie. Shirley miała nadzieję, że Kate nie będzie musiała brać leków, choć pomyślał, żeby doprawiać jej herbatkę bromem, mógł wydawać się kuszący. Oznaczałoby to jednak koniec pewnej epoki. Kate bywała wredna, irytująca lub wręcz głupia, ale wносиła w życie radość i poczucie humoru. To byłby cios, gdyby nagle stała się poważna i rozsądna.

Obawiała się też, że Kate zechce odłożyć ślub z Kevinem do czasu, gdy poczuje się lepiej. Oswoiła się już z myślą, że siostra skupi na sobie uwagę gości i pozwoli jej siedzieć cicho w kąci. Mimo pierwotnej niechęci wobec perspektywy, iż Kate przywłaszczy sobie jej wielki dzień, Shirley strasznie się bała chwili, gdy będzie musiała przejść przez całą nawę aż do ołtarza, ściskając w ręku sztuczne słoneczniki. Będzie jej rażniej, jeśli znajdą się tam we dwie. A wymarzona podróż Kate na Barbados? Szkoda, gdyby się zmarnowała. Shirley i Declan nie wyjeżdżali z kraju na wypadek, gdyby były jakieś problemy z ciążą. Mieli zamiar spędzić spokojny tydzień w krytej strzechą chatce w Mayo. (Marion uroniła kilka łez, kiedy jej to zakomunikowali.)

— Idę po frytki — oznajmiła Declanowi. — Muszę rozprostować nogi.

— Jasne — odparł. — Iść z tobą?

— Nie, nie trzeba. Też chcesz?

— Tak, poproszę. Zaraz do ciebie dołączę.

Johnny Hogan omal nie wyrwał się z propozycją, że ponieważ też jest głodny, zaprasza ich do swojego prywatnego stolika w bistrze. W porę przypomniał sobie o losowaniu. Nie powinien być widziany w nazbyt przyjacielskich stosunkach z Declanem Greenwoodem.

Muzyka umilkła i didżej Toni powiedział:

— A teraz, panie i panowie, po raz ostatni w dyskotecce Hogana wzruszająca ballada miłosna FR Davida, „Words”!

Na te słowa od stolików zerwała się kolejna grupa zapłakanych pań. Na korytarzu przed toaletą stała już kolejka osobniczek płci żeńskiej o twarzach poznaczonych czarnymi strugami rozpuszczonego tuszu. Kosze na śmieci pękały od przemokniętych chusteczek.

— Idę dalej — rzekł Johnny do Declana i obaj wstali. — Staram się dziś zamienić chociaż słowo z każdym. — Wyciągnął rękę, którą Declan mocno uściśnął.

Johnny spojrzał mu w oczy o sekundę za długo, po czym obrócił się na pięcie i zniknął w tłumie. Później Declan był przekonany, że właśnie w tamtej chwili Johnny podjął decyzję o sfalszowaniu losowania, ponieważ nagle odkrył na sali człowieka, który kocha muzykę tak samo jak on. Nawet przez moment nie podejrzewał, że Hogan jest jego ojcem.

W tamtej chwili jednak nie był nawet szczególnie zaintrygowany loterią. Kiedy Johnny obwieścił niezwykłą nowinę, Declan jadł frytki i trzymał Shirley za rękę. Odczytano numer zwycięskiego biletu. Minęła długa chwila, nim uświadomił sobie, że wygrał dyskotekę. Wyjął bilet z kieszeni i pokazał go Shirley. Kiwnęła głową: tak, numer się zgadza. Wyglądała na równie oszołomioną. Oboje rozejrzeli się wokół, jakby szukając potwierdzenia, że nie śnią. Johnny musiał powtórzyć numer trzykrotnie, zanim Declan odzyskał zdolność ruchu. Wszyscy bili brawo. Hałas był ogłuszający.

Johnny niespokojnie rozglądał się po sali. Gdy zwycięzca wreszcie zdołał się podnieść z krzesła, wykrzyknął:

— A oto szczęśliwy właściciel tego lokalu i wszystkiego, co się w nim znajduje! Gratulacje, młody człowieku. Proszę, podejdź tutaj, zrobimy sobie pamiątkowe zdjęcie, które na pewno znajdzie się gazetach. Brawa!

Declan powoli podszedł do mikrofonu, przyjął od Johnny'ego klucze do dyskoteki i uściśnął mu dłoń jak w transie. Jego przyjaciele, zieleni z zazdrości, niedowierzająco potrząsali głowami. W końcu Johnny poklepał go po plecach i Declan na uginających się nogach zszedł z estrady. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki natychmiast otoczyło go kilka ładnych dziewcząt. Shirley nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Nie miałyby za złe Declanowi,

gdyby chciał spróbować sił w branży rozrywkowej; często o tym mówił. Ale wiedziała też, że taka działalność pochłonie mnóstwo jego czasu, więcej, niż gdyby był lekarzem. Zmarkotniała i wymówiwszy się zmęczeniem, wróciła do domu taksówką. Declan został w dyskotecie do szóstej rano. Wypił kilka drinków z Johnnym i własnoręcznie puścił parę płyt z konsoli didżeja. Johnny pokazał mu biuro, wyjścia ewakuacyjne, sejf, magazyn alkoholi i tablicę wyłączników. Ledwie spostrzegli, że Toni ogłasza koniec balu, a z siatki pod sufitem wyfruwają baloniki. Tłum gości powoli opuszczał lokal; światła w holu ukazywały zarumienione i zmęczone twarze. Personel baru zbierał szkło, w parnej kuchni mruczały przemysłowe zmywarki. Didżej Toni ścierając spływające mu po twarzy łzy wkładał swoje ukochane płyty do koszułek. Declan był nieprzytomny ze szczęścia; już zapomniał, że chciał zostać lekarzem. Wciąż powtarzał, że to chyba sen, historia żywcem wzięta z „Charliego i fabryki czekolady”.

To nie sen, a prawda, uspokajał go Johnny; wszystkie formalności zostaną dopełnione jeszcze tego samego dnia. Na razie potrzebny jest tylko jego podpis. O piątej rano Declan podpisał papiery.

O szóstej Johnny odwiózł go na Derryvolgie Avenue, ale Declan był zbyt podekscytowany, żeby zasnąć. Zmył pod prysznicem odór papierosów i potu, a potem zaczął nakrywać do śniadania. Reszta rodziny zeszła na dół o siódmej i wtedy dowiedziała się o loterii. Eddy upuścił na podłogę pełen karton mleka. Opakowanie eksplodowało z hukiem, aż wszyscy podskoczyli. Mleko pokryło kafelki, przód garnituru Eddy'ego; ściekało nawet z sufitu. Dziewczynki umilkły jak trusie, wyczuwając od razu, że rodziców nie cieszy wygrana, choć — dziwne! — chyba nie byli nią zaskoczeni. Declan nie wyjawiał, że ma zamiar odłożyć studia na czas nieokreślony. Tę nowinę chował na później. Najpierw chciał się przespać, a potem iść do Shirley i wszystko z nią omówić. Jeśli rzeczywiście jest prawnym właścicielem dyskoteki, mogą iść do banku i wziąć kredyt hipoteczny, co rozwiąże ich problem mieszkaniowy. Rodzice nie będą musieli się wykosztowywać na dom. Kupi Shirley wszystko, czego tylko zapragnie — nową kuchnię, wymyślne mebelki dla dziecka, może i nowy samochód? Wszystko zmieniło się w ciągu jednej nocy. Otrzymał dar od niebios. Uśmiechnięty od ucha do ucha wziął grzanekę i popędził na górę do łóżka.

Marion też zaraz wróciła do łóżka z herbatą i proszkiem na ból głowy. Nie zdjęwszy nawet szlafroka, wsunęła się pod wyszywaną kołdrę dygocząc gwałtownie. Kiedy Eddy usiadł obok, potrząsnęła tylko głową. Nie była w stanie z nim teraz rozmawiać; wstydziła się spojrzeć mu w oczy. Dręczyło ją poczucie winy. Chciał ją objąć, ale wyrwała się z jego ramion i

zamknęła się na klucz w łazience oświadczając, że bierze kąpiel. Eddy westchnął ciężko, przepreczuwając, że nie wyjdzie stamtąd wcześniej niż za parę godzin. Marion źle znosiła stres. Nie było sensu robić jej awantur. Domyślił się już, że powiedziała Johnny'emu prawdę. Mógł wykrzyzczyć płuca, nic by tym nie zmienił. Stało się. Zresztą to i tak nie była wina Marion. Hogan mieszał się do spraw ludzi, którzy nie powinni go interesować. Wrócił do kuchni.

— Wychodzę na chwilę — oznajmił córkom. — Nie spóźnijcie się do szkoły.

Potem, nie zmieniawszy nawet poplamionego mlekiem ubrania, pojechał prosto na Eglantine Avenue, żeby spuścić Johnny'emu lanie, którego mu oszczędził przed dwudziestu laty.

Uchyliwszy drzwi, Johnny domyślił się natychmiast, co go czeka. Miał to w nosie. W głębi ducha spodziewał się awantury. Nawet się nie skrzywił, kiedy Eddy silnym prostym trafił go w oko. Zatoczył się w tył do holu i upadł ciężko na wzorzysty dywan. Eddy wpadł za nim, złapał go za kłapy, dźwignął i poczęstował serią kolejnych ciosów. Johnny zmobilizował się do symbolicznego kontrataku, ale bez większego przekonania. Ledwie odczuwał ból, bo wciąż był pijany, a Eddy walczył czysto. Rozkwaślił mu wargę, podbił oboje oczu i połamał stolik w holu, lecz nie zrobił żadnej poważniejszej krzywdy. Kiedy wreszcie się zmęczył, wstał i wycelował palec w twarz rywala.

— Nie licz na to, że ci się uda, Hogan — powiedział. — Słyszysz? Ja na to nie pozwolę.

— To mój syn. I moja dyskoteka. Nie masz tu nic do gadania. Ukradłeś mi Marion, wykorzystując jej słabość, kiedy była w ciąży. Nie byłeś nawet dostatecznie mężczyzną, żeby odzyskać ją sam, własnymi siłami. Gardzę tobą.

— Marion jest moja. Declan też jest mój i przysięgam, nie pozwolę go sobie odebrać. A od Marion trzymaj się z daleka. Ostrzegam: lepiej odpuść sobie to, co zaplanowałeś.

— Wyluzuj, Greenwood. Marion mnie nie chce. Owszem, proponowałem jej wyjazd do Ameryki, ale ona odesłała mnie do diabła. Możesz spać spokojnie. A teraz wynoś się z mojego domu.

— Straciłeś ich oboje dwadzieścia lat temu. Nie myśl, że tylko nasze córki stoją ci na drodze do romantycznego happy endu. Miałeś pięć lat, żeby ożenić się z Marion, ale tego nie zrobiłeś. Wykorzystałeś ją.

— Powiedziałem, wynoś się. Muszę się trochę przespać przed spotkaniem z Declanem.

— Jesteś skończony, Hogan. Nie masz już żadnej przyszłości. Ale nie pociągniesz chłopaka za sobą na dno. Ściskanie rąk pijakom mogło być dobre dla ciebie albo dla mnie, on ma większe możliwości. Gdybyś go znał choć trochę, wiedziałbyś, że tak jest.

Johnny nie słuchał, był już w połowie schodów. Musiał wreszcie odespać najbardziej ekscytującą noc swego życia. Zatrzymał się na chwilę, pocierając krwawiącą wargę. Na białym mankiecie koszuli rozkwitła soczyście czerwona pręga. Wiedział, że ból dokuczy mu dopiero, gdy wytrzeźwieje, ale jego serce tańczyło ze szczęścia. Dyskoteka zwróci mu syna. Nie będzie sam. James i Eileen zbliżają się do schyłku życia, jeszcze parę lat i oboje spoczną na miejskim cmentarzu. Ale Johnny już się nie boi tej chwili, albowiem teraz ma syna. Nauczy go fachu; będą się spotykać codziennie i poznawać coraz lepiej, a kiedy młody człowiek będzie w stanie znieść prawdę, Johnny mu ją wyjawia i wszystko nareszcie się ułoży. Marion nie miała prawa ich rozdzielać. Spojrzał na mankieta. Krew. Declana łączy z nim więzy krwi. W żyłach dziecka, którego oczekuje Shirley, też płynie krew Johnny'ego. Dziecko. Jego pierwszy wnuk.

— Zamknij za sobą drzwi, Eddy, i wracaj do żony — warknął. — Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

32.

PAMIĘTNY DZIEŃ

Declan nie widział się z Eddym po jego powrocie z Eglantine Avenue, ponieważ już mocno spał. Eddy umył się na dole, a potem zastukał do łazienki przyległej do małżeńskiej sypialni i poinformował Marion, że załatwił tę sprawę.

— Pobież go? — spytała.

— O, tak. Nareszcie.

— Mocno?

— Właściwie nie. Prawie się nie bronił.

— Czy to już koniec kłopotów, Eddy?

— To zależy od Declana. Nie zna wszystkich faktów. Na razie.

— Nie spotkam się więcej z Johnnym, przyrzekam. On mnie przeraża. Żyje przeszłością.

— W porządku, kochanie, nie jestem na ciebie zły.

— Kocham cię, Eddy. Przepraszam cię za to wszystko.

— Ja też cię kocham. Otwórz, Marion. Jakkolwiek będzie, mamy siebie nawzajem.

Nie odpowiedziała, lecz po chwili wyszła z łazienki już ubrana i usiedli oboje na kremowej sofie w nogach łóżka. Tyle mieli sobie do powiedzenia, że właściwie nie wiadomo było, od czego zacząć. To tylko kwestia czasu, nim Declan dowie się, że Johnny jest jego ojcem. Może rzucić studia dla dyskoteki. I może nawet oddalić się od Eddy'ego i Marion. Myśl ta wprawiała ją w rozpacz. W ustach jej zaschło. Eddy przyniósł obojgu słodkiej, gorącej herbaty.

— Powiemy mu razem? — spytał. — Wyjaśnimy wszystko, zanim zrobi to Johnny?

— Nie, nie dzisiaj.

— Nie możemy wiecznie tego przed nim ukrywać. Może już czas?

— Nie mogę. Łatwo ci mówić, Eddy, ty w tej całej sprawie jesteś bohaterem, rycerzem bez skazy, który mnie ocalił. Nawet Johnny nie wygląda tak źle. Został pozbawiony szansy, by poznać swoje dziecko, jedyne, o ile nam wiadomo. To ja gram tu czarny charakter: głupią kobietę, która nie mogła się zdecydować, kogo kocha.

Na to Eddy nie potrafił odpowiedzieć. Marion mówiła prawdę. Skuliła się na sofie, zbyt poruszona, aby płakać.

— Idź do pracy — powiedziała. — Jakoś dam sobie radę. Skinął głową. Wychodząc z domu nie poczynił już najlżejszej aluzji do tego tematu.

Marion wysuszyła i podkręciła włosy, jak to robiła codziennie. Posprzątała sypialnię, włożyła naczynia po śniadaniu do zmywarki i rozsunęła zasłony w salonie. Zwyczajne zajęcia budziły w niej poczucie, że nic złego się nie stało. Wszyscy, których kochała, byli żywi i zdrowi. Przetrzymają tę zawieruchę. Więź między Declanem a Eddym jest mocna; ingerencja Johnny'ego Hogana jej nie zniszczy. Ale teraz już wiedziała, że do końca swych dni będzie myśleć o Johnnym z nienawiścią. Jak to możliwe, by kochała się w nim bez pamięci przez pięć lat! To ona setki razy wyznawała mu miłość. Zamykała oczy na egoizm Johnny'ego i jego niedojrzałość tylko dlatego, że był najprzystojniejszym mężczyzną w Belfaście. Czyż nie zdawała sobie sprawy, że nie jest to człowiek, z którym można ułożyć sobie życie? Wystarczało jej, że lubi na niego patrzeć, tańczyć w jego ramionach i uprawiać z nim seks. Była idiotką. Przyznanie się do tego przed samą sobą sprawiło jej ból.

Spędziła cały dzień w zamkniętym butikiu siedząc na białej kanapie na samym środku pomieszczenia i patrząc na piękną suknię w oknie wystawowym. Żałowała, że nie miała jej na

sobie biorąc ślub z Eddym dwadzieścia lat temu. I że to nie Eddy był ojcem Declana. I że nie miała trochę więcej rozumu, kiedy była młoda i piękna. O piątej zamknęła sklep i poszła do domu zrobić obiad.

— Przepraszam — powiedziała wieczorem do męża, gdy leżeli już w łóżku, spięci i sztywni jak dwie kłody drewna. — Nie zamierzałam mu tego mówić. To było po przyjęciu na cześć Eileen. Zobaczył Declana z ciemnymi włosami i sam się domyślił. A ja nie miałam dość zimnej krwi, żeby zaprzeczyć.

Eddy milczał. Stało się to, czego najbardziej się obawiał. Teraz Gwiazdor miał nad nimi władzę. Stworzył więź, której już się nie da zerwać.

— Trudno — rzekł po chwili. — To musiało się tak skończyć. Powinniśmy byli wyemigrować na drugi koniec świata przed narodzinami dziecka.

— Kocham cię, Eddy. Zawsze cię kochałam, choć wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam szalona umawiając się z Johnnym. To, co nas łączyło, było fikcją. Czymś w rodzaju spektaklu, gry na pokaz. Udawaliśmy Marilyn Monroe i Jamesa Deana. Śmiechu warte!

— Nie trap się już tym, maleńka.

— Chciałabym dziś się z tobą kochać.

Eddy pocałował ją w czoło, ale nie posunął się dalej.

— Jutro ślub Declana — powiedział. — Musimy wypocząć. Śpij. — Objął ją i głaskał po plecach, aż posłyszał równy oddech śpiącej żony.

Ślub odbył się tak, jak zaplanowano. Gdy przed kościół zajechała lśniąca limuzyna z obiema pannami młodymi, świeciło nawet słońce. Kate wyglądała jak księżniczka krwi w swojej złocistej kreacji, a Shirley w granatowym aksamicie i kilku sznurach pereł robiła wrażenie gwiazdy filmowej. Paznokcie miała pomalowane pod kolor sukni, a makijaż oczu znacznie schludniejszy niż zwykle. Kate udało się ją nawet przekonać, by użyła nieco różu i pudru i założyła na perfekcyjnie wymodelowane włosy perłowy diadem. Oczywiście co bardziej konserwatywni członkowie zgromadzenia jęknęli na widok granatowej sukni ślubnej, ale generalnie strój sióstr zyskał aprobatę gości. Dzięki dobranym bukietom z żółtych róż i słoneczników zachowana została pewna harmonia. Kate wspaniałomyślnie zgodziła się puścić Shirley przodem, żeby nikt nie myślał, że siostra jest jej druhną. Lecz co dziwne, nikt nic takiego nie pomyślał. Bohaterki dnia przystanąły w przedsionku kościoła wraz ze swymi dumnymi rodzicami, nerwowo ściskając się za ręce. Pani Winters poprawiła jeszcze wyrafinowany węzeł, w który upięto długie włosy Kate, a następnie grupa ustawiła się parami,

zaczepnęła głęboko powietrza i słysząc pierwsze tony weselnego marsza rozpoczęła powolny, majestatyczny pochód w stronę ołtarza. Pan Winters prowadził Shirley drobnym, jakby czujnym kroczkiem. Za nimi postępowały pani Winters i Kate w obłoku koronki, piór i odurzających perfum, rozdając łaskawe skinienia na prawo i lewo. Pochód zamykały Amanda i Julie z biura, trochę speszone w żółtych sukniach druchen, niosąc bukietki niebieskich kwiatów. Gdyby na uroczystości znalazła się Louise Lowry, nie omieszkałaby zauważyć, że towarzystwo przywdziało barwy Northern Bank, lub poczynić innej nietaktownej uwagi. Ale Louise nie zaproszono, toteż obyło się bez złościwości.

Twarz Kevina była czerwona jak ugotowany burak — częściowo dlatego, że ekstrawagancka brosza kłuła go w szyję, a po części dlatego, że był bardzo szczęśliwy. Kate powitała go błogim uśmiechem. Czowała niebiański spokój, może dzięki kapsułce valium, którą dała jej lekarka. Tylko jedną tabletkę, powiedziała, zażyć tuż przed ślubem. Ksiądz zaczął ceremonię od powitania zebranych w domu Bożym, a mózg Kate automatycznie odfiltrował jego słowa, jak to czynił od dzieciństwa. Uśmiechnęła się ponownie.

Udało jej się pokonać lęk przed małżeństwem. Na szczęście palpacje miały źródło w nerwach, a nie w alkoholu, jak się obawiała. Lekarka z przychodni wyjaśniła jej to kilkakrotnie. Cierpi na lęki, a nieprzyjemne objawy są związane z nadmiernym wydzielaniem adrenaliny. Adrenalina, zwyczajny głupi hormon, nic więcej. Drżenie rąk, wychłodzenie skóry, uczucie zamknięcia w pułapce, zawroty głowy. W tym stadium nie potrzeba nawet środków farmakologicznych. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, tłumaczyła łagodnie lekarka, zaburzenia mijają same. Szkoda byłoby uzależniać się od leków, dopóki rzeczywiście nie będzie innego wyjścia. Przyczyną kłopotów Kate nie jest żaden gwałtowny uraz psychiczny, a po prostu nadmiar codziennych nużących zmartwień.

Kate zapytała z nadzieją, czy fundusz zdrowia przewiduje w takich wypadkach leczniczy wypoczynek w pięciogwiazdkowym hotelu na Riwierze. Nie, uśmiechnęła się lekarka, niestety, publiczna służba zdrowia nie ma jeszcze takich możliwości. Kate pogodziła się więc z myślą, że musi jej wystarczyć Barbados. Co prawda tam będzie jej towarzyszył Kevin, ma zatem nikłe szanse na święty spokój.

Lekarka spojrzała na zegarek.

— Proszę więcej wypoczywać i mniej się martwić — powiedziała. — Im mniej uwagi będzie pani poświęcać przykrym sprawom, tym mniej będzie się wydzielać adrenaliny i ataki

paniki ustaną. Zapiszę panią na psychoterapię. Niestety, lista oczekujących jest dość długa. Gdy tylko zwolni się miejsce, dostanie pani wiadomość.

Kate westchnęła.

Owego ranka wyszła z gabinetu całkiem nowa Kate Winters — nie całkiem jeszcze pewna siebie, lecz przynajmniej pogodzona z losem. Dorosłość okazała się znacznie mniej przerażająca, niż się jej dotąd wydawało. Za parę miesięcy będzie zdrowa jak rydz. Lekarka kazała jej nosić w kieszeni papierową torebkę i w razie następnego ataku przytknąć ją do ust. W ten sposób ograniczy nadmierny dopływ tlenu. To aż tak proste. Nie ma się czym przejmować. Nie zemdleje, nie dostanie zawału ani nie postrada zmysłów. Przeżywane sensacje, choć bardzo intensywne, same w sobie są niegroźne. Ataki paniki to błaha przypadłość — dopiero jeśli Kate im się podda, mogą stać się problemem. Ma nadal pracować, spotykać się z ludźmi i prowadzić normalne życie. Za kilka miesięcy nie będzie już pamiętać, że była kłębkim nerwów. Wszystko wróci do normy.

Kate pomyślała, że mogłaby nawet odstawić pigułkę i zdać się na los. Będąc matką przestanie myśleć tylko o sobie. Kartę kredytową schowała na samo dno szuflady. Terapia zakupowa nie była już niezbędna. Dwanaście lat za późno, nareszcie dorosła.

Z tych rozmyślań wyrwało ją szarpnięcie za rękaw. Kevin czegoś od niej chciał. Zdumiona spojrzała na niego, potem na księdza, ten zaś powtórzył słowa, które miała wypowiedzieć. Wypowiedziała je więc, słysząc w tle dość głośne syknięcie matki: „Jasny gwint!” A potem byli już mężem i żoną. Wśród zebranych dał się słyszeć ciepły pomruk aprobaty.

Shirley była tak szczęśliwa, że w ogóle nie czuła zdenerwowania. Przez całą mszę jej twarz opromieniał radosny uśmiech. Pod koniec zamknęła oczy i podziękowała Bogu, że tak ładnie wszystko urządził. Okazało się, iż wiara rzeczywiście czyni cuda. Wszechświat otaczający małą Shirley Winters jest ogromny, starczy w nim miejsca dla bogów pogańskich i Boga chrześcijan, i prawdopodobnie jeszcze kilku tysięcy innych bóstw. Doznała nawet czegoś na kształt mistycznego uniesienia, ale mogła to być po prostu ulga, że nie zacukała się jak Kate podczas ceremonii. Tym goręcej więc dziękowała Bogu za jego pomoc. Kiedy zimą siedziała na swoim wąskim łóżku z testem ciążowym w ręce, myślała, że cały jej świat się zawalił. Ale tak się nie stało, a teraz była szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Delikatnie pocałowała męża w usta. (Postanowili nie przesadzać z pocałunkami przy gościach, żeby nie gorszyć pani Winters.)

Declan wyglądał superatrakcyjnie w czarnym garniturze przy blond włosach, rozjaśnionych z powrotem na specjalną prośbę matki. (Marion bardzo zależało, żeby na zdjęciach ślubnych miał czuprynę w naturalnym jasnym kolorze.) Ojcu z kolei obiecał, że zostanie jeszcze przez pół roku na uczelni. Jeśli po upływie tego czasu nadal będzie chciał rzucić studia i prowadzić dyskotekę, rodzice dadzą mu swoje błogosławieństwo. Tymczasem lokal miał stać zabity deskami i zbierać kurz i pajęczyny.

Marion miała przeczucie, że gdy Declan podejmie studia i zostanie ojcem, myśl o dyskotece wywietrzeje mu z głowy. Serce jej nabrzmiało, gdy stojąc z nią w przedsiionku Declan wyznał, że poprosił już rzeczoznawcę o wycenę nieruchomości. Tak na wszelki wypadek. Zysk ze sprzedaży starczy mu na kupno domu i opłacenie studiów. Shirley będzie mogła rzucić swoją nudną pracę w biurze zapomogowym. To nie w porządku, że musi tak ciężko pracować, kiedy w gruncie rzeczy siedzą na pieniądzach. Nie sądził, że dziecko tak na niego wpłynie, ale widok nabrzmiewającego brzucha Shirley budził w nim silne ojcowskie uczucia. Uważał też, że nie ma moralnego prawa zostawiać jej samej w domu z dzieckiem i spędzać noce w dyskotece. Tak czy owak zamierzał najpierw przeprowadzić wycenę, a potem się zastanowić. Marion rozplakała się ze wzruszenia. Powiedziała, że jest z niego dumna i że wdał się w ojca (miała na myśli Eddy'ego.) Natychmiast powtórzyła to wszystko mężowi. Uścisnęli się i postanowili nie nękać już syna tą sprawą. Kiedy przyjdzie pora, sam podejmie właściwą decyzję.

Pani Winters przez cały ranek ronila na przemian łzy szczęścia (bo udało jej się wydać za męża obie córki) i zawodu (bo Pamela Ballantine nie przyjechała jednak na Saintfield Road i pani Winters nie miała okazji zaprezentować ulsterskim telewizjom swej kolekcji figurek w pięknej meblościance z podświetlanymi półkami). Jej mąż siedział w ukwieconym kościele snując plany na przyszłość. Postanowił wybudować nową szopę, większą, z miejscem na porządny stół warsztatowy, fotel i grzejnik. Teraz, kiedy dziewczęta wyfrunęły już z domu, Martha będzie miała mnóstwo wolnego czasu i pan Winters wolał jej zejść z oczu. Już napomykała o kursie tańca towarzyskiego dla początkujących. Musiał jednak przyznać, że staruszka nie jest taka najgorsza. Uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń.

Greenwoodowie także trzymali się za ręce przez całą mszę. Marion z pewnym wstydem rozmyślała o tym, że od bójkki z Johnnym mąż budzi w niej znacznie większe pożądanie. Nie był już tylko miłym, dobrym człowiekiem. Był mężczyzną zdolnym do wielkich namiętności i nieokiełzanych pasji. Mężczyzną, który walczył o nią jak lew, podczas gdy ten tchórz Hogan

pozwolił jej odejść, bojąc się narazić własną dumę użyciem słowa „proszę”. Przypadkowy przechodzień, widząc Eddy'ego w tweedowej marynarce i płóciennej czapeczce, nie odgadłby, że patrzy na bohatera. Prawdziwego, nie z przypadku jak Johnny Hogan.

W końcu weselnicy wysypali się na trawnik przed kościołem i w ruch poszły pełne garście konfetti. Zgorszony kościelny próbował powstrzymać rozbawione towarzystwo, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Westchnął więc ciężko i poszedł po miotłę do zakrystii. Spomiędzy chmur znów wyjrzało słońce i udało się zrobić kilka ładnych zdjęć, nim zaszło z powrotem.

Emily, Eve i Eloise już rozplanowały dyżury przy dziecku, kiedy się urodzi, a teraz sypały konfetti, robiły zdjęcia i wciąż powtarzały obu pannom młodym, że są nieziemsko piękne. Co, jak wiadomo, jest najważniejszym elementem udanego ślubu. Shirley i Kate nie miały powodów do narzekań. To był wielki dzień.

33.

NARODZINY MAVOURNY LUNY

Kiedy zdjęcia weselne zostały wklejone do grubych albumów, te zaś włożone do pudełek i bezpiecznie złożone w szafach, życie zadziwiająco prędko wróciło do normy. Obie pary bez zwłoki wyjechały w podróż. Kate wzięła ze sobą na Barbados cztery walizki, a w nich — poza pełnym zestawem wytwornej pościeli i dziesięcioma haftowanymi ręcznikami na wypadek, gdyby hotelowe okazały się szorstkie (nie okazały się) — jedenaście bajecznie kolorowych sukienek plażowych oraz dwanaście bardzo skąpych strojów bikini, jak również niezliczone sandały i zdobione kwiatami klapki. Miała nadzieję pokazać się w każdym z tych strojów, choć istniało ryzyko, że Kevin nie wypuści jej z sypialni. W gruncie rzeczy należała mu się rekompensata za to, co wycierpiał w trakcie przedślubnego sprintu i w samym dniu ślubu. Jego złoty garnitur budził powszechną wesołość. Nawet ksiądz pozwolił sobie na żarcik, ubolewając, że nie wziął okularów przeciwsłonecznych. I to zanim jeszcze odeszli od ołtarza! Goście ryknęli śmiechem, który to brak szacunku dla domu Bożego bardzo zdenerwował panią Winters. Twarz Kevina przybrała odcień czerwieni używanej na znakach drogowych.

Kate zamierzała więc wynagrodzić świeżo poślubionego męża. Pozwoli mu myśleć, że za każdym razem omdlewa z rozkoszy. (Nawet jeśli będzie musiała wyobrażać sobie, że to nie

Kevin, a Martin Fry z „Top of the Pops”, lub od czasu do czasu zaaplikować sobie sesję motywacyjną w łazience niczym bokser przed wyjściem na ring.)

Pomimo wszystko nie było tak źle, jak się wydawało na początku. Lekarka uprzedziła Kate, że w najlepszym razie minie kilka tygodni, nim jej rozchwiany system hormonalny wróci do normy. Krótkie napady lęku były więc nieuniknione. Miała po prostu nie zwracać na nie uwagi. Kate postanowiła zastosować się do tych zaleceń, tym bardziej że naprawdę kochała Kevina — o tyle, o ile w ogóle potrafiła kochać. Niestety, robił to stanowczo zbyt pospiesznie. Z dzikiej namiętności dałaby mu piątkę, natomiast o grze wstępnej musiał się jeszcze wiele dowiedzieć. Kiedy poznają się nieco lepiej, wytłumaczy mu podstawy i pokaże, jak ma ją wprowadzić w odpowiedni nastrój. Kate miała dość rozumu, by wiedzieć, że miesiąc miodowy nie jest właściwą okazją do wytykania mężowi błędów popełnianych w łóżku. Podróż poślubna okazała się więc bardzo udana; wrócili zadowoleni, opaleni i gotowi zacząć spłacać wszystkie przyjemności, z których dotąd korzystali.

Teraz, kiedy Kate oficjalnie została panią McGovern, uzyskała dostęp do wyciągów bankowych i ze zgrozą zdała sobie sprawę, że tkwią po uszy w długach. Zrezygnowała z pięknego planu, by do końca życia siedzieć w domu czytając magazyny z życia gwiazd, i natychmiast wróciła do pracy. Zatrudniła jeszcze jednego mechanika, po czym rozesłała do gazet ogłoszenia z reklamą warsztatu. Przez trzy miesiące nie miała prawie wolnego dnia. Czasem, zagrzebana w rachunkach i fakturach, czuła się bardzo pokrzywdzona, ale wtedy myślała o siostrze. Biedna Shirley. Nawet w najlepszych czasach nigdy nie była przyzwoicie ubrana, a teraz zapuściła się do reszty. Nosiła bezkształtne bluzy i najtańsze czarne getry. Nie używała już nawet szminki. Była zaniedbana, chuda i nerwowa. Wszyscy martwili się o nią i starali się w nią wmusić choć trochę jedzenia. Kate zarazem fascynowała i przerażała ciąża Shirley. Jej brzuch robił się co dzień większy, krzyżowały się na nim fioletowe żyłki, a napięta do ostateczności skóra była prawie przezroczysta. Shirley skarżyła się, że ją swędzi, jakby łaziły po niej setki mrówek; co wieczór leżąc w łóżku delikatnie skrobała brzuch paznokciami. Słuchając tego Kate trzęsła się z obrzydzenia. Nie cierpiała insektów. Czasem dziecko poruszało się gwałtownie i nagle widać było przesuwający się pod skórą sterczący łokieć lub kolanko. Za pierwszym razem Kate omal nie zwymiotowała. Miała makabryczną wizję, że powłoka brzuszna pęknie z chrzęstem, dziecko wygramoli się na zewnątrz, ściągnie z siebie zakrwawione błony i powie wszystkim: „Cześć!”

Shirley i Declan wynajęli mieszkanie do czasu, gdy postanowią, co zrobić z dyskoteką. Odrzucili propozycję Eddy'ego i Marion. Nie chcieli naciągać rodziców na kupno domu, gdy wciąż mieli oni na utrzymaniu trzy młodsze dziewczynki. Poza tym — argumentowali — kiedy sprzedadzą dyskotekę, sami będą mogli sobie na to pozwolić. Declan w skrytości ducha marzył o ponownym otwarciu lokalu i uczynieniu z niego najambitniejszego klubu muzycznego w kraju. Czegoś na wzór słynnych nocnych przybytków w Manchesterze i Londynie, tłumnie nawiedzanych przez prawdziwych koneserów w czarnych skórzanych kurtkach. Marion i Eddy milczeli jak zakłęci. (Ten temat stał się tabu od dnia, w którym Eddy pobił Johnny'ego.) Declan czuł jednak, że wiedzą, iż gra na czas. Nie chcieli, by zawodowo zajął się muzyką. Shirley również powstrzymywała się od komentarzy. Nie zabroniła mu wprost otworzyć dyskoteki, ale też nie było po niej widać szaleńczego entuzjazmu. Kiedy próbował nakłonić ją do rozmowy, bąknęła tylko, że może robić, co chce. Koledzy natomiast nie posiadali się ze zdumienia, że nie rzucił się z obłędem w oczach na okazję, by zostać miejscowym mecenasem sztuki i dyżurnym symbolem seksu. Jakoś ciężko im było przyjąć do wiadomości fakt, że jest żonaty. Pochlebiałoby im, gdyby mogli mówić w towarzystwie: „Mój kumpel jest właścicielem tej słynnej dyskoteki” i chwalić się darmowymi biletami na imprezy. Był już lipiec. Jeśli Declan miał zrezygnować ze studiów, powinien to zrobić prędko. Uczciwość nakazywała zawiadomić uczelnię na piśmie, żeby mogli przyjąć kogoś na jego miejsce. Kilkakrotnie rozmawiał przez telefon z Johnnym. Hogan podróżował teraz po Ameryce, ale wysyłał mu pocztówki z każdego nowego miejsca i gotów był służyć radą, ilekroć będzie potrzebna. Nakłaniał Declana, żeby jak najprędzej otworzył lokal i uruchomił ogrzewanie.

— Taki duży budynek łapie wilgoć, kiedy stoi pusty — mówił. — Wkrótce będziesz miał tam myszy. I koczujących bezdomnych. Jacyś wandalę mogą podłożyć ogień.

Tu Johnny zdał sobie sprawę, że straszy swego młodego protegowanego, zapewnił go więc, że nie ma się czym martwić. Takimi sprawami sprawnie zajmują się odpowiednie władze. Nawet zorganizowaną przestępczością? Oczywiście. Należy ich tylko zawiadomić, jeśli ktoś zgłosi się po haracz. Tak nakazuje rozsądek. Nie ma potrzeby odgrywać bohatera.

Declan znów stracił zapal — do chwili, gdy usłyszał w radio nowy fantastyczny singel i pomyślał, że potrafiłby sobie poradzić z tymi wszystkimi problemami. Gdyby naprawdę chciał mieć własny klub. Jego chęci wahały się to w tę, to we w tę, jak sznur prania na wietrze. Dni pędziły naprzód w wirze nie podjętych decyzji.

Dla Shirley przeciwnie, czas stanął. Musiała podtrzymywać rękami brzuch przy chodzeniu, był taki ciężki. Bez przerwy czuła głód, ale przyciśnięty do żeber żołądek nie przyjmował pokarmu. W biurze nikt nie chciał z nią jeździć windą ze strachu, że drzwi się zatną, a ona w tym czasie zacznie rodzić. W końcu, gdy w autobusie omal jej nie zgnetli dwaj australijscy turyści z plecakami, doszła do wniosku, że nie może już jeździć do pracy i niechętnie wzięła urlop macierzyński. Przez większość dnia leżała na kanapie, skubała chrupki i oglądała telewizję. Najbardziej odprężały ją programy kulinarne. Nie mogła jeść i nie miała siły, żeby sama gotować, ale lubiła patrzeć, jak robią to inni. Poza tym system nerwowy miała w strzępach. Przejmowała się wszystkimi i wszystkim. Płakała rzewnymi łzami słuchając o problemach, z którymi widzowie dzwonili do przedpołudniowych audycji, choć dawniej w ostrych słowach krytykowałyby ich bierność i nieporadność.

— Biedactwo! — rozczulała się do ekranu. — Rzuć go natychmiast, póki nie jest za późno! — Albo: — Czy nie rozumiesz, że wasz związek nie ma przyszłości?

Prezenterzy telewizyjni stali się jej najdroższymi przyjacielami, nieomal rodziną zastępczą — tym razem zdrową psychicznie. Słyszając dźwięczny sygnał końcowy w porze lunchu, czuła rozpacz. Reszta dnia dłużyła się przed nią jak wyrok. Nie cierpiała popołudniowych seriali. (Grające w nich aktorki były stanowczo za ładne.)

Marzyła o tym, żeby doprowadzić mieszkanie do porządku, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie dość energii choćby na rozsunięcie zasłon. Nie wyglądałoby tu tak koszmarnie, gdyby odmalować ściany na biało i powiesić na nich kilka ładnych grafik, ale jedyną szansą na to była nieoczekiwana wizyta ekipy telewizyjnej z programu „Mieszkanie twoich marzeń”.

— Jestem do niczego. Nie nadaję się na panią domu — powiedziała pewnego dnia z goryczą, kierując te słowa do brzydkiej tapety. — Całe moje życie jest w zawieszeniu, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat. Co za idiotyczny sposób rozmnażania! O czym ty myślałeś, Boże, kiedy go tworzyłeś? Dlaczego nie możemy po prostu złożyć jaja i trzymać go w suszarce przez dziewięć miesięcy? Jaki sens ma takie naciąganie skóry, ciągle zmęczenie i wiecznie tłuste włosy?

Potem zrobiło jej się trochę wstyd. Ona przynajmniej nie musiała się przepracowywać w czasie, gdy dziecko wyciągało z jej organizmu substancje odżywcze, wapno i wszystko, czego mu było trzeba. Niektóre biedne kobiety tyrały aż do porodu i prawie natychmiast po nim znów wracały do pracy. A w krajach Trzeciego Świata harowały na roli z noworodkami

przytroczonymi do pleców. Przypomniła sobie słowa, którymi matka zwykła ją pocieszać: „Wielu ludzi jest w gorszej sytuacji”. Jakoś wcale jej nie krzepiła myśl, że ktoś może cierpieć jeszcze bardziej niż ona.

Declan przynosił jej kwiaty — róże i margerytki, a także zawinięte w folię filety kurczące i frytki z restauracji. Matka wpadała, żeby zmyć naczynia i skrytykować mieszkanie. Marion i Eddy nie chcieli jej się narzucać, ale powiedzieli, żeby dzwoniła o każdej porze dnia i nocy, ilekroć będzie jej potrzebna jakakolwiek pomoc. Marion kupiła jej śliczną piżamę do szpitala, nowiutki szlafrok i pantofle. No i oczywiście dwa razy w tygodniu odwiedzała ją Kate. Przychodziła powęszyć i wyrazić ubolewanie, że warunki życia siostry tak bardzo odbiegają od jej własnej wytwornej nowoczesnej rezydencji.

Shirley narzekała, że nie może się doczekać porodu. Wariowała już z nudów. Niedługo zacznie wydzwaniać do redakcji radiowych, żeby czymś wypełnić sobie czas. Im szybciej poczuje pierwsze skurcze, tym szybciej będzie po wszystkim. Kate była ciekawa, czy boi się bólu. Nie, odpowiedziała stanowczo Shirley. Pomogą jej medytacja i kryształ.

Kate przewróciła oczami. Gdyby ona miała rodzić, stałoby przy niej co najmniej trzech anestezjologów z dostateczną ilością prochów, żeby była po nich na haju przez miesiąc.

— Wrócisz potem do biura? — zagadnęła. — Co mówi etyka pogańska na temat pracujących matek?

— To akurat jest proste — uśmiechnęła się Shirley. — Moja pensja nie starczy na żłobek, więc sama będę się opiekować dzieckiem.

— Nie zanudzisz się na śmierć?

— Ależ skąd! Będziemy chodzić na długie spacery, piec ciasta, czytać książki z biblioteki, odwiedzać dziadków i robić wiele innych rzeczy.

— Brzmi fascynująco. Dobierz sobie jeszcze dwójkę i będziesz miała z tego jakiś zysk.

— Może byś tak najpierw pozwoliła mi się oswoić z własnym dzieckiem, zanim naraisz mi cudze? Jestem potwornie zmęczona, wystaw sobie.

— Wkrótce zechcesz się wydostać z tej nory. Spójrz na ten dywan. Jest brudny.

— Jest po prostu stary. Zawsze miałaś obsesję na punkcie dywanów.

— Dlaczego nie pozwolicie twoim teściom, żeby wam zafundowali dom?

— To byłoby nieuczciwe. Oprócz Declana mają jeszcze troje dzieci.

— To dlaczego nie sprzedacie dyskoteki?

— Dlaczego, dlaczego! Dlaczego zadajesz tyle pytań?

— Bo mnie to interesuje. Nie rozumiem, dlaczego gnieździecie się w takim chlewie, kiedy nic was do tego nie zmusza.

— W tej chwili nie mam nawet tyle siły, żeby obciąć sobie paznokcie u nóg. Pewnie nie zechcesz mi pomóc w tej kwestii?

— O, nie. Niech twój książę z bajki obcina ci paznokcie.

— Ho, ho! Wydawało mi się, że słyszę nutkę zawiści. Czy na pewno u was wszystko w porządku?

— W jak najlepszym.

— Jesteś pewna? Mnie możesz się zwierzyć.

— Nie ma z czego.

Kate jednak wcale nie była tego pewna. Wciąż odczuwała lęk i na domiar złego nie знаła jego przyczyn. Wolałaby jednak umrzeć w najokropniejszych męczarniach, niż przyznać się siostrze. Pożegnała się wesoło i poszła do domu na gorącą kąpiel w luksusowej narożnej wannie ze złoconymi kurkami.

Któregoś piątku późnym wieczorem Shirley kończyła właśnie którąś z rzędu paczkę pikantnych czipsów, kiedy poczuła nagły drobny skurcz. Ukłucie bólu, które wydusiło z niej cichy jęk. Trwało tylko kilka sekund. Ha, pomyślała z ulgą, to będzie łatwe! Boli tylko trochę bardziej niż kurcze w czasie miesiączki. Jak dobrze, że kupiła sobie ten zestaw kryształów stymulujących ukryte siły ciała i umysłu. Kosztowały zaledwie dwa funty w sklepie ze zdrową żywnością. Shirley poczuła duchową więź ze swymi starożytnymi przodkiniami, posepnymi i silnymi jak ich wojowniczy mężowie. Tamte kobiety bez jęku (i bez znieczulenia) rodziły dzieci na posłaniu z mokrych granitowych skał. Ból i znój były dla Celtów chlebem powszednim. To dlatego Irlandczycy są najtwardszym narodem świata. Słabość została z nich wykorzeniona w ciągu wieków.

Pani Winters podarowała im na nowe mieszkanie półmetrową figurę Matki Boskiej. Przyniósłszy ją do domu omal nie umarli ze śmiechu. Declan orzekł, iż znakomicie pasuje do niegustownych tapet i zniszczonych mebli. Całość robiła wrażenie dekoracji do sztuki o przemocy w rodzinie. Shirley stwierdziła rzeczowo, że jeśli dom zacznie się walić, śmiało mogą uciec się pod jej obronę — i to bynajmniej nie w przenośni: jest dość masywna, by podtrzymać ściany. Pani Winters kazała im postawić figurę na komodzie w sypialni, ale Shirley się skarżyła, że zabija w niej pociąg płciowy. Rozbierając się w obecności Matki Bożej czuła się godną potępienia grzesznicą. Declan utrzymywał wesoło, że jego to raczej podnieca. W

końcu ustawili posąg na parapecie w przedpokoju i Shirley uśmiechała się za każdym razem, gdy wracając do domu widziała różowe policzki Maryi i jej piękne oczy wzniesione ku niebu. Teraz, drepcząc do łazienki, dotknęła jej — na szczęście. Po drodze spokojnie dokończyła chipsy, oblizała palce z soli, wzięła szybki prysznic i przebrała się w nową piżamę, a potem powiedziała Declanowi, żeby przyniósł z sypialni przygotowaną torbę.

— Jesteś pewna, że to już? — spytał. — Termin masz dopiero za tydzień.

— Jestem całkiem pewna, że czułam skurcz. Poczekamy i zobaczymy, czy będzie następny, dobrze? — przysiadła obok niego.

— Dobrze. A jeśli będzie następny, pojedziemy wprost do szpitala. Bak jest pełny. — Declan postawił obok sofy torbę z bielizną i przyborami toaletowymi Shirley, a potem zaczął gasić światła w mieszkaniu i pałące się kadzidełka.

Shirley poprawiła się, chcąc wygodniej usiąść, i wyprostowała się gwałtownie.

— Au! Och! Jeszcze jeden. Ten był silniejszy. Czy nie powinniśmy mierzyć odstępów? Nie mogę sobie przypomnieć.

— Jesteś pewna, że to był skurcz, a nie kolka po chipsach? Między pierwszym a drugim minęło zaledwie piętnaście minut.

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale po prostu wiem, że to już. Czuję się dziwnie i jakoś tak... macierzyńsko.

— Wobec tego jedźmy. Lepiej dmuchać na zimne. Zadzwoń tylko do pana Kelly'ego i powiem mu, żeby przyszedł do szpitala.

Doktor Kelly był ginekologiem ze specjalizacją w położnictwie i chirurgii, z którego usług korzystała Marion i który chętnie podjął się opieki nad Shirley w czasie ciąży. Shirley odłożyła do lamusa swe egalitarne poglądy i w głębi ducha była zachwycona, że ma na podorędziu prywatnego lekarza jak rasowy burżuj. Twierdziła oczywiście, że nie jest jej potrzebny, skoro będzie rodzić w sposób naturalny. Kobiety trzymały się tej metody od tysięcy lat, była ona więc dobra i dla Shirley Winters.

Wychodząc z domu w piżamie i szlafroku cieszyła się, że jest już ciemno. Co pomyśleliby o niej Celtowie? Różowy flanelowy szlafrok nie jest jednak tym samym, co ręcznie utkana szata spięta złotą broszą wielkości talerza.

— Na pewno nie chcesz się ubrać? — spytał Declan. — A jeśli to fałszywy alarm? Będziesz się głupio czuła w piżamie.

— Nie. Wygodnie mi w niej — odparła — a zresztą jest nowa i ładna. Kiedy dziecko się urodzi, będę mogła od razu iść spać.

Gdy wsiedli do samochodu, Shirley przeszył kolejny spazm bólu, tym razem tak silny, że zaparło jej dech. Zaczęła się martwić, ale nie powiedziała nic mężowi. Ostatecznie to ona była rzeczową, twardą Matką Ziemią, a nie histeryczką jak Kate, która robiła sceny, gdy zabrakło keczupu lub odżywki do włosów. Księżycowa bogini dała jej Declana i na pewno dopilnuje, żeby ich pierwsze dziecko urodziło się szczęśliwie. Zamknęła oczy i odmówiła uspokajającą mantrę.

Declan był bliski paniki. Nie miał jeszcze zajęć z położnictwa, ale wiedział, że takie tempo porodu nie jest normalne. Modlił się, żeby dziecko było w dobrej pozycji. Wyprowadzenie samochodu z podwórka sprawiło mu nadszpodziewaną trudność. Nie mógł sobie przypomnieć sekwencji czynności prowadzących do uruchomienia silnika. Udało mu się dopiero za czwartym razem. Potem cofając nie spojrzął w lusterko i przewrócił trzy puste kubły na śmieci, które z gromowym hukiem potoczyły się pod bramę. Trzęsąc się ze zdenerwowania pobiegł usunąć je z podjazdu. Kiedy wrócił, Shirley jęczała cicho. Nie skarżyła się na ból, ale twarz miała białą jak kreda. Ruszył z piskiem opon; zgrzytliwie przerzucał biegi i naciskał na przemian gaz i hamulec. Wszystkie światła po drodze były czerwone.

— No, szybciej! — syczał ponagłajaco. — Zielone, już! Panie Boże, spraw, żeby akurat dzisiaj jakaś zepsuta ciężarówka nie zatarasowała drogi!

Kiedy pół godziny później zajechali na parking przed porodówką, Shirley płakała w głoś. Zaklęcia nie pomagały, a kryształki upadły na podłogę samochodu. Nie mogła ich podnieść, bo nie mogła się schylić, nawet ich nie widziała spoza wielkiego brzucha. Declan czuł mdłości ze strachu. Bał się patrzeć na zegarek. Skurcze były coraz dłuższe i coraz silniejsze. Poprzedni ledwie zdążył popuścić, gdy już zaczynał się następny. Wbrew temu, czego uczono ją w szkole rodzenia, Shirley wstrzymywała oddech na cały czas trwania skurczu.

— Musisz oddychać — powtarzał.

— Nie mogę. Kiedy oddycham, boli jeszcze bardziej.

— Krótki, płytki oddech. Proszę cię, Shirley. Inaczej zrobi ci się słabo. Za mało tlenu jest tak samo szkodliwe jak jego nadmiar. Dysz jak pies. No, dalej: aha, aha, aha, aha.

— Nie mogę!

— Shirley, błagam cię. Oddychaj.

— No dobrze. Aha, aha... o Jezu! Boli!!!

Wysiedli z samochodu i weszli do środka. W holu powitało ich ciepło, przyćmione światła i zapach pasty do podłóg. Przy ladzie recepcyjnej nie było kolejki. Dyżurna pielęgniarka spisała dane Shirley. Ta pragnęła tylko skulić się gdzieś i zasnąć, najlepiej na tydzień. Declan przeciwnie, życzył sobie natychmiastowego wezwania pułku ekspertów, którzy zatroszczą się o jego żonę. Podskakiwał z niecierpliwości. Pielęgniarka zachowywała rozwścieczający spokój.

— Pierwsze dziecko? — spytała uprzejmie.

— Tak.

— Jeśli skurcze dopiero się zaczęły, spędzicie tu państwo całą noc. Pierwszy poród zwykle trwa dość długo.

— Proszę wezwać lekarza! — błagał Declan. — Skurcze są bardzo częste. A żona ma kłopoty z oddechem. Ktoś powinien ją zbadać.

— Mamy dziś duży ruch, wszystkie sale są zajęte. Zobaczą, co da się zrobić. Proszę poczekać.

— Niech pani posłucha: nie chcę się wydać cholernym snobem, ale moja żona jest prywatną pacjentką doktora Kelly'ego, który powiedział, że przyjmie nas natychmiast, gdy tylko przyjedziemy.

— Niestety, doktor Kelly dziś ma wolne.

— Dzwoniłem do niego i już tu jedzie. To przyjaciel rodziny.

— Ach, tak. Proszę więc za mną. Zobaczą, może uda mi się znaleźć dla pani miejsce, choć to przypuszczalnie zbędne.

„Cholerny snob!” — dodała w myśli, lecz wołała nie zadzierać z bliskim znajomym lekarza. Ruszyli powoli długim lśniącym korytarzem. Słysząc było, jak ktoś krzyczy: „Przyj!” i szcęk metalowych narzędzi spadających na podłogę. Declan przymknął oczy ze zgrozy. W tej samej chwili Shirley zgięła się wpół pod naporem bólu tak silnego, jak gdyby ktoś zdzielił ją w plecy toporem. Ze strachem sięgnęła ręką za siebie i odwróciła się powoli, pewna, że zobaczy dwumetrowego wikinga w pełnym uzbrojeniu i futrzanej czapie. Jej kolana nagle zapomniały swojej roli. Osunęła się na podłogę i zupełnie przestała oddychać, aż Declan i pielęgniarka musieli błagać, żeby lekko wciągała powietrze i uspokoiła się. Twarz miała ściągniętą, stężałą od szoku.

— To nie do wiary — wydyszała świszczącym szeptem. — Jest coraz gorzej i gorzej, a kiedy słabnie, to tylko po to, żeby znów ścisnąć. Dlaczego nie ma... przerw? Myślałam, że będą... przerwy między... bó... lami!!!

— Jesteście pewni, że to trwa od niedawna? — Pielęgniarka była teraz równie zaniepokojona jak Declan, lecz starała się tego nie okazywać. Wprowadziła Shirley do niewielkiego pomieszczenia i sprawnie przeprowadziła badanie.

— Cztery centymetry — powiedziała.

— Czego cztery? — jęknęła Shirley usiłując zapaść się pod ziemię ze wstydu. Czy naprawdę ta kobieta przed chwilą włożyła jej rękę do środka, czy też miała omamy? Pan Kelly nigdy tego nie robił. (Nie musiał, wszystko widział na ekranie USG.)

— Rozwarcie. Szyjka macicy jest rozwarta na cztery centymetry.

— Aha. A na ile ma być?

— Dziesięć.

— Co?! Nie ma mowy! Ile to jeszcze potrwa?

— Spokojnie, kotku. Zaraz dostaniesz środki znieczulające i maskę tlenową, muszę tylko najpierw odprowadzić wody.

Coś zaszczękało; Shirley głośno wciągnęła powietrze i w tej samej chwili do wodnego środowiska jej dziecka wdarł się zewnętrzny świat. Fala ciepłego płynu zalała stół. Śliczna piżama była do wyrzucenia, tak samo szlafrok. Przez straszną chwilę Shirley miała wrażenie, że się posusiała. Upokorzona, zakryła twarz ramieniem i załkała żałośnie. Declan był w rozpacz. Shirley już nie odzywała się do niego, nawet na niego nie patrzyła. Pozostała sama ze swoim bólem. Nie potrafił jej pomóc. Kate miała rację: był smarkaczem udającym tylko dorosłego mężczyznę. Pielęgniarka wytarła i opatuliła Shirley i pomogła jej wstać. Ruszyły razem do sali przedporodowej, świeżo opuszczonej przez poprzednią pacjentkę. Shirley płakała. Opuściła ją cała celtycka moc. Myślała o lśniących kamykach, które zostały w samochodzie. Może powinna po nie wrócić? Ale pielęgniarka właśnie ciągnęła ją gdzieś, rozcierając jej plecy, a zresztą na wszystko było już za późno.

Jestem silna i mam władzę nad swoim ciałem — zaintonowała w duchu. — *Jestem silna i mam władzę nad swoim ciałem! Jestem silna i... jasna cholera, przecież obiecywali, że dostanę znieczulenie!*

— Czy mogłabym poprosić o coś na złagodzenie bólu? — wyjęczała.

— Nic się nie martw, kochanie — uspokoiła ją łagodnie pielęgniarka. — Teraz już pójdziesz z górki i wkrótce w ogóle nie będziesz o tym pamiętać, obiecuję. No chodź. Już niedaleko.

Shirley oparła głowę na ramieniu kobiety i poddała się jej wprawnym ruchom. Ruszyły dalej. Declan był zafascynowany. Dwie kobiety połączyła niewidzialna więź, a on został sam z torbą pełną bielizny i dziecięcych ubranek. To, co w pierwszej chwili wziął za zimną obojętność, było najwyższej klasy zawodowstwem. Przyszłe matki nie chcą oglądać zdenerwowanego personelu. To one mają prawo się bać. Declan bał się, że Shirley dostanie ataku hysterii. Bał się, że sam wpadnie w histerię. Pospieszył za nimi żartując, że skoro już nożyczki poszły w ruch, gotów jest dać sobie wystrzyc nasieniowody. Ale Shirley nie miała sił się śmiać, a pielęgniarka była skupiona na mierzeniu czasu. Shirley z jękiem wdrapała się na stół i nareszcie przykryto ją kocem, o którym tak marzyła. Declan trzymał ją za rękę powtarzając bez ustanku: „Kocham cię. Tak bardzo cię kocham”.

W tejże chwili do sali zajrzał doktor Kelly.

— Cześć, Declan. Jak się masz, Shirley? Co słychać?

— Już w toku. Tempo jest dość szybkie — odparła lakonicznie pielęgniarka. Jej twarz przekazywała komunikat, którego nie chciała wypowiadać na głos: „Pacjentka kiepsko to znosi”.

— Zaraz damy młodej damie maskę i jakiś zastrzyk na rozweselenie — rzekł pogodnie lekarz, zdejmując palto. — Czy można prosić o herbatę? Młodzieży, pijecie z cukrem czy bez? Jeśli znajdą się jakieś ciasteczka, też nie pogardzimy!

Trzy godziny później Shirley leżała na stole porodowym w zielonej papierowej koszulce, starając się wypchnąć dziecko wedle wskazań położnej. Gołe nogi pokryte miała gęsią skórą. Mokra od potu, wyczerpana bólem, który nie ustal nawet na chwilę, oszołomiona nadmiarem tlenu, była bliska utraty przytomności. Dostała znieczulenie nadoponowe, ale nie pomogło. Żałowała, że w ogóle pozwoliła je sobie zrobić, jako że było wyjątkowo nieprzyjemne. Bolesnemu wkłuciu towarzyszył wysoki zgrzytliwy dźwięk — nie była pewna, czy wydała go igła wbijająca się w jej kręgosłup czy buty Declana na linoleum. A teraz, kiedy mężnie zniosła niekończące się tortury, okazało się, że wszystko na nic. Pomiędzy jej nogami ukazała się maleńka biała rączka, delikatnie zaciskając i rozwierając kształtne paluszki.

— Dziecko jest w pozycji poprzecznej! — krzyknął lekarz. — Przygotować pacjentkę do cięcia!

Nagle w sali zaroilo się od ludzi. Ktoś golił jej włosy łonowe, ale Shirley była już tak wyczerpana, że nie obchodziło jej, co z nią robią. Declan został dosłownie wypchnięty z pomieszczenia, zdążył tylko usłyszeć, że ma czekać w pobliżu. Nie było czasu, żeby dać mu aseptyczny kitel i maskę, nie było czasu nawet, żeby mu to wyjaśnić. Oszołomiony patrzył, jak wózek z Shirley otoczony grupą lekarzy i pielęgniarek w zawrotnym tempie odjeżdża w głąb korytarza. W biegu ktoś nasadził jej na głowę czepek, ktoś inny odkażał zgięcia przedramion do wklucia. Declan chwiejnym krokiem dotarł do telefonu i zadzwonił do rodziców. Odpowiedzieli, że już jadą. Usiadł obejmując rękoma zwieszoną głowę i czekał. Każda koszmarna minuta trwała erę.

Półprzytomnej Shirley ktoś wetknął do ręki długopis, żeby mogła podpisać zgodę na operację.

— Proszę... — szepnęła do unoszącej się nad nią falującej twarzy doktora Kelly'ego. — Niech to się już wreszcie skończy. Umieram z głodu.

Wybacz mi, Boże, dodała w duchu, że śmiałam się z figury Twojej najświętszej rodzicielki. I że uprawiałam seks przed ślubem. I że zgorszyłam swoją biedną matkę przy świątecznym stole. Błagam, pomóż mi teraz, a przysięgam, że się poprawię.

Potem poczuła ukłucie igły wbijającej się w wierzch dłoni i odpłynęła w miłosierny niebyt, w którym Bogiem był pan Kelly, a ona składała mu cześć. Nim jeszcze Eddy i Marion dotarli do szpitala, z brzucha Shirley wyjęto dorodną dziewczynkę, opatulono ją w miękką pieluszkę i położono na wadze.

— Cztery i pół kilo i zdrowa jak rydz! — oznajmił siwowłosy chirurg. Declan dowiedział się o tym natychmiast, mógł więc od razu przekazać nowinę rodzicom, gdy po dwudziestu minutach wbiegli na oddział położniczy. Uściskali go z całych sił. Tymczasem sensacyjny spektakl w sali operacyjnej dobiegał już końca.

— Dobra robota — rzekł spokojnie doktor Kelly. — Dziękuję wszystkim. Teraz jeszcze tylko usuniemy łożysko i pozszywamy dziewczynę. — Co rzekłszy, dokończył pracę z uśmiechem zadowolenia na przystojnej opalanej twarzy. Cały żeński personel szpitala kochał się w nim bez pamięci. Doktor Kelly udawał, że o tym nie wie, ale w głębi ducha sprawiało mu to niewysłowioną przyjemność.

Declan został poproszony do jednej z sal poporodowych, gdzie zaprezentowano mu nowo narodzoną córeczkę. Był zachwycony, widząc prześliczną twarzyczkę w kształcie serca. Delikatnie przytulił dziecko i gdy dotknął kciukiem krągłego policzka, olbrzymia fala miłości

weszła mu w żyłach, zapierając dech. Delikatnie ucałował maleńkie czółko. Skóra dziecka miała złociste zabarwienie. Położna wyjaśniła, że to skutek żółtaczki, częściej u noworodków. Na tłustych przedramionkach znaczyły się wyraźne fałdki, w które trzeba było wcierać olejek. Marion i Eddy po kolei brali wnuczkę na ręce. Jakoś nikt nie pomyślał o tym, żeby zadzwonić po rodziców Shirley. Greenwoodowie mieli chyba ochotę pozachwycać się w spokoju swoim maleńkim cudem, zanim druga połowa rodziny wniesie tu hałas i zamęt.

— Co z Shirley? — spytał niespokojnie Declan.

— Będzie dobrze — odparła położna. — Dziecko obróciło się w ostatniej chwili, to się czasem zdarza. Ale nie stała mu się najmniejsza krzywda. — I dodała w duchu: „Obie miały szczęście, że chirurg był pod ręką, inaczej skończyłoby się porodem kleszczowym”. Na głos jednak powiedziała tylko: — Proszę mnie zawołać, kiedy żona się zbudzi.

Gdy odeszła, świeżo upieczony tatuś i dziadkowie mogli wrócić do gruchania nad najmłodszą latoroślą rodziny.

Shirley odzyskała przytomność pół godziny później. Czowała się rozkosznie. Nic jej nie bolało; miała uczucie, że unosi się w ciepłej wodzie jakiejś tropikalnej laguny. Wszystkie dźwięki dochodziły do niej z oddali, stłumione. Bała się otworzyć oczy, podejrzewała bowiem, że już nie żyje. Jeśli tak, pomyślała, to śmierć wcale nie jest straszna. Potem usłyszała, jak Declan mówi:

— Jest śliczna. Prawda, mamó, że jest śliczna?

Zrozumiała, że wciąż znajduje się pomiędzy żywymi. Kochany Declan. Jest taki czuły! (Oczywiście Declan wcale nie mówił o niej. Twarz i szyja Shirley pokryte były silną wysypką wywołaną przez stres, włosy miała przyklepione do czoła zastarzałym potem.) Otworzyła przekrwione oczy.

— Jesteś złoty — wychrypiała spękanymi wargami. — Boże, jak mi dobrze.

— Shirley! Obudziłaś się! — Podskoczył do niej i pocałował ją starając się nie wdychać odoru będącego efektem kilku godzin obfitego wydzielania potu. — Już po wszystkim!

— Masz prześliczną zdrową córeczkę — dodała Marion.

— Czuję się tak, jakbym pływała. Czy to euforia poporodowa? — spytała Shirley zachwycona cudowną odmianą swego losu.

— Morfina, kotku — wyjaśnił Declan.

— Co?!

— W kroplówce. Masz wkłutą kroplówkę, a przez nią sączy się morfina.

— To przecież narkotyk! — przeraziła się Shirley. — Taki jak heroina! Prędko, zawołaj siostrę, niech to odłączy!

— Morfina to nie to samo co heroina, kochanie. Będziesz ją dostawać przez kilka dni.

— Jesteś pewien, że mi nie zaszkodzi? Nie wpadnę w nałóg? Pewnie wyglądam okropnie...!

— Nic ci nie będzie, słonko. Możesz być spokojna. — Declan dziękował Bogu, że w pokoju nie ma lustra. Shirley wpadłaby w histerię, gdyby zobaczyła, jak rzeczywiście wygląda. Pocieszył się w duchu, że gdy odpocznie i nabierze trochę ciała, wróci jej dawna uroda.

— Niech to szlag! — pociągnęła nosem. — Wszystko spałam.

— Nieprawda. Byłaś bardzo dzielna.

— Spanikowałam. Sam najlepiej wiesz.

— Shirley, spisałaś się na medal. Byłem z ciebie bardzo dumny.

Matka ostrzegła go, że Shirley może tak zareagować. Poród to ciężki uraz, niezależnie od tego, czy łatwy czy trudny. Declan był zdeterminowany poprawić żonie humor.

— Posłuchaj — rzekł, robiąc obiecującą minę — kiedy dojdiesz do sił, kupimy sobie piękny dom i będziesz się mogła zająć dekoracją wnętrza. Co powiesz na draperie z przedwojennych jedwabi i wiktoriańskie bibeloty w każdym kącie? Będzie klimat, nie?

Shirley z uśmiechem wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego twarzy. Miała niespotykane szczęście, że znalazła tak kochającego męża. I nareszcie będzie mogła się najeść do syta. Miała do nadrobienia całe dziesięć kilo. Co najmniej przez rok będzie się opychać filedami z kurczęciami smażonymi na oliwie, pokrytymi grubą warstwą majonezu, sera i pikli. A na śniadanie lody. Waniliowe. Świat nagle wydał jej się znacznie piękniejszy.

— Masz rację — powiedziała. — Mała jest zdrowa i tylko to ma znaczenie. Czy mogę usiąść?

— Nie, nie wolno ci się jeszcze ruszać, masz założone szwy. Leż spokojnie. Zawołam pielęgniarkę.

— Ja po nią pójde — odezwała się Marion. — Dzielnie się spisałaś, Shirley. Dobra robota! — Ucałowała synową w czoło. — Teraz się nie forsuj. Musisz wypocząć i nabrać sił.

— Pójde z tobą — rzekł Eddy. — Młodzi na pewno chcą zostać przez chwilę sami. W razie gdybyśmy wam byli potrzebni, będziemy na korytarzu.

— Dzięki! — uśmiechnął się Declan.

Kiedy wyszli, przyniósł małą i położył ją na łóżku obok Shirley nieomal załując, że musi wypuścić ją z rąk. Dziecko spojrzało na matkę ciemnoniebieskimi oczkami. Shirley zaczęła płakać. Olbrzymia miłość do tego maleństwa wypełniła ją całą, pozostawiając dławiący ucisk w gardle. Ból porodu odszedł już w niepamięć, jak przepowiedziała pielęgniarka. Shirley wiedziała, że noworodki nie widzą wyraźnie przez kilka pierwszych dni, ale dziecko zdawało się zaglądać wprost w jej duszę. Ona mnie zna, pomyślała wstrząśnięta.

— To naprawdę moja córka? — szepnęła.

— Tak — odpowiedział Declan.

— Jesteś pewien, że nie zamienili jej na sali porodowej?

— Jestem pewien. Patrz, na bransoletce jest jej nazwisko. Mavourna Luna Greenwood, tak jak uzgodniliśmy.

— Jest za ładna. Nie może być moja.

— Gadasz głupstwa. Ty też jesteś piękna. — Akurat w tej chwili było to bezczelne kłamstwo, ale co miał powiedzieć?

— Jaka ona wielka!

— Twój brzuch też był wielki. Sama sobie oblicz.

— To dlatego znalazła się w złej pozycji? Że była za ciężka?

— Chyba obróciła się w ostatniej chwili. Zamiast główki wysunęła naprzód ramię. Żeby wydostać ją normalną drogą, musieliby jej złamać rękę...

Na twarzy Shirley odmalowała się najczystsza zgroza. Declan miał ochotę sam siebie kopnąć.

— ...a zresztą nie wiem — dodał szybko. — Tak czy owak już po wszystkim. Teraz wszyscy będziemy się tobą opiekować, aż wydobrzejesz. Nie będziesz musiała nawet palcem kiwnąć.

— Ona wiedziała, Declanie. Mavourna wiedziała, że nie zniosę porodu, i obróciła się, żeby musieli zrobić cesarskie cięcie. Wiedziała, że jestem już wykończona.

— Może i masz rację. Ale teraz odpoczywaj.

Lekarz powiedział mu, że wychudzenie Shirley mogło zmniejszyć jej odporność na ból, ale na pewno nie było powodem zmiany pozycji dziecka. Takie rzeczy po prostu czasem się zdarzają, stwierdził i dlatego jest przeciwnikiem domowych porodów (jak każdy rasowy człowiek nauki).

— To bogini Księżycy mi pomogła. I Maryja Panna... — Shirley uśmiechnęła się. — Musimy ją przenieść do saloniku. — To mówiąc, usnęła z powrotem.

Declan położył córeczkę w plastikowej kołysce i zawołał rodziców. Siedli w trójkę przy oknie popijając słodką herbatę i patrząc na samochody wjeżdżające i wyjeżdżające z parkingu.

— Położne były fantastyczne — opowiadał Declan. — No a doktor Kelly... Zachował taki spokój, że człowiek mógł pomyśleć, że idzie na śniadanie, a nie po to, by przeprowadzić operację chirurgiczną. Zdumiewające!

— O, tak! Wielu ludzi zawdzięcza życie lekarzom — westchnął z podziwem Eddy.

Marion uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, do czego pije. Declan też się domyślił.

— Nie martw się, tato — rzekł. — Byłem dziś świadkiem czegoś, przy czym muzyka traci wszelkie znaczenie. Nigdy nie zapomnę, co przeszła Shirley. Była naprawdę dzielna. A doktor Kelly pracował jak natchniony. Trudno mi dziś uwierzyć, że kiedyś poważnie rozważałem porzucenie medycyny dla jakiegoś tam głupiego klubu. Są w życiu rzeczy ważniejsze niż łatwa forsa.

Marion i Eddy wymienili spojrzenia.

— Czy to znaczy to, co myślimy, że znaczy? — spytał ostrożnie Eddy.

— Tak. Będę dalej studiował; sprzedam dyskotekę i kupię dom. Mam tylko nadzieję, że kiedyś dorównam tym, których tu dziś obserwowałem. Że mam w sobie dar. Bo na razie wcale nie jestem tego pewny.

— Masz go, synu — uśmiechnął się Eddy. Potem razem patrzyli na wschód słońca.

Pół godziny później inna pielęgniarka obudziła Shirley do karmienia. Marion i Eddy pojechali do domu. Z pewnym wysiłkiem zdołali namówić Declana, by jechał z nimi. Musi się przespać. Wróci do szpitala po południu.

Betty — tak miała na imię nowa pielęgniarka — podała Shirley kubek gorącej herbaty. Shirley napawała się smakiem każdej kropli bursztynowego płynu. Była to zdecydowanie najlepsza herbata, jaką kiedykolwiek miała w ustach. Rozejrzała się po pokoju. Panował w nim taki cudowny spokój! Ściany pomalowane były na jasną zieleń, a naprzeciw łóżka wisiała oprawiona akwarela przedstawiająca dzikie kwiaty w dzbanku.

— Dlaczego nie mogę zjeść śniadania? — spytała widząc przejeżdżający za drzwiami wózek pełen rumianych grzanek.

— Szwy — wyjaśniła Betty. — Rana musi się zrosnąć. Później dostanie pani coś lekkiego.

— Nie byłam sikać — zauważyła nagle Shirley. — Dlaczego?

Nerwowo pomacała pościel. Chyba nie zdarzył jej się przykry wypadek?

— Cewnik — bąknęła lakonicznie pielęgniarka. Obie spojrzały na zwisający z łóżka woreczek. — Zaraz dam świeżą torebkę, ta już jest w połowie pełna.

Shirley miała ochotę umrzeć ze wstydu, lecz uświadomiła sobie, że po niedawnych doświadczeniach nie ma już ani krzty wstydu na zbyciu.

— To chyba nie na stałe? — przeraziła się.

— Ależ skąd! — roześmiała się dziewczyna. — Tylko dzisiaj. Proszę się wygodnie oprzeć, zaraz dam pani małą do karmienia — dodała, słysząc, że dziecko zaczyna kwilić.

— Nie jestem pewna, co mam robić — powiedziała słabo Shirley.

Zupełnie zapomniała, że dzieci się karmi. Wydawało jej się, że wraz z porodem skończy się cały kłopot i będzie mogła przez kilka dni odpocząć. Nic biedniejszego! Pielęgniarka czekała cierpliwie, aż Shirley rozepnie bluzę. Spodnie od piżamy zostały wyprane i otrzymała je z powrotem. Szlafrok, też czyściutki, wisiał na drzwiach. Na parapecie okna stał bukiet kwiatów z przyszpitalnej kwiaciarni. Shirley zastanawiała się, kto zadbał o te miłe drobiazgi.

Dziecko znów zapłakało. Betty wyjęła je z kolebki. Usteczka Mavourny były szeroko otwarte jak dzióbek pisklęcia czekającego na tłustego robaka.

— Bez obaw! — uśmiechnęła się pielęgniarka kładąc małą w ramionach Shirley. — Najważniejsze, że ona wie, co robić. Zaraz pani zobaczy. Proszę jej tylko włożyć cały sutek do buzi. Kiedy taki brzdąc się przyssie, trudno go oderwać. Jeśli trzeba ją będzie poprawić, musi pani wetknąć mały palec tu, z boku. No, moje panie, do roboty!

Karmienie okazało się niesamowitym przeżyciem, choć odrobinę bolesnym. Dziecko było głodne i istotnie wiedziało, jak to się robi! Przyssało się do sutka z niewiarygodną wprost siłą. Piersi Shirley, już ogromne, nabrzmiały jeszcze bardziej, odpowiadając na popyt. Z drugiej pociekł na koldrę równy strumyczek mleka. (Będzie musiała zaopatrzyć się w podkładki i specjalny biustonosz, pomyślała.) Tłuściutkie policzki dziecka nadymały się z zapalem. Oddech Shirley przyspieszył z radości. Warto było wytrzymać poród, warto miesiącami znosić bóle kręgosłupa i świerzbień skóry. Warto było znów poplamić nową piżamę.

— Niech ją pani przeczuci do drugiej piersi — poradziła Betty.

Shirley delikatnie wsunęła mały palec w kącik ust dziecka, wyjęła sutek i przełożyła małą na drugą stronę. Mavourna rozkrzyczała się z oburzeniem, ale kiedy poczuła na policzku dotyk sutka, natychmiast otworzyła buzię i mocno uwiesiła się u piersi. Shirley syknęła z bólu

zmieszanego z rozkoszą. Dziecko zamknęło oczka i ssało rytmicznie, najwyraźniej bardzo zadowolone.

— Ślicznie — orzekła Betty. — Jest pani stworzona do karmienia piersią.

Shirley poczuła się dowartościowana. Ta pochwała przynajmniej w części wynagrodziła jej bolesną świadomość, że szlochała histerycznie przez cały poród, a gdy doszło do finału, była pod narkozą.

— Większość kobiet rodzi pewnie znacznie lepiej niż ja — bąknęła ze wstydem.

— Każdy człowiek jest inny — odparła rozsądnie Betty. — Niektórzy są bardziej wrażliwi na ból. — Potem zmieniła temat: — Oryginalne imię, Mavourna. Co to znaczy?

— Małeńkie kochanie. Po irlandzku.

— Ładnie. Zostawię was, żebyście się mogły zaprzyjaźnić. Wrócę za kilka minut umyć ją i przewinać. Wtedy będzie się pani mogła zdrzemnąć.

— Czy mogłabym wziąć prysznic? Czuję się trochę nieświeża.

— Może jutro. Nie może pani moczyć szwów.

— A dostać coś do jedzenia? Umieram z głodu.

— Niestety. — Betty pokręciła głową.

— Choćby jajecznicę! Czuję zapach z korytarza.

— Może jutro.

— Rozumiem. Szwy?

— Właśnie — uśmiechnęła się Betty. Tymczasem Mavourna przestała ssać i zasnęła.

— Mały anioleczek — rozczuliła się Shirley.

— Małe diablątko! — zaśmiała się Betty. — Za godzinę się obudzi i znów będzie głodna!

Zaniosła dziecko z powrotem do kolebki, rozwinęła je i wytarła ciepłą wilgotną gąbką. Pełny brzusek, czysta pieluszka i odrobina zasyпки wystarczyły Mavournie do szczęścia. Westchnęła przez sen, snując nowo narodzone marzenia.

Shirley też zamknęła oczy. Wyczerpanie ubiegłych dziewięciu miesięcy dało o sobie znać. Doznała uczucia, jakby tyłem spadała w przepaść, i natychmiast pograżyła się w głębokim śnie. Nie obudziła się nawet, gdy przyszedł Declan, usiadł koło niej i trzymał ją za rękę. Nawet gdy przez korytarz ze szczękiem przetoczył się wózek z obiadem, rozsiewając woń gotowanej marchewki i beszamelu. Shirley i Mavourna spały jak zabite. Razem przeżyły zawieruchę porodu i teraz były sobie tak bliskie, jak tylko mogą być dwie istoty ludzkie. Łączyło je

znacznie więcej, niż może połączyć żonę z mężem. Nic nas nie rozdzieli, zamruczała Shirley śniąc o biczach wodnych, olbrzymich indykach i tortach czekoladowych wielkości małżeńskiego łóżka. Nie spuszczę cię z oka, córuś, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. A może lepiej trzydziestu jeden...

34.

KATE PODEJMUJE DECYZJĘ

Kate zajrzała do gabinetu i wykrzywiła się komicznie.

— To znowu ja, pani doktor. Wracam jak zły szeląg.

Czuła się jak idiotka, ale chciała porozmawiać z jakąś współczującą kobietą. Shirley była wykończona po porodzie, a matka miotała się jak bezgłowy kurczak — biegała po sąsiadach chwając się, że została babcią, zamawiała msze i kupowała tony dziecięcych ubranek. Rozmowa z żadną z nich nie miała sensu.

Na paluszkach weszła do gabinetu i usiadła zakładając stopy za nogi krzesła. Lekarka uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, co ją czeka. Wiedziała też, że przekonanie Kate Winters, iż nic jej nie dolega, zajmie jej przynajmniej jeszcze kilka wizyt. Miała ochotę na przerwę. Z tęsknotą pomyślała o czekoladowych ciasteczkach schowanych w szafce z lekami.

— Witaj, Kate. Jak mogę ci pomóc?

— Dzień dobry, pani doktor. Pamięta pani, że już u pani byłam jakiś czas temu?

— Oczywiście.

— Z atakami paniki.

— Z umiarkowanymi objawami lękowymi.

— Jakkolwiek znał. Kłopot w tym, że mi nie przeszło. Choć robiłam ćwiczenia medytacyjne.

(Wypełniła cały dom świeczkami, kadzidelkami, łapaczami snów i wizerunkami hinduskich bogów i bogiń. Matka ze zgrozą tępiła te „diabelstwa”, dopóki Kate jej nie wytknęła, że sama ma bzika na punkcie świec i świętych obrazków.)

— To musi potrwać, Kate. Twój stan jest całkiem dobry. A okazjonalne nawroty mieszczą się w granicach normy. Ograniczyłaś kawę i alkohol?

— Tak, do zera. Jem zdrową żywność, choć przeważnie nie mam apetytu, i wcześniej kładę się do łóżka. — To ostatnie przynosiło więcej szkody niż pożytku, podsuwało bowiem Kevinowi niestosowne skojarzenia. — Ale ja chcę, żeby mi się poprawiło od razu.

— Musisz być cierpliwa. Lęki rodzą się latami i czasem równie długo trwa ich uśmierzenie. Powiedz mi, jak się dziś czujesz.

— Trochę zbita z tropu. Widzi pani, moja siostra właśnie urodziła dziecko. Choć jest o dziesięć lat ode mnie młodsza. W związku z tym wszyscy chodzą po ścianach i pieją peany na jej cześć. Nie mówią o niczym innym. I cały czas u niej siedzą. A dziecko nie jest nawet ładne. Wygląda jak klucha.

— I co? Czujesz się trochę zepchnięta na boczny tor? Niepotrzebnie. Jesteś młoda, możesz mieć własne dzieci.

— Kiedy widzi pani, nie jestem pewna, czy ja chcę mieć dzieci.

— Rozumiem. Cóż, masz jeszcze czas, żeby się nad tym zastanowić, co najmniej parę lat. Najpierw wolałabyś się nacieszyć spokojem, co?

— I tak nie mogę mieć dzieci w tym stanie.

— W jakim stanie?

— W stanie ciągłej paniki. Nerwy mam w strzępach. Zdarzają się dni, kiedy boję się sama wyjść do sklepu. Proszę mi powiedzieć prawdę: czy ja wariuję? Zamkną mnie w szpitalu dla obłąkanych? Często budzę się w nocy z bijącym sercem i martwię o najprzeróżniejsze rzeczy, na przykład że umrę albo wypadną mi wszystkie zęby, albo że nie zamknęłam sejfu w pracy.

— Kate! Przysięgam ci, że to nie jest choroba psychiczna! Nikt jeszcze nie zwariował przy ataku paniki, a dokumentuje się je już od ponad stu lat.

— Zawsze mogę być pierwsza. Cały czas się boję, że dostanę ataku. Miałam już dwa. Jeden bardzo silny w taksówce, w drodze na lotnisko, ale to w ogóle jest osobna historia. A drugi w zeszłym tygodniu, tuż przed przerwą na lunch. Mąż właśnie wchodził po schodach do biura, a mnie nagle zaczęło walić serce i dostałam takiej drżączki, że musiałam się schować w toalecie, dopóki nie minęła. W łagodniejszej formie to mi się zdarza bardzo często. Nie umiem temu zapobiec.

— Kate, zrozum: ty się bez przerwy martwisz. A zmartwienie wprowadza cię w zły nastrój, rodzi niepokój. Twoje ciało reaguje zwiększając wydzielanie adrenaliny, która powoduje te sensacje. Sama je prowokujesz.

— Ale dlaczego? Są takie nieprzyjemne. Dlaczego organizm miałby robić coś, co nie przynosi mu żadnej korzyści? Na dodatek zawsze jest mi zimno.

— To dlatego, że twoje ciało, bardzo teraz podatne na stres, przygotowuje cię do ucieczki odprowadzając krew z wierzchnich warstw ciała i kierując ją do żywotnych organów. Dlatego jest ci zimno. I dlatego twoje serce przyspiesza. To nic poważnego, twoje serce z łatwością to zniesie. — Doktor Campbell pomyślała, że chciałaby dostać funta za każdym razem, gdy powtarza te słowa wystraszonej pacjentce.

— Ale przecież nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Dlaczego serce mi wali, kiedy nie jestem zagrożona?

— No właśnie! Obiektywne niebezpieczeństwo nie istnieje, zatem możesz zażegnać atak nie ulegając złudzeniu, że coś ci grozi.

— A jeśli złapie mnie w miejscu publicznym? Ludzie pomyślą, że mi odbiło. Jestem zmęczona, pani doktor. Obrona przed tym wysysa ze mnie wszystkie siły.

— Posłuchaj mnie, Kate. Przerabialiśmy to już wcześniej. Nie wolno ci się przed tym bronić. Pozwól, niech atak przyjdzie. Po paru minutach minie i sama zrozumiesz, że nic się nie stało. Gwarantuję ci, że nie dostaniesz zawału serca ani nie zwariujesz. To najważniejsze, w co musisz uwierzyć, a kiedy uwierzysz, znajdziesz się na prostej drodze do wyzdrowienia.

— Szkoda, że nigdy nie łapie mnie tutaj. Pokazałabym pani, jak to wygląda. Istny horror!

— A wiesz, dlaczego nie możesz mi tego pokazać? Bo tu czujesz się bezpieczna. W mojej obecności się nie martwisz. Czy to nie jest dla ciebie dowód, że lęk nie dopada cię w dowolnie wybranej chwili, tylko sama go prowokujesz? Nawet jeśli zdarzy ci się to na ulicy, prawdopodobnie nikt tego nie zauważy. W razie czego powiedz, że spada ci poziom cukru we krwi. To coś, czego nikt się nie wstydzi, a każdy zrozumie.

— A więc to nie jest początek choroby psychicznej?

— W żadnym wypadku. Ty i tylko ty masz władzę nad swoimi myślami i nastrojami. Tylko ty możesz odsunąć od siebie lęk. Musisz się zupełnie odprężyć i żyć chwilą obecną. Myślałaś o tym, żeby zacząć uprawiać jogę?

— Jogę? Myślałam, że da mi pani jakieś tabletki.

— Moim zdaniem nie wymagasz leczenia farmakologicznego, Kate. Stosujemy je tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy pacjent jest wyczerpany fizycznie. Tobie jeszcze do tego daleko. Dasz sobie radę sama. Tabletki tylko opóźniłyby wyleczenie.

— Wiem. Już mi pani to mówiła.

— Czy mąż ci pomaga? Jesteście ze sobą zżyci?

— Tak, to naprawdę wspaniały człowiek i bardzo mnie kocha. Chce, żebyśmy szybko powiększyli rodzinę. Uważa, że przy dzieciach nie będę miała czasu na przejmowanie się drobiazgami.

— Pewnie ma rację, choć nie jest to właściwy argument przy planowaniu rodziny. Czy poza napadami lęku coś cię nęka?

— Nie, pani doktor. Boję się tylko, że wpadam w obłąd. Poza tym nic mi nie dolega.

— Surowo zabraniam ci tak myśleć. Niebawem zwolni się miejsce w grupie terapeutycznej, to może przyspieszyć twój powrót do zdrowia. Moim zdaniem powinnaś też spędzać więcej czasu z siostrą i jej maleństwem. Niemowlęta na ogół poprawiają ludziom nastrój. A przy okazji zastanowisz się, czy sama chcesz mieć dzieci. Jeśli uznasz, że to nie dla ciebie, porozmawiaj o tym z mężem. Dam ci ulotkę.

— Mhm. Dziękuję pani doktor.

Kate wyszła z przychodni i ruszyła bez celu przed siebie. Lekarze! Co oni wiedzą! Jest chora, poważnie chora i już. Zazdrości Shirley dziecka i jej bliskości z Declanem, choć Shirley po porodzie wygląda koszmarnie, a jej nowe mieszkanie to istna rudera. W sumie życie biedaczki też nie jest różami usłane. Teraz będzie musiała przez cały dzień zmieniać pieluszki i patrzeć na ohydne łuszczące się tapety. Declan prawdopodobnie zatrzyma dyskotekę i zostanie notorycznym uwodzicielem jak jego poprzednik, Hogan. Kate pomyślała o swoim ślicznym domu, żeby się czymś pocieszyć. Był piękny, to prawda, ale większość znajdujących się w nim rzeczy została kupiona na kredyt. Mieli gigantyczne zadłużenie w banku. Będzie stara, nim je spłacą, a prowadzenie warsztatu już zaczynało ją nużyć. Na domiar złego Kevin co dzień pytał, kiedy zaczną się starać o dziecko. Kiedyś bąknęła żartem, że odstawi pigułkę, ale nie ośmieliłaby się tego zrobić w obecnej sytuacji. Jak da sobie radę z dzieckiem, skoro musi pracować? Jeśli zrezygnuje z pracy, wątpliwe, czy będą mogli utrzymać dom. Nie chciała mieszkać w takiej norze jak Shirley. Oddech Kate alarmująco przyspieszył; poczuła znajomy trzepot w piersi i miała ochotę zawyć z rozpacz. Ale wtedy stało się coś dziwnego. Rozzłoszczona, wrzasnęła na siebie bezgłośnie: No, dalej! Dostań ataku, tu, na środku ulicy! Niech już przyjdzie ten zawal i raz wszystko się skończy! Skonasz jak pies obok przystanku autobusowego przy Ormeau Road. Idealne miejsce! No, już: raz, dwa, trzy...!

I, rzecz niezwykła, trzepot ustał od razu. Kate roześmiała się w głos. A jednak to była prawda. Lekarka miała rację. Nie jest wariatką, tylko osobą bardzo zmęczoną emocjonalnie. Po

pierwsze: katastrofalna randka z Alexem kompletnie zniszczyła jej popęd płciowy. Niezawodny przez ostatnie piętnaście lat, nagle ją opuścił. To było swego rodzaju okaleczenie. Żyła dla mężczyzn: taksowała ich, uwodziła, marzyła o nich i zrywała z nimi. Może nie był to feministyczny ideał, ale tak wyobrażała sobie życie. A kiedy wszystko to się zawaliło, nie zostało jej nic.

Po drugie: zwolniono ją z urzędu w wyjątkowo brutalny sposób. Mogłaby wygrać sprawę przed sądem pracy, ale najzwyczajniej w świecie nie chciało jej się składać pozwu. Panna Bingham jest osobą psychicznie chorą, to oczywiste. Od samego początku miała zadrę do Kate. Koleżanki podejrzewały ją, że zmyśla, ale w głębi serca czuła, że ma w sobie coś, czego stara kobieta organicznie nie znosi. Zresztą nie wróciłaby tam nawet za siedmiocyfrową pensję. Tak więc ta zagadka panny Bingham będzie musiała pozostać nierozwiązana.

Po trzecie: Shirley poderwała sobie przystojnego, bogatego chłopaka i zaszła z nim w ciążę, podważając pozycję Kate jako Światowej Kobiety z Klasą. Shirley, która stroiła się w wyszperane na bazarach odrapane naszyjniki i spłowiałe jedwabne kwiaty, nagle pozbyła się zahamowań, zrzuciła szmatławę ciuszki i ni stąd, ni zowąd poczęła dziecko. A była to jedna z ostatnich rzeczy, jakich ktokolwiek by się po niej spodziewał. Teraz jej mały pokój był pusty, zostało w nim tylko parę smętnych plakatów. Bez Shirley dom już nie był taki sam.

Po czwarte: Kate zanadto przejęła się groźbą staropanieństwa i w konsekwencji bez większego namysłu wyszła za Kevina McGoverna po błyskawicznym romansie. I równie bezmyślnie zaciągnęła kupę długów. Spłata remontu domu i podróży poślubnej zajmie im dziesięć lat. Tymczasem Kevin naprawdę był wspaniałym człowiekiem. Kate prześladowało poczucie winy, że go bardziej nie kocha.

Po piąte: jej obecne zajęcie było makabrycznie nudne. Nie różniło się niczym od pracy w biurze zapomogowym. Góra papierów i żadnych ekscytujących wydarzeń, choćby na okrasę. Samochody są nudne. Prawie tak nudne jak pożyczki kryzysowe. Nie, nudniejsze. No dobrze, powiedzmy, że tak samo nudne...

Po siódme: mogłaby zrezygnować z pracy i urodzić dziecko, ale problem polegał na tym, że nie miała pewności, czy nadaje się na matkę. Niestety, dziecka nie można oddać i poprosić o zwrot pieniędzy. A pani Winters uprzedziła ją z góry, że nie da się osadzić w roli opiekunki. Co to, to nie! Za dużo się naoglądała innych babć uwiązanych na cały dzień do wnucząt, podczas gdy ich córki rozbijały się po mieście drogimi samochodami, chodziły na aerobik albo przesiadywały w kawiarniach.

Żaden normalny człowiek nie wytrzymałby tego emocjonalnie. Doszedłszy do tego wniosku, Kate poczuła ogromną ulgę. Usiadła pod wiatą na przystanku autobusowym omijając wzrokiem walające się na chodniku śmieci i rozdeptaną gumę do żucia. Uśmiechnęła się nawet do siedzącej obok drobnej staruszki, ściskającej w pomarszczonych dłoniach antyczną sznurkową siatkę na zakupy. W środku można było dostrzec małą puszkę puddingu ryżowego, mydło i paczuszkę liściastej herbaty.

— Zimno dziś, prawda? — odezwała się do niej Kate. Przygarbiona kobiecina odpowiedziała jej szerokim uśmiechem, uradowana, że młoda osoba jest dla niej taka miła.

— O, tak — odparła. — Bardzo zimno jak na tę porę roku. Ale słyszałam prognozę, że pod koniec tygodnia ma przyjść ocieplenie.

Kate zachwycił optymizm maleńkiej emerytki. Pewnie jest już po osiemdziesiątce; tweedowy płaszczyk wyglądał tak, jakby służył jej ponad pół wieku, a jednak na górnej wardze staruszki Kate zauważyła plamkę różowej szminki. Czy to jest właśnie sekret długiego życia? — pomyślała nagle. optymizm? Ostatecznie w jej życiu słońce też jeszcze nie zaszło na zawsze. Schowało się tylko za chmurą, by później znów się wyłonić. Wszystko się ułoży. Gotowa była medytować do końca swoich dni, jeśli będzie trzeba. Postanowiła twardo, że nie pozwoli lękom rządzić swoim życiem. Poświęci cały jeden dzień na bilans swych dokonań i błędów, a potem wynotuje wnioski na kartce papieru, podejmie decyzje i będzie się ich trzymać. (Tak radzili w poradnikach psychologicznych.)

— Czy widzisz może, co to za autobus, złotko? — odezwała się staruszka. — Ja mam kiepski wzrok, a kierowcy żądają, żeby zawczasu podnieść rękę, jeśli chce się wsiąść.

Kate odczytała numer autobusu. Kobieta zerwała się uradowana, że to właśnie ten, na który czeka. Kate dała znak kierowcy; autobus łagodnie podjechał do krawężnika. Pomogła wsiąść swojej nowej znajomej i podała jej siatkę, którą ta upuściła na podłogę pojazdu.

— Niech ci Bóg błogosławi, dziecko — powiedziała staruszka, kiedy Kate odsunęła się od autobusu i pomachała jej na pożegnanie.

Chyba rzeczywiście ktoś zesłał dziś na mnie błogosławieństwo, pomyślała Kate i poszła dalej pieszo. Miała zamiar uporządkować swoje życie. To trudne zadanie, które będzie wymagać sporo namysłu, ale da sobie radę. Z iskierką radości poczuła, że nareszcie wie, czego chce.

Postanowiła odwiedzić Shirley i szybkim krokiem pomaszzerowała w stronę szpitala, pozdrawiając wszystkich mijanych przechodniów. Będzie dziś miła i tym razem nie powie siostrze, że jest cała w kropki i wygląda okropnie. I nareszcie przytuli maleńką Mavourne Lunę —

już się nie bała, że może ją upuścić. I począwszy od teraz będzie dobra dla matki. Biedna mama! Znosiła nudne małżeństwo, nudną pracę i dwadzieścia lat Konfliktu, a jednak się nie załamała. W szpitalu musiała przecież oglądać straszne rzeczy. Ale zawsze mówiła tylko o tym, że ma tam wielu przyjaciół, a w okresie świąt Bożego Narodzenia, kiedy ludzie zapominają o dzielących ich różnicach, są dla siebie mili i szanują wzajem swoją godność, panuje wspaniała atmosfera. Nigdy nie usłyszały od niej słowa skargi, co najwyżej nieszkodliwe połajanki. Szczerze zachwycała się pięknie urządzonym domem Kate; ani razu nie wspomniała, że jej własny dom jest prymitywną rudera z meblami ze sklejk i armaturą wziętą z arki Noego. Nigdy w życiu nie była na porządnych wakacjach. Kate postanowiła, że musi podjąć w związku z tym pewne kroki.

A Kevin? On też zasługiwał na więcej, niż mu dawała. Zasłużył na kochającą żonę, która będzie go słuchać i dbać o niego.

Wypełniona po brzegi dobrymi intencjami przyspieszyła kroku. Dotarła do szpitala zaspiana i zarumieniona; pobiegła prosto do pokoju Shirley i porwała zdumioną siostrę w objęcia.

35.

GWIAZDOR HOGAN PODEJMUJE RYZYKO

Johnny pił kawę w lotniskowej kawiarni. Wylądował właśnie na Aldergrove po długim locie z Nowego Jorku. Ameryka była niesamowita; spędził tam wakacje swego życia, ubarwione nawet przelotnym romanssem z milutką stewardesą z Idaho. Ale przez cały czas dręczyło go poczucie, że jest tam obcy. Oglądanie w naturze miejsc, które znał z filmów, miało surrealistyczny posmak. Potężne nowojorskie drapacze chmur go przerażały. W restauracji na dachu takiego wieżowca dostał zawrotów głowy na widok ptaka siadającego na parapecie okna i musiał szybko zjechać na dół. Żółte taksówki poruszały się z nadmierną prędkością, a część kierowców w ogóle nie mówiła po angielsku. W jadalniach był za duży wybór, a obsługa za szybka. Zanim zdążył się zastanowić, na co miałby ochotę, już zjawiała się kelnerka ze szklanką wody i stała nad nim wyczekująco. Nawet gdy zamawiał hamburgera i frytki, to rodziło kolejne problemy. Musiał odpowiadać na niekończące się pytania: jaka bułka? Jakie marynaty? Jaki ser? Jaka sałata? Frytki czy chipsy? Zresztą frytki były tu małe i twarde, przypominały w smaku kartonowy pojemnik, do którego je pakowano. (Porządna porcja tłustych frytek ze świe-

zych ziemniaków — takich, jakie serwowano w Belfaście — może nakarmić człowieka na dwa dni.) Oczywiście pojechał do Graceland i w głębi ducha był zadowolony, że Elvis już nie żyje. Gdyby ujrzał Króla we własnej osobie, padłby trupem na miejscu. Podniecenie zabiłoby go równie pewnie, jak eksplodująca bomba.

Dziwne: brakowało mu przewidywalności życia w Irlandii Północnej. Tam człowiek po prostu wiedział, że nie zdarzy się nic nadzwyczajnego. W telewizji wciąż ci sami politycy perorowali o konieczności zmian, choć wiadomo było, że nic się nie zmieni. Poniekąd miła była świadomość, że Belfast nigdy nie wyewoluuje w nowoczesne, kosmopolityczne miasto. Był prowincjonalny i to się w nim Johnny'emu podobało. On sam też był prowincjuszem. Nie chciał stać się człowiekiem światowym. Ameryka była wielka, szybka, zażarta, brutalna i piękna — i męcząca. Johnny łaknął zmiany skali, zwyczajności małego podrzędnego miasta. Czuł się tu drobną płotką w oceanie. Wstydziłby się do tego przyznać, nawet przed sobą, ale babcia Eileen miała rację: łatwo udawać rekina w bajorku takim jak Belfast. Gwiazdor Hogan zawsze marzył o ujeżdżaniu dzikich koni na własnym ranczu, a gdy nareszcie zwiedził takie ranczo w Teksasie, stchórzył i nawet nie odważył się dosiąść wierzchowca. Kupił sobie kowbojski kapelusz i paradował w nim przez cały dzień, a potem schował go do walizki. Jako pamiątkę. Wtedy właśnie zaczął snuć plany powrotu do domu.

Kilkakrotnie rozmawiał przez telefon z Declanem i wiedział, że dyskoteka wciąż jest nieczynna. Zaczynał się martwić, że budynek zniszczyje od wilgoci. W dniu loterii chłopak wydawał się pełen entuzjazmu, głowę miał pełną marzeń, zapowiadał, że zrobi tu najlepszy klub w Europie. Sławy rocka będą się ustawiać w kolejce, żeby w nim zagrać, a najpoważniejsi krytycy muzyczni będą błagać o stolik przy estradzie. Ale podczas ostatniej rozmowy z Johnnym Declan mówił tylko o swej nowo narodzonej córeczce i o tym, że jest zafascynowany medycyną. Bąknął przeproszająco, że chyba sprzeda lokal i za uzyskane pieniądze kupi dom. Szok przyprawił Johnny'ego o kilka bezsennych nocy.

Johnny sądził, że jest przygotowany na taką możliwość, ale niełatwo mu się było z nią pogodzić. Tęsknił za dyskoteką. Miał ochotę znów wprowadzić ją na szczyt. Uronił nawet kilka łez wspominając dzień, kiedy oblał tanim szampanem najlepsze buty. Dzień, w którym ukończono wykop pod fundamenty, a Eileen była z niego taka dumna.

Dał kelnerce napiwek do rąk własnych, podniósł walizkę i wyszedł na parking. Wezwał taksówkę, z tęsknotą myśląc o błękitnym lincolnie czekającym nań w garażu za domem. (O ile nie dobrali się do niego złodzieje.) Postanowił, że jeszcze tego wieczoru odwiedzi Declana,

przekona go, by rzucił studia i otworzył dyskotekę. Podjął także drugą ważką decyzję: powie chłopcu, że jest jego prawdziwym ojcem. Może nie od razu, ale kiedy nadarzy się odpowiedni moment. I do diabła z konsekwencjami. W trzecim tygodniu swoich długich wakacji Johnny oglądał z helikoptera Wielki Kanion Kolorado. Lecąc nad otchłanną rozpadliną w ziemi nagle uświadomił sobie, że nie boi się już Marion i Eddy'ego Greenwoodów.

36.

POCZĄTEK I KONIEC

Kilka tygodni później, leżąc wieczorem w łóżku, Kate delikatnie pocałowała Kevina w policzek.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że cię kocham — szepnęła. — Wcale nie wyszłam za ciebie dlatego, że Shirley też brała ślub. Przysięgam.

— Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem, słonko.

— Wiem. Ale mnie o to podejrzewałeś. — Uśmiechnęła się do niego.

— Nieprawda — powtórzył.

— Owszem, tak. Ale nie mam o to do ciebie żalu. Zachowywałam się wówczas jak wariatka.

— Mogliśmy poczekać. Wziąć ślub osobno, bez pośpiechu. Mówiłem ci wtedy o tym.

— No cóż, trudno. To i tak był wspaniały dzień, nie sądzisz? Na zawsze zachowam go we wspomnieniach.

— To prawda. A teraz możesz przejść do rzeczy.

— Skąd wiesz, że mam do ciebie jakąś sprawę?

— Bo byłaś dziś dla mnie wyjątkowo miła. Zrobiłaś pyszną kolację; już choćby to jest podejrzane.

— Ach, po prostu pomyślałam, że czas wziąć się za gotowanie. To był zwykły kurczak w śmietanie z odrobiną przypraw. Znalazłam przepis w gazecie.

— Niemożliwe! To w „Vogue” drukują przepisy?

— Znalazłam go w „Pani Domu”, kiedy byłam u mamy.

— Naprawdę? Jestem z ciebie dumny.

— Kevinie... pewnie zauważyłeś, że byłam ostatnio trochę nerwowa?

— Tak. Kazałaś mi nie zwracać na to uwagi.

— Właśnie. Musiałam sobie przemyśleć parę rzeczy. To znaczy, martwiłam się o wiele spraw, ale to już minęło. Znow jestem w formie.

— Bardzo mnie to cieszy. Wiedziałem, że dasz sobie radę, moja dzielna dziewczynko.

— Byłam dzielna i dałam sobie radę. Kevinie, chcę z tobą porozmawiać. Ale najpierw będziemy się kochać.

— Jasne!

Zanim zdołała się obejrzeć, już trzymał ją w ramionach i okrywał pocałunkami. Ze śmiechem wyzwoliła się spod jego muskularnego ciała.

— Czekaj, byczku. Chcę, żeby dziś było inaczej. Powolutku. Najpierw mnie pocałuj. Bardzo delikatnie. Tak, tak, dobrze, trzymaj mi ręce na plecach.

— Tak? — Przesunął jedną dłoń wzdłuż jej talii, a drugą wzwyż ku łopatkom.

— Mmmm... Rozkosznie. A teraz połechtaj mnie po szyi koniuszkiem języka. Leciuteńko.

— Myślałem, że lubisz, jak jestem dziko namiętny?

— Tak, ale na końcu, nie na początku. No wiesz...

— Dobra.

— Drażnij się ze mną. Rób to tak, jakbyś w każdej chwili chciał przestać.

— Wtedy będziesz mnie bardziej pragnąć?

— Właśnie.

— Kobiety! Wszystkie jesteście takie skomplikowane?

— Wszystkie.

Najdelikatniej jak umiał, lizał ją po szyi nie przestając pieścić dłońmi jej pleców. Przez pół godziny w bladoniebieskiej sypialni nie rozlegał się żaden dźwięk oprócz tykania porcelanowego zegara na kominku i zmysłowych westchnień Kevina McGoverna i jego ciemnowłosej żony. Dla obojga było to bardzo kojące.

— Powiedz mi, że jestem piękna — szepnęła Kate.

— Jesteś piękna — rzekł Kevin i roześmiał się nagle. — Przecież sama o tym wiesz!

— Nie śmieję się! Spójrz mi w oczy i powiedz to tak, jak gdybyś dopiero teraz nagle sobie uświadomił, jak bardzo jestem piękna. Z powagą, Kevin. Postaraj się mnie przekonać, że naprawdę tak myślisz.

— Jesteś piękna — szepnął patrząc jej prosto w oczy, najzupełniej poważnie, a Kate poczuła mgliste, na wpół zapomniane drgnienie podniecenia.

— Kobiety muszą czuć się atrakcyjne, żeby seks sprawiał im przyjemność — powiedziała.

— Za każdym razem?

— Za każdym, każdziutkim razem.

— Zapamiętam to sobie.

— Teraz zamknij oczy i pocałuj mnie w usta.

— Delikatnie?

— Tak. Bardzo delikatnie. Tylko muśnij wargami moje wargi. — Omawianie wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach było trochę krępujące, ale trzeba to było wreszcie zrobić.

— Z zamkniętymi ustami? — upewnił się Kevin.

— Tak. Ja też będę miała zamknięte. Na razie.

— A potem otwieramy?

— Tak.

— Kto pierwszy?

— Ja. To ma symboliczne znaczenie.

— To znaczy, że jesteś gotowa na następny krok?

— Widzisz, już zaczynasz chwytać.

Z uśmiechem pocałowała obie jego dłonie. Były duże, szorstkie i pokaleczone, lecz równocześnie bardzo delikatne i jakby kruche. Kevin naprawdę był bardzo atrakcyjny — silny, prawdziwie męski. Słuchał jej wskazówek i poddawał się jej przewodnictwu — a to znaczyło, że jej ufa i chce się nauczyć dawać jej rozkosz w łóżku. Uświadomiła sobie, że bardzo go za to kocha.

— Teraz możesz dotknąć swoich ulubionych miejsc — szepnęła gardłowo.

Jego dłonie przesunęły się na jej boki i bardzo powoli popęzły w stronę piersi. Skoncentrował się nie tylko na wrażliwych sutkach, także na otaczających je miękkich nabrzmiąłych wzniesieniach. Całował nawet jej obojczyki, omiatając gorącym oddechem szyję. Mówił, że cudownie pachnie. Kate nareszcie się odprężyła. Przeczesła palcami jego jasne postrzępione włosy, a potem głaskała jego szerokie plecy. Ten wieczór już sprawił jej więcej przyjemności niż wszystkie poprzednie razem wzięte. Kevin masował jej ramiona, ona całowała go po twarzy i mówiła mu, że jest seksownym i wspaniałym kochankiem.

Kiedy była już gotowa, obróciła go na plecy i uklękła nad nim, a potem kierowała jego ruchami, aż przyspieszyły gwałtownie i oboje osiągnęli pełnię rozkoszy w tej samej chwili. Wzruszyła się, gdy Kevin pocałował ją potem w obie dłonie i powiedział „Dziękuję”, chociaż wcale mu tego nie podpowiedziała.

Zapalili pachnącą świecę i leżeli objęci, zasłuchani w szmer deszczu za oknem. Kate wiedziała już, że poślubiła właściwego mężczyznę, choć zawarła święty związek otumaniona valium.

Kilka godzin później, kiedy Kevin wciąż jeszcze spał z uśmiechem na twarzy, Kate wymknęła się z łóżka i zeszła na dół. Zrobiwszy sobie herbaty, usiadła w kuchni, wyjęła notes i zajęła się sumowaniem liczb i obliczaniem odsetek. Chciała namówić Kevina, by sprzedał dom i warsztat, spłacił wszystkie długi i wyjechał z nią do Nowej Zelandii. Domy były tam tańsze, a klimat znacznie łagodniejszy. Teraz, gdy zyskała pewność, że chce spędzić z nim całe życie, pora powiedzieć mu, że chce wyjechać. Kate Winters, obecnie pani Kate McGovern, była po prostu za dobra na Belfast, ot i klucz do zagadki. Zamierzała żyć z Kevinem, lecz nie tutaj. To miasto od lat rabowało jej spokój ducha. Musi stąd wyjechać — nie uciec przerażona, lecz wyjechać z rozmysłem, z własnej nieprzymuszonej woli — i zacząć wszystko od nowa gdzie indziej, w nowym kraju, który poznawaliby razem. Bez rodzin i sąsiadów patrzących im na ręce mieli szansę stać się nowymi, wolnymi ludźmi, nie Kate z biura zapomogowego i Kevinem z brudnego warsztatu w bocznej uliczce. W Belfaście człowiek nie mógł się uwolnić od tego, kim był i co przeżył. Było tu za ciasno, życie płynęło zbyt wolno. Dlatego uznała, że najlepszym wyjściem będzie spakować manatki bez hałasu i zobaczyć, czego uda im się dokonać w innym miejscu.

Kiedy Kevin obudził się z przyjemnego snu, Kate, świeżo wykąpana, umalowana i ubrana w ładną niebieską sukienkę, podała mu do łóżka herbatę i gorące bułeczki, gratulując wyczynów minionej nocy. Potem położyła się obok niego i nakreśliła swój plan. Przeprowadziła już szczegółowe rozeznanie przez telefon. Dowiedziała się, że nie powinni napotkać żadnych trudności, ponieważ oboje mają kwalifikacje zawodowe i środki na utrzymanie. Ku jej zaskoczeniu Kevin powiedział „tak”.

— Tak szybko? — spytała zdumiona. — Nie chcesz tego najpierw przemyśleć? Nie będziesz tęsknił?

— Jesteś mi potrzebna — rzekł po prostu. — Umierałem z nudów, dopóki się nie zjawiłaś, i teraz za nic nie chciałbym wrócić do tamtych czasów. To był tylko cień życia, nie życie.

— Naprawdę? Nigdy dotąd nikomu nie byłam potrzebna.

— Ale mnie jesteś. Bardziej, niż myślisz, Kate. Nie zostawiaj mnie. Zabierz mnie ze sobą.

— Zabiorę cię — obiecała. — Nigdy cię nie opuszczę.

— No to świetnie — rzekł z ulgą. — Mogę przyjąć, że ty zajmiesz się papierkami? Nigdy nie byłem w tym dobry. Powiedz mi tylko, kiedy mam przestać przyjmować wozy do naprawy.

— Zostaw to mnie — zaśmiała się. — Wartość domu się podwoiła, mamy dość na przełoty, pierwszą ratę za nowy dom tam na miejscu i może nawet miesiąc lub dwa wakacji, zanim podejmiemy pracę.

— Kapitalnie. Żeby to uczcić, sprawdźmy, czy dobrze zapamiętałem to, czego uczyłaś mnie wczoraj — mruknął, biorąc ją za rękę i prowadząc do łazienki, do wielkiej narożnej wanny ze złożonymi kurkami. — Powinniśmy jeszcze skorzystać z tego mamuta, póki mamy szansę.

Parę miesięcy później byli gotowi do wyjazdu. Dom i warsztat zostały sprzedane, rodzina pożegnana. Kate i Kevin stali w kuchni trzymając się za ręce.

— Jesteś gotowa? — spytał. — Czas iść.

— Jestem gotowa — odparła. Wzięli walizki.

Rozejrzeli się po wymarzonej, robionej na zamówienie kuchni, popatrzyli na białe sofy i wymyślnie kute lampy w saloniku. (Meble zostały sprzedane wraz z domem.) Potem wyszli i cicho zamknęli za sobą drzwi. Taksówka czekała na nich kilka przecznic dalej. Specjalnie o to poprosili, chcieli przejść się ostatni raz przez Lisburn Road. Była szósta rano.

Kiedy wyjeżdżali z miasta, Kate nie patrzyła w okno. Nie chciała zobaczyć czegoś, co wycisnęłoby jej z oczu łzy. Wspominała tylko te smutne obrazy, z którymi chciała się na zawsze rozstać: stęsknionych za domem angielskich żołnierzy skulonych pod płotami z pistoletami maszynowymi w rękach, rozdierające transmisje pogrzebów w telewizyjnych wiadomościach, nieustający deszcz i wiecznie wiszące nad miastem szare chmury. Nudne prace, które wykonywała od ukończenia szkoły. Odrapane fasady ciasnych sklepików, lojalistyczne graffiti na murach, spalony samochód koło stacji benzynowej. Odsuwała od siebie pamięć radosnych chwil przeżytych z rodziną w domu, z przyjaciółmi w pubie albo z Shirley w dyskotecce.

Mavourna Luna pewnie wkrótce się zbudzi. Shirley mówiła, że kołyska stoi tuż przy ich łóżku i co rano widzą, jak dziecko macha rączkami, domagając się ich uwagi. A Declan przed wyjściem na uczelnię przynosi Shirley herbatę do łóżka.

Rodzice też pewnie już nie śpią, parzą herbatę, pieką grzanki i przygotowują się na ranną zmianę w szpitalu. Kate nie chciała się z nimi widzieć w dniu wyjazdu. Tak dosłowne pożegnanie sprawiłoby jej ból. Wiedziała, że dadzą sobie radę. Nie musząc się już martwić o córki, będą mieli wreszcie więcej czasu dla siebie.

Był to koniec jej życia w Belfaście i początek nowego życia na drugim końcu świata. Nie jechali w ciemno: wynajęła już niewielki boks w nowym pasażu handlowym. Miała zamiar otworzyć luksusowy butik i sprzedawać w nim buty i torebki. A Kevin miał już zapewnioną pracę w dużej firmie. Będzie mógł nadal naprawiać samochody i nie martwić się o księgowość. Postanowili poczekać jeszcze parę lat, nim ewentualnie zdecydują się na dziecko. Do tego czasu spłacą część hipoteki i będą sobie mogli pozwolić na żłobek albo zatrudnienie sprzedawczyni w butik — to będzie zależało od Kate.

Kiedy wjechali na autostradę, spojrzęła na swoje dłonie. Nie drżały. Serce też zachowywało się spokojnie. Już się nie bała. Wkrótce będzie zajadać rogaliki na pokładzie jumbo jeta. Kevin obejmował ją ramieniem i mruzczał, że już się nie może doczekać chwili, kiedy wystartują. Był podniecony i szczęśliwy. Potrzebował Kate, a ona mu ufała. Wstawał piękny jasny poranek, pełen nadziei i perspektyw.

ICH DALSZE LOSY

W czasie gdy Kate i Kevin podejmowali decyzję o emigracji, Johnny Hogan opowiadał Declanowi Greenwoodowi prawdziwą historię jego narodzin. Był jasny grudniowy poranek; siedzieli obaj w obitej aksamitem niszy w barze dyskoteki. Spotkali się po raz pierwszy, odkąd Johnny wrócił z Ameryki. Próbował namówić Declana na ponowne otwarcie lokalu — bez skutku. Kiedy zaś chłopak stwierdził, że otrzymał bardzo korzystną ofertę od przedsiębiorstwa budowlanego, które miało zamiar postawić na tej parceli dwadzieścia domków jednorodzinnych, Johnny nie zdołał dłużej utrzymać języka za zębami.

Declan słuchał w milczeniu, jak jego matka posłużyła się ciążą, żeby usidlić bogatego biznesmena, podczas gdy Johnny walczył z bandytami. Jak wyciągnęła od Eddy'ego pieniądze na własny sklep i elegancką willę. Jak przez dwadzieścia lat okłamywała Johnny'ego ukrywając przed nim, że ma syna, i nie pozwoliła mu nawet przyjść na ślub jedyne dziecko. Potem długo patrzył na Johnny'ego, choć łzy zbierały mu się w oczach. Tak, rzeczywiście byli do siebie podobni, teraz to widział. Ale wcale się nie cieszył, że poznał swego prawdziwego ojca. W towarzystwie tego mężczyzny w znoszonej białej marynarce i niemodnej fryzurze czuł się niepewnie. Dostrzegał w nim jakiś rozpaczliwy niepokój; coś, co kazało myśleć: „Ten człowiek jest napiętnowany smutkiem”. Johnny kilkakrotnie z naciskiem powtórzył: „Jesteś moim synem”, jak gdyby chłopak stanowił jego własność; jakby mógł rościć sobie prawo do uczuć Declana i udziału w decyzjach dotyczących jego życia tylko dlatego, że był obecny przy jego poczęciu. Nawet nie interesował się Mavourną. Stwierdził tylko, że Declan powinien postarać się o syna. Trzy pokolenia Hoganów w branży rozrywkowej to byłoby coś!

Declan poczuł nagle obezwładniający przyływ miłości do Eddy'ego. Ani razu w całym swoim życiu nie odczuwał dystansu między nim i sobą. Nigdy nie czuł się mniej ważny albo mniej kochany niż siostry. Doskonale rozumiał, dlaczego matka opuściła tego dziwnego człowieka i jego pogrążony w półmroku lokal dla Eddy'ego, który gwarantował jej bezpieczną przystań i stabilną rodzinę. Declan nie chciał stać się taki, jak siedzący naprzeciw niego mężczyzna. Johnny Hogan zyskał sławę, ale sława nie wypełniała mu przyjaźnią samotnych dni. Był więźniem tej pustej sali, czekał nadejścia nocy, kiedy będzie mógł otworzyć drzwi i wpuścić tu ludzi. Bez dyskoteki przestałby istnieć. Declanowi zrobiło się go żal. Nie mógł jej teraz

sprzedać, to byłoby zbyt okrutne. Pozbawiony swojej tancbudy pięćdziesięcioletni Gwiazdor będzie jak osierocone dziecko. Wyjął z kieszeni klucze do budynku, położył je na blacie i pchnął w kierunku Johnny'ego.

— Przykro mi — rzekł. — Naprawdę mi przykro, że muszę to powiedzieć. Uważam, że powinienem zwrócić panu lokal. Mam już jednego ojca i bardzo go kocham. Sądzę zresztą, że nawiązał pan ze mną kontakt tylko po to, żeby mieć kogoś, kto poprowadzi pańską firmę. Żona jest temu przeciwna, podobnie jak moja matka. I ja też tego nie chcę. Kiedy światła gasną i milknie muzyka, jest tu rozpaczliwie smutno. Przykro mi, ale nasza znajomość nie ma przyszłości. Utrzymując ją, zraniłbym rodziców, a tyle im zawdzięczam. W najbliższym czasie załatwię formalności związane z powtórным przekazaniem lokalu. Życzę panu powodzenia. Najlepiej, jeśli obaj będziemy udawać, że ta rozmowa nie miała miejsca.

Wstał, podał Johnny'emu rękę i wyszedł. Johnny patrzył w ślad za nim, podobnie jak dwadzieścia lat temu patrzył za odchodzącą Marion. Dotknął kluczy palcem wskazującym. Były jeszcze ciepłe. Wsadził je do kieszeni.

Spojrzał na sufit. Chłopak był pozbawiony wyobraźni. Tak, to prawda, za dnia jest tu smutno. Lecz wieczorem, w powodzi światła i śmiechów, w romantycznej atmosferze, przy dźwiękach muzyki dyskoteka piękniała jak Kopciuszek odmieniony przez dobrą wróżkę. Wygna stąd myszy i pająki i przywróci jej poprzednią świetność. Zatrudni cały dawny personel. Otworzy dansing dla starszego pokolenia. Tym razem pójdzie za radą Jamesa. Koniec z bójkami w toalecie i aktami wandalizmu. Będzie tu porządny lokal z miejscem do tańca, lepsze meble, bardziej urozmaicona kuchnia i prestiżowe turnieje taneczne z pucharami i wstęgami. Sprawí sobie nową marynarkę, tym razem błękitną. Poczúł wzbierającą pod sercem falę podniecenia. Będzie miał sporo pracy, ale praca była jego żywiołem. Cieszył się, że wraca do branży.

Didżej Toni, ocalony od zapicia się na śmierć w pensjonacie dla emerytów w Ballycastle, wrócił, by znów puszczać płyty na ulicy Magnoliowej. Jego ciężki oddech stał się sławny w sześciu krajach, nieraz mówiono o nim w ulsterskim radio. Ale ludzie byli wyrozumiali, powszechnie bowiem uważano, iż owo rżenie rodem z taniego horroru spowodowane jest astmą. Toni poznał i poślubił bardzo elegancką właścicielkę salonu fryzjerskiego i żyli razem długo i szczęśliwie w przytulnym domku przy Saintfield Road ze studnią życzeń w ogródku. Kiedy po siedemdziesiątce Toni odszedł na zasłużoną emeryturę, Johnny zatrudnił na jego miejsce młodego człowieka imieniem Jonathan. Ich współpraca ułożyła się nad podziw dobrze. Jona-

than stał się dla Hogana jak syn i po pewnym czasie szef zaczął go przygotowywać do przejęcia firmy. Z biegiem czasu myśl o Declanie przestała mu sprawiać ból. W czasie wojny stracił oboje rodziców i przeżył. Przeżyje również utratę jedyne dziecko. W ciągu swego życia uszczęśliwił tysiące osób. Nie był człowiekiem przegranym, jak twierdziła Marion. Był gwiazdorem, zdobył własną sławę.

Eileen i James nie skomentowali darowizny Johnny'ego na rzecz Declana. Kiedy młody człowiek ją zwrócił i rozstali się na dobre, Eileen domyśliła się, co ich łączyło. James w głębi ducha podejrzewał to od lat. Oboje wiedzieli wszakże, iż nie pozostało im wiele życia, nie chcieli go marnować na rozpamiętywanie przeszłości.

Oczywiście martwili się o Johnny'ego. Czuli, że jest samotny w Belfaście. Ale miał już piąty krzyżyk na karku. Przez pół wieku robili dla niego, co mogli, teraz musiał sobie radzić sam. To była cena, jaką zapłacił za swą karierę. Sukces, nawet w prowincjonalnym show-biznesie, zawsze ma wysoką cenę. Wyrzucali sobie czasem, że w dzieciństwie za często pozwalali mu na kino. Gdyby nie spędził tak wiele czasu w ciemnym zadymionym pomieszczeniu wpatrując się w celuloidowe fantazje, nie skończyłby tak, jak skończył. Gdyby naprawdę pragnął założyć rodzinę, śmiało mógł to zrobić. Ale Johnny ponad wszystko na świecie chciał być sławny. Osiągnął cel. Zapewne na swój sposób był szczęśliwy.

W ciągu dwóch miesięcy sala była gotowa na przyjęcie nowych gości. Znowu rozpętała się wrzawa w prasie, telewizja i wywiady. Tancerze trzeciego wieku dopisali masowo na wielkiej inauguracji, a Johnny wyglądał bajecznie w błękitnej brokatowej marynarce. Tylko jeden z dziennikarzy zagadnął go, jak to się stało, że lokal wrócił do niego po owej słynnej loterii. Johnny tylko machnął ręką i mruknął:

— A! To już przeszłość.

Marion zaproponowała Eddy'emu, aby odnowili przysięgę małżeńską i urządzili z tej okazji huczne przyjęcie. Chciała powiedzieć całemu światu, jak bardzo go kocha. Wzruszony Eddy natychmiast zabrał się do planowania imprezy. Na przyjęciu Marion ubrana w niesłychanie kosztowną aksamitną suknię, której nie udało jej się sprzedać w butik, wygłosiła rozcudzającą mowę i wyznała mężowi miłość w obecności wszystkich bliższych i dalszych znajomych. Wykwintne potrawy i różne atrakcje dla gości kosztowały ich fortunę, ale stwierdzili, że było warto. Teraz — w przeciwieństwie do pierwszego razu — czuli się nareszcie porządnie zaślubieni. Nie zawracali sobie głów podróżą — po prostu wrócili do domu i zaszyli się w wygodnej kremowej sypialni pijąc herbatę i rozpamiętując cały ten cudowny dzień.

Przedsiębiorca budowlany, który ostrzył sobie zęby na parcelę Hogana, kupił inny kawałek ziemi nieco dalej. Stanął na nim rząd eleganckich domów. Greenwoodowie kupili jeden z nich dla syna. Młodzi wprowadzili się, gdy tylko wyschły tynki. Z radością pożegnali się z ciasnym mieszkaniem, ciekącymi kranami, skrzypiącą podłogą i wspólnymi drzwiami wejściowymi, którymi we dnie i w nocy wciąż ktoś trzaskał. Declan, znając teraz prawdę, był wzruszony do łez hojnością ojca. Choć początkowo wzdrygał się przed przyjęciem od rodziców pomocy finansowej, przyjął jednak dom obiecując, że zacznie spłacać dług, gdy tylko podejmie pracę. Zdawał sobie sprawę, jak wiele znaczyło dla Eddy'ego to, że zwrócił Johnny'emu dyskotekę. Była to jakby formalna deklaracja lojalności. Wyściskawszy rodziców Declan natychmiast zaprosił ich na podwieczorek w nowym domu i już wkrótce mieli okazję wspólnie napić się herbaty w świeżo wymalowanym saloniku.

Pierwsze, co Kate zrobiła po wprowadzeniu się do nowoczesnego parterowego domu z widokiem na Pacyfik, to powiesiła na ścianie w sypialni oprawione w ramkę bilety na pożegnalną dyskotekę u Hogana. Symbolizowały one tamtą pamiętną noc, gdy zrozumiała, że jednak kocha Kevina. Urządzili sobie drugi miesiąc miodowy zwiedzając nową ojczyznę, podziwiając widoki, jedząc w restauracjach i kupując meble. Kate odebrała od zarządcy klucze do swojego sklepiku i przez dwa radosne tygodnie malowała ściany i nadzorowała budowę oryginalnych regałów, a także odwiedzała giełdy galanteryjne. Kiedy wszystkie torebki umieszczono na półkach i rozlano szampana, drzwi zostały otwarte i do środka wdarł się tłumek zaciekawionych pań dzierżących w pogotowiu karty kredytowe. Zapowiadał się wielki sukces. Kevin łatwo zżył się z nowym środowiskiem i wkrótce pływał już z kolegami na ryby łodzią o imieniu „Chłopak z Belfastu”. Nawet przez chwilę nie tęsknił za dawnym życiem.

*

Declan rzetelnie poświęcił się studiom; wykładowcy twierdzili zgodnym chórem, że będzie z niego kiedyś doskonały lekarz. Rzadko miał czas, żeby myśleć o tym, co by było, gdyby zatrzymał dyskotekę. Lecz choć solennie przyrzekł kiedyś Shirley, że niczego nie będzie przed nią ukrywał, tajemnicę Johnny'ego zachował dla siebie. (Mogłaby się zdenerwować, gdyby nagle przedstawił jej trzeciego z kolei dziadka Mavourny. Czuł zresztą, że Shirley nie przepada za Hoganem — kiedy oddał dyskotekę, z radości rzuciła mu się na szyję.) Rodzicom także się nie przyznał, że wie o wszystkim, a oni nigdy nie zapytali go o to wprost. Z upływem miesięcy cała sprawa stopniowo odeszła w zapomnienie. Codziennie wieczorem, leżąc obok Shirley w łóżku,

Declan mówił sobie, że podjął słuszną decyzję. Był domatorem jak Eddy. Nie dbał o to, co myślał o nim obcy. Najważniejsza była dla niego rodzina.

Shirley miała wielką frajdę malując świeżo otynkowane ściany na spokojne pastelowe barwy i szukając na bazarach ładnych mebli. Wymalowała pokój dziecienny w różowe drzewa o błękitnych listkach, spomiędzy których wyglądały leśne elfy. Nabrawszy nieco sił, któregoś dnia bąknęła, że właściwie mogliby się postarać o drugie dziecko, żeby Mavourna miała towarzystwo. Wciąż nie miała pewności, czy wierzy w Boga czy w coś innego, ale jednego była stuprocentowo pewna: przy następnym porodzie chce mieć obok siebie chirurga. (Figura Matki Boskiej wylądowała w pokoju gościnnym, lecz Shirley pieczołowicie ją odkurzała.)

Czasem ronila parę łez na myśl, że Kate mieszka tak daleko i już nigdy nie wróci do Belfastu. Szkoda, że nie były sobie bliższe w ciągu minionych lat. Obiecały utrzymać ze sobą kontakt, lecz w głębi duszy Shirley wiedziała, że będzie on coraz rzadszy, Kate wkrótce nabierze obcego akcentu i po pewnym czasie staną się sobie obce. Już nigdy nie będą razem tańczyć w dyskotecie ani upijać się w barze Pod Koroną, ani śmiać się z dziwactw panny Bingham. Tamta epoka dobiegła końca. Ale Kate nie zobaczy również nowego dywanu w saloniku Shirley, nie skosztuje jej czekoladowych babeczek i nie będzie dyskutować z nią o wychowaniu dzieci.

Spojrzała na śpiącego obok Declana. Jego długie rzęsy zadrgały przez sen, chyba miły, bo na wargach błąkał mu się uśmiech. Zrozumiała, że ma przy sobie przyjaciela. Pocałowała go w ramię, przytuliła się i zasnęła.

Kate przez sześć miesięcy żyła dość oszczędnie, a potem wysłała rodzicom fantazyjną pocztówkę i bilety na rejs wycieczkowy. Państwo Winters nareszcie pojechali na wakacje. Niektnięci morską chorobą obżerali się pieczonymi kurczakami, arbuzami i ananasem i codziennie wieczorem szli na dansing. (Pani Winters wpinała pióra we włosy, a pan Winters wbijał się w swój stary smoking.) Zwiedziwszy kilka europejskich krajów wrócili do domu opaleni i świątowi. Postanowili odkładać pieniądze i co roku jeździć na jakąś ładną wycieczkę. Okazało się to łatwiejsze, niż sądzili — bez Kate i jej katalogów życie kosztowało ich znacznie taniej. W dawnym pokoju Kate pani Winters urządziła sobie szwalnię, w której spędziła wiele miłych godzin szyjąc ozdobne poduszki do saloniku i marszczone zasłonki do kuchni. Pan Winters był temu bardzo rad, lecz na wszelki wypadek rozbudował szopę.

Potem Hogan zaczął organizować kursy tańca towarzyskiego i wszyscy oszaleli na ich punkcie. Za pierwszym razem pan Winters zamknął się w szopie utrzymując, że musi jeszcze dociąć całą masę półek. Ale gdy małżonka zagroziła użyciem przemocy bezpośredniej, ugiął

się, poszli tańczyć i doskonale się bawili. Czuli się prawie jak na statku, tylko mniej kiwało i zwracali baczniejszą uwagę na kroki. Wkrótce spędzali u Hogana trzy wieczory w tygodniu, zdobyli nawet mały puchar dla najlepszych nowicjuszy w lutym.

Stryj Alexa zmarł i Alex odziedziczył fortunę, toteż Louise Lowry bez zbędnej zwłoki zaciągnęła go do ołtarza i położyła swoją wielką łapę na jego koncie bankowym. Zaloty trwały krótko i nie były nazbyt romantyczne: w każdą sobotę chodzili razem na curry. Pewnego deszczowego lipcowego wieczoru otoczyła ich banda agresywnych nastolatków, prowokując Alexa do bójki. Zanim się obejrzał, Louise zwinęła dłoń w pięść i tak wyrznęła największego prosto w twarz, że zwałił się na chodnik. To ostudziło zapał pozostałych; grzecznie przeprosili i poszli sobie. Tego samego wieczoru w jadalni Gwiazda Indii przy Ormeau Road Alex poprosił Louise o rękę. Zaimponowała mu swą dzielną postawą. Po podróży poślubnej (apartament z dwoma łózkami w Wenecji) skwapliwie przekazał Louise sieć sklepów stryjka, twierdząc, że nie interesuje go biżuteria. Louise zatem wzięła się do interesów, Alex zaś spędzał wolny czas z Jimem Cyganem. Louise nigdy się nie dowiedziała, że ci dwaj kochali się grzeszną miłością. Oni sami też o tym nie wiedzieli. Wychowali się w epoce, która nie pobrażała nowoczesnym trendom takim jak jawne homoseksualne związki lub choćby manifestacja przywiązania do drugiego mężczyzny. Czuli tylko, że są szczęśliwi dyskutując o ciężarkach i slipkach za pięćdziesiąt funtów. W pewien pokrętny sposób był to więc idealny układ. Louise zatrudniła swoją przyjaciółkę Mary i obie świetnie się bawiły przekształcając sieć obskurnych sklepików z byle czym w sieć nieco mniej obskurnych sklepików z byle czym.

Policja w Bundoranie długo nie mogła dociec, jak wymknął im się przestępca Eugene Lolly — do czasu gdy zaczęły się jesienne deszcze i uszkodzona powłoka dachu odbiła się wielką mokrą plamą na suficie i leżącym pod nim dywanie. Gazety przez pewien czas miały się z kogo natrzęsać, a funkcjonariusze miejscowego posterunku obnosili rumieńce wstydu. Odgrazali się, że gdy złapią Lolly'ego, nie ujrzy już nigdy słońca, lecz adresata tych gróźb dawno nie było w kraju. Opuścił go pod osłoną nocy na pokładzie holownika, następnie zaś przeszwarcował się do Meksyku, gdzie znalazł pracę jako woźny w klasztorze. Trzy lata później wyrzekł się świata pełnego wrzaskliwych kobiet i sam wstąpił do zakonu. Nadal nie miał pewności, czy jest człowiekiem wierzącym, ale udało mu się przekonać pozostałych, że nim jest. W klasztorze miał ciszę, spokój i ład, posiłki też nie były złe. Całkiem jak w więzieniu, tylko bez buntów, stresów i grypsery. Był tam bardzo szczęśliwy. Małą szklaną flaszeczkę w kształcie Maryi Panny trzymał stale na półce w swojej mniszej celi jako pamiątkę. Dała mu bowiem to,

co w życiu najważniejsze: wolność. Nie zdradził nikomu w starym kraju miejsca swego pobytu i z ukontentowaniem bawił się myślą, że jego los na zawsze pozostanie tajemnicą. Eugene Lolly przejdzie w końcu do legendy, tak jak zawsze pragnął.

Virginia Lolly przeprowadziła rozwód *in absentia*, po czym wyszła za o dziesięć lat młodszego od niej Hiszpana. On zachwycał się jej tańcem brzucha, ona — zręcznością, z jaką on mieszał drinki. Czasem wspominała Johnny'ego Hogana i łobuzerski błysk jego ciemnych oczu, ale też bardzo niewiele kobiet było odpornych na wdzięk Gwiazdora. Jej nowy małżonek również był przystojny. Miał jeszcze jedną zaletę: bezpłodność, toteż żyli sobie błogo w nadmorskiej tawernie bez płaczących się pod nogami pociech.

Timothy Tate wygrał na loterii. Pieniędzy właściwie nie potrzebował, bo jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał, były cytrynowe pralinki. Większość wygranej zainwestował więc w siłownię, chroniąc ją w ten sposób przed niechybnym bankructwem. Uszczęśliwieni członkowie sekcji bokserskiej urządzili z tej okazji turniej i pobili się nawzajem do nieprzytomności. Kierownik od razu spłacił wszystkie długi i kazał wmurować w ścianę mosiężną tabliczkę na cześć Timothy'ego. Pastor stwierdził, że Timothy przywrócił mu wiarę w ludzi. Cukierkowy Gang odszedł w przeszłość... no, może niezupełnie. Za resztkę wygranej Timothy kupił małą trafikę, tę samą, w której kiedyś pracowała Louise Lowry. Nazwał ją „Cukierkowy Gang” i wzbogacił ofertę sprzedawanych słodczy. Teraz mógł być sobą — siedział za odrapaną ladą pogryzając cukierki i od czasu do czasu zastanawiał się, co tam porabia jego stary kumpel Landryna.

Panna Bingham trzymała się swojego stołka w urzędzie jeszcze pięć lat po osiągnięciu wieku emerytalnego. W końcu rozwiązano z nią umowę o pracę i została siłą wyniesiona z budynku przez tego samego strażnika, który ongiś eskortował na zewnątrz Kate Winters. Przez następny tydzień spożywała wyłącznie słodką sherry, aż wreszcie znaleziono ją w Ogrodzie Botanicznym, gdzie wyjaśniała cierpliwie słuchającym drzewom zasady archiwizacji dokumentów. Lekarz doradził jej długi urlop. Następne trzy tygodnie spędziła więc przeglądając kolorowe broszury biur turystycznych i narzekając na wygórowane ceny jednoosobowych pokoi. Ostatecznie zainteresowała ją Tasmania. Pojechała tam sama na dwutygodniową wycieczkę, której atrakcją było zwiedzanie zabudowań dawnej brytyjskiej kolonii karnej (z prototypem komory deprivacji sensorycznej). Okazało się to bardzo kształcące. Panna Bingham miło spędziła czas i wróciła do Belfastu w trykotowej koszulce z dziobakiem, a następnie kupiła dwa wykastrowane koty i zapisała się do chóru kościelnego. Była szczęśliwa. Tak jakby. To znaczy,

na swój sposób. I wtedy pewnego dnia, który zaczął się tak samo jak inne, u jej drzwi stanął obcy mężczyzna ubrany w beżowy poliestrowy garnitur i przeciwsłoneczne gogle. Mówił z amerykańskim akcentem. Przedstawił się jako Tom Raymonds i oznajmił pannie Bingham, że jest jej synem. Odnalazł ją za pośrednictwem ośrodka adopcyjnego w Bostonie.

Panna Bingham osunęła się zemdlna na sznurkową wycieraczkę. (W owym czasie miała już pewną wprawę w mdleniu.) Odzyskawszy przytomność, zalała się łzami powtarzając raz po raz, jak bardzo żałuje, że wiele lat temu oddała go do adopcji, ale wtedy nie miała innego wyjścia. Ojciec Toma dał nogę, a rodzina Binghamów chciała uniknąć hańby. Przez całe długie czterdzieści sześć lat zastanawiała się, co się z nim dzieje. Zawsze zazdrościła współczesnym dziewczętom takim jak Kate Winters, że mogą robić, co chcą. Nigdy nie przestała go kochać — szlochała. Tom jej przebaczył, uściskali się, a potem poszli na spacer po Belfaście, trzymając się za ręce. Pokazała mu, gdzie chodziła do pracy, gdzie do kościoła, a gdzie po zakupy. Tom opowiadał, że jest prawnikiem, wychowali go dobrzy, przyzwoici ludzie. Zaprosił ją do Bostonu, gdzie mieszkał ze swoją żoną Amy. Odchowali już pięcioro dzieci, mieli duży dom i mnóstwo miejsca. Mogłaby zamieszkać z nimi na stałe. Obiecała, że z radością ich odwiedzi. Zanim Tom odleciał z powrotem do Bostonu, zrobili sobie wspólne portretowe zdjęcie u najlepszego fotografa w mieście.

A tajemnicza książka Jamesa? Spalił ją w kominku. Uczynił to pewnego wieczoru, kiedy Eileen już spała, a on oglądał w telewizji jakiś film przygodowy. Dziełem jego życia był poradnik zatytułowany: „Kobiety. Jak je zrozumieć”. James zawsze szczyił się tym, że rozumie kobietą duszę. Ale brawurowa ucieczka Eileen z rąk porywacza położyła kres temu dufnemu mniemaniu. Nigdy by nie podejrzewał, że jego własna żona jest taka dzielna. Nie zawahałaby się zabić Lolly'ego! I najwyraźniej nie zszargało jej to nerwów. Stanowczo odrzuciła propozycję lekarza, żeby porozmawiała z psychologiem, wgardliwie określając sam pomysł jako nowomodną bzdurę. Zamiast tego zajęła się przeprowadzką i urządzaniem ładnego ogródka przy domku. Bynajmniej nie tęskniła za miejskim życiem. Tu miała wreszcie światło, którego zawsze jej brakowało. Pluła sobie w brodę, że nie wpadli na ten pomysł dawno temu. Dopiero tak drastyczny wypadek jak porwanie pchnął ją do czynu. James nigdy nie widział jej równie szczęśliwej. Westchnął i uśmiechnął się. Tak, kobiety potrafią być nieprzewidywalne. I po części za to tak bardzo kochał Eileen.

Była północ i właściwie powinien już leżeć w łóżku, ale lubił patrzeć z okna saloniku na blask księżycy ślizgający się po falach. Zrobił sobie kakao i wrócił do swych rozmyślań. Sala

taneczna znów przynosiła kokosy, chociaż przepowiadał jej bankructwo w ciągu pół roku. Miał już dość różnych życzliwych osób, które mu mówiły, jak to dobrze, że lokal wciąż działa pod tą samą firmą. Eileen stwierdziła krótko, że Johnny jest za młody na emeryta, a nic innego nie potrafi robić. I ponownie James musiał przyznać jej rację. A sam Johnny? Cóż, pewnie wystarczał mu mroczny świat tancbudy i podziw obcych. W świetle dziennym wyglądał coraz bardziej nie na miejscu. James musiał więc popełnić jakiś fatalny błąd w jego wychowaniu. Jak to możliwe, że pod jego opieką ukochany wnuk wyrósł na człowieka, który bardziej ceni sobie blichtr show-biznesu niż tkliwą miłość i życie rodzinne? Było to dla Jamesa nie do pojęcia.

Declan był już żonaty, nie trzeba się więc było obawiać, że zostanie outsiderem jak Johnny. Marion podjęła jedynie słuszną decyzję wychodząc za Eddy'ego Greenwooda, choć James wiedział, że to Johnny był wielką miłością jej życia. Ale to Eddy wykonał kawał dobrej roboty wychowując chłopca. Oczywiście wadą tego układu było to, że James i Eileen nie należeli do rodziny i Mavourna formalnie nie była ich prawnuczką.

Patrząc machinalnie na przesuwane się po ekranie napisy końcowe James pomyślał, że prawdziwe życie jest o wiele ciekawsze, bardziej skomplikowane, tragiczne i zarazem piękniejsze niż jakikolwiek film. Potem wyłączył telewizor i poszedł spać.

